



ALFRED KONAR



# PANNY

POWIEŚĆ

WYDANIE DRUGIE



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1905

<http://rcin.org.pl>

*Legenda Krzyżów*

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 31 Января 1905 года.

536



Drukarnia Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

<http://rcin.org.pl>

*Leonowi Wyczółkowskiemu*

*AUTOR.*





## I.

Szkoła! Na dźwięk tych kilku złożonych liter, ileż wspomnień ciśnie się do głowy! Starania przy wyszukiwaniu miejsca... Potem składanie egzaminu do pierwszej klasy, kiedy wystraszonemu w krótkich spodeńkach, podano ci pierwszy raz w życiu kredę do ręki! A następnie owo badanie korepetytora, jakie błędy popełniłeś w dyktandzie? I owa duma, z jaką wkładało się pierwszą zakupioną czapkę, zanim mundurek krawiec zdążył ci przynieść, i te uśmiechy przytem matki i całej rodziny! A owa promocya do klasy II i owe następne „lufy“, „tróje“ z minusami i plusami, *extemporalia*, prymusy, gospodarze klasy, „belfry“, kozy, które jeszcze tak długo po wyjściu ze szkoły śniły ci się w nocy i rozbudzonego nad ranem dreszczem trwogi wstrząsały! O! dobre czasy palanta, „klipy“ i „ekstry“! czasy zbierania marek pocztowych, gry w stalówki, czasy zaciągania się pierwszym papierosem w skrytkach podwórka... O! czasy, w których nie analizuje się smutku, nie analizuje się radości, nie analizuje się życia, jeno człowiek smuci się, raduje... żyje. Jak ptaszki świergocą w dzień pogodny, jak kwiatki tulą swoje główki

śród burzy i grzmotów, tak dzieci płaczą i smucą się lekko, prawie bezboleśnie, za podmuchem wiatru i harcują szczęśliwe, gonią motyle i weselą się bezmyślnie każdym promykiem słońca.

Lecz oto ostatnia godzina przed wielką pauzą już się rozpoczęła. Jest już po pierwszym dzwonku; wszyscy uczniowie wrócili z podwórza i siedzą już na miejscach. Nauczycieli jeszcze niema; i ze szklanych drzwi wypływają na długi ciemny korytarz fale szmeru z setek młodzieńczych piersi z wyrrywającymi się z poza chóru okrzykami śmielszych dowcipnisiów solistów. I chóry wszystkich drzwi szklanych z odcieniem najrozmaitszych głosów, począwszy od pisklęcych falsecików wstępniaków aż do pełnych powagi rozmów basowych klasy VIII, łączą się w jedną wielką wrzawę, posiadającą urok wiosny.

Na korytarzach suną nauczyciele w granatowych frakach ze srebrnymi guzikami, trzymając pod pachami wielkie księgi losów lilipuciego rodu. Jednocześnie ze zniknięciem „belfra“ w szklanych drzwiach klasy, korytarz ubożeje o jedno źródło dźwięków. Po upływie pięciu minut wszystkie szklane drzwi już zamknięte. I ciszę klasztorną korytarza rozpruwają tylko odgłosy klasy V. I śmielsi wbrew prawu, nakazującemu nie opuszczać ławek po drugim dzwonku, wyglądają ukradkiem przez drzwi korytarza i powracają, strasząc fałszywym alarmem:

— Idzie już, idzie!

Ostatecznie w powietrzu czuć, iż się coś stało. i że Bóg wysłuchał prośby nieprzygotowanych do dzisiaj-

szej algebry, nieznośnej ze swemi progresyami arytmetycznymi o formułach, które nietylko, że nie chcą mieścić się w głowie, lecz eufonicznie wstrętne nie dają się przekrztusić przez usta.

— Idzie już, idzie! Jak matkę kocham!

— Ale nie on; a wiecie kto? Klopsztok. Przez całą godzinę będzie *Wortfolge*.

— Hi! hi!—I śmieją się, sprawdzając u drzwi.

— Jak matkę kocham, Klopsztok. A to ci chryja!— mówią żargonem andrusów w przekonaniu, że to ich postarza.

Z wyczernionymi w formie dwóch długich szpilek wąsikami, nauczyciel języka niemieckiego, z siwiejącymi włosami, w złotych binoklach, umieszczonych na końcu nosa, z twarzą pergaminową, w jasnym pięknym krawacie, z wielką obfitością tanich pierścionków, spinek i breloków, stary kawaler jak może nadrabia miną ciężką sytuację nauczyciela, wykładającego nieszczęsny przedmiot, z którego złe stopnie nie przeszkadzają do promocyi. I w chwili wejścia jego do klasy z ostatniej ławki, która zapomniała już o tem, jak dobrze się stało, że lekcyi algebryi dziś nie będzie, odzywa się tupanie nogami mszczących się na słabym Niemcu za to, że silniejsi nad nimi się pastwią. Ktoś nawet przeciągle gwizdnał.

„Niemiec“, przezwany przez klasę „Klopsztokiem“, bo obaj są jednakowo nudni, tłumaczy się łamanym z niemiecka językiem, z wielką godnością udając, że nie spostrzega złego zachowywania się paradyzu: Oto,

z powodu choroby matematyka, on będzie miał nadprogramową lekcję, na której będzie mowa „über die“...

— *Wortfolge*—podpowiada mu paradyz z ąkompaniamentem śmiechu słabo maskowanego.

— *Ueber die Wortfolge*—kończy z godnością niezrażony szeptami Klopsztok — i zwracając się specjalnie do pierwszej ławki—zajadłych kowali i, w pojęciu klasy, lizusów—prowadzi dzisiejszy wykład w formie poufnej pogawędki i wtajemnicza pierwszą ławkę w labirynt przedmiotów, oddzielonych o całe mile przestrzeni od orzeczenia.

A w ostatnich ławkach rozmowa nie bardzo hamowanym szeptem prowadzi się, jak w klubie, ze swobodą tem większą, że Niemiec, pomimo swoich binokli, nie nie widzi.

— Słuchaj, Latoszkiewiczu *vel* Holofernesie! miałeś szczęście, że dziś ta zielona małpa nie przyszła; wyrwałby cię napewno z algebry.

— Wiedziałem przecież o tem, że będę mówił—odrzekł bardzo spokojnie Holofernes, zajęty gorliwie wykrawaniem o ile można najgłębiej liter swego nazwiska na ławce.

— Swoją drogą lufębyś złapał—zauważył Władek Jaworowski, zwany ogólnie Ajaksem I, z powodu nierozdzielności, w jakiej żył z bratem Pawelkiem czyli Ajaksem II.

— Bo Franek, widzicie — szeptał złośliwie oparty na rękach Kamiński, mały, żółty, piegowaty chłopiec, w brudnym wiecznym mundurku, bez krawata, z brudnymi paznokciami, nielubiony przez klasę z powodu

plaskiego sprytu baby bez polotu — kiedy wie, że nie będzie odpowiadał, to książki naturalnie nie liźnie; ale kiedy wie, że będzie wyrwany, to rozpowiada o tem matce, siostrze i sobie, że lekcję wykuje, i jest pewny nawet, że słowa dotrzyma, a swoją drogą książki się nie tknie.

— Kamiński udaje mędrca, a sam przelazł przez parkan do V klasy i nigdy z niej nie wyjdzie...

— Tu nie o mnie mowa, lecz o Latoszkiewiczu. Czy umiałeś dzisiejszą lekcję? powiedz?

— Umiałem.

Roześmiali się z tej bajki wszyscy, nawet Franek, sympatyczny ze swoim uśmiechem ładnego chłopca.

— Gdyby mię był wyrwał—wykręcał się swoimi, nie ulegającymi krytyce argumentami—powiedziałbym mu, że mi nie kazali dziś przychodzić do sztuby; nie miałem więc potrzeby przygotować się.

— Ach! ty koniu!—dowcipkował Włodek Jaworowski—to ty się uczysz formuł algebraicznych nie dla własnej przyjemności, tylko dla belfra?

Teraz parsknęli wszyscy trochę już zbyt głośno.

— Jeżeli tym panom z ostatniej ławki przeszkadzamy—mówił Klopszток, bładny z gniewu—to możeby poszli na świeże powietrze, tam, gdzie to się pali papierosy... Szczególniej pan, panie Latoszkiewicz, który podobno masz i tak zamiar opuścić szkołę.

— Nie, nie mam wcale tego zamiaru—odrzekł Holofernes tonem dobrego chłopca, aż się wszyscy roześmiali.

— Możemy wszyscy sobie pójść na spacer — odezwał się ktoś.

— Dlaczegooby nie? i owszem—szepnął Władek Jaworowski, skubiąc przytem zajadle miejsce przyszłego wasa.

— Tylko za to będą ci panowie łaskawi — mówił dalej Klopsztek, pojawiawszy, że ta jego propozycja była rzeczywiście zbyt nęcącą—pozostać od godziny 4-tej do 6-tej; wtedy w rozmowie im tu nikt nie przeszkodzi.

Ławka pierwsza uważała za stosowne uśmiechać się z powodu dowcipu Klopszteka. Na niektórych, solidaryzujących każdym spojrzeniem z myślami profesora, malowało się dyskretne oburzenie na niewłaściwe zachowywanie się drągali.

W ostatniej ławce zrobiło się zupełnie cicho. Klopsztek, zachwycony znamionującemi zaciekawienie pytaniami „lizusów“, opowiada teraz słuchaczom z pierwszej ławki, że przy słowach: *lassen, mögen, können, dürfen, wollen*—nie kładzie się *zu*.

— Franku, jak się ostatecznie ta twoja awantura z „wylaniem“ skończyła? — rozpoczęli znowu w ostatniej ławce.

— Wcale nie skończyła się jeszcze—mówił Franek, zajęty zamazywaniem świeżo wyrzniętych liter atramentem, mającym maskować czas świeżo popełnionego przestępstwa.

— A matce i siostrze mówiłeś?

— Czy ja głupi robić sobie piekło w domu?

— Ależ przecież trzeba coś zaradzić; siedzisz drugi rok w klasie i rzeczywiście miałeś tego tygodnia same

jedyнки w dzienniku. Oni gotowi posłać kogoś do ciebie do domu.

— A niech sobie posyłają. Belfry mają teraz na głowie inne zawracanie gitary: Mundzia Orłowskiego.

— Mundzia? Takiego szczeniaka!

Mundzio Orłowski rzeczywiście miał sprawę nielada! Oto podczas lekcji, ni mniej, ni więcej, tylko zdjął but z nogi i kiedy nauczyciel wezwał go do tablicy, po uporczywym wzdraganiu się wyszedł wreszcie w pończosze, tłumacząc się, że to Nowakowski rzucił mu but na piec.

Wobec braku ojca, zmarłego przed kilku laty, wezwano matkę Mundzia, bladą, ogromnie przejętą i oszłomioną ważnością chwili i powagą kancelaryi ze stołem, pokrytym zielonem suknem, z nauczycielami we frakach ze srebrnymi guzikami, z minami dyktatorów, z Edmundem Orłowskim, którego wezwali przed chwilą, i którego, jako oskarżonego, wprowadzili z wielką pompą.

Jej Mundzio, który niedawno jeździł w marynarskim ubraniu na welocypedzie, a teraz, jak urzędnik, figuruje w ogromnych kancelaryjnych księgach, w skrowidzach, listach, foliałach... Aż dreszcz ją przejmuje, jak się to wszystko skończy! Lecz przestępca Edmund Orłowski, z zawałanemi atramentem rączkami, nie znajduje się weale na wysokości swego zadania. Ogromnie śmieszny ze swoim grymasem wykrzywionych ust, które trzęsą mu się od płaczu powstrzymywanego, trzeoczy rękoma; wreszcie wybucha łzami, które, złączyw-

szy się z atramentem rąk, ściekają brudnymi kroplami po spoconej, zaczerwienionej twarzyczce dziecięcej.

Nie, on stanowczo nie jest winien. Miał tylko odciski i nowe buty, co go gniotły, a Nowakowski rzucił mu but na piec. Świadkowie przyznali, iż to Nowakowski rzeczywiście rzucił mu but na piec. Ale ponieważ Edmund Orłowski nie powinien mieć odcisków, więc zapisano go na dwie godziny kozy.

Matka oszołomiona opuszcza kancelaryę, nie śmiać na nikogo oczu podnieść, dopiero w korytarzu wyraża swą wdzięczność pomocnikowi sekretarza i stróżce, szukającej buldygony, czerstwe papatacze i serdelki na wielką pauzę, i oddycha swobodniej dopiero za murami szkoły.

— Biedny Mundzio—myśli, idąc po zakupy do magazynów—jednakże być mężczyzną, to nie przelewki!

Nareszcie stróż z właściwym sobie charakterystycznym rytmem porusza dzwonek: wielka pauza! Drzwi wszystkich klas się otwierają i tłumy wyrostków, począwszy od formujących się na cienkich nogach żrebaków, skończywszy na małych pisklętach o zupełnie niewyraźnych jeszcze rysach, z blademi bez wyrazu oczkami, jak u małych psiaków, zalewają pędem, jakby ich kto gonił, schody, prowadzące na wielkie podwórze. I mając w uszach jeszcze ów tryumfalny dźwięk „pauza“ (nie pomni, że za pół godziny się ona skończy), jak stado spłoszonego swiergocącego ptactwa, obrzucają chórem młodzieńczych głosików, śmiechem, gwarem, figlami i żartami ciemne, klasztorne mury korytarza. Klopszток w kapeluszu na głowie, z wielką paką popra-



wionych w domu *extemporalii* pod pachą, w paltocie, z pod którego wygląda ów uroczysty tak straszny dla uczniów frak z guzikami srebrnymi, wychodząc z kancelaryi, chwyta za ramię Holofernesa, zajadającego chleb z powidłami.

— Zawołaj mi Latoszkiewicza—mówi, nie poznając go—mam mu coś do zakomunikowania.

— To ja jestem, proszę pana profesora.

-- A tak, tak, dobrze. Będziesz mógł sobie teraz rozmawiać do woli. Posłano właśnie po twoją matkę, aby cię ze szkoły odebrała, bo promocyi i tak już nie dostaniesz.

— Dziękuję panu profesorowi za dobrą wiadomość—rzekł grzecznie, szastając nogami, Franek z tym ładnym swoim uśmiechem, którym sobie ludzi zjednywał.

— Niema za co dziękować. Trzeba było się lepiej sprawować—rzekł ujęty grzecznością.

A zabawa doszła już do szczytu. W tak nazwanym, niewiadomo dlaczego, pompatycznie „ogrodzie“, z nędnymi drzewami, zupełnie nagiemi, wyschłemi prawdopodobnie od spadających na ich głowy z okien przez długie szeregi lat całych mas „gerundiów“, „acusatiwów cum infinitivo“, dat chronologicznych i reguł algebraicznych, wre pod roztaczającym się cudownie niebem, wiecznie młodem (prawdopodobnie z powodu dochodzących do niego śmiechów co rok to nowych pokoleń dzieci) wesołość taka, że wszystkie rauty, bale i maskarady mogą się wydać w porównaniu obchodami pogrzebowymi, karykaturą zabawy. Z sąsiedniego podwórza pozlatywały tu wróble; nie bały się tego zgiełku. Pta-

ctwo, psy i koty i uważają dzieci za swoich kolegów, rozumieją się wzajemnie i żyją z sobą za pan brat. I teraz świergotem uważają za stosowne oznajmić, iż i one należą do towarzystwa. „Wstępniaki“, nie umiejący się porządnie bawić, gonią się tylko bezmyślnie z zaczerwienionymi twarzyczkami, zziajani, wymawiając zdania prawie bez związku, ot, aby tylko wyrzucać słowa, źle wymawiane, śmiesznie przekręcane. seplenione, a złapawszy przeciwnika, nie wiedzą, co z nim zrobić, i chychocą i cieszą się tylko tem, że jest im dobrze, że słońce świeci, że ptactwo świergoce, że żyją i tyle. Za to dla „prymaków“ zabawa nie ma już tajemnic. Nie biegają i nie łapią się bez celu, jak psiaki, lecz połączeni w kółka, bawią się w „Czarnego luda“, w „berka“, w „klipe“, w „dołki“. Bez ustanku słyhać, jak rachują:

„Entliczek pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego brzdęk“.

Kilku przekomarzających się z nimi, nie dopuszczonych do kółka z powodu „odstawy“ czyli zerwania stosunków, przeciągającego się zwykle nie dłużej, jak do pauzy następnej, w której przyjaźń potęguje się tem silniej, obrzucają przewodników zabawy nieparlamentarnie:

— Osioł, osioł, osioł!

Na co gromada odcina się sentencyjonalnie:

— Osioł Pana Boga nosił, a ty, kpie, noś mnie.

A banda na to znowu swoje w kółko wyśpiewuje na jedną nutę: Osioł, osioł, osioł! A przeciwnik, nie siląc

się na finezyę nowych argumentacyi, powraca do swego, markując dobitnie:

— Osiół Pana Boga nosił, a ty, kpie i t. d.

— Wiecie, jutro święto!

— Aha! świętego Legata, co po piecu lata.

— Dostaniesz nagrodę kijem pod brodę.

— Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera—przekomarzają się śmiesznymi dziecięcymi głóskami bezmyślnie, jak małe srocзки.

I naraz powstaje bijatyka.

Aż w ten spór wdaje się ptactwo, swiergocąc:

— Co to, co to, co to?!

I niebo bez chmurki, lazuruwe, młodzieńcze, pobłażliwie uśmiechnięte, zdaje się im rzucać:

— A pfe, a pfe!—i przeciwnicy, nie zdoławszy odbiedz jeden od drugiego, zapominają, że celem ich gonitwy miała być bójka.

Tylko Mundzio Orłowski, któremu owa sprawa pół pauzy zajęła, i który spóźniwszy się z tego powodu na podwórze, nie mógł już do zorganizowanej zabawy należeć, biega od jednej grupy bawiących się do drugiej „na wolontaryusza“. Oczy ma jeszcze zapuchłe od płaczu i na zaczerwienionej twarzyczce jeszcze kilka niewyschłych łez się perli. Lecz oczy mu się już śmieją i, pozbywszy się zmartwienia, z którem sobie rady dać nie umiał, podskakuje teraz ustawicznie, śmieje się sam do siebie, to poklepie którego po ramieniu, to uszczypnie którego w ucho, to z lekka uderzy ot tak, dla figłów, i ucieka od jednej grupy do drugiej, jak żrebak, któremu zdjęto na paszy sznury, pętajace nogi.

Lecz teraz gonią się już bez wyjątku wszyscy; nie było już „berka“, nie było „czarnego luda“, żadnych gier, żadnych prawideł, żadnych zasad; była młodość, która pragnęła rzucić niebu swój śmiech, gwar i wyładować z siebie nieprzebrane zapasy werwy, humoru, chęci do życia i swawoli, która młodzieńcze ich serduszką rozsądza.

I biegają bez ładu, porządku, bez myśli przewodniej, bez celu, niby płoszone stada ptactwa, z objającym się o ponure mury szkolne chórem hop! ha! z setek młodzieńczych gardziolków, tworzących niewypowiedziane piękną symfonię, symfonię szczęścia, pogody, czystości bez minorów, bez zwątpienia i zadumy, bez rozdźwięku, krytycyzmu, obawy i troski. I kilku z miłością przypatrujących się tej wrzawie ośmioklasistów, z bardzo pocziwemi minami (materyał na przyszłych dobrych ojców), wywołuje z pośród tego rozgardyaszu harującego bohatera dzisiejszej awantury szkolnej.

— Mundziu, Mundziu, chodź-no tu!

Przybiegł do nich z iskrzącymi oczyma i z niewyschłemi na zaczerwienionej od płaczu i zabawy twarzyczce łzami, a oni, śmiejąc się, głaszczą go po krótkostrzyżonej, jak u lilipuciego rekruta, głowie:

— Cóż, Mundziu, uwzięli się na ciebie, a ty nie dałeś się, co?

— Nie dałem się—powtórzył bardzo komicznie.  
Roześmiali się.

— A moja mamusia tu dziś była—pochwalił się nie wiadomo czemu, gubiąc po dziecięcemu tok rozmowy i przeskakując na inny przedmiot.

— Tak? I cóż? Nie będziesz więcej butów zdejmował?—żartowali, głaszcząc go po delikatnej dziecięcej twarzyczce.

— Nie będę—wyklamywał się z przyzwyczajenia lakonicznie, jak przed profesorem, myśląc już jednak o czym innym i zabierając się do ucieczki.

— A nie biegaj tak, bo się zgrzejesz. Masz tu jabłko i pamiętaj o butach.

Podziękował im, zdjęwszy grzecznie czapeczkę, i powałował, podskakując na jednej nodze, a przyłączywszy się do reszty hałasującego ptactwa, cieniutkim głosem z całych sił wykrzykiwał:

— Nie boję się czarnego luda. Nie boję się czarnego luda.

W ustroniu, w którym gentelmani zaciągają się pierwszymi papierosami, zbierają się wyższe klasy szkolne. Członkowie tego klubu, wstydząc się ogromnie hańbiącego ich minionego dzieciństwa, odległych czasów z przed pół roku, kiedy grało się jeszcze w ekstra i palanta i nie paliło się papierosów, które co prawda i dzisiaj jeszcze nie bardzo wszystkim smakują (do czego jednak nikt się nie przyzna), oddzielają się murem od tych, którzy nie szepcą sobie jeszcze do uszu tajemnic, nie wiedzą jeszcze, co znaczy miłośćka.

Dzisiaj niektórzy wiedzą już o nich bardzo dobrze, inni są tuż, tuż przy niej; wiecznie nią bardzo zajęci, bardzo zaniepokojeni, szepcą ustawicznie i czerwienią się. Są nerwowi, śmiesznie pretensjonalni i obrażają się bardzo łatwo. Wyraz „dzieciak“ uchodzi tu za największą obelgę i zniewagę. I łakną być dorosłymi—tak

jak każdy dorosły pragnąłby być dzieckiem. I trenują się do tej roli mężczyzn, naśladowując dorosłych krewnych studentów uniwersytetu i urzędników. Mężczyzna powinien być pewnym siebie, nie dziwić się niczemu, nie wybuchać zbytnią radością; trochę cynizmu i sarkazmu przytem nie zawadzi. Powinien umieć grać w karty, znać się na koniach, na cygarach lub papierosach i powinien pić wódkę.

Inaczej—gdyby nie wiem jak kuł i pracował, był najzaciejszym—wszyscy oddadzą mu wprawdzie słusność, że jest człowiekiem jak się należy, lecz cóż? nie jest mężczyzną, tylko safandulą, babą i tyle. Gdy tymczasem w pierwszym razie, gdybyś nawet przekroczył trochę granicę tego, co można i czego nie można, opinia będzie miała pobłażliwe uśmiechy. Otóż ta wyrozumiałość dla rzeczy zabronionych (hulanki, weksle, bilard, totalizator, szyk, dorożki w alejach) jest podwaliną etyki całego ich przyszłego życia, życia mężczyzn, którzy powinni zakosztować wszystkiego, ponieważ nie są babami. Tembardziej zaś te wszystkie rozkosze nęcą sztabaków, że rodzice ich protestują jedynie z powodu ich wieku, gromiąc: „Masz czas, kiedy dorosniesz“. Oni stawiają *veto* temu zarzutowi, pełni tajemnic, wykrętów, wiecznie spóźniający się do domu; wymykają się na bilard, w wiecznych poszukiwaniach groszy na papierosy, które im w gruncie nie smakują, lecz których palić im nie pozwolono, bo „mają jeszcze czas na to, kiedy dorosną“. Otóż w onym „klubie pierwszego papierosa“—hasłem jedynem, że się jest już dorosłym, pokusą zaś wszystko, co dzieciom zabronione, wszystko męskie,

wszystko, z czem należy się ukrywać, wszystko, co jest grzechem, wszystkie owoce zakazane.

Było ich tu całe dziesiątki wyrostków. Imponuje tu nie wyższa klasa; nie stopnie celujące stanowią opinię, lecz większa liczba owoców zakazanych, lepsza gra w bilard, lepsze zaciąganie się papierosem, większe powodzenie w alei westchnień w ogrodzie Saskim.

Zebranych tu młodzieńców nie można, jak harcujących po ogrodzie „wstępniaków“ i „prymaków“, sprowadzić do jednego mianownika. Z chwilą rozbudzenia się namiętności tworzą się i charaktery.

Tu każdy ma swoją indywidualność już tak wyrobioną, że jeżeli po wielu latach będzie swoją jaźń analizował, to pozna w sobie nie wstępniaka — dziecko, bawiące się w czarnego luda, lecz owego młodzieńca, skubiącego rzadki meszek na górnej wardze i zaciągającego się wśród pogawędki z kolegami ukradkiem papierosem w ustronnym miejscu na wielkiej pauzie. I przyzna sobie, że pomimo różnych zmian i burz życiowych, moralna jego fotografia bardzo mało się zmieniła. Trochę mniej ognia, trochę więcej doświadczenia. Lecz już tam był on sam sobą, z temi samemi wadami i zaletami i tą samą błagą lub skromnością, werwą lub flegmą — i wszyscy koledzy z klubu pierwszego papierosa mu to przyznają.

Najwięcej słuchaczów ma tu zwykle Franek Latoszkiewicz, znany ogólnie pod mianem Holofernesa. Przewisko to dostało mu się przed laty, w tydzień po przeniesieniu się jego do nowego gimnazyum. (Przedtem był już w kilku innych). A stało się tak: zaduma-

nego, a raczej zagapionego na lekyi, zapytuje nauczyciel:

— Jak się nazywasz?

A ten, nie rozumiejąc, o co chodzi, przekonany, że jest wywołany z ławki do lekyi, której naturalnie nie umie, nadstawia uszu, czy mu z litości kto nie podpowie. Jakiś figlarz, rozbawiony jego zmieszaniem, wpada na concept rzucić mu do ucha: Holofernes — i Franek wnet powtarza:

— Holofernes, proszę pana profesora.

Cała klasa w śmiech i Franek stał się w ten sposób Holofernesem.

O jego naiwności i jego conceptach, tak dobrodusznym, lecz tak ni w pięć ni w dziewięć, że ich analizować nie można było — krążyły już legendy. Wsławił się naprzykład, iż na lekyi religii w czasie wykładu powstaje nagle z ławki z sakramentalnym ruchem dwóch palców (znak, że chce o coś zapytać).

— Co takiego? — pyta ks. prefekt.

W klasie cisza, skutkiem zaciekawienia, czego chce Franek i czemu przerywa wykład.

— Proszę księdza prefekta, dlaczego to mówi się zwykle: Jedz, durniu, bo to z makiem?

Ksiądz prefekt przez chwilę milczał, nie wiedząc, co z tem pytaniem zrobić. Spojrzawszy jednak na zarumienioną, a miłą twarzyczkę Franka, na oczy dobrego chłopca, pokiwał głową i z uśmiechem słabostki, jaką wszyscy do niego mieli, wyrzekł tylko, westchnąwszy:

— Aj! ty osiołku, osiołku!

Koledzy wszyscy wiedzą, że nawet poza nauką, któ-



ra przecież podczas przerwy nikt się nie zajmuje, niczego ciekawego dowiedzieć się od niego nie można pod żadnym względem, bo choć ładny chłopiec, ma w ogrodzie Saskim mniej powodzenia, niż inni. Z pierwszego wejrzenia każdej dziewczynie w oko wpadnie, lecz brzydszy wnet go ubiegnie. Nawet do miłości jest za mało poważny; wiecznie jedynie dobry chłopiec, dający się dla towarzystwa powiesić, posiadający wieczny humor, anegdutki wcale nie dowcipne, lecz przyjemne, z ładnym uśmiechem opowiadane. Zapędzając się w braku wątku do opowieści, łąta często prawdę naiwną fantazyą. Zbyt wietrzny, aby zapamiętywać szczegóły, aby nie być milczkiem — zmyśla po większej części... sieczkę.

Kiedy mu wytykają niewinne kłamstwa w sposób dobroduszny, bo go wszyscy lubią, nie gniewa się, lecz śmieje się z nimi, zawsze dobry, ładny chłopiec, gotowy zawsze dla kolegów dać się pokrajać na kawałki, może choćby dlatego, że tej usługi, ani żadnej innej nikt od niego nie żąda. Pożyczać nikomu nie może, bo sam nigdy nic nie ma; pomocy w nauce od niego żądać, to byłyby drwiny; ogólnie wiadomem tylko to, że Holfernes jest jedynym do towarzystwa, dobrym chłopcem, który, gdyby wygrał wielki los na loteryi, to zarazby wszystko (broń Boże!) nie sam, lecz z kolegami puścił.

I teraz otaczają Franka, rozmawiają z nim w zwykły sposób, trochę protekcyjnalny, trochę pokpiwający, lecz przyjazny i serdeczny.

Najwięcej podrywają z niego szczycący się wie-

cznie swoim sprytem Władek i Pawełek Jaworowscy. Dwóch ich jest braci w jednej klasie, zwanych siamski-  
mi, a częściej jeszcze Ajaksami, ponieważ rok ich od-  
dziela i bardzo są podobni do siebie, a Pawełek ubra-  
niem, zaczesaniem włosów, chodem, gestami i dowcipa-  
mi starszego brata naśladuje. Uczą się obaj nie świe-  
tnie, ale znacznie lepiej od Franka. Nie byli do tego sto-  
pnia lekkomyślni, jak on, aby nie „wykuć“ lekyi w dniu,  
kiedy byli pewni, że będą spytani. Pomimo, że szko-  
ły, równie jak Franek nienawidzą, umieją tak dalece  
nad sobą zapanować, aby na „wagary“ nie chodzić.  
Nie opuszczają też nigdy lekyi z szablonowemi uspra-  
wiedliwieniami Franka, w rodzaju: głowa mnie bolała,  
matka była chora, siostrę na kolej odwoziłem—w które  
żaden nauczyciel nie wierzy. Jaworowscy nie byli tak  
naiwni, aby uczyć się niemieckiego, francuskiego lub  
innych przedmiotów, nie koniecznych do promocyi, ale  
łacinnikowi i matematykowi starali się nawet podobać.  
Na lekyach udają niekiedy, że słuchają wykładu, na-  
wet potrafią nieraz narzucać mu się z usługami, odno-  
sić *extemporalia* do domu. W ten sposób do niego się  
zbliżyli, poznali żonę i odwiedzali go w jego mieszka-  
niu prywatnem, na co nie każdyby się zdobył. Ba! po-  
siadali nawet pomiędzy kolegami zdecydowanych prze-  
ciwników, którzy ich nazywali lizusami. „Tupet“ mieli  
bajeczny. Często się zdarzało, że kalkulacye, iż danego  
dnia nie będą „wyrwani“, zawodziły. Wtedy nikt, jak  
oni, nie potrafił lepiej powtarzać za podpowiadającymi;  
nikt, jak oni, nie umiał tak czytać z ławki; wypisują so-  
bie nadto reguły algebraiczne na mankietach, „supiny“

i „gerundia“ na dłoni. Lecz, o ile od tablicy zaledwie z honorem odchodzili i często przysłowiowe idyotyzy my z ust im się wyrywały, w życiu poza szkołą rej wodzą między kolegami, uchodząc za dowcipnych. Są „wyszczekani“, wszędzie ich pełno. Na balu „na wpisy“ Pawełek oczywiście był wybrany na jednego z gospodarzy, a na koncercie na niezamożnych uczniów Władek z przypiętą kokardką rej wodził, ukazując miejsca mężczyznom, niby przeładowany pracą, rozgniewany, zaaferowany, dla dam bardzo szarmancki. To on jeździł wtedy najętą kareta z bukietem po Popielkę, to on wprowadził Modrzejewską na estradę, reklamując się tem, że jest w niej zakochany. Nieładny, z nierówną cerą, z małemi czarnemi, błyszczącemi oczyma, z dużymi zębami, zaczął się od tego koncertu podobać panienkom, udawał interesującego, a ciotki, mówiąc o nim, wzdychały:

— Ach! te aktorki! Nigdy się nie starzeją. Tak Modrzejewska! jej się jeszcze choć głowę zawracać!

Choć się br...

i o byle co d...

starszeńst...

ki i na...

weir...

bił...

cz...

o...

to...

studenckim zapoznał się z kilkoma dziennikarzami i odwiedza nawet jednego z nich w redakcyi.

Opowiadał też wszystkim treść noweli, którą ma w głowie, a którą niebawem w *Kuryerze* wydrukuje.

Koledzy wiedzą, że w tem wszystkim jest wiele blagi, lecz jest i trochę prawdy. Odpowiedź Jeża własnymi oczami widzieli. Pawełek miał inne dążenia. Był arystokratą. Piał się do „towarzystw“, miał stosunki w domach zamożnych, w których bywał na wieczorkach, i w których grywał z panienkami w krokieta, przepisywał im wiersze, przynosił książki i opowiadał anegdotki i dowcipy, co prawda, po większej części pochodzące od starszego brata. Rzeczywiście w wielu domach go lubiono i poszukiwano, bo jak brat był zręczny, usłużny i umiał załatwiać sprawunki.

Starszy brat jednak pogardzał znajomościami Pawełka i odzywał się zawsze o nich z wysoka swojej wjełkości.

...a pani Kozłowska? Wiesz co? po-  
... się przynajmniej ubierały po  
... w ogrodzie Botanicznym.  
... przed nim im  
... omości!

...chodzi do

...do sło-

...plan

...lek

...e-

...m

...o

brat lubili się słuchać, lubili swój własny dowcip, lubili być na pierwszym planie, choć kłócili się bardzo często, szczególnie, kiedy Władek, wezwany do lekcji, powracał na ławkę z „lufą“. Wywierał wtedy na brata cały swój gniew, czyniąc mu wymówki, że niewyraźnie podpowiadał; kiedy zaś nieszczęście podobne Pawłkowi się przytrafiło, to Władek znowu wymyślał bratu, że nie umie podsłuchiwać, i że nie potrafił czytać z książki, którą mu podsuwał.

Poza tem kochali się bardzo. I Pawełek wiecznie u państwa Kozłowskich szczyił się stosunkami i dowcipami swego brata. Władek zaś u znajomych wspominał:

— Wyobraźcie sobie, że ten idyota mój brat—wystawiając jednak brata zawsze w bardzo pochlebny oświetleniu.

Pauza już miała się ku końcowi, kiedy Władek przypomniał sobie zlecenie swego ideału panny Kazi Janowskiej, której matka, podupadła wdowa, wydawała obiady gospodarskie. Chodziło o zaproponowanie Pawłkowi i Holofernesowi wspólnego spaceru do Łazienek. Pawełek wręcz odmówił, był zajęty.

— Naturalnie, on musi być u swoich państwa Kozłowskich—zakonkludował Władek, a wszyscy dokoła się roześmiali. Lecz i Franek nie był zachwycony tym projektem.

— Będzie Belcia. Wiesz, ona ogromnie się czerwieni, kiedy ty do niej przemawiasz.

— E! mam coś ważniejszego na widoku – brawuro-

wał zagadkowo, dając do odgadnienia jakąś tajemnicę, jakieś zaszczytne małe przestępstwo.

Chodzenie po ogrodzie Botanicznym nie bardzo nęciło ich, mężczyzn, lubujących się tylko w zabawach zabronionych, na które ojcowie z minami groźnemi, z mrugnięciem oczu, szeptały:

— A to panie niepoń! w tym wieku, a już... choć i ja, panie tego, nie lepszy byłem...

Ajaks dał jednak słowo Kazi, choć i on porzucił jakąś bardziej „pikantną“ zabawę. Lecz przyjaciele muszą poświęcić się dla niego i iść wszyscy razem. Nawet Kamiński udawał, że ma coś ważniejszego na widoku, czemu nikt nie uwierzył, i zgodził się na ten spacer jutrzejszy.

— A Paweł może kazać się wypchać razem ze swoimi Kamińskimi.

— Ale słuchaj, Holofernes, tu matki twojej tylko co patrzeć, wszak ją wezwali.

— Więc cóż z tego? Daj-no mi zaciągnąć się raz twoim papierosem.

— Żarty na stronę. Co uczynisz, jeśli cię wyleją ze szkoły?

— Cóż mam czynić? Wyjadę na prowincję. Tam bardzo łatwo.

— Ale toż koszt nielada mieszkać u obcych. Czyż matka twoja na to przystanie?

— No, to będę kuł tutaj przez rok cały, a później zdam egzamin — rzekł, zaciągając się z rozkoszą pożyczonym papierosem.

— Ty będziesz kuł? Et! zawracanie!

— Niech was głowa o to nie boli — rzekł z wiarą w swoją dobrą gwiazdę.

— Więc gdzież się jutro ostatecznie zbieramy?

Lecz stróż uderza w wielki dzwon z rytmem tambor-majora.

Wielka pauza skończona!

Uczniowie suną do klas wielkimi wschodami; bez tej jednak werwy, z jaką zbiegali na zabawę; o! nawet porównania niema: ani oczy im już się nie iskrzą; śmiechy zamilkły, ani żartów nie słychać, ani rozmów... Lada chwila może być który z nich zapytany o lekcję. Nie bagatela!

Żałują teraz, że podczas pauzy nie powtarzali zadań. Mają wyrzuty sumienia. Niektórzy są bardzo smutni i wloką się po stopniach, jak skazańcy. Widzieli już przez szklane drzwi kancelaryi wszystkich nauczycieli. Niema więc i marzenia, aby który z nich mógł zasła-bnąć i na lekcję nie przybyć. Jeszcze jedynie pozostała nadzieja w opiece Boskiej, do której wszyscy, począw-szy od wstępniaków aż do klasy VIII, się udają.

I Pan Bóg wysłuchał próśb młodzieży. Ani jeden z nieprzygotowanych nie był tego dnia wezwany do wypowiedzenia lekcji. Dwie godziny mineły pomyślnie. Jutrzejsze święto pozostaje niezatrutem.

I teraz odzywa się znowu zwykły, z trzema króciutkimi przestankami motyw: Din-din-din, din-din-din, din-din-din... Wszyscy powstają, dyżurny uczeń odmawia modlitwę, książki, kajety, piórniki już ułożo-ne, tonistry zamknięte... do domu! Jutro w dodatku święto! Na dworze wiosna, słońce świeci, ptactwo śpie-

wa, skwery, ogrody zielenieją, wszyscy mają na ustach uśmiechy, a w sercach młodość aż wre. Czyż można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż świat, coś rozkoszniejszego niż życie?

I minawszy wrota obrzydłej „sztuby“, dążą ku domom. Całe chodniki zagrodzili. Wstępniaki, nie umiejący jeszcze porządnie chodzić, w źle włożonych, nie zapiętych, sprawionych „na wyrost“ płaszczach, sięgających prawie ziemi, niedbali, zawalani atramentem, z nieporządnie nałożonemi czapkami, wloką się bez końca. Podróż ich ze szkoły do domu ciągnie się nieraz, ku zdziwieniu rodziców, dwie godziny. Ho! ho! mają oni wśród drogi zajęcia niemało! To ich przed oknem wystawowem coś zaciekawia, to koń na ulicy upadł, to wagon kolei konnej się wykoleił, to koło u wozu się zepsuło. I swiergocą pomiędzy sobą bez ładu, jak ptactwo: A to to, a to tamto... A mój ojciec chodzi do biura, a twój ojciec nie chodzi do biura. Aha? a gdyby mój ojciec nie chciał, toby także nie chodził. A gdyby...

— Panowie, na bok, na bok — upominają ich przechodnie. Bo „panowie“ zajmują całe chodniki i czasami, o zgrozo! spychają się wzajemnie do ścieków i, jak małe koguciki, czubią się wśród drogi.

Prymaki i sekundziaki pograżeni są w rozmowach o „belfrach, sztykach, lufach, dwójkach“ oraz o „ekstrach, plantach, fangach, o wykupywaniu się bachorów, o metach i obcierkach“.

Starsi umieją już chodzić, krygują się nawet w swoich obeisłych mundurkach i nałożonych zawadyacko czapkach i tornistrach na plecach.



A wyższe klasy, znudzone już mundurem, rozpinają go, aby pokazać swoje męskie wykrochmalone gorsy i krawaty, narażając się na „kozę“, trzymają pod pachą, niby teki urzędnicze, żenujące ich na plecach tornistry. Chodzą, naśladując studentów uniwersytetu, dużym powłóczystym krokiem, i wyciągając bez litości meszek na wierzchniej wardze, oglądają się za kobietami...

I widać z daleka, jak z tornistrami pod pachą dwóch Ajaksów w drodze do domu kłóci się z sobą, i starszy, rozmachując rękoma, zaperzony, gromi tłumaczącego się przed nim potulnego brata...

Tylko biedny Mundzio, który śród pauzy zapomniał zupełnie o przyszłej niewoli, o nieszczęsnych dwóch godzinach kozy, jakie go po ukończeniu lekcyi czekały, siedzi teraz, pożegnawszy ostatniego kolegę marudera, samotny na ławce. Mundzio, jak może, trzyma się, jak bohater opuszczony przez wszystkich. Po chwili dopiero łzy nieproszone jedna za drugą spływają mu po twarzy i na otrzymane jabłko, które żuje wykrzywionemi ustami. Dokoła niego jedna wielka pustka: ucichły już echa gwaru setek gardziołków... Nagie jasne ściany, szeregi wąziutkich, czarno malowanych ławek, zawałana atramentem katedra, tablica z porzuconą przy niej gąbką i kawałkiem kredy, wszystko to wydaje się uspio-nem w letargu, zamarłem. I jabłko biednego Mundzia coraz bardziej moknie we łzach, a twarzączka jego coraz bardziej się wykrzywia.

Dokoła niego stróż Sobolewski, z zawieszonymi u pasa kluczami, którymi miałby ochotę pozamykać już

wszystkie drzwi, bardzo nierad, że mu kazano pilnować przez dwie godziny jeszcze więźnia, zamiata z wielkim zapalem klasę, napełniając ją kłębami kurzu. I on i Mundzio są w najgorszym humorze i czekają sposobności, aby na siebie wybuchnąć.

— Niech Orłowski wstanie — zwraca się do Mundzia — muszę ławki ocierać z kurzu.

— To niech sobie Sobolewski idzie do innej klasy, mnie kazali tutaj siedzieć — buntuje się Mundzio.

— Cooo? To Orłowskiemu mało, że go w kozie posadzili, jeszcze się będzie mnie stawiał?

— Niech Sobolewski nie waży się tak do mnie mówić — odpiera więzień.

— Dobrze, pójdę zaraz do pana inspektora.

— O! bardzo się boję inspektera. Może sobie Sobolewski iść do inspektora, do gospodarza klasy, do dyrektora: boję się ich tyle, co figi — odpowiada butnie, nie mając już nic do stracenia i w rozpaczę paląc za sobą mosty.

— Dobrze, bardzo dobrze — odpowiada stróż i wychodzi, aby zamiatać inne klasy, zapomniawszy już o Mundziu.

A Mundzio, pozostawszy sam, po ostatnim wysiłku energii wybucha znowu płaczem.

Tak go wszyscy opuścili, to doprawdy nieładnie!

Na oknie wróble świergocą, dzióbkami biją o szyby. Mundzio z początku ich nie spostrzegł, teraz podnosi głowę i wyciera sobie załzawione oczy pomietą i poplamioną atramentem chustką.

Już nie jest sam. Nie, stanowczo ptaszki przybyły

tu umyślnie, aby go rozerwać. Co one wyprawiają! biją się, czy całują, trzepocą skrzydełkami i tak są uciekszne...

— Hi, hi, hi—wybucha śmiechem Mundzio i ostrożnie na palcach zbliża się, aby je nakarmić pozostałymi resztkami jabłka. Więc teraz wrywają sobie kawałki, walczą o nie, odlatują i znowu powracają.

— Moje wróbelki kochane—szepce Mundzio. A kiedy zbyt energicznie tarמושą kawałki jabłka, śmieje się do rozpuku. Wróble odleciały, lecz Mundzio wyjrzał przez okno i zobaczył nowe cudo wśród wiosennego słońca.

— O! tramwaj letni — podskoczył aż z radości do góry. Letni tramwaj, którego już het, het, od zeszłego roku nie widział. A rok dla ptactwa, dla kwiatów i dla dzieci—to cała era.

Pierwszy tramwaj letni! to zapowiedź wiosny, to jak pierwsza jaskółka dla dzieci miasta. I Mundzio jest już w dobrym humorze, gwizdże jakieś bardzo wesołe marsze i polki, rysuje na tablicy jakieś nadzwyczajne figury, Klopsztoka z niemiecką gramatyką, Sobolewskiego z miotłą, i śmieje się sam do siebie. Lecz drzwi się otwierają i Mundzio nagle poważnieje: to inspektor. Dwie godziny już przeszły i wolno mu iść do domu. Mundzio chwyta tornister i, nie oglądając już wystaw sklepowych, ani zatrzymujących się wagonów kolei konnej, biegnie co sił do mamusi, która gniewać się nań nie będzie; jeszcze przycisnie, jak to ona tylko potrafi, do piersi, i Mundzio zapomni o wszystkim i będzie szczęśliwy. Jakże nie być szczęśliwym, kiedy czu-

je, że wszystko dokoła się uśmiecha do małego sztubaka, który odsiadywał kozę. Wszystko to zdaje się podszeptywać mu do ucha:

— Widzisz, jakie to wszystko dokoła ciebie piękne, dobre, pogodne! Widzisz, jak wśród nas tobie dobrze, jak żyć przyjemnie! I tak ci będzie wiecznie, wiecznie, wiecznie...

Na widnokrąg spłynęła czarna chmura i tam het zdala, jakby coś zaturkotało dźwiękiem: hu, hu, hu! jakby głos Mefista.

Mundzio nie widzi chmur, nie słyszy grzmotu; przebiega co tchu schody, dzwoni u drzwi mieszkania i rzuca się w objęcia mamusi.

— Mamusia!

— Mundzio, Mundzio!—tuli swego pieszczocha pani Orłowska, zaniepokojona długiem wyczekiwaniem. Nie zważa, iż Mundzio w roztargnieniu targa jej rzadką grzywkę, którą z takim mazołem przypala żelazkiem. A po upudrowanej, zwiędłej twarzy ściekają łzy radości.

— Maniu—zwraca się do 14-letniej córki o poczciwych oczach rybich, z dużem wypukłym czołem i z cieniutkim blond warkoczykiem. — Dopilnuj, niech wazę podają, bo Mundzio głodny.

Pani Orłowska od czasu śmierci męża, dzielnego dyrektora wielkiej fabryki, który ją, „pannę z dobrego domu“, nosił na rękach i otoczył komfortem, a pozostawił z uciulanym kapitałikiem i małą pensyjką, wypłacaną wdowie przez akcyonaryuszów, z uwagi na zasługi zmarłego, żyje jedynie myślą o synu. Wie, że z córką

będzie bieda... ot! jak zwykle z panną prawie bez posagu, bez stosunków, bez domu. Lecz syn odplaci jej za wszystko. Będzie piękny, wykształcony. Będzie miał stanowisko, ożeni się z panną „z koligacyami“, z majątkiem. I pani Orłowska, przerabiając swoje stare suknie i odświeżając koronki (lubiła stroje, nie aby się komu podobać, lecz ot tak, jak się lubi kolekcję fajek lub marki pocztowe) oraz dla przepędzenia czasu pudrując twarz zwiędłą i fryzując rzadkie włosy, marzy, w jakiej sukni będzie na ślubie syna i z jaką dystynkcyą będzie robiła honory matki.

— Siedziałem w kozie, mamusiu.

— O! moje dziecko! ucz się, bądź człowiekiem. Ty wiesz, że mamusia twoja żyje jedynie tem, aby cię widzieć wielkim, bogatym, szanowanym przez wszystkich, szczęśliwym. Wiesz o tem?

— Wiem. A czy jutro wolno mi będzie iść do ogrodu Saskiego?

— Będzie. A pamiętaj: ucz się, bądź człowiekiem. Przyrzekasz mi?

— Mamusiu, czy ja mogę z tej bibułki na lampę zrobić sobie latawca? Mania mi obiecywała do niego pieczątki.

— Dlaczego mamie nie odpowiadasz? Czy nie chcesz być pociechą matki? być takim synem, aby wszyscy jej zazdrościli, być wzorem dla innych? Nie chcesz?

— Chcę. Nero, chodź tu do pana! — gwizdnął na psiaka, którego niedawno do domu sprowadził— do nogi! aportuj mi zaraz! Raz, dwa trzy... hop!

A pani Orłowska ni stad, ni zowad znowu rozplaka-

ła się, jak zawiedziona kochanka w wiecznych rozmyślaniach o przyszłości.

— Cóż z tego, że on mnie kocha, kiedy on mnie nie rozumie. Nie rozumie nic, nic, nic...

— Waza już na stole.

— Nero! Hop, hop! Ha, ha, ha!

## II.

Pani Latoszkiewiczowa, otyła, z grubemi wilgotnymi wargami, tylko co powróciła ze szkoły. Prośby jej na nic się nie zdały. Franka postanowiono wydzalić ze szkoły. Usiadła bezradnie, zapominając nawet o karmelkach, które w kieszeni nosiła i którymi życie sobie osładzała. Nawet wyrzekać, jak zwykle, nie mogła, bo oto sąsiadka jej, p. Kuczyńska, nie w porę wybrała się w odwiedzinę.

— Nie w humorze dziś pani — przerwała ciszę Kuczyńska, przeczuwając z kobiecą wrażliwością zmartwienie sąsiadki—wpadłam tylko na chwilę. Mam dużo roboty.

— Ach! co pani mówi? Jutro przecież niedziela. Petronelo, zobacz, co tam z kawą się dzieje? Przecież widzisz, że ja gościa zostawić nie mogę.

— Na co te subjeckye? Zresztą Belci tylko co patrzeć w domu. No, nie przeszkadzam.

— Nic nie szkodzi, proszę, niech pani zostanie. Belcia nie dziecko i trafi tutaj — zapraszała nieszczęśliwa Latoszkiewiczowa. — Ach, moja pani, moja pani! nie wiem, co to jest, tak mi serce łopocze i łopocze. Czuje

to doskonale: już niedługo mi na tym świecie gościć. Całe życie sercem żyłam, na serce umrę — recytowała swój ulubiony aforyzm.—A może karmelka—częstowała ją wyjętą z kieszeni torebką.

— Mama zawsze z tem sercem! A doktor tyle razy już mówił, że żadnej wady serca niema.

— Dobrze, dobrze. Uwierzycie dopiero wtedy, kiedy będę na marach.

— Mamciu!—całowała ją starsza panna Petronela. Julka wzruszyła ramionami.

— Jak tu nie chorować—biadała, ssąc karmelek—kiedy wszystko wali się na głowę.

— Macie jakie zmartwienie? Przeszkadzam zapewne? No, do widzenia—żegnała się Kuczyńska, maskując zaciekawienie.

— Ach! Jezus, Marya! niech pani nie daje się tak prosić! Nic takiego znowu się nie stało—zaczęła stara Latoszkiewiczowa i urwała. — Gdyby chociaż kawę przynieśli... Przynajmniej kawy szklaneczkę napije się pani z nami—zapraszała po chwili.—Jezus, Marya! cóż z tą kawą... Prosiłam Maryannę... Julko, bądź łaskawa poskoczyć do kuchni i zobaczyć, dlaczego Petronela kawy nie dopilnowała.

— Gdzie kucharzy sześć, tam niema co jeść!

— Jak będzie gotowa, i tak przyniosą — burknęła Julka, która, aby odróżnić się od nie mogącej znaleźć sobie męża starszej siostry, egzaltowanej i dystyngowanej ekspiękności, wpadła w rolę mówiącego zawsze prawdę *enfant terrible*. Do tego typu nadawał się jej zadarty nos i włosy krótko ostrzyżone. Teraz, kiedy



dochodziła już do trzydziestki, zaczęła swoją rolę szarżować. Jej naturalność zbyt już naturalna i humorek panny, niby urwisa, zaczynały być już tak sztuczne, jak dystygowana egzaltacya panny Petroneli.

Siedziały we cztery w saloniku Latoszkiewiczów z pięknymi mebelkami, kupionymi niedawno na raty na Grzybowie, z paciorkowemi patarafkami i szydełkowemi serwetkami domowej roboty. Cały salonik uprzątnięty świątecznie, aby śladu nie było, że owa bawialnia przemieni się zaraz nazajutrz znowu na cały tydzień w pracownię konfekcyi damskich. Dziś jednak niedokończone obstalunki skrzętnie pochowano do szaf i komód, nawet kolorowane wycinki z zagranicznych dzienników mód, ustawione zwykle pomiędzy szybami w oknach, na niedzielę uprzątnięto. Martwe dziś wielkie drucziane manekiny o wypukłych watowanych piersiach przykryto pokrowcami, a szeregi maszyn do szycia drzemią w pokoju sąsiednim. Raz na tydzień przynajmniej w niedzielę Latoszkiewiczówny nie będą szwaczkami. Latoszkiewiczówny szwaczkami! Czy słyszeliście państwo coś podobnego? Ha! Cóż robić? Wszystko w pojęciu starej wali się teraz. Takie czasy już nastąpiły. Kto dawniej był u góry, teraz u dołu. A ci terazniejsi! Niby wielcy państwo! Do przedpokojuby ich się nie wpuściło dawniej.

Na dworze pogoda i moc słońca przez okna otwarte złotem morzem do pokoiku napływa i świetlanemi ruchomemi smugami, niby fale złote, na jasnych ścianach saloniku się układa. Ciszę przerywa monotony trel kanarka, zawieszzonego pomiędzy oknami. Lecz choć za-

cisznie tu, jasno, pogodnie, rozmowa jakoś nie klei się, jak gdyby duża chmura zaciemniała widnokrąg.

Stara Latoszkiewiczowa stanowczo jest skwaszona, a wysmukła panna Petronela ze swoją zmeconą, ongi piękną, choć ostrą, dużą twarzą, umączoną przy nadchodzącem święcie jeszcze bardziej, niż na codzień, tannim niebieskawym pudrem, ma dziś usta zamknięte na cztery spusty.

Tylko Julka, gładząc czuprynę, wstrząsa nerwowo ramionami, wreszcie wybucha z ironią:

— Wesoło dziś u nas, co? Przyjemną będziemy miały niedzielę! Należy się przecież jakaś miła niespodzianka po całotygodniowem szyciu, przy którym nogi aż puchną od tej przekłętej maszyny. Nie, doprawdy wściec się można. Te wieczne tajemnice, wieczne komedye! Wszystko to w gardle aż staje. Na wiele wam się przydało to ukrywanie się ze wszystkim przed ludźmi. Gdyby mama nie była chłopca psuła, nie wpatrywała się w jego piękność... Bo pani nie wie jeszcze—zwróciła się do Kuczyńskiej—nowa przyjemność! Nie myślę robić tajemnicy: Franka ze szkół chcą wydalić.

— I co my teraz z nim poczniemy?—płakała cichutko Latoszkiewiczowa, wyciągając z kieszeni chustkę do nosa.—Doktor powiedział mi, ażebym unikała wszelkich wzruszeń.

— Patrzcie państwo, co za nieszczęście! — kiwała głową ze współczuciem Kuczyńska. — Gdybyście mi wcześniej były powiedziały, znam tam kilku nauczycieli; zresztą Belcia...

— E, proszę pani — wzruszyła ramionami Julka—

w czemby taka, przepraszam panią za wyrażenie, smar-kata pomódz mogła.

— Tak — spiekła raka dotknięta Kuczyńska — ale jest świetną uczennicą, nagrody co rok brała, a teraz już i ostateczne egzamina i patent za pasem; jest w wiel-kich łaskach, nie pamiętam dobrze u kogo, u damy kla-sowej, czy też ochmistrzyni, u wszystkich...

— Wiem, wiem, aleć zawsze to dzieciak i tyle. A już Petronela biegała po wszystkich profesorach. A szczególnie ten pomocnik inspektora, wdowiec...

— Już rozpuściłaś swój języczek? — obrazila się pan-na Petronela.

— No, czemużby nie? — zauważyła Kuczyńska z u-śmiechem, w którym dobroć łączyła się z odrobiną złości, jakiej najlepsi nawet ludzie nie potrafią ukryć przy nagłej wiadomości, że bliźniego coś przyjemnego spotkało. — Czemużby nie? — powtórzyła zupełnie już do-brodusznie z zatartą odrobiną złości, z manią swata-nia — stanowisko dobre, nie stary jeszcze, dość przystoj-ny. Dzieci tylko dwoje.

— Jazda co prędzej, choćby jutro — roześmiała się Julka, udając podlotka.

Stara Latoszkiewiczowa do nieba oczy wzniosła z miną jak najwyraźniej mówiącą:

— Chciałabym dożyć dnia tego. Potem wszystko mi jedno.

— Ach! Dajcie mi pokój — broniła się panna Petro-nela, uszczęśliwiona samym faktem swatostwa, świad-czącym, że nie uważają jej za wycofaną z obiegu. — Ni-gdybym nie zgodziła się wyjść za mąż za wdowca. —

Sznurowała przytem bardziej niż zwykle usta, wymawiając z wielką dystynkcyą literę *S*.—To nie bagatela brać na swoją odpowiedzialność wychowanie dzieci. Dość mamy kłopotów z Frankiem!

— Uczynisz to przez miłość dla matki — żartowała z udanym patosem Julka—lecz powróćmy lepiej do naszego gagatka. Bo co się tyczy waszego szukania protekcyi, to podług mego głupiego rozumu pomoże tyle, co umarłemu kadzidło. Bo jedynaczek z 5-ej klasy i tak przez piec przeszedł; a teraz po dwóch latach, rzecz wątpliwa, czyby do 7-ej promocyę dostał. Bo wie pani, okazało się teraz, że cenzura była podrabiana, że do szkoły nieraz cały tydzień nie chodził, że się wyklamywał chorobami, fałszywemi świadectwami, że książki szkolne sprzedawał, z kolegami nieponiami takimi, jak sam, po wagarach się włóczył. Taki ci ananas!

— Co my teraz z nim poczniemy!—wzdychała Latoszkiewiczowa.

— Co?—burknęła—chłopiec ma już lat 18, prawie pod wąsem. Wiecznie pracować na niego my kobiety nie możemy. Kiedy nie chciał się uczyć, do terminu go oddać i kwita.

— Julka!—uniosła się w końcu panna Petronela, zwykle spokojna, dystyngowana, wskazując wycierającą sobie zaczerwieniony nos matkę, która, pomimo apatyi i egoizmu, nad wszystkich kochała Franka. Panna Petronela pamiętała też wyjawione przed chwilą powątpiewanie Julki co do jej zamążpójścia.—Zdaje mi się, że ci piątej klepki zbrakło, bo, jak ojca kocham, nie pojmuję. Miesz z językiem dziś i miesz, jak młyn, bez

końca.—Potem całkiem spokojnie zwróciła się do Kuczyńskiej:

— Mówisz więc pani, że Belcia mogłaby nam w czem pomódz? Wiem, wszyscy za nią na pensyi przepadają; a ma z Frankiem na pensyi niektórych nauczycieli wspólnych.

-- Naturalnie. Belcia wszystkie egzamina już razem z Kazią Janowską ukończyły. Zdały na same piątki. Mają już patent z ukończenia pensyi, jakby w kieszeni.

— Patrzcie państwo, jak to czas leci! To Belcia już nauki ukończyła? Cóż pani z nią teraz uczynisz?

— Jak Bóg zechce, tak będzie. Teraz zmęczona naukami niech sobie jakiś czas odpoczywa. A czy to można wiedzieć, czy się dnia jutrzejszego dożyje? Otóż Belcia z Kazią pójdą zaraz jutro w sprawie Franka do nauczycieli, u których jako nagrodzistki są w wielkich łaskach. I jestem przekonana, iż dzięki im, cała rzecz najpomyślniej się ułoży.

-- Byłybyśmy pani tak wdzięczne...

Julka nie bardzo zgrabnie zabrała się do uspokajania matki. A Kuczyńska z panną Petronelą zaczęły przygotowywać nową kampanię, usiłowały wyszukiwać drogi nowe...

Do pokoju weszła 16-letnia panienska w brązowym krótkim mudurku, z pod którego wyglądały zgrabne nóżki, i w czarnym fartuszku z dwoma naramiennikami, które czerniły się na uformowanych już i rozwiniętych piersiach.

Była niewielkiego wzrostu, a że nie lubiła się ści-

skąć gorsetem i w chodzie nie krygowała się i nie myślała ustawicznie o sobie zwyczajem Warszawianek, kobiety o niej mówiły, że nie jest zbyt zgrabna; tylko starsze, które widziały ją w negliżu, z okiem znawczyń szeptaly sobie z uśmiechami na ustach o jej urodzie, pomimo jej młodzieńczości, w całej już pełni. Choć rzeczywiście „nie miała figury“, była zbudowana prześlicznie. Twarz całą miała pokrytą przedziwnie delikatnym złotym jedwabistym meszkiem, jak oświetlona słońcem brzoskwinia, i tak przezroczystą, że za lada słówkiem płonie szkarłatem. Oczy duże, bardzo poczciwe, koloru morza. Wygląda z nich dusza tem wyraźniej, iż nie zakrywają ich obficie rzęsy, których na dolnej powiece prawie wcale niema. Wskutek tego bywają one niekiedy z lekka zaróżowione i przy lada wzruszeniu Belcia oczkami mruga. Ma niezwykle bujne włosy ciemno-blond, bez śladu zalotności zaczesane z wyniosłego poważnego czoła, w tyle okręcone grubym warkoczem naokoło głowy, bardzo foremnej i małej, z kształtnym karkiem, na którym igrają niesforne ze złotej peli wijące się loczki. Usta wykrojone niezbyt regularnie, lecz świeże, młodzieńcze, niezwykle ponętne i miękkie; rączki do przesady czyste i przyjemne w uścisku dopełniają rysopisu panienki, o której każdy, najmniej obdarzony zmysłem obserwacyi, musi zawyro-kować:

— Ach! Jaka miła, jaka prosta, jaka poczciwa!

— Jest Belcia!—wykrzyknęły, witając się z nią kobiety.

Przypatrują się jej z sympatyą i uśmiechają się do

niej. Z rękami założonemi jedna na drugą, jak stateczna kobieta, Belcia przedstawia typ panienki seryo, poczytywnej mateczki, przykładnej uczennicy, córki, przyjaciółki.

Od najmłodszych lat dziecięstwa była zacną osobą, trzymała w porządku zabawki, myła codziennie lalkę i przykładła jej kompresy na głowę, kiedy lalka była chora. Bo, jak należy statecznej osobie, Belcia lubi być ze wszystkim w porządku. Kiedy nadejdą egzamina, „kuje“ całemi nocami, aby wracać corocznie z popisu ze stosami nagród w czerwonej okładce pod pachą. Kiedy chorowała matka, nie służąca, lecz ona, w nocy przy niej siadywała, poduszki poprawiała i lekarstwa podawała, jak ongi lalce. Sukienki trzeba oszczędzać, bo matka na nowe nie ma; ceruje też bieliznę i utrzymuje we wzorowym porządku szufladki z książkami i skromnemi fatalaszkami. Belcia ma już swoją wyrobioną opinię i szacunek u ludzi. I samo imię „Belcia“ wymawia się z pewnem uznaniem. Nawet matka nie odzywa się do niej inaczej, tylko w trzeciej osobie.

Latoszkiewiczowa, uspokojona trochę, że losem syna się zajmują, utarłszy nos po raz ostatni, wychodzi do sąsiedniej kuchenki; bo ona, choć sił nie ma, lecz zdaje jej się, „iż bez niej nic w domu się nie zrobi“. Niebawem przynosi gościom w kamiennym imbryku na tacy kawę z polewanymi sucharkami, zakupionymi za całych 10 kop.

W trakcie tego cała sprawa co do tego wisusa Francka szczęśliwie się ułożyła. Belcia żyje w wielkiej przyjaźni z koleżanką, córką inspektora, z którą się uczy na

egzamina i u której bywa w domu. Inspektor wyklada zarazem w ich klasie historję, i Belcia, jako pierwsza uczennica, jest u niego w łaskach i jego żona za nią przepada. Nigdy go o nic nie prosiła. Nie wątpi teraz ani na chwilę, że wszystko dla niej uczyni, bo w najgorszym razie wstawi się za nią i żona jego i córka. Lecz ponieważ wstydzi się iść sama, weźmie z sobą śmielszą od niej, także celującą uczennicę Kazię Janowską. We dwa ognie—jest pewna wygranej.

— No, widzicie panie? nie mówiłam? Kiedy Belcia się czegoś podejmie, możecie być zupełnie spokojne—tryumfuje zadowolona Kuczyńska, wsłuchując się w słowa Belci i przypatrując jej się z głupim uśmiechem kochającej matki.

— Co za szczęście, co za szczęście!

— A gdzież jest winowajca?

— Biedny chłopiec!—westchnęła stara Latoszkiewiczowa.

— Nieszczęśliwy!—przedrzeźnia Julka — siedzi tu obok i papierosy sobie robi.

— Czy mogę iść do niego?—zapytała Belcia harmonijnie brzmiącym głosem.

— Dobrze, dobrze, idź, moje dziecko.

— A nagadaj swemu narzeczonemu porządnie, co się zmieści—upominała ją Julka.

— Niech pani nie nazywa go narzeczoną — przestrzegala ją tajemniczo Kuczyńska. — To było dobre, kiedy byli małemi dziećmi; teraz Belcia ma lat 16, pensję wkrótce skończy, on ma 18. To nieprzyzwoicie.



— Prawda. Niema już dzieci na świecie—zawyro-  
kował podstarzały podlotek.

Belcia, wychodząc z pokoju, słyszała przestroge  
matki i... zaczerwieniła się. A w jej trzeźwej, pozyty-  
wnej główce w tej chwili zrodziła się myśl:

— Dlaczego? Co w tem jest nieprzyzwoitego? Taki  
żart, jak inne!

— Naturalnie. Julka, kiedy zacznie pleść, to ni  
w pięć ni w dziewięć—zgodziła się panna Petronela,  
nie mogąca zapomnieć siostrze tego powątpiewania, iż  
ona za wdowca nigdyby nie poszła.

Belcia weszła do pokoju „nieszczęśliwego“. Nieprzy-  
jemna myśl, spowodowana uwagą matki, jakoś z głowy  
jej pierzchła.

Zaciekawiona trochę, rozejrzała się dokoła pokoju.  
Winowajca z miną wcale nie zastosowaną do położenia  
siedział w starych kaloszach matki przy piecu na ku-  
frze i, nie zważając na radę wojenną, odbywającą się  
w sąsiednim pokoju, bardzo spokojnie maszynką skrę-  
cał papierosy, obcinał następnie nożyczkami i wrzucał  
do pudełka. Dla urozmaicenia zajęcia pogwizdywał ci-  
chutko, aby go nie usłyszano, aryę „Tararara bum da-  
ra“. I śliczny był z tym spokojem na rumianej, świeżej  
i zdrowej twarzy, z błyszczącymi jak dwa węgle oczyma  
i białymi zębami, jaśniejącymi wśród dziwnie wykrojo-  
nych ust, okolonych grubemi wargami, przedzielonemi  
w środku rysą, jak wiśnia czerwona. Barczysty, kształ-  
tny, z muskularnemi rękoma, formował się nie stopnio-  
wo, jak gąsienica, nie przechodził lat wyrastającego  
śmiesznego podlotka o niezdrowej cerze, zamglonem

oku, ze zbyt długimi rękoma, lecz od razu z dziecka przeistoczył się w pięknego mężczyznę motyla. Od najmłodszych lat posiadał charakterystyczne zadowolenie człowieka o pełnym żołądku i pustej głowie. Ta rozkosz zdrowej krwi i silnych mięśni ujawniała się w zaróżowieniu karku i ucha, w zwierzęcym blasku oczu, w zręcznych ruchach i w głosie metalicznym. Belcia nie wiedziała jeszcze, jaki on w tej chwili ładny; czuła tylko, że na dworze wiosna, że żyć na świecie przyjemnie, że trzeba być dobrym i kochać wszystkich.

W tej chwili z właściwą sobie delikatnością pojmuje, że pomijając wszelkie drażliwe kwestye, powinna mówić ze swoim przyjacielem o rzeczach obojętnych. Biedak i tak ma dość zmartwień na głowie! Sądzi, że najcięższem dla niego, niewyrozumiałego mężczyzny, musi być to siedzenie jakby za karę w domu. Bo na dworze wiosna jakby do okna pukała. Nawet tu, w ciasnem podwórzu, panoszy się swoim aromatem, złotem słońca, gwarem. Był to jeden z tych dni, kiedy wszystkie okna na oścież otwierają. Bo należy wpuścić trochę światła do wnętrza domów, w których pokutują jeszcze cienie długich, zimowych nocy i dym pieców, i cięży cała atmosfera zamkniętego przez długi czas mieszkania. I czuć było, że w ziemi coś się już poruszyło i zagrzana słońcem parowała. Służące myją szyby. Słychać trzepanie mebli. I usta ludzi, jakby zamarłe przez całą zimę, wybuchają dźwiękami głośnymi, kaskadami śmiechu. Uczucia te kielkują w nich tak nagle, nie wiadomo skąd, jak zieleń na drzewach. A wróble, domyślając się przenikliwie, że ludzie szczęśliwi nic złego

nikomu nie robią, śmieiej niż zwykle do gzymsów okien pukają, gdzie na blasze framugi litościwe kucharki rozsypują im resztki gotowanej kaszy i okruszyny starych bułek. W oknie jakiejś szwaczki kapią się w szklance z wodą kupione za dziesiątkę świeże, woniejące fijołki.

— Czy nie przeszkadzam panu, panie Franciszku? — zapytała, żałując po niewczasie zbytnej swej śmiałości. Krępowało też ją owo ceremonialne „panie Franciszku“, używane od niedawna na żądanie matki, według której nie wypadało już Belci, jak za lat dziecięcych, mówić prosto „Franku“.

— Dlaczegooby — uśmiechnął się — pani miała mi przeszkadzać? — mówił prostym głosem, w którym poza tem, co chciał powiedzieć, żadne ćwierćtony nigdy nie drgały. — Niech pani siada.

Przez chwilę milczeli. Belcia, nerwowo mrugając oczkami, wyszukiwała w myśli słowa, jakimi ma rozpocząć rozmowę. Franek ją uprzedził, choć nie łamał sobie głowy, i przerwał pierwszy ciszę.

— Robię sobie papierosy, bo nie lubię dystrybucyjnych; dlatego wolę sam tytoń kupować. Kosztują niewiele i są doskonałe — pokazał w uśmiechu ładne zęby.

— Siedzi pan tu tak samotny? — rozpoczęła znowu.

— Ach! Bo te kobiety ze swymi nerwami rzeczywiście... Płaczą, lamentują, same nie wiedzą czemu. A do tego, kiedy Julka rozpuści swój języczek...

— Mama pańska doprawdy niepotrzebnie rozpacza, tembardziej, że cała rzecz da się jeszcze załatwić.

— Czy panna Kazimiera mówiła pani — zmienił rozmowę—o jutrzejszym spacerze do Łazienek?

— Czy i panby z nami poszedł?—pomimo swojej powagi zapytała uszczęśliwiona, zapominając o uroczystej misyi.

— Oczywiście. Rzec ułożona już z Ajaksami.

— Zaraz dziś pójdę rozmówić się ostatecznie z Kazią. Muszę się z nią i tak widzieć, ponieważ wybieramy się do dyrektora w pewnej sprawie.

— A więc jutro rano punkt zborny u pani Janowskiej—rzekł nieciekawy „pewnej sprawy“. — Rzec postanowiona.

Przez chwilę milczeli. On zupełnie spokojny, zajęty papierosami. Ona wrząca myślami, z chaosem słów, tłoczących się jej na języku.

— Czy pani nie ma zapalki? Ach! przepraszam, co za głupie pytanie! Ale tak mi się chce palić!...

— A panu mama palić pozwala?

— A to doskonale! Czemużby nie miała pozwolić? Lecz nie chcę iść do nich, bo one mnie strasznie nudzą.

— To prawda — zauważyła poważnie — byłoby to rzeczywiście bardzo niedobrze, gdyby pan był zmuszony przerwać nauki.

— Pi! w najgorszym razie—strzelił nowym pomysłem, zapomniawszy już o swoich projektach wyjazdu do Częstochowy i przygotowania się z całorocznego kursu—wstąpiłbym zaraz do Towarzystwa kredytowego. Co? Czy to nie dobre?—zapytał z taką pewnością siebie, jakby go proszono od dawna o przyjęcie posady.

— No, tak, ale zawsze — rzekła nieprzygotowana do tego skoku.

— Za 600 rubli rocznie jedna osoba wyżyć przecież może, czy nie? — uśmiechnął się zadowolony tem, że ją przekonał, nie czując w swej lekkomyślności, że kłamie.

— Jeszcze jak! — poświadczyła Belcia. Lecz w swej skromności nie lubiąc się hazardować na wielkie wygrane i uważając, że zwykle drogi są najlepsze, cofała się:

— Co tam o tem mówić! Skończy pan gimnazyum, a później będzie czas na jakieś tam posady. Niech pan będzie zupełnie spokojny — pocieszała go niepotrzebnie jedynie, aby nie wyjść z roli, z jaką tu weszła. — Jestem przekonana, że cała rzecz załatwi się jak najpomyślniej.

— I Ajaks Jaworowski z nami jutro pójdzie do Łazienek. Pawełek oczywiście nie może — roześmiał się, powtarzając koncept Władka — on naturalnie musi spędzać niedziele ze swymi Kozłowskimi.

Belcia dostrajała się do jego bezmyślnej pogody i, odłożywszy na bok swoją powagę nagrodzistki, zapytała szczerze uszczęśliwiona nadzieją przechadzki po Łazienkach i ogrodzie Botanicznym.

— I pan Kamiński z nami pójdzie?

— Oczywiście! Musimy iść w trzy pary. Bo inaczej któżby z mamą pani flirtował — roześmiał się.

Belcia się zaczerwieniła. Raziły jej delikatność uczuć wyrażenia studenckie, lubo niektóre jej koleżanki tak się niemi zachwycają.

Zmarszczyła brewki. Chciała mu nawet powiedzieć, że nie wie, czy będzie miała czas iść jutro z nimi, lecz zamilkła, pojmując z uległością kobiety, że mężczyznom

wiele rzeczy trzeba przebaczać, ponieważ wielu rzeczy nie pojmują.

— Do widzenia, panie Franciszku.

— Do widzenia, panno Belo. Tylko niech pani nie mówi z łaski swojej mamie, że ja robię sobie papierosy, bo mi lekarz zabronił palić — skłamał na oczekaniu, ratując powagę mężczyzny.

— Ja nie powiem. Lecz nie powinien pan palić, jeżeli panu zabraniają. A jeśli mama się dowie?

— Nie dowie się. A zresztą jeśli się dowie — kończył z uśmiechem ładnego chłopca, nie wątpiącego o swoich siłach — musi przebaczyć. Pocałuję ją, przyrzeknę... i dobrze!

Belcia nic na to nie odpowiedziała. Po głowie jej tylko przeleciało coś bardzo niewyraźnego w rodzaju:

— Naturalnie! Jak mogłaby nie przebaczyć tak dobremu chłopcu.

Bo co się tyczy jej, Belci, to ona, choć nagrodzistka, bardzo pojmująca obowiązki uczennicy, przebaczyła mu już całe jego postępowanie niegodne przecież wielkiej pochwały.

— A więc do jutra! Prawda?—zapytała bardzo potulnie, wcale nie jak przystało na sędziego śledczego, który przecież przyszedł rozpatrywać tu karygodną sprawę.

— Jutro bezwarunkowo, chyba że mama pani się nie zgodzi.

— Zgodzi się—rzekła poważnie i stanowczo, pewna swego wpływu na matkę.—Ale musisz pan przyrzec—wybuchnęła prosto z mostu, wstydząc się po niewczasie

zbytniej pobłażliwości i niesumienego załatwienia sprawy, której się podjęła — że, jeżeli wiadoma panu rzecz pomyślnie się załatwi, nie będziesz pan opuszczał godzin lekcyi.

— A jeżeli pani Janowska nie pozwoli pójść panie Kazi z nami do ogrodu?—demonstracyjnie zmienił rozmowę, jakby nie dosłyszawszy jej słów — poszlibyśmy we troje: pani, mama i ja. Dobrze?

Belcia przez chwilę nie odpowiadała. Nie!—pomyślała po chwili. — Ma słuszość, są rzeczy, o których mówić nie wypada. I żałując swojego nietaktu i niedyskrecyi wobec jego drażliwego położenia, odrzekła:

— Niech pan myśli tylko o panu Władysławie. Już ja Kazię biorę na siebie. Do widzenia, panie Franciszku. Oto są zapalki. Leżały na stole.

Wyszła z pokoju.

— No i cóż?—zapytał Belcię zaciekawiony cały salonik.

— Powiedziałaś przynajmniej temu gagatkowi kilka słów prawdy?—badała ją Julka.

Belcia się zaczerwieniła. W tej chwili przypomniały jej się nie wiadomo dlaczego uwagi matki, iż nieprzyzwyczajenie jest nazywać się narzeczoną Franka i że nie wypada, aby ona nazywała go inaczej, tylko panem Franciszkiem. Jednocześnie czuje także jakby wyrzut sumienia: coś jej mówi, że niezupełnie jest w porządku i że nie wypełniła położonego w sobie zaufania.

Nawet owa tajemnica z papierosami trochę ją niepokoi. Stała się spółniczką czegoś, co nie wolno. I lekarz zabronił mu palenia, a ona wie o tem i nie

mówić nie może. I cały czas ten tak zleciał prędko... Nie było nawet kiedy go strofować... A nie powie im przecież o spacerze jutrzejszym, który w programie także nie figurował...

— Pan Franciszek powiedział, że... Belcia nie umie kłamać. Teraz zaczerwieniła się jeszcze więcej. Pojmuje sama doskonale, że była przekupiona przez obóz nieprzyjacielski. Ten obiecany jej spacer jutrzejszy z Frankiem tak ją uszczęśliwił, że zdradziła sprawę, zapomniała o wszystkim. Teraz, ponieważ brzydzi się wszystkim, co nie jest w porządku, ma wyrzuty sumienia, nie śmie ludziom w oczy patrzeć i czerwieni się.

— Obiecał ci, że się poprawi, prawda?—mówiła Latoszkiewiczowa, pragnąc gwałtem w to uwierzyć.

— Tak, naturalnie...

— Obiecanka cacanka, a mądryemu radość—zadecydowała Julka.

— Ale, moja Belciu, nie zapominaj o inspektorze—prosiła panna Petronela i wnet, przypomniawszy sobie, wskutek dźwięku wymówionego słowa „inspektor“, swaty, oblała swoją niebieskawo umąconą dużą twarz ideą rumieńca.

— Naturalnie, naturalnie...

Panie żegnały się i przeciągle całowały. I po długiej chwili zapewniań przyjaźni, wdzięczności i po innych zwykłych ceremoniach, odprowadzone aż do schodów przez gospodynie, Belcia z matką opuściły Latoszkiewiczów.

Teraz, minawszy ulicę Wronią, zmierzają Leszkiem ku mieszkaniu Janowskiej, aby zaprosić Kazię na ju-



trzejszy spacer. Że matka usłuchała Belki i za jej poradą udaje się do Janowskiej, pomimo, iż wizyta nie leżała w zamiarach dnia dzisiejszego, jest zupełnie w porządku, bo stara Kuczyńska nigdy córce niczego nie odmawia. Belcia doradza matce zawsze tylko takie rzeczy, które robić trzeba. Lecz Belci jest jakoś nie-swojo. Ma też minę dziś mniej, niż zwykle, stateczną, za to bardziej potulną. Kręci się, głowę spuszcza, czerwieni się, zagaduje, bo czuje, że matka jest z nią w porządku, ona wyjątkowo nie.

Bo Kuczyńska prócz Belci nie ma na świecie niko-go; od maleńkiego dziecka uważa ją za swoją przyjaciółkę, powiernicę i rozmawia z nią, jak ze starą. Są ciągle z sobą razem. Belcia nigdy nie bawiła się z dziećmi. Mając lat osiem, rozmawiała już jak dorosła osoba.

Śród drogi pod świeżem wrażeniem o kimże mają mówić? Rzecz prosta, że o Latoszkiewiczach, których przed chwilą opuścili.

Stara dość ich lubi, ale nie bardzo, ot tak, jak to zwykle dzieje się pomiędzy znajomymi. Rzecz prosta, nie mówi się tego wszystkiego w oczy, o czem mówić mogą teraz, kiedy ich niema. Rozmowa, jak zwykle, zaczyna się od charakteryzowania ludzi, których się opuściło. I tak okazuje się, że stara Latoszkiewiczowa jest wprawdzie poczciwa, lecz w gruncie niezdara do niczego; w szpitaluby na starość skończyła, gdyby nie energia córek. I śmieszna jest na puncie swojej arystokracji; śmieszne jest to jej wstydzanie się krawieczyny. Latoszkiewiczowie wcale nie pieczętują się Ślep-wronem i nieprawdą jest, że pochodzą z Kujawskiego.

Ta szóstka koni, którą zawsze do kościoła niby jeździli, to także blaga. Stary Latoszkiewicz po prostu dzierżawił pod Lublinem majątek Kobylice. Z dzierżawy tej wyleciał jak z procy i to z powodów niebardzo zaszczytnych; różnie ludzie o tem mówili. Zresztą, nie obmawiając ich, znać, że niczem wielkiem nie byli. Stara Latoszkiewiczowa nawet po francusku dobrze nie mówi. Co innego Pomian-Kuczyński!

Opatówka była najpiękniejszym majątkiem w całym Sandomierskiem. Wina sprowadzał stary Kuczyński, dziadek Belci, z Węgier beczkami; do kościoła jeździli nie inaczej, jak karetą, zaprzężoną w czwórkę koni, a co za kucharz! Kiedy było mu powiedzieć: Rochu, jutro na obiedzie będzie osób trzydzieści, a on na to: Kiedy proszę jaśnie pani... Nie chcę wiedzieć o niczem. Musi być wszystko i kwita. I było jedzenia po szyję i jakiego! Aż się goście oblizywali. Co rok na święcone przyjeżdżał hrabia Zamoyski, a ujrzawszy Belcię na ręku u mamki, odezwał się:

— Jeżeli to dziecko państwu zginie, to znajdziecie je u mnie w domu i nie oddam, nawet gdybyście mi chcieli cały pałac zburzyć.

Belcia słyszała już nieraz o Opatówce i o kucharzu Rochu, i o owym obiedzie na trzydzieści osób, o winie z Węgier i anegdotę o hrabim Zamoyskim. Wszystkie te opowiadania, setki razy powtarzane, jakby już zrosły się z jej mózgiem, usadowione na stałe w specjalnej komórce. Nieraz wśród samotni i ciszy jakby już same mówiły.

Teraz Belcia z matką suną na drugi koniec miasta.

Bo Janowska mieszka aż na Bonifraterskiej. A nie wygrały przecież na loteryi, aby brać dorożkę. Idą wolno, a Kuczyńska, trochę otyła, buja się na zmęczonych nogach, jak czółno na porośłym stawie. Obok niej kroczy, nie śpiesząc się, Belcia, przyzwyczajona już do chodu starej matki, której towarzyszy poważna i śliczna w swoim przenicowanym świeżo szafirowym kaftaniku ze złotymi guziczkami i w pasterce okolonej aksamitką, jakie wtedy noszono, w której Belcia, pomimo swej powagi, wygląda na lat 14. Chociaż sukienka jej sięga niedaleko poza kolana, przechodząc przez rynsztok, udaje dorosłą i ugina ją troszkę, jak jej matka, aby się nie zabłócić.

Przed niemi ulica Leszno wydłuża się bez końca. Mineły już figurę Matki Boskiej, umajoną wiankami, jakby żywcem przeniesioną z wielkich pól, woniejących łubinem, zbożem i chabrami. Koło nich wyrastają parkany z napisami: „placę do sprzedania, węgle“, tuż obok sklepiki z dziwacznymi szyldami, znane doskonale Belci z częstych wędrówek: karetką lilipucia, wystawiona na balkonie u powoźnika, o której nieraz śniła, będąc małym dzieckiem, dalej mosiężne talerze, zawieszane na antabie żelaznej u cyrulika, wielkie beczki u nafcjarza, dziwaczne małomiejskie malowidła na szyldach: wieprzowa głowa wędliniarni, wreszcie nożyce krawca, pięknie malowane szafy i komody stolarza. Znany Belci każdy kamień u bramy i sieni.

Rozmowa znowu zwróciła się na Latoszkiewiczów. Kuczyńska nie dlatego, aby ich obmawiać, lecz to i owo, ot jak zwykle w rozmowie przeciwko nim wynajduje.

Belcia wiecznie wszystkich broni. Dziś mniej śmiało, niż zwykle, ale znać, że zupełnie, ale to zupełnie zdania matki nie podziela. Ona miałaby ogromną ochotę zachwycać się dziś Latoszkiewiczami.

— Albo z tem wiecznem wyrzekaniem na Franka. Wolę Franka, niż ich wszystkich.

Belcia odwróciła głowę i uniosła trochę sukienkę, aby jej kto z tyłu nie nadeptał. Stara ciągnęła dalej:

— Bo i uczynny i greczny, i serce ma złote. Co prawda, to prawda.

Belcia tym razem nie sprzeciwia się matce.

— A że się trochę urwisuje, cóż w tem złego? Każdy chłopiec musi się wyszumieć. A że się niebardzo uczy, to czy wszyscy muszą uniwersytety kończyć? A siostry jego czy się uczyły? Widziałam listy Petroneli pełne błędów. Zresztą czemuż wcześniej go nie pilnowały? To ich wina.

Belcia z właściwem sobie poczuciem sprawiedliwości chciała zauważyć, że jednak matka jest może trochę za mało wyrozumiała dla Latoszkiewiczów. One kochają przecież Franka. Zawszeć jego trochę w tem winy. Bo uczyć się trzeba, a on rzeczywiście nie jest pilny i... lecz zacisnęła usta i słówka nie pisnęła.

— Co innego zupełnie Janowska — zauważyła Kuczyńska, gotowa zachwycać się dziś każdym, aby obniżyć Latoszkiewiczów.

— Pani Janowska jest zupełnie inna — zauważyła Belcia spokojnie, jak dojrzała osoba.

— Co to jest zupełnie inna! — oburzyła się wreszcie Kuczyńska. — Niech Belcia nie mówi jak dziecko. Wie-

cznie Latoszkiewiczze i Latoszkiewiczze. W ogieńby Belcia za nich skoczyła. Jest też za co? Jakbym ja czepiała się kogo bez powodu? Plotkarką dzięki Bogu nigdy nie byłam i nie będę. Ale gdyby Belcia nie wiem jak ich broniła, zawsze będę mówiła swoje: że stara ni pies ni wydra i zawsze taka była do niczego. Petronela zaś przesadzona, sztywna, niemila i śmieszna ze swoim malowaniem i udawaną młodością, a Julka zgorzkniała jak chrzan.

Kuczyńska, zwykle spokojna, rzadko się unosiła, i teraz po małym zniecierpliwieniu, spowodowanym uporczywością Belci, ciągnęła monotonnym głosem, podobnym do świergotu wróbli:

— A to to, a to to...

Nie wiadomo, czyby odnalazła jeszcze coś charakteryzującego lepiej jej sąsiadki, lecz miałyby ogromną ochotę powtarzać w kółko, że Latoszkiewiczowa jest taka, a Petronela i Julka owaka, z małemi odmiankami różnych drobnych faktów i szczegółów życia. Czyniła to nie z jakiejś osobliwej nienawiści do sąsiadek, lecz o czemże miała mówić w święto, kiedy czas wolny, a o kłopotach własnych człowiek chce na chwilę zapomnieć? Przecież nie będzie mówiła o literaturze, ani o śniegu zeszłorocznym. Mówiła już rano o sprawunkach, które ją czekają, o sukniach i modach, a teraz o czemże ma mówić? Najprzyjemniej o bliźnich, o znajomych. Obmawianie, sądzenie ich, z zastosowaniem oczywiście zupełnie innej miary dla innych, niż dla siebie (Latoszkiewiczowie odpłacają jej pod tym względem pięknem za nadobne), zapelnia przecież 99% życia nie

szczególnych jakichś plotkarek, do jakich Kuczyńska nie należy, ale wszystkich ludzi na świecie.

Stały wreszcie przed bramą domu, który zamieszkiwała Janowska.

— Nie obmawiam Latoszkiewiczów—kończyła Kuczyńska, pewna, że rzeczywiście ich nie obmawiała—bo co prawda, to prawda. Ale musi mi Belcia przyznać, że Janowska, choć ma także swoje wady, jest zupełnie inna.

### III.

Janowska była rzeczywiście całkiem inna, niż Latoszkiewiczowa. Pod jednym wszakże względem myliła się pani Kuczyńska. Oto z właściwą prawie wszystkim nieznajomością samego siebie przypuszczała, że ona, pani Kuczyńska, ma co do charakteru i umiejętności życia wiele wspólnego z panią Janowską a nie z tą niezdarą Latoszkiewiczową, kiedy rzecz wprost przeciwnie się miała. Bo *hic mulier* pani Janowska była taką babą, pełną życia, zabiegłości energii i pracy. A pani Kuczyńska (nie słyszy, można więc prawdę powiedzieć) niczem nie różni się od tej niezdarnej Latoszkiewiczowej. Obie poczciwe w gruncie kobiety, ale ciepłe kluski i tyle. Prawda, że mąż, umierając, pozostawił ją z dwuletnią Belcią w położeniu nieświeżym. Bo owa Opatówka, kucharz Roch, wino z Węgier i hr. Zamoyski—to wszystko może było, a może trochę inaczej, a może nie było wcale. W każdym razie to tak dawno, że tego nikt nie pamięta. A znana zresztą rzecz, że wspomnienia, jeszcze do tego tak odległe, ładniej wyglądają, niż rzeczywistość. Może i była kiedy ta Opatówka, prawdopodobnie nie tak piękna, jak ją Ku-

czyńska maluje i jaką jej się dzisiaj rzeczywiście wydaje. A i te wina z Węgier i ten kucharz Roch — może był dobry, może był partacz, a może go wcale nie było... A i Latoszkiewiczowa szeptiała, że wie z najpewniejszych źródeł, że to nie hr. Zamoyski odwiedzał Opatówkę, ale jego plenipotent, że Opatówka była małym folwarkiem z domem mieszkalnym w najgorszym stanie. Dach dziurawy, pokoje puste, wilgotne, meble połamane. Owa czwórka, którą jeździli do kościoła, to fornalka, stangret nawet srebrnego galona u czapki nie miał... No, ale ktoby tam Latoszkiewiczowej wierzył? Faktem jest, że Kuczyński skończył na małej dzierżawie i wdowie z dzieckiem pozostało całego kramu około 12,000 rubli. Podług Kuczyńskiej były to resztki wielkiej fortuny, podług Latoszkiewiczowej pieniądze te na ostatniej dzierżawie zarobił. Z tymi pieniędzmi, trzeba Kuczyńskiej sprawiedliwość oddać, załatwiła się jak najgorzej. Osiem tysięcy oddała szwagrowi ciotecznemu na wieś na hypotekę; obiecał jej płacić duże procenty i prawdopodobnie dotrzymałby słowa, gdyby nie to, że zaraz następnego roku wyleciał z majątku jak z procy. Kuczyńska spadła ze swoją sumą. Nowonabywca z litości, jak również wskutek wstawiennictwa krewnych, znajomych i różnych nasyłanych bab i protekcyi, obowiązał się płacić Kuczyńskiej dożywotnio 50 rubli miesięcznie. Złośliwi twierdzili, że nowonabywca zgodził się na tę umowę, ponieważ Kuczyńska wyglądała już wtedy bardzo staro i bardzo mizernie; liczył więc, że dożywocia długo wypłacać nie będzie. Kuczyńska pojęła jedno: iż wskutek tego układu, choć ona do końca



życia ma kęs chleba zapewniony, Belcia w razie jej śmierci pozostanie na bruku. Bo ostatni jej grosz sierocy nieopatrznie roztrwonila. Przyjechała do Warszawy z silnem postanowieniem pracować co się da, zwalczać przeszkody, nie dać się... Nie szło jej jednak; nie umiała dać sobie rady ani z szyciem bielizny (klientki ją opuszczały, bo roboty na czas wykończyć nie umiała, panny jej to chorowały, to się kłóciły, to robotę psuły), ani ze sklepem spożywczym, który prędko zwinęła (punkt obrała niedobry), ani z obiadami prywatnymi, ani z odnajmowaniem pokojów. Do wszystkiego dokładała. Takie już miała szczęście. Boć znowu głupsza od innych nie była. Dość radna, miała swój maleńki rozumek, jaki Pan Bóg zsyła średnim ludziom, aby w walce życia jako tako rady sobie dali. Rzecz jasna, kiedy zaczęła szeroko czego dowodzić, prędko gubiła wątek, np. w dyspacie z kumoszkami i w pretensjach do ludzi i do świata: ilekroć jej się zdawało, że ma rację, nie miała racyi. Myśli jej wyprawiały wtedy dziwne harce. Zdania nie miały podmiotu lub orzeczenia; kończyła wprost przeciwnie, niż dowieść chciała, a wszystko razem nie miało z sobą związku, niby rozmówki wyjęte z metody Ollendorfa. Lecz szczególnie w interesach logika jej osobliwe skoki wyprawiała. I tak nowonabywcę majątku, z którego hypoteki spadła ze swoją sumką, stale nazywała złodziejem, którego Pan Bóg ukarze za jej krzywdy, choć z litości, nie z obowiązku, wypłacał jej dożywotnią pensyjkę.

— Co mi za łaska! — krzyczała — krwawica mego męża, grosz wdowi i sierocy.

— Kiedy pani spadła z hypoteki ze swoją sumą — objaśniano jej tysiące razy.

— W każdym razie jego psim obowiązkiem — dowodziła — było spłacić wszystkie długi, ciężące na majątku.

— Kiedy majątek miał więcej długów, niż był wart i na subhaście nikt więcej od niego nie dawał. Któż pani winien, że pani swoją sumę tak ulokowała?

— A skąd ja miałam wiedzieć, ile majątek był wart? Ale on wiedział przecież, że tam moja suma się znajduje, krwawica wdowy. Niech mu Pan Bóg tego nie pamięta!

Innym razem, kiedy gospodarz domu komornika do niej po zaległy czynsz przysłał, dowodziła, pewna, iż się nie myli:

— Jakże ja uboga wdowa mogłam temu nędznikowi za lokal zapłacić, kiedy on wiedział, że sublokatorów na osobne pokoiki nie znalazłam? Jeszcze własne pieniądze dla tego zbrodniarza na *Kuryerki* wydałam.

— A cóż jego to może obchodzić, kiedy pani kontrakt na cały lokal podpisała?

— Co tam podpisała? A czy to ja nie chciałam wynająć pokoiów? To także moja wina? I na jakies podpisy mam zważać? Ale Pan Bóg i t. d.

— „Głupia baba“ — określali ją znajomi. — Jedyną sympatyczną stroną jest w niej to ślepe uwielbienie córki. Prawda i to, że nie wiedzieć skąd jej się taka córka wzięła!

Po wielu niefortunnych próbach Kuczyńska pojęła ostatecznie, że najlepiej jeszcze zmniejszyć wydatki do

*minimum* i żyć z nadsyłanej dożywotniej pensyjki; o ile ta nie wystarczała, łątało się ostatecznie zjadaniem pozostałych dwóch tysięcy rubli. A później jakoś tam być musi! Tyle ludzi żyje, dlaczegożby ją jedną Pan Bóg miał opuścić? Belcia jest piękna; może jej się coś zdarzy. Wie, że pannom bez posagu teraz za mąż wyjść trudno, ale zawsze. Uczy się znakomicie; w najgorszym razie kawałek chleba sobie znajdzie. Trzymają przytem ćwiartkę na loteryi. A Kuczyńska ma jeszcze zamożną cioteczną babkę. Może ona przy testamencie Belcię sobie przypomni? W każdym razie to wszystko lepsze, niż dawniejsze nieudane przedsiębiorstwa, przy których ani chwili spokoju nie miała i jak pies z wywieszonym językiem harowała od rana do zmroku i co się przytem nagryzła, co natrapiała! A za to wszystko nietylko, że złamanego grosza nie zarobiła, jeszcze z własnej kieszeni dopłacić za te przyjemności musiała. Zresztą jest teraz starsza i siły jej do tego już nie starczyło. Co będzie, to będzie. Pan Bóg sierot nigdy nie opuszcza.

Co innego Janowska! Tej od razu od dnia przyjazdu do Warszawy poszło wszystko jak z płatka. Choć z domu zamożna, nie pochodziła z Montmorency. Ojciec jej miał aptekę, mąż jej był lekarzem na prowincyi. Miał znaczną klientelę. Lecz wydawali dużo i kiedy mąż zmarł nagle na aneurizm serca, została bez szelągą przy duszy, z pasierbicą Kazią na karku, córką jakiejś podupadłej arystokratki, która od biedy za lekarza poszła i w rok po ślubie, osierocając męża i córkę, zmarła.

Janowska przyjechała do Warszawy i wzięła się do

pracy. Pojmowała dobrze, że ludzi nie na litość się bierze. A wdowa zapłakana w czarnej sukni i krepowym wualu zdobędzie raz od litościwych rubla lub dziesięć, a później uciekać od niej będą, jak od zadżumionej.

Zdjęła z siebie wdowie szaty i jeżeli popłakiwała, to w niedzielę na odpoczynek ukradkiem, a zresztą uśmiechała się, dowcipkowała, pracowała. Goście, którym obiady wydawała, polubili jej humor, jej dzielność, jej porządek, sprowadzili wnet nowych. Odnajmowała pokoje jeden za drugim. Zapędziła się tak, że dla niej i dla Kazi ani jeden pokój nie został. Łóżka ich stały w wielkim pokoju stołowym, pełnym gwaru schodzących się na obiad pensyonarzy. Kąta swego obie nie miały, ani świątku, ani piątku; cały tydzień jak na jarmarku, wśród częstych pretensyi, wymówek i grymasów przychodnich stołowników i lokatorów. Aż się Kazia buntowała.

— Mama to jeszcze kiedy nasze własne dwa ostatnie łóżka odnajmie.

— Niech tylko dobrze zapłacą! — śmiała się, ocierając sobie chustką pot z twarzy zaczerwienionej od kuchennego ognia i pokazując w uśmiechu białe jeszcze zęby czterdziesto-kilkoletniej mocnej brunety, wysokiej, szczupłej, lecz świeżej i czerstwej.

Pasierbicę, nie mając własnych dzieci, po swojemu kochała. Krzywdy jej nigdy nie zrobiła; a co ją wychyliło jej kosztowało! Sukienki nawet ładne jej sprawiała, lubo pracowała ciężko. Lecz cackać i pieścić nie lubiła, przeciwnie, była przykra, krzykliwa. Oczywiście nie dla stołowników, którzy — rozumiała to doskonale — nie

zniesliby tego. Lecz Kazia przecież jej nic nie płaciła. Ba! to ona dla niej jeszcze pracuje i moc pieniędzy wydaje. W stosunku też z nią i ze służbą hamować się nie myśli i zapala się, jak siarka, szczególnie, kiedy jej nie ustępują. A dziewczynka od najmłodszych lat buntowana przez służbę i przez przyjaciół matki, które litowały się nad nieszczęsną dolą sieroty, nie dawała się.

Macocha jej mówi: czarne, a ona musi jej odpowiedzieć: białe. Jakieś лихо ją do tego kusilo, punkt honoru, nakazujący jej:

— Choć jesteś sierotą, nie dawaj się wrogowi macosze.

A ta życzyła jej w istocie rzeczy jak najlepiej. I za skrzywieniem palca w trzewiku wojna była gotowa.

— Panny Kropiwnickie zawsze niebieską wstążką przewiązywały sobie włosy.

— Panny Kropiwnickie mogły, a ja nie będę—zaczynała się Kazia.

— Nawet panna Kropiwnicka—przypomniała sobie wśród sprzeczki Janowska—jechała na swój ślub karetą w siwe konie z białymi lejcami.

— A teraz szwaczki tylko tak jadą do kościoła; ja, jeżeli będę wychodziła kiedy za męża...

— Głupia jesteś. To panna Kropiwnicka mogła, a ty nie możesz? Pod płótem skończysz.

Aż służba się litowała, trzymając naturalnie stronę sieroty. Stało się to zwyczajem domowym, jak gdyby potrzebne były Janowskiej do trawienia te wieczne: „Niech cię pioruny zatrzasną, bij łbem o ścianę, pod płótem skończysz“. A Kazia nie zbędne były te sceny do utrzy-

mania stanowiska nieszczęśliwej sieroty, która macosze „się nie daje“.

Nawet kiedy z kościoła wracały, nie obyło się bez sprzeczki. Nie zważały, że przechodnie spoglądają na ich zaiskrzone od gniewu twarze i usta, poruszające się gradem obelg, wyrzucanych hamowanym głosem. Rzecz szła o drobnostkę. Zaczynało się od tego, czy mody nowe tego roku są ładne, czy nie ładne; czy przechodząca na ulicy nieznajoma ma dobrą figurę, czy nie. I kończyło się zawsze:

— Aby się tylko spierać ze mną. Zawsze dyabeł z ciebie wylezie.

— Dyabły są lepsze nieraz od aniołów.

— Milcz — hamowała się jeszcze przez chwilę, aby ludzie nie słyszeli i mówiła gorączkowo, lecz cicho: — Z domu cię wyrzucę. Jak pies pod płotem skończysz.

— Daj Boże jak najprędzej — odpowiadała jej Kazia, rozkoszując się tem, że jest przez macochę prześladowana.

— Ej! przestań, bo ci na ulicy jeszcze co zrobię.

— Co mi mama może jeszcze więcej zrobić?

— Nie ujadaj! — wyrwało jej się już tak głośno, aż się ludzie oglądali.

A Kazia nie dawała się. Błada, z trzęsącą się nerwowo wargą, musiała mieć swoje ostatnie słowo:

— Tylko psy ujadają, nie ludzie.

Prawda, że kiedy po jakiejś większej awanturze, zakończonej już rzewnym płaczem, Kazia zobowiązała się przed Kuczyńską i Belcią, że matce przy nowym wybuchu słówka nie odpowie, Janowska znowu żaliła się:

— Czy wy macie pojęcie, co to za ziółko? Ja piersi sobie zrywam, wściekłość mnie ogarnia, a ona jak ten mur: ani piśnie, udając trusią, sierotę, katowaną przez macochę.

— Ależ bój się pani Boga, toż ja z moją Belcią umyślnie błagałyśmy ją, aby pani nie sprzeciwiała się w gniewie i nie odpowiadała.

A na to Janowska, zbita trochę z tropu:

— To tak? Bo to najgorsze nieszczęście zawsze było w tem, że pomiędzy mną a nią stawali wiecznie obcy ludzie.

Kuczyńska, trochę obrazona, dała sobie słowo unyć rękę do tego wszystkiego.

I na glebie tych utarczek wyrobił się charakter drażnionej ustawicznie dziewczyny: Wrażliwa, uczuciowa, ambitna, zamknęła całą łagodność w sobie na cztery spusty, a do walki wyprowadzała tylko potęgującą się z musu zaciętość, manię prześladowczą i przesadzoną dumę niekochanej przez nikogo i nieznającej pieśzcoty sieroty... Kazia wstydziła się być dla kogokolwiek miłą. Nazywała to pensyonarskiem lizusostwem. Znacznie zdolniejsza od Belci, nie brała jednak nagród, bo zdawało jej się, że to pochlebstwo spełniać wszystkie żądania nauczycielek. I wogóle poniżajacem, także swego rodzaju lizusostwem, jest owo wieczne staranie się o dobrą opinię, o to, aby być chwalonym, być wzorem. Wołała już stokroć swoją złość. I sugestyonowana przez macochę powtarzała, jakby szcycąc się:

— Wiem, że nie mam serca — i siadywała zacięta z suchymi oczyma w kącie

I wybuchała naraz łzami. Od najmłodszych lat czuła się w głębi bardzo nieszczęśliwą. Była fenomenalnie piękna, o typie niezdecydowanym, egzotycznym, Hiszpanki, Węgierki czy też Rumunki. Miała matową białą cerę, na której dwa pieprzyki tuż przy sobie jakby się całowały; kręjące się od natury wiecznie, jakby stapirowane żelazkiem, czarne włosy układały się za lada dotknięciem ręki na foremnej głowie kunsztownie, jak arcydzieło fryzjera. Długie bardzo rzęsy, jakby sztucznie węglem podkreślone, wydłużały jej piękne czarne oczy. Nadzwyczaj regularnie narysowany cienki nosek, ślicznie wykrojona buzia, ucho, ręka — cała postać jej wykwiłtna, trochę drobna, była bez zarzutu. Lecz prawda, był zarzut! Kazia wiedziała o tem, że jest piękna. Każda kobieta o tem wie, lecz te, które potrafią to ukrywać, mają o jeden wdzięk więcej: nazywają się naturalnemi. Kazia kryguje się na ulicy i powtarza zbyt często:

— Nie lubię grać komedyi i nie udaję skromności. Wiem o tem, że jestem piękna. — Wiedziała też o tem, że jest zdolna i inteligentna, i rozpoczynała często zdanie od:

— Podług mnie...

I lubowała się wiecznie swoją śmiałością zdania, swoją pogardą dla banalności, dla filisterstwa. Zapalała się do nowych poezyi, do nowych obrazów, do nowych programów, dzienników; buntowała się i obalała wszystko, co utarte, co ogólnie przyjęte w schematy życia codziennego. Wielu ludziom nie podobała się, jako zmaniero-



wana. Istotnie za mało miała doświadczenia, aby ukrywać swoją wadę: brak wdzięku dobroduszości.

I Ajaks bąknął raz konceptem:

— Pani mówisz za mądrze, jak na osobę tak piękną...

— Jak na osobę tak niepiękną — odcięła się — jak pan, mówisz pan...

— Za głupio? Dziękuję pani.

Jak wszyscy ludzie rozżaleni i czujący się nieszczęśliwymi, lubiła mówić najwięcej o sobie. Obawiała się przyszłości, tego płota, pod którym według proroctwa matki miała skończyć, i zgłębiała nieustannie swoją osobę. Znała swoje wady zarówno jak zalety.

— Wiem, że nie mam wdzięku. Wiem, że mężczyźni wolą kobiety głupsze. Wiem, że za wiele mówię o sobie. Wiem, że moje filozofie nikogo nie bawią — mówiła, jakby czując, że zalety nasze i wady dane nam są niezależnie od nas tak, jak barwa włosów lub zarys nosa.

We wszystkich szkolnych sprawach należała z zasady do opozycji przeciwko nauczycielkom, damom klasowym, przełożonym i nauczycielom, wiecznie opanowana manią, że czyhają wszyscy na to, aby ją obrazić. Co prawda, chciano ją nieraz ośmieszyć i ściąć na egzaminach, lecz nie udawało się nigdy, ponieważ miała pamięć znakomitą i żywość umysłu zadziwiajączą.

— Patrz — mówiła jej Janowska — Belcia połowę tego co ty dostaje na tygodniowe wydatki, a zawsze ma kilka rubli odłożonych i kupuje z tych pieniędzy jeszcze

wstążki i rękawiczki, i patrz, jakie ma kajety, jakie pieczątki, bibułki, okładki!

— Co innego Belcia, a co innego ja. Może mi mama wcale nie dawać pieniędzy.

— Milcz! — krzyczała Janowska, rozpoczynając codzienną wojnę, lecz pensyjkę jej dalej wypłacała.

Czterdziestówki w jej ręku topniały, woźni kłaniali jej się do nóg, bo im dawała największe napiwne. Babie pod kościołem złotówkę nieraz cisnęła, kwiaty sobie kupowała; to przepadając za dziećmi, całej wstępnej klasie na pensyi nieraz podczas pauzy cukierki fundowała i kiedy nikt nie widział, najmłodsze tuliła i całowała.

I choć szczyciła się wiecznie swoim „charakterem“ i złością, napadały ją nieraz wśród ciszy wyrzuty sumienia i dręczyła się tem, że ona jest „podła“. Kiedy nauczycielka jej z pensyi, Niemka, która krzyż Pański przez nią znosiła, zasłabła, Kazia całe noce przy jej łóżku spędzała, na chwilkę się nie zdrzemnęła, poprawiając jej poduszki i podając jej lekarstwa z taką cierpliwością, że biedna, osamotniona, stara, śmieszna Niemka ciągle ręce składała i błogosławiła ją.

— Pan Bóg ci, moje dziecko, odpłaci.

A Janowska gderiała:

— Teraz znowu napad dobroci! coś zupełnie nowego! Jak ona wygląda! To wszystko mnie na złość. Żebyś wiedziała, że jutro na noc iść nie pozwalam. Inne koleżanki mogą cię zastąpić.

Kiedy jednak po tygodniu Niemka zupełnie już zdrowa na lekeyę przyszła, Kazia wyrysowała na tabli-

cy jej karykaturę tak komiczną, że cała klasa pokładała się od śmiechu. Dla matki napadu dobroci Kazia nigdy nie miała, choć bardzo często coś ją korciło. Szczególniej kiedy matka spała, przychodziła jej nieraz ochota, żeby tak matkę teraz pocałować.

— Waryatka jestem — śmiała się z siebie, odchodząc od jej łóżka, przed którym pocziwie śpiącej się przypatrywała — gdyby mama się zbudziła, tożby była dopiero awantura! Mama i pieszczoty! Cha, cha!

Zresztą sen to była jeszcze jedyna chwila, w której Janowska mogła nadawać się do pieszczot. Poza tem nigdy. W największych strapieniach nikt u niej nie widział nigdy łzy w oczach. W letnich sezonach, najgorszych dla niej, kiedy liczba stołowników malała, nieraz na komorne jej nie starczyło. Kiedy w dodatku zbiegły się jakie większe wydatki, położenie samotnej jak kołek kobiety bywało nieraz bardzo ciężkie. I kto wie, czy Kazia podczas tych ciężkich chwil jej nie zbliżyłaby się do niej i ramion jej na szyję nie narzuciła. Lecz Janowska nie umiała się smucić. W tych ciężkich chwilach umiała tylko się złościć. Jakoż rzeczywiście biedaczka bywała wtedy dla najbardziej wyrozumiałego sędziego wręcz nieznośna. Fukąła na sługę od rana do nocy i jak gdyby wszystkie swoje troski jedynie w gniewie mogła zanurzyć i krzykiem własnym się zagłuszyć, napełniała dom cały stukaniem krzesel, trzaskaniem drzwi i wybuchami za poruszeniem palca, tak, że aż wszystko drżało dokoła niej.

Tylko Kazia blada z zacisniętymi ustami czekała, gotowa do walki, aby się bronić, i pomimo najostrej-

szych wymysłów, a kiedy była młodsza, nieraz i szturchańców, nie ustępowała jednak macosze.

I rzeczywiście trudno było wyobrazić sobie dwa mniej podobne do siebie charaktery. Kazia, jak wszystkie jej rówieśnice, należała do jednego pokolenia młodszego, aż do przesady nerwowego, wrażliwego, wysubstylizowanego, lubującego się w zgłębianiu wszystkiego dokoła, a najbardziej samego siebie. Przepadały za przyrodą, za artyzmem, sztuką, poezją, muzyką, za wszystkim, co piękne, co estetyczne, i zdawały sobie sprawę z tego, że to im przyjemność sprawia, i że żyć bez tego byłoby im gorzej. Chodziły w niedzielę na wystawę Zachęty, rozmawiały ze studentami bez końca o Matejce, o Mickiewiczu, o Chopinie. Lubily przytem ładnie się ubierać, razila je w domach tania bosa służąca z gminnymi wyrażeniami, i stroily swój pokój gracikami, rozłożonymi na stolikach, pięknie oprawnymi książkami i bukiecikami kwiatów, kupowanymi za ostatnie groszowe oszczędności.

— Arystokratki—mawiała o nich z przekąsem Janowska—nie z powodu ich szczylenia się antenatami, jak to czyniła stara Kuczyńska lub Latoszkiewiczowa, lecz z powodu delikatności ich uczuć i gustów.

— Ciekawa jestem, czy twój przyszły hrabia mąż będzie miał na te wszystkie zbytki?

— Bukiecik fijołków za dziesiątkę najuboższego nie zrujnuje—odpowiadała, szczyjąc się swoją kulturą Kazia—wolę chleb suchy w ładnym pokoiku, niż marcypany w stajni.

Tak mówiła nietylko ona jedna, lecz wszystkie jej

koleżanki. Wszystkie, choć może w mniejszym stopniu niż ona, umiały jednak od najmłodszych już lat filozofować o szczęściu, o uczuciach, myślały o przyszłości, bały się życia, ludzi, zawodów, płoszone jak ptactwo za lada podmuchem przeciwnego wiatru, za lada ostrzejszym słówkiem lub objawami brutalności życia. Prawie wszystkie posiadały dar spostrzegawczy i pomimo lat dziecięcych nosiły na dnie serduszek wiele najrozmaitszych, bardzo głęboko odczuwanych smutków, rozczarowań i bólu. I choć młodość musiała nieraz brać górę nad rozwagą, choć z lada jakiego powodu wybuchaly nieraz kaskadą śmiechu, nie mniejszą od werwy, z jaką śmiały się w ich wieku ich prababki, na dnie ich duszy tkwiła stateczność i powaga.

Natomiast stara Janowska nie była wcale arystokratką. Obrazów nie cierpiała i niktby jej na wystawę Zachęty nie skusił. Wiedziała, że trzeba uczyć się grać na fortepianie, bo wszystkie panny muszą grać i tyle, ale na seryo muzykę traktować to dobre dla studentów i podlotków, którym „tere fere“ w głowie. Albo gwiazdom i księżycowi w nocy się przypatrywać? Nie lepiej to położyć się zmęczonemu spać, aby wcześniej naza jutrz do roboty ze świeżymi siłami się zabrać? Nie była też waryatką z pewnością, aby dziesiątki na bukiety wyrzucać. Wszystkie te elegancje to zawracanie głowy, dobre w książkach albo dla udzielnych księżniczek. Ona lubiła odrutowane talerze, czysto wyszorowane podłogi i choć najgrubszą, aby wycerowaną bieliznę. A czy pokojówka nosi piękny fartuszek, czy pod karafką leży serwetka, to rzecz obojętna. Należała do tych niewyro-

zumiałyh starych kobiet, zdających się nie pojmować, jak to można być młodym i jak to można nie mieć doświadczenia i trzeźwości. Tak jak gdyby każda przychodziła na świat, jako stara, siwa wdowa, która wie, co to jest być na wozie i pod wozem.

Zapomniała już, co to jest wiosna z pragnieniami szczęścia, z burzami niepokoju i zawodów, z tęsknotą, to znów zaduma, z kielkującemi w nas setkami marzeń i nadziei. Ona, nie dociekając, dlaczego się żyje i czy żyć warto, lubiła, nie zdając sobie z tego sprawy, jedną rzecz: pracę. Zrywać się nad ranem i harować bez chwili wytchnienia, nie pozując przed nikim, nie szczytając się tem i nie udając z tego powodu ofiary, do zmroku, to było całe jej życie w świątki i piątki. Miała naturę ludzi pierwotnych, rządzących się jedynie grubemi wrażeniami, namacalnymi obrazami i niewielką liczbą idei, bardzo prostych, które uważają za prawdy nie ulegające kwestyi i które zastępują im subtelność rozumu i sumienia.

Myślała jedynie tylko wtedy, kiedy się do łóżka kładła, i to z pewnością nie o tem, czy życie jest czego warte, czy nie warte, lecz o tem, ile talerzy się w ciągu tygodnia stłukło, co będzie trzeba sprawić Kazi i na jak długo wystarczą jeszcze zaczynające się już drzeć prześcieradła i ręczniki. Lecz nawet o tych tak ważnych rzeczach długo myśleć nie mogła. Sen kleił zmęczone powieki i zasypiała, aby nazajutrz znowu zerwać się rano o godzinie 6-ej, wykrzycheć sługę, że obuwie i ubrania jeszcze nie dla wszystkich lokatorów oczyszczone i że samowar jeszcze nie nastawiony. Kiedy

chwalili ją za jej wytrwałość, wzruszała ramionami. Cóż miała robić? Na kanapie z założonemi rękoma siedzieć? Kiedy chwalono ją, że losem pasierbicy się zajmuje, zbywała komplement krótko:

— Cóż, miałam ją na ulicy zostawić?

Wogóle, jeżeli postępowała tak a nie inaczej, to nie dlatego, aby ją chwalono lub ganiono: nie działała nigdy z uprzedniego zamiaru z jakimś ułożonym planem, z zakreślonym zadaniem życia lub z myślą o przeszłości. Nie. Ona wstawiała nad ranem, pracowała do nocy. Za zarobione pieniądze zmieniała stłuczone talerze na zakupione całe, zniszczone i podarte ubranie i obuwie swoje i Kazi na nowe, opłacała komorne, węgle i lek-cye Kazi, ot i całe jej życie. O przyszłości nie myślała nigdy; czasu na to nie starczyło.

Kazia zaś pomimo młodocianego wieku odczuwała to od lat najmłodszych, że nikt nie myśli, co z nią będzie, i bała się przyszłości i trapiła się tem mocno. Odczuwała to, że Kuczyńska nocami całemi myśli o szczęściu Belci, o jej zamażpójściu i o karierze. Nie pojmowała, że ten brak refleksyi u Janowskiej jest znamiennej cechą ludzi czynu, tak zajętych dniem dzisiejszym, że braknie im czasu na to, aby myśleć o jutrze, i że ostatecznie więcej jest korzyści z tego, co Janowska robi dzisiaj, niż z tego, co Kuczyńska wymyśli, a raczej nie wymyśli tam het na jutro. Kazia jednak uważała tę właściwość umysłu macochy za oziębłość dla sieroty, której przyszłość nikogo w życiu nie obchodzi.

Poza tą tragedya, którą w głębi serca od lat naj-

młodszych hodowała, poza częstymi wybuchami z macochą, Kazia miała charakter żywy, wesoły. Była śmieszką, wybuchającą weselem przy lada okazji, przytem niezwykle dowcipną w odpowiedziach, zdolną, przytomną, zaciętą, a nadewszystko kokietką. Kogoż miała lubić, jak nie siebie samą, kiedy w jej przekonaniu i jej nikt nie lubił? Było więc jej przyjemnie, kiedy spostrzegła, że uważają ją za ładną. Upinała więc jak najfantastyczniej swoje kręcące się włosy i wyprostowywała na ulicy swoją figurkę. Czując, że jest dowcipna, popisywała się werwą jak najczęściej, aby robić wrażenie. Lubowała się w wyrażeniach studenckich, w conceptach z operetek, których się nauczyła od studentów stołowników. Musiała sama myśleć o swej przyszłości, kiedy nikt o niej nie myślał. I ideały jej były zupełnie różne od ideałów Belci, choć obie żyły z sobą w wielkiej przyjaźni i mniemały, że nie mają dla siebie żadnych tajemnic, co o tyle było prawdą, że nie ukrywały przed sobą swoich tajemnic wtedy, kiedy ich jeszcze nie miały. Dotychczas Belcia nie mówiła swojej przyjaciółce jedynie tylko o Franku. Kazia mówiła jej jeszcze o wszystkim. Marzenia Belci były zawsze bardzo umiarkowane i taką nacechowane delikatnością, jakby kłopotala ją hojność losu, jakby nie wypadało wymagać od przyszłości łaski, darowizny i napraszać się o nią. Aby tylko otrzymać maleńki kąsek szczęścia, i zaraz zaczerwieniona Belcia gotowa mówić:

— Już dosyć. Dziękuję.

Każdy ogrom ją przerażał. Nie miała żadnych zdolności do matematyki i wolała dostać od matki rubla



drobnemi, niż trzy, bo nie potrafiłaby ich zliczyć: ręce jej zaraz drżały, rumieniec bladą twarz pokrywał, bała się. Kiedy pewnego dnia kupowała z porady Kazi u stragana Żydówki ulegałek za dziesiątkę i kupcowa wsypywała jej zakupioną miarę do fartuszka, przerażona ilością, broniła się z trwogą:

— Nie, nie, dziękuję, dosyć już, dosyć.

— Niech kupcowa nie zważa na nią — poprawiła, marszcząc brewki. Kazia — nam się cała miara należy.

Siadywały nieraz we dwie na kufrze przy piecu. Kazia zajęta, pomimo zakazu macochy, chrupaniem węgla, do których Belcię zapraszała. Lecz Belcia zakazanych owoców nie lubiła.

Rozmawiały z sobą godzinami i motały całe nici pragnień, nadziei, postanowień. Od przyszłości żądała Belcia tylko rzeczy możliwych, nie wygórowanych. Wiedziała, że posiada posażek, że jest przytem niebrzydka, że się uczy dobrze, że pochodzi z rodziny przyzwoitej, przyszły więc mąż powinien być urzędnikiem, zarabiającym na jedną sługę i na trzy przyzwoite, jasne pokoje w oficynie z białemi frankami u okien, z mnóstwem doniczek kwiatów, z przyzwoitymi mebelkami. Wyobrażała go zawsze z dużą jasną brodą, mężczyznę otyłego, podchodzącego pod czterdziestkę, przywiązanego do niej po swojemu, lecz tak przejętego swoim zawodem, że nie silił się wobec żony, aby być zbytnio sprzedającym lub nadskakiwać jej. Zresztą i ona czasu na to mieć nie będzie, zajęta całymi dniami gospodarstwem i dziećmi, których będzie aż czworo. Ot ta-

kie, takie, takie... boba z blond włosami, które będzie czesała, myła, ubierała, tak jak dawniej swoje lalki. W niedzielę będą chodzili rankiem z całym domem: z mężem, dziećmi i sługą do ogrodu Botanicznego. Dzieci ze sługą na przodzie, oni za nimi—bardzo przyzwoicie. Lecz dzieciaki ustawicznie będą się do nich zwracały z dziecięcymi śmiesznymi pytaniami. A to dlaczego liście są zielone, a niebo dlaczego niebieskie, a dlaczego w zimie ptactwo nie śpiewa, tylko w lecie? To znowu z życzeniami, aby je zaprowadzić do łabędzi, to znowu z pretensjami jedno na drugie, szczególniej najmłodsza, dwuletnia dziewczynka, nie umiejąca dobrze chodzić i kołysząca się na obie strony, jak kaczka, kaprysiła dziś, że się z nią starsze drażnią. Odebrali ją więc od służącej i wzięli pomiędzy siebie. On trzyma dziecko za jedną rączkę...

— Bój się Boga! Jakież to ohydne filisterstwo!—oburza się Kazia, chrupiąc świeżo wyjęty z pieca kawałek węgla.

Bo zupełnie inaczej marzy Kazia. Przygotowywały się zwykle razem do egzaminów. Wieczorem, kiedy się już ściemniło, przed zapaleniem lampy i przed oddaniem się nocnej pracy, następowała pauza, wytchnienie po owych wykutych już z mozołem w ciągu kilkunastu z rzędu godzin od 6-tej z rana trzydziestu pięciu pytaniach z historyi lub geografii; wkładały sobie gwałtem całemi stronami jakby młotem do głowy te stosy nazwisk, dat nagromadzonych, wieków, epok narodów, z których nazajutrz po popisie z taką rozkoszą miały

biedne swoje mózgi, niby lamusy z niepotrzebnymi rupieciami na lato, oczyścić i wywietrzyć.

I wieczorem, kiedy Kuczyńska przynosiła im w grubych szklankach z podstawkami w szafirowe kwiatki niezbyt słodką herbatę i po kawałku chleba z solonem masłem i serem pińczowskim, zasiadały na staroświeckim stopniu tuż przy oknie otwartem z ustawioną we framudze wieszak i zmęczone pracą, półsenne, wpatrywały się w miękkie ciemne niebo, na które tu i owdzie wypływały srebrne gwiazdy i, owinięte czarem drzew poruszanych wiatrem z jakiegoś zaparkanionego ogrodu i balsamem nocy letniej, szeptały rozmazane.

— Nie, nie — mówiła Kazia — nigdybym się na takie życie nie zgodziła. Pan Bóg nie na to stworzył świat tak pięknym. Być gospodynią jakiegoś obcego mi człowieka, liczyć mu do prania jego bieliznę za to, że zrobił mi ten zaszczyt i pozwolił mieszkać w swoim mieszkaniu! To takie poniżające! Jabym mu codziennie oczy wydrapywała. Jak cię z duszy Kocham!

— Ha, ha, ha! — wybuchała, rozśmieszona tem dziwactwem poważna zwykle Belcia.

— Jeszcze twoja matka będzie myślała o tem, aby twój mąż był choć trochę podobnym do ludzi, choć ja i na takiego nie piszę się za nic w świecie. Lecz moja matka (znasz ją?) może pierwszego lepszego poranku zechcieć, abym wyszła za ostatnią pokrakę, którego z naszych stołowników; będzie przytem dowodziła, że niczego lepszego nie jestem warta. O! wtedy rzecz po-

stanowiona: sakum pakum, trochę rzeczy do tłumoczek i w świat!

Belcia, litując się nad sieroctwem przyjaciółki i przestraszona jej śmiałością, uspokajała ją:

— Dlaczegoż zaraz ma być pokraką? Zresztą u mężczyzny piękność nic nie znaczy. A samej jednej iść w świat, bój się Boga, toby było okropne! Nawet przez myśl ci nic podobnego przejść nie powinno. My, biedne dziewczyny, zbyt wygórowanych pretensyi mieć nie powinniśmy.

Wtedy Kazia, podniecona jeszcze bardziej sprzeciwianiem się przyjaciółki, a zarazem dotknięta jej litością i bardzo zadowolona, że może jej czemś imponować, puszczała jeszcze śmieiej wodze fantazyi, cytowała zapożyczone od Ajaksa zdanie o emancypacyi i zasłyszane, niedokładnie zrozumiane protesty studentów-stołowników przeciwko ciasnemu filisterstwu, marnemu szablónowi szarego życia, przeciwko ciasnej klatce przesądów, opinii, głupoty i słabości ludzkiej.

I Belcia, mniej wymowna, nie sprzeczała się z nią, w gruncie jak najbardziej pewna tego, że Kazia może słusznie jest rozżalona na wszystkich, bo nie jest w życiu szczęśliwa, lecz że ostatecznie nie ma racyi. Bo ludzie nie są ani głupi, ani źli. A na świecie powinno się żyć zawsze przyzwoicie, w porządku z sobą i ze wszystkimi.

I tak wstępowały obie do życia, każda ze swoją indywidualnością, temperamentem, wpływem atmosfery, wśród której je hodowano. Belcia ze swoją łagodnością, skromnemi wymaganiami i spokojem uległej blondynki,

pewnej tego, że wie, czego chce, że zna samą siebie dobrze i że się nie myli; i Kazia ustawicznie drażniona przez porywcość krzykliwej kobiety, wечно w niezgodzie z sobą i ze wszystkimi, z buntem w swoich czarnych iskrzących oczkach, spragniona ciepła, garna ca się ze swoim ogromem uczuć, które jej piersi rozsa dzały, do wszystkich, to znowu za lada podmuchem zimnego wiatru — dotknięta, chowająca wszystko, co miała w sobie najlepszego, w głąb siebie, ze zmarszczo nemi brewkami, bardzo niemiła, zaczerwieniona, nie pojmująca jednak, że ludzie na jej ból i gniew są obo jętni i że to ona sama jedynie cierpi, jak ten mszczący się mały wiejski chłopak, obity przez matkę i mówiący z płaczem: Na złość matuli nie wezmę czapki i odmro żę sobie uszy.

Ulubionem wyrażeniem Belci, trafnie podchwycyco nem przez Władka, było: „Rzeczywiście, to bardzo być może“ — raczyła tem wszystkich interlokutorów, a wy mawiała to z wdziękiem poczciwej panienki. Stałem wyrażeniem Kazi było króciutkie: „nie“, od którego za czynała każdą swoją replikę, nie zdążywszy jeszcze wysłuchać do końca; nawet w razach, gdzie ostatecznie przekonywała się, że zaprzeczać samemu faktowi w ża den sposób nie można.

I kto miał w życiu dojrzeć prawdę: czy łagodne oczy Belci, czy błyszczące węgielki Kazi? Która droga miała prowadzić do przystani: czy ta pierwsza równa i wydeptana, czy te śmiałe manowce? Kto miał słu szność: czy stawiająca małe stawki i pragnąca małej wygranej, czy też ta niekontentująca się ogryzkami?

Na ten wielki znak zapytania nie odpowiadało przeznaczenie.

A moloch życia, jak wilk, kiedy zwęszy zdala świeżą krew młodziutkiego jagnięcia, oblizywał swoją olbrzymią paszczę nienasyconego nigdy smakosza,

#### IV.

Kiedy Kuczyńska z Belcią weszły do dużej jadalni Janowskiej ze znanym im doskonale szeregiem starych szaf jesionowych, z wyszorowaną i wysypaną piaskiem podłogą, z czerwonymi frankami, biednymi roślinami w doniczkach u okien i z krzeselkami, w których zniszczone ongi wyplatanie zastąpiono poprzybijanemi deszczułkami (Janowska nie lubiła elegancyi), cały pensyonat siedział przy zwykłej niedzielnej kawie poobiedniej, z ciastem domowej roboty.

Kawą tą, dawaną darmo ponad umowę, kokietowała Janowska swoich lokatorów i stołowników, poświęcając należny sobie odpoczynek choćby raz w święto po obiedzie, nie w świetnym jednak humorze, jeśli korzystało z jej uprzejmości zbyt wielu amatorów. Tembardziej była rozżalona, iż amatorowie nie zmieniali się, lecz uporczywie ciż sami nie pomijali żadnej niedzieli, jakby zapominając, że siedzą tu jedynie z łaski. Były to już ostatnie rozbitki, moralni nędzarze, nie mający ani krewnego, ani kochanki, ani przyjaciela, któregooby można choć raz przy niedzieli odwiedzić po obiedzie, nie posiadający w kieszeni albo załujący złotówki na

cukiernię i nie mający humoru, ani ochoty, aby iść na spacer, ujrzeć ludzi i świat Boży, a przekładający ponad to wszystko siedzenie w norze z zupełnie obcymi sobie ludźmi i korzystanie z pańszczyzny pani Janowskiej.

Dziś do jesionowego stołu, pokrytego nieświetnie wypraną i źle krochmaloną grubą serwetą z plamami od zeszlotygodniowej kawy, z dwudziestu stałych stołowników i stołowniczek zjawilo się tylko osiem osób: trzy kobiety, nie licząc Janowskiej z Kazią, i pięciu mężczyzn.

Najstarsza amatorka kawy niedzielnej to pani Januszevska, wyschła jak tyczka, zasuszona, bezdzietna wdowa z mocno przytępionym słuchem i wstydząca się tego kalectwa, maleńka, z piersią wąską, z cerą wyciśniętej cytryny, poruszająca ustawicznie grubemi wargami, przykrytemi gęstym czarnym wąsikiem, ongi widocznie mocna brunetka, dziś z włosami szpakowatymi, przybranymi w odwieczną barbkę z czarnej koronki zrudziałej, w wytartej czarnej sukni tybetowej. Jest znana w całym domu ze swego dobrego apetytu. Odwiedza wprawdzie w święta po obiedzie krewnych, gdzie prawdopodobnie częstują ją kawą; oblicza się jednak skrupulatnie z czasem w ten sposób, aby ani na sekundę nie spóźnić się na porę, w której u Janowskiej kawę do stołu podają. Janowska, o ile może, podsuwa jej na koszyku najcieńszy kawałek ciasta. Jeżeli ta manipulacya niekiedy się udaje, Kazia wyciera sobie chustką nos bardzo głośno, aby zamaskować wybuch świeżego, dziecięcego śmiechu. Aby ją ochłodzić, Ja-



nowska rzuca w jej stronę bardzo gorące spojrzenia, które, rzecz prosta, nie pomagają, i Kazia musi wybiegać do drugiego pokoju. Goście domyślają się, o co rzecz chodzi; ale sama pani Januszevska zdaje się nie zwracać na to żadnej uwagi. Rzadko tylko bardzo, z ustami pełnemi ciasta, zapytuje, udając naiwną, jakby przyszła z innego świata:

— Czego to panna Kazia dzisiaj w tak dobrym humorze?

Obok pani Januszevskiej stałe miejsce zajmuje artystka teatru Rozmaitości, p. Chmielakówna. Lat temu dziesięć zadebiutowała w teatrze w komedyjce „Zbudziło się w niej serce“. Nie miała wtedy lat trzydziestu. Blondynka o przezroczystej cerze, przystojna, gdyby nie figiel szatański, nos o cal za długi, o jeden cal za szeroki. I nikt nie widział już u niej ani cery alabastrowej, ani koloru włosów, tylko wiecznie ten nos nieszczęsny. Krytyka, wiecznie poczciwa, wyrozumiała mateczka dla debiutantek, chwaliła jej głos, inteligencyę, „tamowaną naturalnie przez nieodłączną przy pierwszym występie tremę“. Wspomniała nawet coś o talencie, radziła tylko umiejętniej charakteryzować się, tłumaczyła ją, że żadna debiutanka szminki używać nie potrafi i dlatego najładniejsza wygląda gorzej, niż w naturze.

Dyrekcya, kierując się zdaniem krytyki, zaangażowała ją na stałe z maleńką na początek pensyjką. Lecz kiedy po jakimś czasie zagrała drugi raz „Zbudziło się w niej serce“, krytyka od razu zmieniła chorągiewkę: stwierdziła, że p. Chmielakówna jest nienaturalna, że nie

ma wdzięku, że rysy nie sceniczne (pojęła doskonale, że to ów nos nieszczęsny). Wśród publiczności nawet jak gdyby ktoś sykał. Chmielakówna twierdziła, że to wszystko intrygi Wisnowskiej, która ma najętą klakę.

Lecz ról jej więcej nie dawali. Były inne, lepsze, ładniejsze. Chmielakówna nazywała to wszystko intrygami zakulisowemi.

— Nie dają mi ról — żaliła się w kulisach tak głośno, aby koleżanki i rywalki ją słyszały — bo jestem uczciwa i nie mam kochanków, jak inne.

A ci jej niedoszli kochankowie rzeczywiście okazali tak mało natarczywości, że nie było wielkim heroizmem ich się pozbyć. Zresztą co tam gadać, wcale się nie zjawiali!

A Chmielakówna wciąż dalej biegła od Annasza do Kaifasza, raz potulna, płacząca, to znowu groźna, szczycająca się swoim życiem bez plamy. Nic nie pomagało. I ani się obejrzała, jak dziesięć lat przeszło, a ona przecież już „Zbudziło się w niej serce“ grać nie może. Świeżość cery znikła, a nos ów nieszczęsny jeszcze bardziej się wydłużył. Teraz przeszła już do ról silnie dramatycznych—naturalnie śród czterech ścian swego odnajętego od Janowskiej pokoiku. Uważa, że głos jej zmęźniał, tupet się powiększył, a co się tyczy lat, jest młodsza przecież od tych wielkich niby gwiazd, które wskutek intryg do ról jej nie dopuszczają.

Lecz może która z nich zachoruje, ona ocali wtedy spektakl i z jedną próbą zagra „Księżnę Jerzową“, „Adryannę Lecouvreur“, co zechcą. Teraz studjuje „Cudzoziemkę“ Dumasa. W przepysznych pozach z gesty-

kulacją teatralną cytuje w swoim pokoiku zwykle przed obiadem ulubiony monolog:

— Jestem córką niewolników. Moi przodkowie byli schwytni na brzegach Afryki i sprzedani na rynku Luizyany lub wyspach Karoliny. Moja biedna matka była mulatką, to znaczy, że babka zaślubiła lub kochała białego. Zdaje mi się, że była piękna moja biedna matka, choć miała wytłoczone na ramieniu gorącym żelazem litery kolonisty, któremu zawdzięczam życie.

Audytorium składa się zwykle z Kasi i pani Januszewskiej, która pierwsza zjawia się na obiad. Zajętej zawsze Janowskiej na te uczyty artystyczne nigdy jakoś sięgnąć nie można. A i pani Januszewska słucha niecierpliwie, zaabsorbowana węszeniem zapachów kuchni, zdradzających *menu* obiadu. I w trakcie monologu zagląda ukradkiem przez drzwi, czy wielu stołowników już się zeszło i czy wazę prędko podadzą. Uważa sobie jednak za obowiązek powiedzieć, że Chmielakówna gra tę rolę zupełnie, jak Modrzejewska, choć jeszcze więcej ma rzewności w głosie.

— Tak— odpowiada z doskonałym spokojem, z jakim trawia wszystkie chybieni artyści najnieprawdopodobniejsze pochlebstwa—wszyscy mi to mówią, że przypominam Modrzejewską, choć ja się na nikim nie wzoruję, jedynie na życiu i prawdzie, i zdaje mi się rzeczywiście, że jestem w tej roli mniej zimna i naturalniejsza, niż ona.

Tymczasem dla chleba musi grywać role subretki, choć nawet lepsze subretki grywają naturalnie jedynie te, które mają kochanków, ona otrzymuje „ogony“, naj-

wyżej pół arkusza roli. Za to w życiu jest w ciągłych monologach na kilka arkuszy. Mówi stylem ról, studytowanych na wypadek dublowania. Jest w ciągłej egzaltacyi, w ciągłych przenośniach, jako prześladowana w teatrze ofiara jedynie dlatego, że upaść nie chciała.

Obok niej siedzi para narzeczonych: ona blada szatynka, cierpiąca często na zęby, o poczciwych, dużych piwnych oczach, kończy za dwa lata instytut muzyczny. On w bardzo wytartym mundurze studenckim (nie mieszka tu, przychodzi tylko na obiady i na kawę w niedzielę) jest na III kursie medycyny. Za dwa lata mają się pobrać. Kochają się ogromnie. Podczas obiadu i kawy doszli do wprawy posługiwania się prawie wyłącznie tylko jedną ręką. Druga ręka panny tonie pod stołem w uścisku ręki studenta. Lecz tylko wśród tłumu gości dopuszczają się pieszczot. Kiedy są sami, a spędza u niej prawie całe wieczory, widać i słyhać przez wiecznie otwarte drzwi jej pokoiku ją grającą godzinami na fortepianie, jego rozkoszującego się jej grą zdala na kanapie. Czasami on na głos coś czyta, ona zajęta ręczną robótką, lecz w takim oddaleniu, że o uścisku rąk mowy być nie może. Mają pod tym względem wyrobioną opinię wśród wszystkich stołowników, nie odzywających się o nich inaczej, jak:

— Panienska bardzo na swoim miejscu, a student bardzo porządny chłopak.

Z mężczyzn oprócz studenta, przelewającego całą swoją duszę w uścisk ręki pod stołem, milczącego poza tem i nie udzielającego się nikomu, jest tu jeszcze czte-

rech stałych gości. Wszyscy oni żyją albo przeszłością, albo widokami na przyszłość.

O najdawniejszych stołownikach Kazia z pogardą podlotka, nie pojmującego, jak można robić wszystko dla marnego grosza, wyraża się z przekąsem:

— Ach! ten p. Sylwan Dąbek i ten p. Antoni Wawrzynkiewicz... Rzeczywiście, śliczne okazy mama sobie wynalazła. Jabym ich wszystkich porozpędzała.

P. Sylwan Dąbek ma lat przeszło 50. Jest duży, barczysty, z długimi zaczesanymi do góry rzadkimi włosami, z czerwonym nosem, z apoplektyczną cerą, z mocno uczernionymi lichym fiksatuarem śpiczastymi wąsami i hiszpanką, ubogo lecz pretensjonalnie ubrany, ze szpilką malachitową, przerobioną z staroświeckiego koleczyka u krawata, nadskakujący damom, stanowi typ dawnego lowelasa. Poza swoją śmiesznością odróżnia się tem od postaci operetkowych, iż pod skalpelem głębszej trochę obserwacji dostrzedz łatwo w nim można ból, przemieniający manekiny w ludzi z krwi i ciała, w ludzi, którzy żyją, którzy cierpią i którzy swoich cierpień przed byle kim obnażać nie chcą.

P. Sylwan Dąbek jest byłym obywatelem ziemskim; mówi głosem tubalnym, używa najnieumiejtniej kilku wyrażen francuskich (wiecznie z tymi samymi błędami), lubując się szczególnie w takich, które w jego pojęciu brzmią zwięźle i dobitnie, jak naprzykład: *coûte qui coûte* (zamiast *coûte que coûte*). Wyrażenia tego używał w znaczeniu: „jednem słowem“. Z innych ulubionemi

jego wyrażeniami były: *à la guerre comme à la guerre, embarras des richesses* i t. d.

I nie lubiący go p. Wawrzyńkiewicz nie mówił o nim inaczej, jak z wielkim przekąsem:

— Ten... ten... *à la guerre comme à la guerre.*

Cała śmieszność pocziwego Dąbka leży w tem, że przywdział na siebie maskę człowieka zupełnie innego, niż był w istocie. Bo przedstawiał się za byłego obywatela ziemskiego; dziad jego może miał tam jaki kawał ziemi, lecz on utrzymuje się ze skromnych miesięcznych groszy, przysyłanych mu regularnie przez siostrę, starą pannę, która wywalczyła sobie z trudem stanowisko, utrzymując pensję czteroklasową w Kaliszu. I dla tej roli byłego magnata utracyusza p. Dąbek łamie sobie język źle pochwyconemi skądciś zdaniem francuskiemi, czerni wąsy, przesadnie kłania się damom, nawet uważa sobie za obowiązek niby ukradkiem, ale tak, aby wszyscy widzieli — szczypać za policzek pokojówkę. Udaje przytem impetyka, krzykliwego, zawadykę, nawet poniekąd jakby przyznaje się do swojej wady, pijaństwa.

— Polowania, dobre winko, awanturki, kobietki — ot co nas gubi, ale rady na naturę ludzką niema i człowiek, gdyby nawet chciał, nie wyleczy się do końca życia ze swoich błędów.

Oto dewizy, które mniej lub więcej zręcznie głosił, jako niezbędne do przybranego przez się typu. Co prawda, sama natura doskonale pomaga mu do tej wiecznej komedyi. Choć w gruncie zdrowia słabego, nos ma, jakby skutkiem częstego zagładania do kieliszka, wie-

cznie zaczerwieniony, choć pije jedynie z musu w towarzystwie, aby się pochwalić, i zawsze grzech ten w ciszy domu odchorowywa. Co się tyczy zawadyactwa, Boże drogi—na co to ukrywać? Jest — po prostu mówiąc—trochę tchórzem i w największym jego ferworze dość spojrzeć mu w oczy ot tak i powiedzieć: „Bardzo pana proszę, nie lubię takich żartów“, lub poprostu tupnąć nogą: „Mój panie!“ a zwija chorągiewkę, mięknie jak wosk.

I na opowiadaniach o polowaniu bardzo się łapie, bo i skądże ma o nich mieć pojęcie, kiedy nigdy na nich nie bywał? I kochanek jego nikt nie widział. Wieczna ta komedia, w którą się ubrał na całe życie i która nieraz musi dawać mu się we znaki i ciężycie nie na żarty, ma na celu jedyną jego tajemnicę: ukrywanie jedynej właściwości, charakteryzującej Bogu duszę winnego, w gruncie nieszczęśliwego człowieka. Właściwości tej wstydzili się p. Dąbek, jak zbrodni, zwalczyć jej nie potrafi, a przyznać się do niej przed ludźmi nie chce za nic w świecie; wolałby raczej uchodzić za ostatniego opryszka. Tą jego piętą Achillesa była niezdolność do najlżejszej choćby pracy i pewna apatya, z której zdawał sobie sprawę i której tak się wstydzili, że nawet siostra, przesyłając mu od dawien dawna pensyjkę 25 rubli miesięcznie, wymawiać mu tego nieuleczalnego kalectwa nie ma serca. Truł się przez całe życie tą miesięczną jałmużną kobiecą, a do pracy za skarby świata nie potrafił się zmusić. Wydawało mu się to tak trudne, jak umiejętność chodzenia kulawemu lub mowa niemu. Kilkakrotnie, dzięki stosunkom, otrzymywał po-

sadki biurowe, o które się starał, prosząc jednocześnie nieba, aby starania jego skutku nie odniosły. Zwalczał wreszcie swoją niechęć (Bóg jeden wie, ile zdrowia i bezsennych nocy go to kosztowało) i blady a trzęsący się przychodził przez kilka dni do biura. Dłużej tygodnia jednak nie mógł za nic wytrzymać. Czuł się tak niezdolnym do niczego, że imponował mu woźny, który wie, czyje papiery na jakie biurko położyć. Dla niego to wszystko było lasem. I to właśnie odczuwanie nieudolności onieśmielało go do idyotyzmu. W saloniku pani Janowskiej, w knajpce, w życiu zwykłym obyty, śmiały, mający swoje zdanie, zaledwie jednak przestępował próg biura, podlegał obawie, aby nie poznano się na jego nieudolności. I zasiadał przy biurku blady, jak uczeń, który lekcyi nie umie i drży, aby go profesor dziś nie wyrwał, aby chociaż dziś z honorem do godziny 4-ej dosiedzieć; jutro niechaj się dzieje, co chce. Lecz nie! Wyrwali go dziś do lekcyi:

— Panie Dąbek! — drgnął, jak ongi w gimnazyum, bo oto rozlega się obojętny głos jednego z imponujących mu nad wszelki wyraz zwierzchników i egzamin się rozpoczyna:

— Uważa pan: tutaj jeden z naszych klientów donosi nam, że w drodze zaginęło z jego transportu 5,000 kil. Wiadomo panu przecież, że 10,000 kil. stanowi 610 pudów.

(Niestety! wcale nie wiadomo biednemu p. Dąbkowi, który jednak wstydzi się tej niewiadomości tak, że nie zawahałby się w tej chwili za potrzebną mu wiedzę sprzedać dyabłu duszę; teraz jednak dla uratowania sy-



tuacyi potakuje, myśląc, że to wszystko może nie jest tak straszne, lecz że jest skończonym idyotą i że nigdy w życiu z tem sobie rady nie da i czy nie najlępiej było zaraz w tej chwili podziękować za miejsce?) Otóż uważa pan—ciągnie dalej, jakby nic, zwierchnik—obliczy mu pan po 8 rubli za tonnę (jaką znowu tonnę? wielki Boże!) i odpisze mu pan natychmiast... A zrobił pan zapotrzebowanie blankietów?

— Zrobiłem—odpowiada, nie wiedząc, o co chodzi.

Pan naczelnik wybiega z pliką innych poleceń do innych pokojów.

Odpisać mu natychmiast! Komu? Jak? I to „uważa pan“ syczy mu w uszach, aż się wzdryga. Co mu ma odpisać? Jak odpisać? Tonny, kilogramy! Biedny p. Dąbek mnoży, dzieli, znowu mnoży; pot spływa mu strugami. Nie! nie mu nie wychodzi. Wszystko się pomieszalo: klient pomnożony razem z tonną, otręby z kilogramami! I to zapotrzebowanie blankietów! Wzdycha przytem tak ciężko, jak gdyby wszystkie tonny z całego świata zwały mu się na piersi. Lecz najwięcej w robocie przeszkadza mu to, że słyszy najwyraźniej, jak coś w mózgu odzywa się: puk, puk, puk bez końca. P. Dąbek wobec swego zajęcia chce nie zwracać na tę natarczywość uwagi. Ani sposób. Nareszcie, chcąc się pozbyć natręta, odkłada na chwilę pióro — słucha. Oto jak najwyraźniej dolatują do niego z głębi mózgu słowa.

— Wiesz co stary? Jesteś największym osłem na całej kuli ziemskiej.

— Wielka mi nowina! — odpowiada myślom i bierze znowu pióro do ręki...

— Puk, puk, puk. Największym osłem na całej kuli ziemskiej — powtarza piosenkę głos w głębi mózgu.

— Wiem, wiem, nie miałem nigdy złudzeń co do siebie. — Usiłuje pracować dalej, lecz pukanie nie ustaje.

— Więszego osła niema na świecie — świdruje mu bez końca w głowie. Cyfry latają teraz, jak szalone, pot spływa mu z czoła. Głowa pęka, nie sposób pracować. A tu zwierzchnik zagląda z drugiego pokoju, czy robota już skończona. I około niego wszyscy przy biurkach są zajęci. Wreszcie jakiś 20-letni urzędniczek zlitował się nad nim. W przeciągu pięciu minut zrobił obrachunek i zreferował, jak się patrzy: „W odpowiedzi na list szanownego pana z dnia 23 b. m. mamy honor donieść“ i t. d.

P. Dąbkowi pozostało jedynie przepisanie tego arcydzieła biurowego. Przepisywał, drżący cały, trzy razy: to mu atrament się rozlał, to omyłkę zrobił, to wyraz opuścił, to znowu w złej linii rozpoczął, blankiet pogiął. Dokoła niego urzędnicy zamykali biurka z codziennymi conceptami, śmiali się i dowcipkowali. Nakoniec zziąjany, ogłupiały, odniósł zwierzchnikowi swoje dzieło.

Całą noc, jak małemu dziecku, śniły mu się otręby, kilogramy, blankiety i zwierzchnik ze swoim głosem kata:

— P. Dąbek, uważa pan, tutaj jeden z naszych klientów...

Och! jęczy ciężko przez sen p. Dąbek. A tu we śnie zjawia się znowu 20-letni urzędniczek, jaki ładny, jaki miły. Poczciwy, poczciwy!... No, temu we śnie hojnie odwdzieczył się p. Dąbek, uśmiecha się do niego, jak

do ukochanego syna, ma już więcej się nie rozstać z nim, adoptuje go i, uśmiechając się, błogosławi i zapisuje cały swój majątek.

W tej chwili właśnie się obudził. Nazajutrz znowu biuro. Dni te, co tam dni! Godziny i minuty wydawały mu się wiekami. Nie! wolał raczej z głodu zdychać i po tygodniu już dziękował zwierchnikom za posadę, której otrzymanie tyle zabiegów go kosztowało. I powracał do swojej marnej wegetacyi. I tak mu całe życie przeszło. Życ, jak ptak niebieski — ładniej brzmi, niż jest w istocie, bo pensyjka, przesyłana przez siostrę, była bardzo niewielka. Wstawał o godzinie 12-iej, włożył się następnie po ulicach, po cukierniach, w których garsoni już wiedzieli, że nic mu przynosić nie trzeba, mieli też dla niego specjalne miny. Czas mu schodził jakoś na wyszukiwaniu najtańszych obiadów, najtańszych szewców, najtańszego mieszkania, aby tylko jakoś do końca miesiąca ze swoją nędzną pensyjką dociągnąć. Aby tylko buty przed czasem się nie zdarły, ubranie się zbytnio nie wytarło, aby na prачkę starczyło, aby tylko ludziom biedy swojej nie pokazać. I chodził po ulicach krokiem pewnym, czernionego wąsa podkręcał i nie opuszczał żadnej kobiety, aby nie obejrzeć się i okiem zwycięzcy na nią nie rzucić.

Wieczorem, wracając na czwarte pięterko, jeszcze w sieni chwycił za policzek jakąś spóźnioną pokojówkę ze słowami:—Ej, panienko, nie radziłbym pod rękę mi się nawijać, bo ze mną żartów niema—póki zmęczony nie rzucił się na swój twardy siennik.

Teraz był nareszcie sam, świat już na niego nie pa-

trzał. Łojówka umieszczona w butelce rzucała katakumbowe odbłaski na ściany poddasza i bohater czasów niebohaterskich staremi, już zagasłemi oczyma błędnie gonił świetlane smugi świecy po nagich ścianach. I po zadumanej twarzy męczennika idei, miękkiej, jak gąbka, czerwono-fioletowej, biednej, całej w fałdach, ściekała, zmywając lichą farbę na wąsach, łza gorzka, jak całe złamane jego życie, życie kaleki, który nie wiadomo dla czyjego dobra urodził się ślepym lub kulawym, chyba jedynie dlatego, aby ci, którzy widzą i chodzą, lepiej odczuwali swoje szczęście. I nazajutrz rozpoczynało się znowu to życie marne, włóczęga po mieście od samego rana. Przypatrywał się szyldom, sklepom, budowanym domom i naprawianym brukom, chodził po knajpach, cukierniach, gdzie czytywał ogłoszenia we wszystkich *kuryerkach* i gdzie zawierał świeże znajomości, dając do zrozumienia komu się tylko trafiło, ile to, panie, pieniędzy w życiu przez jego ręce, jak przez dziurawe sito, przeszło, choć pracy nigdy się nie lękał, jak koń... panie. Lecz *à la guerre comme à la guerre*. Raz jest się na wozie, drugi raz pod wozem. Nie ma prawa żalić się, ponieważ sam sobie jest winien. Kobiety, wino, panie...

Stały sąsiad p. Dąbka przy stole p. Janowskiej, p. Wawrzyńkiewicz, jest zupełnie z innej gliny ulepiony. Zbliża się pod sześćdziesiątkę, lecz wygląda młodziej, pomimo siwych włosów, z pod których prześwieca czaszka, łącząca się z czołem wysokim, które odbija białością od twarzy amarantowej. P. Wawrzyńkiewicz cierpi na oczy. Nie porzuca też nigdy złotych binokli

o szklach ciemno-szarfiowych, doskonale siedzących na regularnie narysowanym cienkim nosie.

Wysoki, bardzo szczupły, bardzo czysto ubrany, w wiecznie pranych zamszowych rękawiczkach, ma w wyprostowanej postawie coś ze starego wojskowego. Wspomina wprawdzie także z lekka o dawnych polowaniach z chartami, o ujeżdżanych dzikich rumakach, kucharzach (był podobno niegdyś guwernerem w jakimś domu magnackim), lecz czyni to bardzo oględnie. Wogóle jest to człowiek poważny, nie mający w sobie nic karykaturalnego. Pracuje w zarządzie kolei. P. Wawrzynkiewicz załatwia swoje czynności jeszcze pedantyczniej, niż inni, i bardzo często spędza w biurze wieczory. Jest nazwany z powodu lat, których na nim nie znać, mumią egipską, mamutem. Nielubiony przez kolegów, bo nie jest wcale dobrym chłopcem, liczy się z każdym groszem, choć nietylko, że niema długów, ale ciuła jeszcze coś ze swojej pensyjki. Jest przytem mruk i dowcip ma bardzo sarkastyczny i złośliwy. Lubi nadawać każdemu bardzo trafne przezwiska. Posiadają je też dzięki jemu wszyscy prawie stołownicy pani Janowskiej. I każdy z nich co do każdego przezwiska, poza swoim własnem, jest doskonale wtajemniczony. Panny Chmielakównej nie nazywają już inaczej, tylko Modrzejewską. O żarłocznej Januszewskiej odezwał się pewnego razu:

— Cóż ten Tanner w spódnicy zawsze się jeszcze głodzi? — Dokoła śmiech i Januszewska została Tannerem.

— Ten, ten — mówił dalej spokojnie tonem dowci-

pnisia, wiedzącego, że ma tu powodzenie — ten *coûte que coûte* dziś się spóźnia, aby się nie stało z nim *à la guerre comme à la guerre*. A nasi Romeo i Julia czy zawsze grzeją sobie ręce?—mówił o zakochanym studencie i jego narzeczonej.

Pan Wawrzynkiewicz, choć ogólnie niezbyt lubiony, był duszą całego towarzystwa. Przedmiotem stołowych rozmów i niezbyt zresztą złośliwych żarcików stawał się zwykle nieobecny z obiadowiczów. Bo z obecnymi pan Wawrzynkiewicz niechętnie się swoim sarkazmem hazardował. Brakło mu przy całym jego dowcipie przytomności umysłu. I nie lubił bardzo, kiedy go ktoś zadrasnął, bo odcinać się nie umiał. Wystarczała najlżejsza aluzya do jego lat, a obrażony wnet tracił całą werwę, dowcip i humor na cały ciąg obiadu, który przechodził wtedy już bez żadnej werwy, cały w chmurach, z szelestem noży i widełców i tępym stukiem talerzy. Panu Wawrzynkiewiczowi nie szło o to, aby uchodzić za młodego, lecz przybywające lata pchały go do grobu. A zdaje się, iż śmierci bardzo się obawiał. Może zresztą aluzya do wieku obrażała go po prostu dlatego, iż wiedział, że ludzie znają jego piętę achillesową i że rozmyślnie go urażają. Wiedział też o swoim braku przytomności umysłu i że inni o tem wiedzą i z tego korzystają, mszcząc się za jego śmiałe dowcipy poza plecami. I dlatego docinki tak go gniewały i dlatego był tak ostrożny, aby się na nie nie narazić.

Za to kiedy dowcip jego miał powodzenie, co zdarzało się dość często, na poważnych jego ustach pojawiał się uśmiech cichego, lecz głębokiego zadowolenia:

coś podobnego do wyrazu twarzy rodziców, dumnych z ukochanego syna. Tylko z cudzych dowcipów nie śmiał się nigdy i bardzo ich nie lubił. Nie dlatego, aby zazdrościł ich komu, lecz po prostu go nie bawiły. Starzał się więc ze wszystkich sił rozmowę zatrzeć, aby o dowcipnem słówku zapomniano. Dla pana Dąbka czuje wielką pogardę i docina mu o ile się da. Zresztą na nikim suchej nitki nie zostawia; weszło to już u niego w nałóg i zatraciłby ten swój styl, w który się już raz na zawsze przybrał. Nazywają go wszyscy jamnikiem.

Obok p. Wawrzyńkiewicza siedziało jeszcze dwóch świeżych obiadowiczów, nie bardzo zżytych z resztą towarzystwa, trochę onieśmielonych. Są to studenci z I kursu, kręcący Nielitościwie kilka włosków na końcach wargi. Znać, że nie od dawna dorosli. Wstydzą się ogromnie tej swojej niedawnej przeszłości, kiedy byli dziećmi. Gdyby też ktoś ośmielił się dać im do zrozumienia, że ich uważa za młodych, miałby się z pyszna.

Czasami zabierają głos, lecz wogóle są przejęci sprawami dnia i artykułami dzienników, co tydzień przychodzą z nowym zapasem wyrażen, jakich tylko dorosli mężczyźni używają, w rodzaju powtarzających się bez końca: „wobec tego“, „absolutnie“, „dalibóg“, „panie dobrodzieju“. Znać jednak w ich tonie bardzo gorącym, głosie podniesionym, że chodzi im głównie o zamanifestowanie, że nie są dziećmi i że mają głos (no! ten męski głos także figle im płatał, wypuszczając z poważnego barytonu od czasu do czasu śmieszne bardzo falseciki, i biada temu, ktoby się wtedy roześmiał)! Nie wiedzieli biedacy o tem, że największym ich wdzię-

kiem była nie owa pretensjonalność i trochę śmieszna powaga, lecz ów śmiech młodości, podobny do nieokreślonego gwaru wiosny, który przypomina starszym jakieś dni dawno minione, coś, co się het kiedyś przeżyło, a co już nie powróci—coś, co do młodych tak pociąga, za co ich się kocha, za co się do nich człowiek uśmiecha, a czego oni nie domyślają się nawet, nie odczuwają i nie widzą. Oni wołają za to swoją dojrzałość... której nie mają. Na domiar złego nie zdają sobie jeszcze sprawy, w jaką figlarny bożek ubrał ich kabałę: Oto ci poważni panowie są zakochani. Mógłby ktoś przypuszczać, że, jak na ich powagę przystało, w jakiej statecznej, wyższej osobie. Gdzie tam! o wstydzie! w tym dzieciuchu podlotku Kazi, która się tego domyśla, która okiem na nich z poza stołu strzela, jest bardzo rada, tryumfuje. Czy to nie figiel szatana? Mieć przedmiot miłości, godny co najwyżej gimnazysty! Są z tego powodu rozgoryczeni i na siebie i na ludzi. Chcieliby i na nią się gniewać. Lecz zaledwie do którego z nich przemówi, zaledwo odpowie spojrzeniem, kiedy zaraz, o zgrozo! to ich nieszczęsne kalectwo, z którego oby jak najprędzej się wyleczyć — rumieniec—pokrywa im twarz i wnet tracą zdolność swojej wymowy i mieszają się, jak sztubaki. Na szczęście tajemnicy ich, prócz Kazi, nikt się nie domyśla.

Na szarym końcu wreszcie siedzi Kamiński, brzydki chłopiec, o piegowatej żółtej twarzy, z brzydkim nosem, brzydkimi oczyma, źle zbudowany, w niedbale włożonem, poplamionem ubraniu, w wytartym krawacie, nie przypiętym do bradnego kołnierzyka, wjeżdża-



jącym mu wskutek tego pod szyję, z brudnymi u rąk paznociami. Janowska ze swoją pasyą posiadania jak największej liczby pensyonarzy trzyma go u siebie, choć prawie nic na nim nie zarabia, ponieważ matka Kamińskiego, stara uboga gospodyni w jakimś bogatym domu na wsi, przysyła za ledwie sto rubli rocznie. Kamiński sypia na składanem łóżku w jadalni i załatwia domowe sprawunki Janowskiej. Leniwy i bez zdolności, źle się uczy w szkołach. Matka zamierza oddać go do zegarmistrza lub do szkoły ogrodniczej. Janowska czuje do Kamińskiego słabostkę, bo jest usłużny i szczerze przywiązany do matki. Wszystkie zresztą stare kobiety lubią Kamińskiego za jego gadatliwość i stateczność, a i on sam od najmłodszych lat przekładał towarzystwo starych niewiast nad kolegów, z którymi, limfatyczny i bez werwy, nie miał nigdy nic wspólnego. Nigdy nie był dzieckiem, miał umysł płytki, bez polotu, i trzeźwość sądu starej baby. Zachwycały się też jego odpowiedziami, których się nauczył, jak sroka.

— Powiedz-no, kiedy się ożenisz? — badały malca.

— Kiedy tylko dorosnę.

— A dlaczego chcesz się tak wczesnie żenić?

— A czy ja głupi wydawać pieniądze na aktorki i baletnice?

— I z biedną panną się ożenisz?

— Oho! zaraz. Z biedną panną się żenić!... Ożenię się bogato i matkę wezmę do siebie.

— A czy bogata panna ciebie zechce?

— E! musi, bo ja wybiorę sobie taką, która lepszego męża nie znajdzie. Pięknej nie będę szukał. Na co mi to? Piękna i tak po ślubie zbrzydnie.

— Ma rację—zaśmiewały się stare baby.

Jakiś czas kochał się w Kazi.

— Przecież Kazia posagu nie ma—żartowały kobiety—i matki nie mógłbyś wziąć do siebie.

— Dlaczegooby nie? Mieszkalibyśmy wszyscy razem. A czy to pani Janowska mało zarabia rocznie? To jeszcze lepsze, niż posag, bo posag można stracić, a to będzie zawsze.

Te wszystkie niby rozumne nieprzetrawione senten-cye wygłaszał, jak pozytywka lub papużka. W gruncie musiał być mniej trzeźwym, niż udawał, skoro, nie zważając na matkę, do pracy brać się nie chciał, a i o Kazi więcej myślał, niż mu się samemu zdawało.

Kiedy Kuczyńska z Belcią zjawiły się w jadalni pani Janowskiej, rozmowa była bardziej niż zwykle ożywiona. I ta płatna, wydawana z musu dla zarobku kawa robiła, jak to się dzieje na wszystkich polskich pensyonatach, wrażenie domu gościnnego, w którym gospodyni cieszy się swymi gośćmi, a panowie z właściwą sobie rycerskością, nieznaną Niemcom, Francuzom ani Anglikom, uważają sobie za obowiązek być ugrzecznionymi nawet dla brzydkich, niemiłych i starych kobiet. Teraz na równi z płatnymi stołownikami zapraszano do kawy nowych, prawdziwych gości. Trochę zbyt prędko tylko usunięto z przed oczu pani Januszewskiej talerz z babką, do którego skwapliwie, korzystając z zamieszania, sięgnęła jakby od niechcienia,

— pomimo iż miała usta zapelnione ciastem. I częstowano niem Kuczyńską i Belcię. A damy sadzą się jedna przed drugą, aby pokazać, że pochodzą z dobrej rodziny i mają dobre wychowanie; i trzymają szklanki z kawą w spracowanych czerwonych rękach w ten sposób, aby piąty palec znajdował się jak najdalej od pierwszego i na możliwej wysokości, co najtrudniej przychodzi pani Januszewskiej z powodu jej palców zbiedzonych, starych i reumatyzmem wykrzywionych. Rozmowa z powodu nowych gości trochę się urwała. Janowska nawiązywała dopiero pierwsze nitki, pytając gości o zdrowie i o pogodę.

Pan Wawrzyńkiewicz tylko, aby przerwać ciszę, nastąpił pośród reszty stołowników, uważał za stosowne dociąć Januszewskiej za to jej opychanie się ciastem.

— Wie pani—mówił — pani powinna pijać Lewico.

— Jak pan mówi? Lewico?—powtarzała zapchane mi ciastem ustami.—A do czego to, proszę pana? Czy to takie smaczne? — mlaskała językiem.

— Czy to smaczne, nie wiem, bom tego paskudztwa nigdy nie pił, ale — krzyknął głośno, aby go dosłyszała—ale to ma być bardzo skuteczne na brak apetytu.

Wśród całego stołu przeleciał w powietrzu jeden gwałtem wstrzymywany śmiech. Nawet Modrzejewska, cała woniejąca dziś kamforą od bólu zębów, obwiązanych chustką, nie mogła się powstrzymać, aby nie wykrzywić do uśmiechu ust ze smutną dystynkeją niedocenionej królowej teatralnej. Tylko Kazi, pomimo zajmowania się Belcią, nie udało się powstrzymać śmiechu,

którym parsknęła, że aż Janowska ze złością ramionami wzruszyła.

I Januszewska pojęła ostatecznie, co jej się rzadko zdarzało, całą ironię słów Wawrzyńkiewicza i, bardzo dotknięta, pomściła się, trafiając w samo sedno:

— Proszę pana, taki wzmacniający napój jest wogóle dobry dla wszystkich ludzi starszych, jak my, i stojących już nad grobem.

Studenci, oburzeni na dziecinne znalezienie się Kazi, a jeszcze bardziej na siebie za to, iż ogromną mieli ochotę (opaną z wielkim trudem) dziecinnemu jej śmiechowi wtórować, rozwodzili się z większym jeszcze niż zwykle ogniem o literaturze.

— Zgodzicie się, kolego — zwracał się jeden z nich bardzo głośno z iskrzącymi oczyma do Romea, zajętego jakąś bardzo czułą, oczną rozmową ze swoją narzeczoną— iż ja nie odmawiam wcale Sienkiewiczowi talentu. Jest to warsztat myślowy absolutnie pierwszorzędnej powagi. Tylko niepotrzebnie brał się do kłamliwego romansu historycznego, nie mającego absolutnie żadnej racji bytu. Bo trzeba być nieukiem i skończonym idyotą, aby nie zgodzić się na to, iż romans powinien być jedynie jak najautentyczniejszym dokumentem życiowym, historią ludzi nie należących do historii, niczem więcej. I szkoda, iż ewentualnie warsztat tej siły musi absolutnie, panie dobrodzieju...

Lecz kawa nareszcie była już wypita i ciasto co do kawałeczka zjedzone i pan Dąbek, jak przystało na człowieka, który przejadł miliony, odwiązywał od szyi serwetę, jak gdyby wstawiał od obiadu, złożonego co

najmniej z ośmiu potraw; i teraz szasta nogami, kłaniając się damom w nadzwyczajnych lansadach, aby pokazać wszystkim, jak potrafi znaleźć się w towarzystwie. Młodzi narzeczeni rozplątali pod stołem ręce z uścisku i, kłaniając się wszystkim, wychodzą z jadalni; za nimi podąża reszta, kierując kroki każdy do swego pokoiku.

— Panie Dąbek, *coûte que coûte* idziemy razem—cedzi dowcipkując pan Wawrzyńkiewicz.

— *Avec plaisir*—odpowiada mu, nie poznając się na jego ironii, z grzecznością skończonego Wersalczyka, akcentem z Ollendorfa. — Tylko zdaje się, że na dworze zaczyna się chmurzyć, a ja nie wziąłem z sobą parasola.

— Trudno, *à la guerre comme à la guerre* — przedrzeźnia go ku uciesze Kazi pan Wawrzyńkiewicz.

Kłaniają się obaj i wychodzą.

Janowska i Kazia pozostały nareszcie sam na sam z Kuczyńską i Belcią. I Belcia przystępuje do sprawy Franka. Śmiałej Kazi w to mi graj, aż oczy jej zabłysnęły. Naturalnie pójdą we dwie do profesora po protekcyę. Są u niego w wielkich łaskach, jako doskonale uczennice. Nie odmówi im pomocy. Kazia liczy też na swoją piękność. Bawi ją ta uprzejmość starych i młodych, którzy się do niej uśmiechają. Wszak to jedyna jej rozkosz. Jednocześnie też Kazia wspomina i o Władku, któremu też trochę protekcyi się przyda, bo promocyja jego podobno wątpliwa. Pójdą dziś jeszcze, aby nie przedłużać niepokoju Latoszkiewiczom. Kuczyńską stosownie do życzenia Belci wyjawia też

projekt spaceru do ogrodu Botanicznego na jutro, z powodu dnia świątecznego. Oczywiście Janowskiej nawet nie proponują; wiedzą, że nogi jej i tak od całodziennej biegania w kuchni i pokojach puchną. Lecz Kuczyńska ofiarowuje się wziąć pod swoją opiekę Kazię. Chodzi tylko o pozwolenie Janowskiej.

— I owszem. Będę pani bardzo wdzięczna... Niech sobie idzie z Panem Bogiem—odparła jak zwykle porywczo.—Nie stęsknię się za nią, to pewna. Przynajmniej będzie spokój w domu

Kazi, jak zwykle w takich razach, czarne oczki zabłysnęły i nozdrza u kształtnego noska, jak u rasowego żrebaka za uderzeniem szpicruty, poruszyły się. Skwitowałyby raczej ze spaceru, lecz macosze odciąć się musiała.

— Jeżeli mamie tak zależy, aby mnie nie widzieć, to mogę wcale do domu nie wrócić.

— Krzyżyk na drogę! Im prędzej, tem lepiej. Ciekawabym była zobaczyć tego mądrego, który cię weźmie!—krzyknęła. Co prawda, była zmęczona przygotowaniem kawy tuż po uciążliwym dla niej obfitym nieco obiedzie niedzielnym.

Wczoraj miała przytem wielkie sobotnie sprzątanie, w nocy piekła ciasto.

A Kazia na to:

— Na kawałek chleba zawsze sobie zarobię, tere, te, te, te...

A na to Janowska:

— Ta, ta, ta, ta, ta... bez końca.

Przy wielkiej polityce udało się Kuczyńskiej ukoić

burzę i udobruchać Janowską do tego stopnia (co ostatecznie zbyt trudne nie było), iż przystała na spacer Kazia do ogrodu Botanicznego i Łazienek pod opieką Kuczyńskiej.

Obie damy tymczasem, przymilając się sobie wzajemnie, zajęły się niewinnem osądzeniem nieobecnych Latoszkiewiczów i innych znajomych, jakoteż i wyrzekaniem na drożyznę, na ciężkie czasy i na złą służbę.

Belcia i Kazia zasiadły na ulubionem miejscu, na kufrze przy piecu w ostatnim pokoju. W braku węgla Kazia raczy się kredą i papierem, który przypala płomieniem świecy. Belcia, jak zwykle, owoców zabraniających kosztować nie chce. I gwarzą, gwarzą bez końca, snując po raz setny swoje marzenia.

— Jakże można mieć marzenia tak skromne, że, jeżeli nawet się ziszczą, nie dadzą nam szczęścia? Jeżeli już marzyć, to o szczęściu jakimś nieziemskim, takim, jakim żyją królowe.

— I budzić się ze snu rozczarowanym? Dziękuję. Ja żądam tylko od losów jedynie szczęścia prawdopodobnego, możliwego do spełnienia. Wiesz, że nie jestem idealistką.

— Łudzisz się, jesteś nią, jak każdy człowiek. To już w naturze ludzkiej leży, aby łaknąć szczęścia bez żadnych ograniczeń, bez uwzględnienia, czy człowiek urodził się Vanderbildtem, czy nędzarzem, jak my. I idealizujesz tego wymarzonego swego przyszłego męża, wdowca, w średnim wieku, tak, aby go móżdż ogromnie kochać, choć mówisz, że zgodzisz się zostać jego żoną, choćbyś go jedynie szanowała i była o tyle o ile

do niego z czasem przywiązana. A czy ty wiesz, co to jest takie małżeństwo? To jest hypokryzya, kłamstwo, tandeta filisterska. Ludzie będą ci zazdrościli tej solidnej partyi, a ty w sobie będziesz czuła rozpacz i zniechęcenie tego męża, do którego rozsądek kazał ci się przywiązać. Bo prócz rozsądku jest w nas serce nierozsądne, ale bardzo silne, które krzyczy po swojemu: Nieprawda, nieprawda. Jesteś młoda, pragniesz szczęścia ogromnego, bez ograniczeń, kochasz innego...

— Przestań, przestań! błagam cię — pochwyciła ją za rękę, egzaltując się, Belcia, aż przymknęła swoje poczciwe jasne oczy, rumieniec pokrył jej twarzyczkę i zagryzła mięsiste wilgotne wargi. — Toby było okropne! Być niezależnym od siebie samego, być w mocy czegoś silniejszego od nas, coby nami rządziło! I postępować inaczej, niżby się chciało — wstrząsnęła się.

— Boisz się życia? — szepnęła Kazia.

— Boję.

W pokoiku zapanowała cisza; z daleka tylko dochodzi ich uszu monotonna rozmowa matek, którą zagłuszał tik-tak ich serduszek. Kazia porzuciła kredę i przejęte patrzyły przed siebie w dal, jakby obawiając się zagadki przyszłości, której próg teraz przestępowały. Wreszcie Belcia przetarła sobie oczy i, jakby widzenie jakieś pierchło, mówiła znowu zupełnie trzeźwo:

— Nie, nie. Toby było szaleństwem. Żadnych wielkich pretensyi rościć nie powinnyśmy. Niebawem skończą się czasy dziecięctwa i pensyi, na której czujemy się równe pannom Szymańskim i Kozłowskiem, od których



robimy mniej błędów w angielskiem dyktandzie, a nawet nauczyciel tańca jest z nas więcej zadowolony.

— Ach te biedne Szymańskie i Kozłowskie! Ubliżasz sobie i mnie. Nie równe im jesteśmy, moja droga, lecz stokroć lepsze. Jesteśmy piękniejsze od nich i inteligentniejsze.

— Niestety! Nawet nie równe, bo dotychczas one noszą mundurki takie, jak my, i pochlebiają nam. Bo jako pierwsze uczennice jesteśmy na pensyi na pierwszym planie; lecz niebawem jako dorosłe panny w sukniach od Hersego one będą jeździły na bale karetaami, a my za ledwie tramwajem; w teatrze w łoży będą się odwracały od koleżanek z galeryi, a kiedyś, jako płatne nauczycielki, będziemy wychowywały ich dzieci. Pawełek już teraz zaczyna nas porzucać dla Kozłowskich.

— Pawełek! dobra sobie jesteś. Bo czuje doskonale, iż jest dla nas za głupi i że my się na niego nie oglądamy. A za Władka ci ręczę, że mu Kozłowscy nie zaimponują. Ty myślisz, że ja zazdroszczę ludziom bogactwa? Ślicznie będą wyglądały te biedne Szymańskie i Kozłowskie w swoich sukniach od Hersego! Odwracać się od nich będę, w nos im się rozśmieję. Myślisz, że jestem spragniona bogactw. Jesteśmy piękne, młode, stokroć inteligentniejsze od nich. Zakupieni za posagi mężowie będą je zdradzali, a my na czwartem piętrze z młodymi pięknymi mężami — kochane będziemy kochały, szczęśliwe, szczęśliwe, szczęśliwe...

— To być może. Oby tylko nas chcieli pojąć za żony ci młodzi piękni mężowie! Czy myślisz, że ci wszy-

scy nasi studenci będą zawsze jadałi u twojej matki obiady? Pokończą uniwersytety, porobią karyery, nowe stosunki, zapomną. W teatrze z krzesel nie widzi się panien, siedzących na galeryi, lornetuje się jedynie te, które siedzą w łoży. A czy wyobrażasz sobie konkurenta, zasiadającego z waszymi stołownikami w jadalni lub starającego się o twoją rękę tu na tym kufrze przy piecu lub u mnie?

— Nie, nie! Niech sobie mój przyszły mąż nie kończy uniwersytetów. Moja angielszczyzna i tak mi wywietrzeje z głowy. Mówiłam ci: chcę, aby był młody i piękny. Będę mieszkała z nim na czwartem piętrze. Nie chcę takiego, który zrobił karyerę.

— Taki młody i piękny, który sam nie potrafił zrobić karyery, właśnie zechce ją zrobić, zaślubiając pannę trochę brzydszą, lecz ustosunkowaną, posażną — upierała się bardzo spokojna, bardzo wyrozumiała.

— Ach! Jesteś niemożliwa! Przecież nie wszyscy są w życiu opryszkami!

— Dlaczegoż opryszkami? Przecież sama mówiłaś, że każdy w życiu dąży do tego, aby być szczęśliwym. Zastanowiłam się nad przyszłością. Mówiłaś, że idealizuję tego starego męża. Ty idealizujesz to szczęście na czwartem piętrze, które jest nędzą.

— Nie, nie. Nie sprzedam się nigdy żadnemu wdo-  
wcowi; to rzecz pewna. A i ty, znam cię dobrze, nie potrafiłabyś skłaniać komuś, że go pochasz, tem bardziej kiedy...

— Tem bardziej kiedy co? — pochwyliła zaczerwieniona po białka oczu Belcia.

— Tem bardziej kiedy nie — zbyła ją dyplomatycznie Kazia.

— Otóż uważasz — perorowała dalej z pewnością siebie — nie jestem taką filozofką życia, jak ty, która się niczemu nie dziwisz i wszystko przebaczasz. Jesteś wyrozumiała dla opryszków i przebaczasz im, że zamiast pracować chcą się sprzedawać bogatym brzydkim żonom. Zawsze widzisz odwrotne strony medalu. Podług mnie ta zbytnia obserwacya tamuje tylko działalność, energię, rozpęd. I wiecznie wymagałaś od losu mniej, niż ci się należy. Pamiętasz owe ulegałki u straganiarki, nasypującej ci do fartuszka zakupioną miarkę? Wystraszona ilością, która wydawała ci się zbyt wielką, krzyczałaś: już dosyć, już dosyć! aż się straganiarka uśmiechnęła. Otóż widzisz, ja nie mówię losom: już dosyć! i lada czem mnie nie zadowolą. Ja nie chcę jakiegos łuta szczęścia, tandety, wydającej się jedynie innym na oko szczęściem, nie będę wiedła w oczekiwaniu męża od biedy. Nie będę żałowała lat młodzieńczych, które ty, w swojej wiecznej obawie przyszłości, już zaczynasz idealizować i sądzisz, że one były naszymi najlepszymi czasami. Może być zresztą, że dla was, posiadających matki, było tak w istocie. Lecz ja się dusiłam w tej ciasnocie. Muszę być szczęśliwą. Jestem młoda, piękna, wiem o tem. Cały świat przede mną. Dlatego, że nie mam pieniędzy, miałabym kwitować ze wszystkiego na korzyść takich tam Szymańskich i Kozłowskich? Nie, moja droga. Mam więcej prawa do szczęścia, niż one.

Chcę dużo, dużo zaszczytów, sławy, miłości. Może będę miała głos. Cóż, u Boga? Trzeba ufać w przyszłość, trzeba mieć odwagę, polot, rozpęd, wiarę w swoje siły; mogę przegrać, ale wstyd bez walki kłaść głowę pod topór.

— Każdy ma swoje widzimisię. Dla mnie polot, rozpęd, walka, bez zdawania sobie dokładnej sprawy, gdzie, jak i co?—to wszystko są frazesy, deklamacya.

— Nie, moja droga, to, co płynie z serca, nie jest frazesem. Podług mnie frazesem i deklamacją są twoje wyrozumowane ideały: jakiś filisterski wdowiec, jakaś tandeta szczęścia na pokaz, kiedy serce twoje (na co blagować) rwie się do miłości.

— Nie, nie! Szaleństwo trzeba zdusić w sobie. Nie trzeba postępować inaczej, niż trzeba. To, co mi się czasami śni w marzeniach, stać się nie może. Nie, nie! Toby było zbyt wielkiem szczęściem, aby się sprawdziło—nie wiadomo skąd wyrwało jej się; i na sam dźwięk tego pierwszego zwierzenia, którego sobie samej jeszcze nigdy tak jawnie nie uczyniła, zadrżała.

— Ty kochasz Władka!—zapytała Kazię, pragnąc mieć współniczkę w złem, bo wstydziała się ukrywanej nedorzecznej miłości, która w programie jej przyzwoitego życia nie figurowała.

— Nie—odrzekła stanowczo Kazia. — Naturalnie wolę go, niż Kamińskiego, niż wszystkich, nawet niż twego Franka. <http://rcin.org.pl>

— Kaziu! — obraziła się Belcia, z wrażliwością za-

kochanych, pragnących, aby o ich uczuciach mówiono ze złożonemi rękoma.

— Bardzo lubię towarzystwo Władka. To dobry chłopiec i sprytny, i dowcipny, jak rzadko. Ale ty wiesz: stawiam duże stawki i pragnę dużej wygranej. Ja pragnę pięknego królewicza z bajki, który przyjdzie do naszej kuchni i zastanie mię rozbierającą ziarnka kaszy. Potem mię ujrzy na balu, na którym zgubię swój pantofelek i podług tej miary będzie sobie szukał żony po całym świecie, dopóki mnie nie znajdzie.

— Niech się trochę śpieszy i nie czeka, aż się zestarzejesz.

— Nie obawiaj się, moja droga. Ja sama w tem szukaniu mu trochę pomogę.

Rozśmiały się obie. I zmęczone rozmową na seryo, powróciły do figlów, do których je młodość pchała. Zapomniały o nieświetnym losie i niepewnej przyszłości i, wybuchając kaskadami śmiechu, opowiadały sobie o żarcikach studentów, zachwycały się nowymi dowcipami Władka, przypominały sobie jego wyrażenia i rozkoszowały się, szczególnie Kazia, mówiąca jego stylem, polegającym na używaniu wyrażzeń, zapożyczonych z operetek, w rodzaju:

— Czwartki nam się udają. Owszem, ale nie. Co pani szczebiocze? i t. d.

I powtarzały sobie plan kampanii jutrzejszej w sprawie Franka i Władka u profesorów, a następnie powróciły do przechadzki.<http://rcin.org.pl>

— Weźmiemy z sobą Kamińskiego—proponuje Kazia—aby twoją matkę bawił. Ja będę miała Władka, a ty...

— Wszystko jedno — zbywa ją Belcia, znowu zamykając się na wszystkie spusty. — Każdy będzie rozmawiał, z kim zechce.

— Ach! jaka ty jesteś skryta...

— To być może; jednak co do pewnych rzeczy mylisz się. Aby cię przekonać, napiszę mu, jak matkę Kocham, że spacer odłożony.

— Owszem, ale nie — rozśmiała się.— Na co ta hypokryzya? Czy ja ci nie mówię, że mi się Władek podoba? Myślisz, że ci nie powiem, kiedy mię ktoś jeszcze bardziej zajmie?

— I ja nigdy nie kłamię, ale nigdybym nie postępowała niewłaściwie, bo tego nie cierpię.

— Tybyś wечно chciała mieć piątkę ze sprawowania. Co to znaczy niewłaściwie? Niewłaściwością jest uginać się przed kimś, płaszczyć, robić ustępstwa.

— Niewłaściwością dla młodej panny jest kokieterya i nabijanie sobie głowy kimś, kto nie jest pretendentem do jej ręki.

— Szczebioczesz zupełnie jak dama klasowa. Przecież skończyłaś już pensyę. A masz pasyę chodzenia z całą pliką pięknie oprawnych w czerwone okładki nagród pod pachą. Nie cierpię tej moralności, której się nauczyłaś z wzorów do kaligrafii, w rodzaju: „Praca uszlachetnia“ lub „Wiosna jest najpiękniejszą

porą roku“, kiedy, podług mnie, praca upadła, a wiosna ze swemi burzami i deszczami jest najnieznośniejszą porą.

— Belciu — upominała z drugiego pokoju stara — niech się Belcia żegna, idziemy już do domu.

## V.

Wszystko poszło jak z płatka. Misya panienek nagrodzistek przeszła wszelkie oczekiwania. Franka—naturalnie bez promocyi — pozostawiono jednak nadal w szkołach. Władka dopuszczają do egzaminów, a jeżeli się zetnie — pozwolą mu powtórnie zdawać po wakacjach.

Wszyscy więc, zebrani u pani Kuczyńskiej na ów ułożony spacer, mają humory znakomite. Pierwszy stał się, jak to zwykle się zdarza, gość, na którym najmniej zależy, najobojętniejszy, Kamiński, brzydki, ze zmaczanymi wodą nieostrzyżonymi włosami, z przekreconym krawatem u odpinającego się kołnierzyka i z nieoczyszczonymi paznociami; następnie zjawia się Władek. Pawełek naturalnie pojechał powozem do Wilanova ze swymi Kozłowskimi. Kazia, prześliczna w różowej muślinowej sukience, jaśnieje szczęściem, które odczuwa za podmuchem wiatru z równie przesadną wrażliwością, z jaką egzaltuje się w swoich strapieniach. Dobry humor jej powiększa jeszcze nieobecność macochy i pewność, że jest dziś piękniejszą niż zwykle ze swymi fryzującymi się naturalnie ciemnymi lokami



włosów, które pysznie odbijają od jej alabastrowej matowej twarzy. Oczy jej się iskrzą i usta rozchylają; białe prześliczne zęby w uśmiechu jaśnieją, małe zaokrąglone piersi, ujęte w różowy obcisły staniczek, falują.

— Wie pani—dowcipkuje Władek, doskonale zdający sobie sprawę z jej piękności—pani dwa pieprzyki jeszcze bardziej się dziś do siebie zbliżyły.

— Jeżeli im to sprawia przyjemność, cóż to panu szkodzi?

— Zazdroszczę im.

— Ach! pieprzyki i pieprzyki. W pańskich dowcipach jest zbyt wiele soli.

— A co za suknia wspaniała!

— Proszę sobie nie żartować. Nie każdy może mieć tualety takie, jak Modrzejewska.

Spojrzenie Władka odpowiedziało jej, że jest okrutną i że nie powinna dotykać się ran zaledwie zabliźnionych, tembardziej, kiedy zapewne wie, że to jej właśnie danem będzie wyleczyć go z tych ran... może nawet niezadługo.

Belcia wsłuchuje się w dzwonek, dźwięczący u drzwi sąsiadów, i nie odchodzi od okna. Stara Kuczyńska włożyła już na głowę niedzielny kapelusz z czarnej koronki, ubrany szklanemi czerwonemi wiśniami.

— Cóż, może i pan Franciszek poszedł do państwa Kozłowskich?—zauważyła Kazia.

— Nie. Franek jest wprawdzie głupi, ale nie taki, jak brat mój Pawełek—dowcipkował Władek, racząc się papierosem, którego mu na ulicy w mundurku jeszcze palić nie było wolno.

— No, jest nareszcie!...

— A to ładnie dać tak na siebie czekać...

— Nie, bo słowo daję, widzicie państwo — tłumaczył się Franek, śliczny z zaczerwienieniem twarzy, ocieranej od gorąca chustką, używając, jak zwykle, argumentów nie wytrzymujących najpobłażliwszej krytyki — zegarek mi się zepsuł.

Belcia nie uśmiecha się, jest blada, bardzo poważna.

— Takżeś wybrał sobie tłumaczenie! — Dobrze jeszcze — strofował Władek — żeś zdarł karteczkę z kalendarza, bo mógłbyś potem powiedzieć, żeś nie wiedział, że dziś niedziela.

— Pani się na mnie gniewa? — zapytał Belci, podając jej, jako też Kazi, a nawet starej Kuczyńskiej, bardzo ładne róże.

Kazia i stara zachwycały się różami.

— Wiesz, że miałeś dobry pomysł z tymi kwiatami — zauważył, zagryzając wargę, niezadowolony Władek.

— Ja miewam zawsze dobre pomysły — odciął się, jak zwykle, dobrodusznie, uśmiechnięty, pogodny, młodzieńczy, wesoły.

W alejach Kamiński, pozostawszy trochę w tyle, zakupił za czterdziestówkę, jaką otrzymywał co tydzień na drobne wydatki, trzy olbrzymie, brzydtko ułożone bukiety nieświeżych kwiatów, które, rzecz prosta, żadnego już efektu nie sprawiły; panienki oddały je matce.

Teraz suną około okrągłaka ku Łazienkom, zgrupowawszy się w pary: przodują prędkim krokiem Ka-

zia z Władkiem, oboje rozbawieni, chychoczący, siłący się na koncepty i przekomarzający się z sobą. Co parę chwil zatrzymują się, bo nie wypada zbyt w tyle pozostawiać następnych par, z którymi łączą się rzucanemi dorywczo uwagami i dowcipami. Za nimi kroczą poważniej Belcia i Franek; ona wsłuchana w jego opowiadania, nie błyszczące ani dowcipem, ani nadzwyczajną obserwacją, wypowiedane głosem dźwięcznym, niezane, jakby na sznurku śmiechu pogodnego, szczerego śmiechu młodego chłopca, któremu na świecie jest dobrze, choć nie zgłębia swego stanu i nie zdaje sobie z tego sprawy. Nieciekawe te opowiadania, któreby już ze sto razy przerwał z sarkazmem każdy z jego kolegów, zdają się nadzwyczajnie zajmować słuchaczkę; rozmowa ciągnie się i ciągnie rozkosznie, bez końca.

Za nimi dąży mama, zachwycona Kamińskim, oświadczając mu, że on jeden z tych wszystkich młodych jest chłopcem na seryo, z którym można pomówić o wszystkim. Opowiada mu też bez końca o subhastacyi majątku, gdzie ma ulokowaną sumkę, z której nie otrzymuje od niejakiego czasu procentów; oburza się na swego adwokata i radzi się Kamińskiego, co ma czynić? Kamiński, pewny swojej trzeźwości, podnosi głos z fałsecikami podlotka i daje jej rady dziecinne i głupie, które jednak bardzo trafiają starej do przekonania.

— Pan, choć młody, masz więcej rozumu, niż ci wszyscy adwokaci, a co najważniejsze, masz sumienie i pojmujesz, że wdowy krzywdzić nie można.

Przejęci rozmowa, nie widzą nic, co się dzieje. A tu wokoło nich wiosna. Natura, jakby zbudzona z prze-

ciągłego zimowego letargu za pomocą jakby różdżki czarodziejskiej, roztoczyła cuda w ciągu jednej nocy. Choć tu i owdzie znać jeszcze szwy roboty, choć to i owo jeszcze nieskończone i aby zbyć zarzucone, ale za to jakie świeże, jakby z igły zdjęte! Wszystko w półtonach. Niebo bez chmurki blado-niebieskie; tu i owdzie srebrzą się obłoczki. I tej niebieskości nieba tyle, tyle; cieniutkie, misternie wyrzeźbione, przedziwne, niepokalanej jasno-seledynowej zieloności listeczki nie rzucają jeszcze cieni; prześwieca przez nie niebo, słońce... Na niektórych drzewach niema jeszcze śladu zieleni, a młodziutkie bez barwy pączuszki liści wyglądają jak owinięte w powijaki niemowlęta, rozglądające się zdziwione dokoła, z jedynym pytaniem na ustach:

— Co to jest? Co to wszystko znaczy? Skąd myśmy się tu wzięły? Kto nas tu sprowadził? Po co?

A starsze już od nich o dni kilka w barwnych sukienkach—krokusy, hiacynty, tulipany, zdają sobie już ze wszystkiego sprawę i mówią uśmiechnięte:

— Słowo daję, bardzo tu ładnie.

— Młode ptaszki zdają się bawić własnym szczebiotem i powtarzają bez końca nieumiejętne „tiu, tiu, tiu“ bez żadnego sensu. Gazony rażą jeszcze w niektórych miejscach brakiem zieleni. Na ścieżkach słońce, przekradając się przez delikatne pączki i misterne koronkowe listeczki, znaczy się wielkimi smugami złocistymi. Cała natura pachnie, jak zgrzana młoda zdrowa dziewczyna.

Alejami suną młode kobiety z otwartymi od słońca parasolkami, w jasnych obcisłych sukniach i w zeszło-

rocznych zimowych kepeluszach; panny pośpieszyły się, aby pokazać swoje kształtne figury, które ukrywały w ciągu całej zimy, jak wysmukłe drzewka róż sztamowych, owinięte w ogrodach w słomiane kożuchy.

A młode matki wpatrują się nieziemskimi spojrzeniami miłości w swoje niemowlęta, noszone tuż przy nich na ręku przez piastunki. Wyprowadzone po raz pierwszy w życiu na świat Boży „pociechy“ w białych powłóczystych płaszczach i śmiesznych kapturkach, dyskretnie zakrywających ich łysiny, rozglądają się ślepkami zdumione, zdające się odpowiadać swoim rówieśnikom z klombów—hiacyntom i krokusom:

— No, no, macie słuszność! Na świecie jest bardzo ładnie... Patrzcie państwo! A nic o tem przedtem nie wiedzieliśmy!

A nasze dwie młodzieńcze pary z mamą i z tym trzecim, który się nie liczy, schodzą się koło okrągłaka, przy którym baba zdażyła już ustawić stragan z piernikami; przy studni spragnieni raczą się wodą. Mama, ujmując się za Kamińskim, który już się stał mileczący i najwidoczniej smutny (poczuł naraz, że wiosna jest stworzoną dla młodych i pięknych), zauważyła, że aleja jest tu szeroka, że mogą więc wszyscy razem chodzić.

Młode pary są jednak już tak ożywione i tak szczęśliwe, że nie przeszkadza im ani mama, ani Kamiński, i wybuchają ustawicznym śmiechem bez żadnego zgoła powodu, nawet poważna Belcia, której Władek mówi po prostu, pokazując palec:

— Panno Belo, <http://rcin.org.pl>

I Belcia chustką musi zatykać sobie usta.

— Nie, panie Władysławie, już dosyć, już nie mogę... i hi...—parska śmiechem.—Bo jak mamę Kocham, rozgniewam się.

Aż mama musi je przestrzegać:

— No, panienki, proszę bardzo uciszyć się. Co za nadto, to niezdrowo.

A młode ptaszki wciąż dalej wprawiają się w swoje śmieszne wskutek nieumiejętności staccata i używane bez żadnej metody trele, nie dlatego, aby się popisywać, ale dla własnej przyjemności, same rozbawione temi horendami i fiaskami. Teraz młodzi przechodzą koło lwów kamiennych, strzegących wejścia starej oranżeryi.

— Panno Belo, niech pani spojrzy na te lwy — mówi ze ślicznym uśmiechem Franek — do kogo one podobne? Do Klopszoka, prawda? jak dwie krople wody!

Lecz Belcia nie wybucha śmiechem na uwagi Franka; ona tylko z niemi się solidaryzuje, zgadza ze wszystkim, jakby były wyjęte z głębi jej serca i takie jej bliskie, a zarazem takie mądre i takie święte, że bluźnierstwem byłoby coś dodać do nich własnego. Na znak zgody kiwa tylko główką, i rzuca nań spojrzenie i wnet spuszcza oczy.

Za to Kazia śmieje się z tej uwagi do rozpuku. Zdaje się, że to Władek szepnął jej jakiś dowcip na *conto* Franka, coś w rodzaju, że praojcem rodu Latoszkiewiczów musiał być Filip z Konopi.

I towarzystwo, złączone w jedno, uformowało się znów nie wiadomo w jaki sposób w dawne trzy pary.

— Panno Belo — mówi rozgadany dziś Franek — czy pani nie zdarzyło się wśród tańca doznać uczucia, jak

gdyby się było białym gołębiem? Szczególniej w walcu na dwa *pas*—prawda? — pokazał dziecinnie swoje zęby w oprawie rozchylających się warg czerwonych, rozdzielonych ową charakterystyczną rysą dojrzałej dużej wiśni.—Mnie bo zawsze w tańcu się zdaje, że mam skrzydła. Chociaż i nie w tańcu. Gdyby ludzie tak byli ptakami, toby było dobrze, co? Prawda? Jabym chciał codzień być gdzieindziej: raz tu, drugi raz tam... Gdybym był królem, tobym pozwolił każdemu jeździć kolejami darmo. To pojechałbym w Sandomierskie, to na Kujawy, to do Lublina. Toby było dobrze, co? I mieć tyle pieniędzy, ile człowiekowi trzeba. Chociaż wie pani: kolejami bym nie jeździł, tylko konno. A paniby kupił powóz. Paniby musiała ode mnie przyjąć, bo jak nie, tobym się zaraz rozgniewał i pojechał. Tylko całe szczęście w tem, że ja nie potrafię się gniewać. Ale gdybym był królem...

I Belcia jest pewna, że przyjełaby od niego wszystko właśnie dlatego, że on nie potrafi się gniewać, i pojechałaby z nim wszystko jedno dokąd: do Sandomierza, czy do Lublina. Tembardziej, że on jest ptakiem i że ptakom na ziemi może krzywda stać się, a ona swoją trzeźwościąby go broniła.

Franek, zachęcony jej milczeniem i jakby przeczuwając, jaką rozkosz jej sprawia dźwięk każdego wyrazu, pyta bez końca:

— Prawda, panno Belo? I wie pani, gdybym ja miał pieniądze, to mamie kupiłbym dom, a sam przeniósłbym się na wieś. Paniby chciała mieszkać na wsi? Prawda? Na wsi to jest dopiero życie!

A Władek, słysząc dźwięk jego mowy, dziwi się:

— Co to Franek tak się dziś rozszczebiotał? Gdyby tak koniec jego mowy przenieść na początek, a początek na koniec, toby nic nie zawadziło. Sens byłby ten sam.

— Jeżeli wogóle może być sens w tem, w czem nie ma żadnego sensu—rozśmiali się oboje.

Słońce zaczyna palić nie na żarty. Nie pomagają paniom odkryte parasolki. I pomyśleć tu, że w przeszłym tygodniu śnieg jeszcze prószył, a teraz ni stąd ni zowąd lato całą gębą.

— Uf, jak gorąco! takbym się napiła wody.

Usłużny Franek biegnie już ku okrągłakowi.

— Panie Franciszku! nie pozwalam panienkom pić wody. Są zanadto zgrzane!

Lecz Franek jest już daleko i po chwili powraca z pomarańczami.

— Rzeczywiście, Franek ma pomysły — szepce zazdrośnie Władek.

Mama i Kazia są zachwycone grzecznością tego dobrego chłopca, Belcia niczemu się już dziś nie dziwi. Nie dziwiłaby się, gdyby Franek otworzył nawet drzwi do nieba, bo któżby, jeśli nie on? przecież nikt inny na świecie... I jaki on szlachetny, jaki dobry! Naprzykład teraz, to niby głupstwo z temi pomarańczami... A jaki ma głos, kiedy mówi, to przecież człowiekowi aż w głębi coś... nie, nie... Belcia nie chce analizować jego zalet, bo czuje, że się rozplacze.

Mijają teraz mostek z pięknymi pozłoczonemi świeżo latarniami i placyk z pałacykiem, lśniącym w złocie



słońcu harmonijną fasadą, podobnym do wyjętego z pudełka cacka dla dużych dzieci, z lustrzanym stawem, po którym szybują ze zwykłym spokojem łabędzie.

— Wicie państwo, do kogo podobne są te łabędzie?—zapytuje naiwnie Franek, aby tylko mówić. — Do moich sióstr, kiedy idą w nowych sukniach w niedzielę do kościoła.

Przechodzą aleją z amfiteatrem, jakby zazdrosnym, że wszyscy przejęci cudami natury, zielenią dziewiczych trawek, złotem słońca, błękitem nieba i wody, zdają się nie zwracać uwagi na sztuczne skały i posągi.

Jeszcze jeden mostek i całe towarzystwo znajduje się teraz w drugiej połowie parku. Jest tu zaciszniej i swobodniej; są tu już zupełnie sami, jak na wsi. Zasiadają na ławce. Uf! nareszcie! Dokoła nich zielono, zielono... Żadnych klombów, żadnych balustrad, posągów, pałaców, jeno słońce, niebo, zieleń, ptactwo i młodość.

Panienki zdejmują rękawiczki i miękkimi rączkami, błyszczącymi ponętnie na słońcu alabastrową białością i karnacją młodej skóry, obierają teraz pomarańcze. Nigdy im tak nie smakowały. Delektują się nimi i chychoczą i gaworzą, gaworzą o niczem, aby coś powiedzieć; cieszą się słońcem, zielenią drzew, wodą, powietrzem, wiosną, tem, że są młodzi i że żyją, jak owo ptactwo, rozśmieszzone własną nieumiejętnością i wprawiające się w staccata i trele nie dlatego, aby się popisywać, lecz dla własnej przyjemności.

Kamiński, który przed chwilą, powraca teraz z wielką paką pierników, kupionych za pieniądze,

oszczędzone z przeszłego tygodnia. Biedak stanowczo nie ma dziś powodzenia. Tylko mama, przez grzeczność, chrupie zbyt twardy dla niej piernik; panienki nie są głodne i chowają przysmaki te dla łabędzi.

Lecz pora wracać już na obiad. I całe towarzystwo sunie teraz alejami ku domowi. W alejach tłuma. Teżent pojazdów, nawoływanie woźniców i uporczywy dzwonek tramwajów, ciągnących środkiem alei, łączy się chaotycznie z gwarem pieszych, zalegających szczerzenie chodniki. Dziś uroczyste otwarcie jakiejś wystawy rolniczej w Mokotowie. I ludziska ze swoich całozimowych nór śpieszą, aby odetchnąć wiosną, popatrzeć w niebo, łyknąć powietrza, przypatrzeć się ludziom i pierwszym kwiatom. Kuczyńska, przyglądając się pojazdom, opowiada Kamińskiemu, jak to ona czwórka do kościoła jeździła, i wzdycha, że gdyby nie złość ludzi i zbyt dobre serce nieboszczyka jej męża, inaczejby przyszłość Belci się przedstawiła.

Młodzi zbyt zajęci są sobą, aby przypatrywanie się przejeżdżającym ich zajmowało, szczególnie Władek, który jest zdecydowanym demokratą i pogardza tymi skazanymi na zagładę „moriturami“, i Kazia, zbyt dumna, aby jej nieznanne jakieś damy mogły zaimponować drogiemi sukniemi i wytwornemi pozami w pojazdach. Nie czuje się gorszą od nich wcale. Jest i nie brzydszą od nich, i gust ma nie mniejszy, i poczucie wytworności, i siedzieć w powozie tak samo, jak one, by potrafiła. Zresztą pochłonięci byli cali flirtem, lubując się własnym dowcipem i wdzięczni sobie wzajemnie, o ile jedno drugiemu dobrą okazyje dowcipu przy-

gotowało. Mówili bardzo wiele o miłości, choć bardzo mało o niej oboje wiedzieli; wygłaszali komunały o zdradach, o cierpieniach, oboje bardzo dumni z doświadczenia życiowego, którego nie posiadali.

— Mężczyzna nie potrafi kochać wiecznie, jest zbyt wielkim na to egoistą—twierdziła Kazia z dumą Kolumba, odkrywającą Amerykę.

— Niema nic niebezpieczniejszego w życiu, jak kokietka bez serca—popisywał się Wladek aforyzmem ze starego kalendarza.

— Nie należy też kochać się w aktorkach—sentencyonalnie kokietowała go Kazia.

— Czy w dzisiejszym dniu wiosennym widzi pani jakie pozostałości burzliwej srogiej zimy?

— Nie—rzekła, podkreślając ten wyraz, jak aktorki, kiedy, powstając z kanapy, rzucają kochankowi jeden frazes i przechodzą na drugą stronę sceny.

— Było im tu wśród zgiełku i gwaru alei jakoś wygodniej rozmawiać, niż w Łazienkach. Tam, wśród cizy, ptactwo zdawało się podsłuchiwać ich elukubracje i szeptać do uszu:

— Oj, dzieciaki, dzieciaki!

— Czy pani zgodziłaby się zaprzysiąc dozgonną miłość człowiekowi, którego by pani nie kochała?

— Pan się pytasz o to? A panby się ożenił dla posagu?

— Tylko miłość daje szczęście.

Ptactwo im na to nie odpowiedziało.

Później rozprawiali o „kawałach“ szkolnych. Tutaj Wladek był szerszym i oryginalniejszym, a Kazia do-

skonale placu mu dotrzymywała. Dowcipy Władka miały to do siebie, że kiedy kto inny je powtarzał, przechodziły bez wrażenia. Cała ich siła polegała na sposobie opowiadania. Bo Władek był więcej komikiem, niż dowcipnym. Miał wykrojone długie wązkie usta bez źdźbła zarostu, zwązające się jeszcze bardziej u końcu, jak u kłowna.

Całą maskę twarzy miał wyrazistą. Grywał w teatrach amatorskich z wielkiem powodzeniem, naśladował wszystkich aktorów. I teraz śmiejącej się do rozpuku Kazi cytuje wyjątki z ról swoich i monologów i na żądanie Kazi:

— Mój panie, jak to Rapacki mówi w „Mazepie“? Władek skanduje zmienionym głosem:

— Co młokosie?

Chcesz, żeby mię po nocy w królewskiej odzieży  
Poznało zaraz całe wojsko nietoperzy

I oddawało winne królewskie honory? Cóż, Mazo?

Już więcej zajmują przejezdni Franka, szczególnie konie, uprząż, zaprzęgi i panowie, powożący na amerykańskich.

— Wie pani, jabym nigdy nie używał szorów angielskich. To dobre dla zbogaconych fabrykantów. Uprząż krakowska, o, to rozumiem, i najtyczanka. Chociaż wie pani, gdybym miał duży majątek, tobym jeździł zawsze własną dorożką. Byłby to właściwie mój prywatny powóz, ale wykupiłbym w cyrkule numer i stangret mój byłby przebrany za dorożkarza. I wie pani, pojechałbym tym ekwipażem do Krakowa, toby się tam dopiero dziwili! Potem do Wiednia... co? — I pa-

trzy na nią uśmiechniętemi oczyma i Belcia nie widzi nonsensów w jego mowie; widzi tylko zdrowego chłopca o szerokich barkach, wdzięk dziecka, któremu trzeba życie poświęcić i prowadzić wśród złych ludzi, którzy jego dobroć chcieliby wyzyskać i krzywdzić go. Ona zaś, przytulona do jego piersi, chce go bronić za jedy-  
ną nagrodę, aby mózdz do końca życia słyszeć dźwięk jego głosu, być z nim razem. Zresztą nie żąda nic więcej, jest szczęśliwą. Ręce ich podczas chodu w wahadłowych ruchach raz po raz się dotykają. Wystarcza tej sekundy, aby Belcia przekonała się o dziwnej miękkości jego muskularnej dłoni i o dziwnej potędze czarownego ciepła, które z koniuszka palca w ciągu sekundy przechodzi przez całą jej istotę; znowu sekunda dotknięcia i znowu rozkoszny dreszcz i Belcia nie ma siły zmienić pozy ręki. I idzie przy nim mileżąca ze spuszczoną głową, jak występna niewolnica. I wdzięczna mu za dyskrecyę, z jaką mówi, nie zważając na tajemny węzeł, którym już są połączeni, o rzeczach najobojętniejszych, jakby nic między nimi nie zaszło, z miną dobrego małego chłopca:

— Ale utrzymanie koni dużo w Warszawie kosztuje. Kiedy znajdę się już „na swoim“, będę trzymał tylko wierzchowca. Stajnia nie będzie kosztowała; ani sługi nie najmę, bo mam kolegę, który mi obiecał, że darmo będzie konia na stajni trzymał, abym mu tylko owies i siano kupował. Ja panią muszę nauczyć jeździć konno. Słowo daję! A amazonka wielka rzecz! Petronela pani uszyje. Jabym im dał, gdyby one nie chciały uszyć pani amazonki!

Rozśmiali się oboje i Belcia rzuciła mu spejrzenie, w którym początkowy uczeń elementarza potrafiłby wyczytać: W tobie cały świat mój, życie. Jestem twoją do śmierci.

Franek wyczytał tylko jedno i ze zwykłą sobie szczerością wywnętrzył jej się:

— Nie żałuje pani, żeśmy tu dziś przyszli? Powiem prawdę, że ja nie miałem wielkiej ochoty na spacer dzisiejszy. Nie miałem pojęcia, że wszystko tak się uda. Ta pogoda, powietrze takie balsamiczne. Słowo pani dają: jeszcze nigdy w życiu mi tak dobrze nie było. Tylko nie chciałbym, aby ten spacer się skończył. Chciałbym, aby trwał tak bez końca zawsze. Toby dobrze było, prawda, co?

Belcia kiwnęła tylko potakując główką; milcząc zagryzła wargi i, mrugając jak zwykle w stanie podniecenia pocziwemi oczyma, ciężko westchnęła. Bo cóż ma mu odpowiedzieć? Nie, nie, są chwile, które szkoda na słowa marnować. Człowiek cichutko milczy, bojąc się, aby ich nie spłoszyć.

Nawet mama zamilkła przy Kamińskim, nie wiadomo, czy ze zmęczenia, czy pogrążona we wspomnieniach, Władek z Kazią przestali dowcipkować. I Belcia, jakby pod nadmiarem szczęścia, pochyła kształtną główkę, która i tak ugina się zwykle pod ciężarem ciemno blond, skromnie zaczesanych grubych warkoczy, i nie wiedząc, co odpowiedzieć, poprawia zwolnioną z rękawiczki rączką niesforne ze złotej peli loczki, które igrają na jej szerokim karku. Delikatny brzoskwiniowy meszek niepokalanej cery zaróżawia słońce i zrasza go perlistą

rosą. I Belcia spuszcza jasne oczy, niedyskretnie ocienione rzadką rzęsą, aby ukryć wyglądającą z nich duszę.

Nie, bo tylko spojrzcie dokoła: stanowczo świat jest zbyt piękny, a Pan Bóg zbyt wiele cudów w nim nagromadził, aby mózdz spokojnie objąć to wszystko i dać sobie radę z tym całym czarem, który wali ci się w oczy, w uszy, napęlnia piersi, wszystkie zmysły rozsadza...

— Stańcie na chwilę i patrzcie, jak tu ładnie — proponuje Kazia.

Zatrzymali się i odwrócili głowy w kierunku Łazienek. W złotych promieniach jarzącego słońca kąpią się teraz całe aleje; ponad nimi płynie olbrzymi błękit nieba aż het ku rogatom belwederskim, cudny, piękny, bez jednego białego obłoczka, niby lawa z rozpuszczonego miliarda turkusów. Niebieskość ta letniego dnia, niehamowana zielonym liścieniem, panoszy się z taką siłą, że ludziom się zdaje, iż pierwszy raz widzą niebo. Nigdy go tyle nie było. I te szeregi drzewek z pączuszkami seledynowych, delikatnych listeczków, przez które złoci się słońce, i ta cała ciepła ziemia, woniejąca płodami, które w swoim łonie jeszcze ukrywa... A wśród tej potęgi natury, ludzie środkiem alei, jak małe mrówki, poruszają się, pyszniają się i przybierają wielkie miny w swoich lilipucich w porównaniu z niebem pojazdach; tłumią się w przepelnionych, śpiesznie dzwoniących tramwajach, gwarzą na ławeczkach, traktując na równi z mrówkami swoje życie na seryo. Jak motyle lub barwne kwiatki na łące, błyszczą zaognione

twarzyczki młodych, lśnią jasne sukienki, czerwienią się, jak maki, jaskrawemi plamami czerwone parasolki.

I Belcia naraz, nie zdając sobie sprawy, uczuwa, jakby to, że jest małym, marnym robaczkiem wśród tych potęg wszechświata, że jej bóle i radości nie mogą obchodzić tego wielkiego nieba, że nikt nie pyta się mrówki jednej z miliarda, czy ją co boli, i rozdeptanej nikt nie spostrzeże. Niebo dalej roztaczać będzie swoje błękity, słońce złościć, powietrze upajać...

Wzdrygnęła się cała i odwróciła, szukając instynktownie opieki matki. I zobaczyła małą, zmęczoną starszuskę, mrówkę biedniejszą jeszcze, niż ona, którą jeszcze łatwiej zdeptać, i przytuliła się do niej, jakby pod jej biednemi skrzydłami szukać chciała opieki.

— Co Belci się stało? — pyta ją stara — Belcia jest blada.

— Nic, nic, mamusiu, czuję się trochę zmęczona.

Czuła skierowane na siebie spojrzenia pięknych oczu Franka i zdawało jej się, że piękne te oczy mówią:

— Wiem o wszystkim. Bo to wszystko jest moje.

I zdawało jej się, że tonem już władcy powiedział:

— Może wody sodowej?

— Dziękuję — rzekła, nie spojrzawszy na niego, przytuliła się silniej do ramienia matki.

Nie odeszła już od niej.

A Kazia, zmęczona spacerem, powietrzem, słońcem, tłumami, zgiełkiem, wrażeniami, egzaltuje się i, jakby w transie, opowiada Władkowi stałe marzenia, które często wśród trosk i zmartwień kołyszą ją do snu:

— To jest przecież takie głupie, takie nie moje, tak



nie łączy się z moją trzeźwością, a gości sobie jednak w moim mózgu i rozłączyć się z tem nie mogę.

Dziecinne to marzenie polega na jakimś istnieniu ukrytego zdała raiku, w którym Kazia będzie kiedyś żyła, jak zaklęta królowa. Raik ten nazywa się świątynią Flory, bo ściany domku pokryte są umieszczonymi na drucikach doniczkami, jedna przy drugiej, codziennie zmienianych, świeżych róż. Do raiku tego Kazia doszła drogą swojej sławy śpiewaczki, czy też malarzki. Lecz zawód ten rzuciła i żyje jako królowa kwiatów; bo nietylko domek jej, lecz i uprząż, nakrycie do stołu, służba, nawet posłanie ugina się pod pękami róż. A kiedy chodzi po ogrodzie, małe dziewczeczki w bieli rzucają jej róże pod nogi. Nawet ponad łodzią, którą pływa po modrem, turkusowem jeziorze, unosi się baldachim ze świeżych wieńców z kwiatów.

— Jakie to dziwne, prawda? Mieć marzenia tak niepodobne do mojej osoby, tak nietrzeźwe, takie dziecinne? To jakby ktoś inny we mnie siedział, lub jak gdybym była zupełnie inną, niż mi się samej wydaje.

— Naturalnie—potwierdził Władek, wpatrując się w nią z miłością, bo nigdy nie wydawała mu się tak piękną, jak teraz w tej roli władczyni świątyni Flory—każdy z nas czuje w sobie czasami innego człowieka, z innymi gustami, z innym charakterem, z innym sercem i z innym temperamentem. Bo na świecie niema ani ludzi skończenie złych, ani zdecydowanych impetyków. Bo tym złym, impetykom, zawsze przeszkadza ten siedzący w nich powolny i dobry limfatyk, który psuje im ich charakterystyczną barwę.

— Jakie to wszystko dziwne! — mówiła z owem zdumieniem ludzi młodych, którzy nie od dawna nad życiem się zastanawiają. — Więc nigdy w takim razie nie możemy ręczyć, co nas spotka od człowieka, mieszaniny wszystkich wad i zalet?

— Nie możemy ręczyć za nikogo, nawet za samego siebie.

— To okropne! — wzdrygnęła się.

Narysowane cieniutką linijką czarne jej brewki ściągnęły się, a pieprzyki na matowej z alabastru twarzy, której słońce tknąć się nie ośmieliło, zbliżyły się ku sobie.

— Czemu mi się pan tak przypatruje? — zapytała z uśmiechem, pewna, że ją podziwia. — Zapewne włosy mam nie w porządku?

Zręcznym ruchem ręki uśmierzyła wylewającą się z pod kapelusza falę włosów, które piętrzyły się teraz cudacko, nie psując owalu pięknej jej główki.

— No, nareszcie! Teraz już dobrze? — rzuciła jeszcze jedno spojrzenie swoich egipskich, długich, czarnych oczu, które brwi gęste, długie i czarne do przesady, jeszcze bardziej, jakby sztucznie wydłużały, i powróciła do przerwanej kwestyi.

Wstydziła się swego tchórzostwa i cofała się ze śmiechem:

— Nie, nie! Wstyd doprawdy! Zaczynam się obawiać życia, jak Belcia. Miałeś pan słusność. Niema na świecie perfekcyi z jednej sztuki. W najodważniejszym człowieku siedzi kawał tchórze.

Stanęli na chodniku. Na przeciwną stronę alei

przejsć było niepodobieństwem: *Corso* na placu zdaje się, iż się skończyło. I w alejach po prostu aż wre od gwaru, tętentu i chaosu skąpanych w jaskrawem złocie słońca barw pięknych kobiet, które toną w powodzi kwiatów w swoich powozach, sunących nieprzerwanym sznurem stępa jeden za drugim. Brzmi nawoływanie woźniców i rozpaczliwy dzwonek niemogących się precisnąć tramwajów. I słyhać ustawicznie:

— Patrz, to ta! Spojrz na ten powóz. Och! Jaki piękny! Patrz, to ta księżna, baronowa. Ta — to ta aktorka...

Wyliczają znane nazwiska wielkich dam i ulubionych artystek. Lecz Kazia, zmęczona już spacerem, upiera się, aby przerwać sznur pojazdów i przejść na drugą stronę, gdzie tłum mniejszy. Nie sposób. Naraz dostrzega, że oto amerykański, najpiękniejszy ze wszystkich, o jakichś cudackich, nieznanym jeszcze w Warszawie kształtach, zaprzężony w trzy idące na szpic karre konie jak malowane, cały tonący w różowej powodzi hiacyntów — zatrzymuje się przed nią, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, jakby wrósł w ziemię ze swoją trójką parsających arabezyków, z nieruchomo siedzącymi z tyłu z minami lordów wygalowanymi lokajami. A powożący na wysokim koźle piękny wysmukły chłopiec, w ubraniu popielatem i w białych rękawiczkach, jakby żywcem wycięty bohater romansu z ilustracyi angielskiej, odwracając głowę, zatrzymuje zręcznym gestem bata całą falę płynących za nim powozów.

I Kazia, prowadząc za sobą całe towarzystwo, rzu-

ca na niego spojrzenie i wnet płomienieje jak wiśnia, bo oczy ich się spotkały.

— To on, królewicz z bajki, ten wyśniony... — zadudnił w niej ów głos, kuszący do niedorzeczności.

— Jaki grzeczny! Dostrzegł, że jesteśmy czemś lepszym od hołoty — dowodziła Kuczyńska, wciąż przekonana, że ma kucharza Rocha i Opatówkę wyrysowaną na czole — i przepuścił nas. I patrzcie: dzięki nam, ilu to ludzi przechodzi za nami na drugą stronę.

— A wiedzą panie, kto to jest? — zapytuje Władek, szczytający się swojemi wiadomościami. — To Siżys księżę Dorohoniecki.

Ks. Dorohoniecki, królik stolicy, którego imię Zygmunt zdrobniałe z francuska według Delfiny Potockiej, nazywającej ongi Siżysiem — Zygmunta Krasińskiego, leży na ustach całej Warszawy!

Siżys, Siżys! Dostrzegł ją jedną, jedyną z pośród tysięcy, i jako hołd, oddany jej piękności, jak królewicz z bajki, rzucił jej most pod nogi, a jego jasne młodzieńcze oczy zaśpiewały hymn:

— Jakaż piękna, piękna, piękna!

— Ach! to to jest Siżys? — zapytała niby obojętnie Władka.

— Jednak dobrze jest być piękną — rzekł, nie odpowiadając na jej pytanie Władek, trochę zasepiony — prawda, panno Kazimiero?

— Pan się mnie o to pyta? Phi! Nie wiem jeszcze.

Poszli do placu Trzech Krzyżów. Matka z Belcią i Kazią usadowiły się w dorożce. Młodzież z czapeczkami w ręku żegnała panie. Rozstali się.

— Dobrze dziś z niemi było! prawda!—zakonkludował Franek.—Widzisz? A wymawiałeś się. Tak ci pilno było do Julki.

— Julka swoją drogą—rzekł Władek—a to swoją.

— To prawda—potwierdził, jak zwykle, Franek.

Rozśmiali się obaj.

Minęli plac i poszli Nowym Światem. I tu czuć niedziełę. I tu gwarno, zgiełk, ruch. Na chodnikach tłumy; a środkiem ulicy suną pełne tramwaje, pędzą na łeb na szyję dorożki z rozwalającą się pozłacaną niedzielną młodzieżą; fruwiają jakby po ziemi zgięci w pałąk na swoich cudackich maszynach cykliści. A nasi trzej młodzieńcy, naśladując swymi szerokimi krokami ulicznych donżuanów, posuwają się naprzód z rozpiętymi szykownie mundurkami, rzucając spojrzenia na przechodzące kobiety i skubiąc uporeczywie swoje przeszłe wąsy. Mówią teraz wesoło o swoich kochankach. Tylko Kamiński w bardzo złym dziś humorze, udając dyskretnego, milczy, zajęty wyczytywaniem szyldów na sklepach.

— Twojej Julce — mówi Franek — można zresztą wszystko wytłumaczyć. To wesoła dziewczyna! zawsze znajdzie sobie jakąś zabawę. Wiesz, ja ją bardzo lubię. Ale znasz Józię? Kiedy tylko się spóźnię, ma oczy zaczerwienione, choć nie przyznaje się, że płakała. Mówi, że z chwilą, w której przestanę ją odwiedzać, otruje się. To wcale nie jest zabawne.

— One wszystkie tak mówią—machnął ręką, udając doświadczonego, Władek.

— A czy pamiętasz Walerkę? Już ja mam takie

dyable szczęście. I z tem wiecznem wymawianiem, że jej nie kocham! Przecież gdybym jej nie kochał, tobym do niej nie chodził.

— Et! z takim tam kochaniem...

— Dobry sobie jesteś! Przecież nie mogę z niemi wszystkimi się żenić.

— Ty i żenić... Ha! ha!—rozśmiał się Franek.—To ci się udało.

— E! ty wszystko obracasz w żart. A Mania jest poczciwa dziewczyna. I wiesz, w spojrzeniu ma coś podobnego do Belci. Ta sama dobroć, ten sam uśmiech, słowo ci dają. Naturalnie nie jest tak delikatną, ani tak ułożoną. Zupełnie co innego... Ale pewne podobieństwo jest.

— Kiedyś się kochał w Walerce, mówiłeś także, że jest do Belci podobna.

— A bo Walerka także. Słowo ci dają.

— Także ma oczy, usta, nos, prawda? To znaczy, że wszystkie kobiety są do siebie podobne.

— A może nie są podobne?—rozśmiał się ze swego dowcipu.

Mówili to wszystko o pannach i dziewczynach zupełnie spokojnie, jak ludzie zdrowi, dojrzały i syci, żyjący życiem normalnem, niepodnieceni wyczekiwaniem wrażeń, z nerwami zaspokojonymi.

— To wszystko bardzo piękne, ale te pierniczki, słowiki i kwiatki nie są wcale sytne. Jestem wściekle głodny.

— O! I ja także.

Lecz drogi ich się rozchodziły. Podali sobie ręce.

Kamiński bardzo zimno z nimi się pożegnał — rozeszli się.

Kiedy Kazia, odwieziona do bramy domu przez Kuczyńską, weszła do mieszkania, wszyscy stołownicy wyczekiwali już obiadu. A Janowska, opasana fartuchem, z zaognioną twarzą, w jak najgorszym humorze, kończyła w kuchni zacierki. Spostrzegłszy wchodzącą Kazię, nie omieszkała natrzeć jej porządnie uszu z powodu spóźnienia się.

— Przecież obiad jeszcze nie gotów — zauważyła Kazia spokojnie, pogodna dziś i nie usposobiona do walki.

— Ale mógł być gotów. I twoim psim obowiązkiem...

Kazia, nie odpowiadając jej, wzruszyła tylko ramionami i wyszła z kuchni, zamykając drzwi za sobą.

Janowska drzwi otworzyła i, nie zważając na stołowników, krzyczała:

— I bardzo cię proszę, abys nie wzruszała ramionami. Zrozumiałaś?

Obiad z powodu jakichś wyjątkowych nieszczęść dość długo się nie zjawiał; Kazia, nie spragniona go dziś wcale, ukrywszy się za parawanem przed wyczekującymi stołownikami, których nie lubiła, rozpamiętywała dzisiejszy spacer.

— Poczciwa pani Latoszkiewiczowa, poczciwa Belcia! Przynajmniej na chwilę zapomniałam o tem piekle, o tym hotelu, w którym niema dla mnie kąta. I ten Władek chyba umarłego potrafiłby wprowadzić w dobry humor. Jaki inteligentny, jaki dowcipny. Zapo-

minam przy nim zupełnie, że nie mam się czego radować.

Przypomniała sobie wszystkie szczegóły rozmowy, wszystkie ich wspólne dowcipy dziecinne, poglądy na życie, naśladowanie aktorów i karykaturę Mazepy i młodość zwyciężyła: marsz z czoła zniknął i uśmiechała się sama do siebie, w nieswoim kącie za parawanem.

I Belcię, nie umiejącą kłamać i udawać, męczy rozmowa z matką.

— Możeby Belcia co zjadła?

— O nie, mamciu, za nic w świecie, może później, później.

Spragnioną jest jedynie ciszy, spokoju, nocy. Wreszcie nadszedł oczekiwany wieczór. Teraz Belcia doradziła matce odwiedzić wieczorem Latoszkiewiczów i powiadomić ich o pomyslnym obrocie sprawy Franka. Belci śpieszno zostać nareszcie samą ze swymi myślami, które egzaltuje jej wydelikacjoną wyobraźnią panięńską. I odetchnęła swobodnie, kiedy stara z dumą poszła do Latoszkiewiczów. Belcia, zmęczona, postanowiła położyć się do łóżka. Zdjęła z siebie już piękną sukienkę. Grzebień, którym rozczesywała do snu kasztanowate włosy, wypadł jej z ręki i przesłiczna w złotym odbłasku jednej zapalanej świecy, wypływa z czarnego tła ciemnego pokoju, cała śnieżna wśród białości bielizny i puchów pościeli. Myśli teraz jedynie o swoim przestępstwie, o swojej pozycyi ręki, której pozwałała przez całą drogę zwieszać się jedynie, aby móżdżek podczas chodzenia dotykać się jego dłoni. Muśnięcia te czuje jeszcze teraz na kończynach swoich palców i aż się wstrzą-



sa cała. Mineły więc już czasy, kiedy nie miała kryć się z czemś przed kimkolwiek. Teraz Belcia w swojej czystości enotliwej pensyonarki uważa się już za upadłą kobietę. Pojmuje, że cała jej przyszłość weszła na inne tory. Nie może już teraz wyjść za przyzwoitego, statecznego, starszego człowieka; nie może go zdradzać, nie może mu powiedzieć:

— Wychodzę za mąż za ciebie, ale są rzeczy, o których nie powinieneś się nigdy dowiedzieć.

A ukrywać się przed nim i kłamać przecież nie będzie. Wszystkie jej dotychczasowe układane plany życia za jednym zamachem zniweczone. Bo Belcia wyobraża sobie teraz, że jak Bóg stworzył tę cudną wiosnę z ptactwem, zielenią i słońcem, tak stworzył specjalnie dla niej Franka. To jest jej człowiek, on jedyny do końca życia... I jakże marnie wobec ogromu tego jej uczucia wyglądają jej dawne projekty szarej przyszłości i banalnej karyery! Zresztą co ją obchodzi przyszłość? Od przyszłości ona niczego nie wymaga, żadnego stanowiska przyzwoitej mężatki, mieszkanka z kretonowymi mebelkami. Teraz Belci się zdaje, że ona pragnie tylko jednego — śmierci.

— Ach! Ta panna Julka! Co ją może obchodzić, czyją ja jestem narzeczoną? I mamcia także przeciwko mnie z tem tykaniem się naprzykład, które posłyszałam, wychodząc z pokoju; jakbym ja sama nie wiedziała, co wypada, a co nie wypada? I Kazi powiem raz na zawsze, aby się do moich spraw nie wtrącała. Ja się do niczyich spraw nie mieszam, a oni wszyscy wiecznie, wiecznie... I tak mię męczą, tak mię męczą...

Ta pogodna zawsze Belcia czuje teraz żal do wszystkich. Zdaje jej się, że wszyscy ludzie powinni wiedzieć o tem, jak ciężką nosi w sobie tajemnicę, i dlatego też należy ją oszczędzać, mówić koło niej cicho i chodzić na palcach.

Za nic w świecie nie wykreśliłaby ze swego życia dnia dzisiejszego, a jednak czuje się bardzo nieszczęśliwą. Czuje doskonale, że w sercu jej, jak w państwie duńskim, „wszystko się zepsuło“. Przestała być samą, nie należy już do siebie samej, jest związana całą jaźnią z nim, z tym młodym chłopcem o białych zębach, iskrzących oczach i palących dłoniach. Łęczy ją nierozzerwalnie z nim owa wspólność pragnień, niema umowa, jaką zawarli; tajemnica, która zawisła pomiędzy nimi; ta opuszczona jej ręka, która niewolniczo poddała się muśnięciom jego dłoni. A może on nie cofał swojej ręki jedynie dlatego, iż domyślał się, iż ona tego pragnie? Wielki Boże!

Jego miłość dla niej! Belcia pierwszy raz uchwyciła się tego straszego pytania i blednie po raz pierwszy z trwogi wobec grozy życia dwojga kochanków, których serca mogą nie bić z jednakową siłą. Jeżeli Pan Bóg jego jedyne stworzył dla niej, lecz nie ją dla niego, jeżeli on w tej chwili nie myśli o niej, jeśli...

— Nie, nie, to niemożliwe!

Belcia przypomina sobie jego częste odwiedziny, całe godziny spędzane u nich, grzeczności różne. Te kwiaty dzisiejsze były przecież nie dla Kazi? jego dobry humor w jej towarzystwie... Przecież mógłby to-

warzyszyć Kazi, lecz nie jej wiecznie. I dlaczego miałby udawać?

Co do sympatyj jego jest najzupełniej przekonana. Tak, jak najpewniejsza, że podoba mu się więcej, niż inne.

Lecz czemuż są takie okruchy miłości w porównaniu z tymi skarbami, jakie ona dla niego czuje? Zasłona teraz z przed oczu jej spadła: ona go kocha. Wielki Boże! Pojmuje to teraz doskonale i na samą myśl wstrząsa się. Kocha go! Więc to jest miłość? szal, który odbiera spokój, rozwagę, trzeźwość, zabiera człowiekowi każdą sekundę jego życia, przemienia charakter, pochłania całego.

Gdyby dla jego szczęścia trzeba było wypić esencji octowej lub wyskoczyć w tej chwili oknem, nie wahałaby się ani chwili. I wydawałoby się jej to rzeczą zwykłą, drobnostką. Przecież od dnia dzisiejszego, kiedy zasłona zupełnie spadła jej z oczu, po tem, co między nimi zaszło, po niemem jej zgodzeniu się na to, z czem się wynurzyć przed nikim nie można, jest już jego, należy już do niego na całe życie.

— A on, a on? co robi w tej chwili, co myśli? Ach! czemuż nie może mieć wspólnej z nim duszy!

Objęła się obiema rękami za głowę i patrzyła w dal bardzo spokojna, dojrzała, jak dorosła osoba, pojmująca, że w życiu niema dwóch jaźni identycznie do siebie podobnych, że ziemskie powłoki murem chińskim oddzielają duszę, że tylko duety w operetkach mogą być śpiewane *unisono*.

W życiu różność jaźni najrozmaitszych odcieni prze-

mienia wszystkie uczucia w bogate brzmieniem akordy cierpienia.

Trudno! Takim jest już życie. I żal jej się zrobiło dawnej swobody, pogodnych lat dziecięcych i bezmyślnego życia małych piskląt. I Belcia zdziwiona spostrzeżga, iż pomimo to, iż czuje się szczęśliwą, duże, ciężkie łzy płyną z jej oczu.

— Co to jest?

Łzy dziewczyny zakochanej! Któż odgadnie tę mieszaninę i walkę najwyższej rozpacz i najwyższego szczęścia! ten bunt dumy i tę gotowość do ofiar, wstyd śpiącej królewny, żalującej, iż za zbliżeniem się mężczyzny przestała już być czystym gołębiem, wreszcie setki skomplikowanych odcieni, na które starzy dokoła wrzuszają ramionami i nazywają nieznośnymi grymasami, jakimś „niewiedzieć czemś“.

Belcia pojmuje, że miłość to nie dawne, pogodne jak zefir, czyste szczęście dziecięce, to rozkosz ziemi i piekła, to rozkosz bólu i cierpienia.

I Belcia czuje, że skończyły się czasy dziecięce. Przed nią stoją otwarte wrota życia, bo cierpieć — to znaczy przestać być dzieckiem, a smutek to patent na dojrzałość. I Belcia przełękła się i, zgasiwszy świecę, zakrywa głowę kołdrą, tuli się do poduszki i, odwracając się do ściany, przywołuje na pomoc chwilę, kiedy była małą dziewczynką, i powtarza bez końca, jak gdyby miała przystąpić do egzaminu:

— *Les participes: vu, supposé, excepté, passé, y compris, ci-joint, ci-inclus—sont invariables avant le substantif et variables après.*

Cisza nocy wydaje jej się zgiełkiem, wśród którego nie można myśleć spokojnie, o czemby się myśleć chciało. To stary zegar na komodzie ze swoim wiecznym tik-tak łączy się z biciem serca; przytem w skroniach jej łopoce, nawet puls ręki jej przeszkadza. A tu jakby orkiestra cała wygrywa wielki hymn na cześć... miłości!

— *Les participes: vu, supposé, excepté, y compris...*

— Nie, nie. Myśli to nie glina, nie można z nich ulepić, co się chce.

Nie można też być z niemi niegościnnym gospodarzem i rzucić im:

— Niema mnie w domu.—Natrętne nie ustąpią.

— Franek, Franek, Franek!

Do pokoju weszła Kuczyńska i pomimo, iż stara widocznie usiłuje nie budzić Belci i nie zapala nawet świecy, znać po sposobie, z jakim zrzuca z nóg trzewiki, iż jest wzburzona.

— Cóż, mamciu? Pani Latoszkiewiczowa była bardzo ucieszona?

— Rzeczywiście, warto ludziom dobrze czynić — mówi z najwyższą goryczą, zawiązując bandy u nocnego czepka z takim rozpędem, aż jej się w szyję wpiły.

Trochę się broni z tem spowiadaniem, wreszcie wypaplała jej wszystko. A było to tak: kiedy dowiedziały się, że sprawa szkolna Franka szczęśliwie zakończona, panna Petronela zadecydowała swoim przesadnym patosem:

— Nawet najczulsza matka nie mogłaby uczynić dla syna więcej, jak pani dla naszego Franka.

A na to wiecznie nietaktowna Julka wyrwała się:

— Kto wie? A może to właśnie prognostyk, iż Franek będzie kiedyś dla pani synem?

A na to stara Latoszkiewiczowa wpadła na córkę z niebywałym u niej impetem:

— Julko, bardzo cię proszę, nie pleć głupstw.

A potem swoim cielecym, niby osłabionym głosem zaczyna pleść smalone duby, że dobrzy synowie nigdy nie żenią się bez zezwolenia matki, że ona żyje jedynie myślą, iż syn jej, Ślepowron-Latoszkiewicz, sprowadzi ród ich do dawnej świetności i tere-fere, tere-fere...

— Czy słyszane to rzeczy?—irytuje się teraz w łóżku wśród czarnej nocy Kuczyńska.—Takie szwaczki, kłamiające, iż z Kujawskiego pochodzą, z takim urwipołciem, wyrzuconym ze szkół, chciały imponować jej, Kuczyńskiej, która w czwórkę do kościoła jeździła, u której Roch i hrabia Zamoyski i t. d. i t. d.

— A ja głupia — dręczy się teraz — języka w gębie zapomniałam. Zamiast powiedzieć im: Moja pani, kiedy Kuczyńscy karetami jeździli... Czy Belcia śpi już?

— Aha! — mruknęła Belcia, nie mogąc ani słowa matce odpowiedzieć.—*Les participes: supposé, excepté, ci-joint...*

Co? więc nie dość bolesnego chaosu, jaki jej piersi rozsadza? Nie dość tych dysonansów niepewności, czy i on ją kocha, tych walk pomiędzy dumą królowej a uległością niewolnicy? Nie dość tych kuszących buntów ciała przeciwko wzniosłym pragnieniom duszy? Nie dość tej męczarni? Jeszcze i ludzie, zamiast chodzić przed nią na palcach i schylać przed nią głowy,

występują ze swemi marnemi przeszkodami zewnętrznemi? Nie, nie. Rzeczywiście, ciężkie jest życie!

Małżeństwo! Jacy ci ludzie rzeczywiście są głupi, nic nie rozumieją. Jak gdyby ona pragnęła wyjść za mąż za Franka! Nie wyjdzie za mąż ani za niego, ani za nikogo.

— Nie chcę, nie, nie!

Przyszłość? Wiele o nią dba—rzeczywiście! Pragnie tylko jednego: widywać go kiedy niekiedy. Niech rozmawia o rzeczach najobojętniejszych z jej matką, a ona będzie mileżała. Chce tylko przysłuchiwać się i oddychać powietrzem tego samego pokoju. Nic więcej. A reszta—wszystko głupstwo! Cała jej jaźń przemienia się w jedną, jedyłą obawę:

— A jeżeli pani Latoszkiewiczowa nie pozwoli mi nas odwiedzać?

Figlarny bożek miłości, który roztoczył nad nią swoje skrzydła, mógł już tryumfować: posiadał ją całą.

## VI.

Z chwilą, kiedy człowiek zaczyna liczyć lata (nie liczył ich, kiedy był dzieckiem), mijają one, jak błyskawica.

— Więc już przeszło pięć lat upłynęło od owego spaceru w Łazienkach? — zdziwiła się Belcia.

— Czyżbym zaczęła się już starzeć? Jakiś Francuz powiedział, że kiedy człowiekowi wpada myśl, że zaczyna starzeć się, oznaka, że się już zestarzał — rozśmiała się.

Faktem, że Belcia nie spostrzegła, a wiele wody upłynęło od spaceru w Łazienkach. Lecz Belcia obecnie nic nie wie, co się dokoła niej dzieje. Pomimo całej swojej powagi i trzeźwości, żyje teraz, jak bankrut, jedynie terażniejszością; nie marzy o przyszłości, nie bada, co tam kiedy będzie. Bo ten mały figlarny bożek miłości zaczyna od tego, iż uderzając swoją strzałą, zabija w mózgu człowieka zdolność analizy; wobec tego nie dziwi nikogo, że zakochani popełniają na każdym kroku tysiączne olbrzymie głupstwa, że są zdolni do najidealniejszych ofiar i że czują się szczęśliwi.

Kuczyńska prawie wcale nie otrzymywała już pro-



centu od swojej sumki, ulokowanej na hipotece bardzo nisko, a raczej bardzo wysoko, bo prawie na księżycu.

Cóż to mogło obchodzić Belcię? Nie pojmowała nawet, że matka tak wiele o tem rozprawia, tak się tem przejmuje; ona uważała to, ot po prostu, za taki sobie nie bardzo ciekawy temat do rozmowy, nie więcej. Czy pieniądze dają szczęście? Zresztą co pomoże rozprawiać o tem? Stracili, to stracili, i skończona historia. A czyż nie wystarcza im na utrzymanie to, co ona zarabia z lekcyi? A lekcyi tych nie zabraknie jej nigdy. Gdyby tylko czasu jej starczyło, dwa razy tyleby ich jeszcze miała! Ale więcej nad osiem godzin dziennie dawać nie można. Bo droga z jednej lekcyi na drugą dużo czasu zajmuje. O lekcye te nawet nie bardzo się starała, spadły jej jak z nieba. Jednakże te jej wszystkie nagrody, pochwały, medale na coś się przydały. Za ledwie skończyła nauki i egzamin nauczycielski z odznaczeniem zdała, ma zapewniony z matką byt stokroć lepszy, niż przy oczekiwaniu z założonemi rękoma na tę marną rentę, a raczej żebraninę, z którą wiecznie miały tyle utrapienia. Belcia, otrzymując każdego pierwszego zapracowaną pensyę, uszczęśliwiona myśli sobie nieraz w duchu:

— Bardzo dobrze, że tę utrapioną rentę dyabli wzięli. Wolę sto razy swoje lekcye.

Lecz Belcia cieszy się teraz nietylko z tego, że majątek utracili. Wszystko ją teraz cieszy.

Zajmują obecnie dwa małe pokoiki z kuchenką. Kuczyńska przed każdym gościem utyskuje na ciasnotę

pomieszkania; poczem naturalnie skierowyywa rozmowę na obszerność dworu w Opatówce, poczem wyjeżdża na stół Roch, któremu kiedy się tylko powiedziało: Rochu, dzisiaj trzydzieści osób i t. d.

Belcia, naturalnie, w takich razach milczy i wogóle nie sprzeciwia się matce, wyrozumiawszy sobie, że wszystkie matki to są takie specjalne, ukochane istoty, które się rodzą z siwymi włosami, przedzielonymi na czole, w dużym kapeluszu z fioletowemi wstążkami, które mówią wiecznie o dawnych dobrych czasach, są poczciwe, poczciwe, ale krytykują wszystko, co się teraz dzieje, choć dzieje się teraz wszystko tak cudownie, że i marzyć o lepszym nie trzeba. Bo co się tyczy ich mieszkania, na przykład, to Belcia po prostu przepada za tem mieszkaniem; z latarnią szukać na świecie przyjemniejszego.

Belcia wygląda teraz bardzo ładnie, choć odrobinę inaczej, niż dawniej. Zeszczuplała trochę i figurę ma ładniejszą. Prawda, że więcej dba o swoją osobę, zna się więcej na modach, choć pod względem szyku zawsze niżej stoi od swoich przyjaciółek, ubierających się po długi jak najściślej przestrzeganego paragrafu, i włosy żelazkiem codziennie sobie fryzuje modniej, niż dawniej. Cera jej trochę pobladła, różowo-złotawy plusz brzoskwiniowy z twarzy jej zniknął. Tylko oczy wielkie, sedynowe patrzą jak dawniej, przejrzyste, aż do dna poczciwej jej duszy, jak spokojne jezioro, i wargi mięsiste, wilgotne nęcą swoją świeżością.

Wskutek owego życia bez jutra, charakter Belci się też zmienił: jest mniej poważną, niż kiedy była dzie-

kiem. Lubi figle, czasami jak gdyby lubowała się swoją naturalną naiwnością dużego dzieciaka.

Na ulicy krygować się nie potrafi; nie ma minek i szyku przeciętnej Warszawianki; dopiero w pokoju, ośmielona, roztacza dokoła kolejno wszystkie swoje uroki: naiwną wesołość (pomimo swojego patentu nauczycielskiego), dźwięk mowy niezwykle harmonijny, brzmiący tercjami, ustawiczne zaczerwienienia się, których sama się wstydzi, i śmieszne gubienia się w zbyt długich opowiadaniach zdarzeń lub przypadków, aż matka się gniewa wobec gości:

— Czyście państwo choć słowo zrozumieli z tego, co Belcia opowiada?

Belcia w śmiech; a nawet najzawistniejsze kumoszki musiały przyznać, że w całym jej zachowaniu przebija właściwy jej tylko wdzięk i poczciwość.

Belcia jest teraz szczęśliwą, bo on bywa stałym gościem w ich domu. Belcia umyślnie chce być miłą, dobrą, wesołą i ładną, aby jemu się podobać, a jest miłą, dobrą, wesołą i ładną, bo go kocha, bo on się jej podoba.

To upiększanie gniazdka to chęć, aby jemu w niem było dobrze; kupno każdej wstążeczki ma swój cel. Każdą kokardkę zawiazuje, nucąc i śpiewając, i to nie ona nuci, lecz miłość w niej hymny wyśpiewuje. Dlatego w tym nastroju każdy kącik mieszkania jest tak ładny, i lekye nie są nudne, i uczennice poczciwe. Każda pora roku ma swój urok, nie mówiąc już o wiosnie i letnich wieczorach. Lecz kiedy nawet deszcz bije jesienią o szyby lub mróz pod nogami trzaska, czyż to nie

rozkosz prawdziwa? Miłość nawet wtedy śpiewać w niej nie przestaje. Ni stąd ni zowąd napada ją chęć przytulić się do piersi matki, całować ją po rękach i twarzy i szeptać:

— Och! mamciu, mamciu, gdybyś ty wiedziała, jak ja ciebie kocham.

A matka na to, nie wychodząc z roli groźnej, poważnej osoby, głaszcząc ją ręką po włosach:

— Nie wstyd to takiej dużej dziewczynie pieścić się, jak małe dziecko? A gdybyż to tak kto zobaczył?

Jeżeli całe dzieje Belci mieszczą się lakonicznie w tem, że z dziecka, jak śpiąca królewna, została różdżką czarodziejskiego chłopca przemieniona w dorodną pannę, Franek mógł w ciągu tych kilku lat o sobie powiedzieć znacznie więcej. Nie był panienką, nie na przyozdobienie mieszkania wychodziły mu pieniądze. Łóżko, świeca w butelce, miednica na stołku, kilka gwoździ do ubrania na ścianie, samowar, ot i zwykły wykwint kawalerskiego mieszkania.

I takie nawet mieszkanie nie zawsze mógł opłacić, pieniądze się „rozchodziły“, sam nigdy nie wiedział na co, choć pensyi w towarzystwie ubezpieczeń miał już 800 rubli i wogóle w życiu dość mu się szczęściło. O miejsce siostry mu się wystarały przez jakąś swoją klientkę, żonę jednego z inspektorów, i same potem do jeneralnego reprezentanta biegały o podwyższenie pensyi. On myślał jedynie wtedy, kiedy w połowie miesiąca grosza w kieszeni nie miał, choć za obiady matce i siostram od dawien dawna był dłużny, obiecując najsolennie wszystko spłacić. Tymczasem pożyczki od

nich zaciągał, tłumacząc się, że na wekslach nie swoich, lecz kolegów jako poręczyciel się podpisał. Faktem jest, że ma dobre serce; lecz także faktem, że z prawdą zawsze się mija; kiedy jednak mówi, że grosza przy duszy nie ma—nie kłamie. To pewna. Od najmłodszych lat złotówki od sióstr wyciągał, książki szkolne cichaczem sprzedawał; a teraz możliwe zaliczki na pensję bierze, kredyt w kasie pożyczkowej wyczerpał, krawcom nie płaci, na wekslach się podpisuje i tysiączne „kawały“ w głowie układa, aby grosz zdobyć.

Miał specjalny swój rodzaj wydatków i przyjemności. Kiedy tylko zaliczkę odebrał, wsiadał do szykownej dorożki, zakładał nogę na nogę i jazda po kawalersku w Aleje Ujazdowskie! Dorożkarz, przejechawszy kilkakrotnie Aleje, zapytywał:—Zawrócić?—Nie!—A dokąd jaśnie pan rozkaże?—Ruszaj do Loursa!—Wysiadając przed Loursem, rzucał dorożkarzowi pięć rubli, bo tu na kredyt już się nie dawało.

Wszystkim zebrany na bilardzie fundował kawę czarną i koniak, „ten z trzema gwiazdkami“. Czasami zwracał przy tej okazji jakiemu znajomemu dług 3-rublowy i, wyszedłszy od Loursa, z piętnastu rubli zaliczki na pensję nie miał już ani grosza.

Czasami łapał na ulicy ludzi bardzo mało mu znanych, jakich Bogu duszę winnych podupadłych starych eks-obywateli ziemskich, czasami zawstydzonych, oszłomionych młodziutkich gimnazystów, prowadził ich do Fukiera i stawiał węgryna.

— Numer czternasty, ten, co to ja zwykle pijam.

Fundował butelkę za butelką tym obcym prawie

ludziom, bo bawiło go to, iż ludzie nie wiedzą, iż jest on goły wiecznie, jak święty turecki, i nie drwią z niego, jak jego zwykli towarzysze, dla których, pomimo że się przymawiali nieraz żartem o rewanże, nie było nigdy na to pieniędzy. Tutaj on był raz nareszcie amfitryonem; mógł mówić, co mu ślina do ust przyniesie, a nikt nie zarzuci mu, że kłamie. I Franek udawał, jak na młodzieńca z dobrej rodziny przystało, zawołanego gospodarza, który tylko z musu jest w biurze, i plótł smalone duby starym eks-obywatelom o polowaniach, o ujeżdżanych przez niego dzikich rumakach, nareszcie młodziutkim gimnazystom o miłosnych awanturkach. Wprawdzie w jego życiu zdarzały się w rzeczywistości awanturki miłosne, lecz czy dlatego, że wydawały mu się te wszystkie romanse zbyt mało zajmujące, czy z powodu braku zmysłu obserwacji opowiadał zawsze (nie dla dyskrecyi) nie prawdziwe fakty, lecz zmyślone. Zarówno jak na zdolności obserwacji, zbywało mu na fantazyi i zdarzenia te były bardzo źle klecone i kłamstwo aż wpadało w oczy. Przy tym jednak jego ładnym uśmiechu, dźwięcznym głose i wdzięku młodości nie nudziło to tak, jak kiedy starzy gawędzą o nieciekawych rzeczach, i audytoryum bawiło się.

Starzy zachwycali się werwą przyjemnego chłopca, a młodziutkim gimnazystom aż oczy się iskrzyły do donżuana, imponującego im swojemi przygodami z tysiąca i jednej nocy. I Franek używał, nie żałując, że połowa miesięcznej pensyi na tę godzinę poszła. Zresztą nigdy niczego nie żałował. Jego konjugacya życia była bardzo nieskomplikowana. Nie było w niej

ani *futur*'ów, ani *perfect*'ów, ani *imperativ*'ów, ani *conditionalis*'ów. Był tylko *praesens*—teraźniejszość. A kiedy w matnię jaką wpadł, czy szło o jakąś awanturkę miłosną, sięgającą rozgłosem aż do jego władzy, czy o niezapłacenie szewcowi, grożącemu aresztem na pensyę, załamywały ręce matka i siostry, wyplątywali go przyjaciele, wymawiając mu:

— Ach idyoto, idyoto!...

A on uśmiechał się ładnie, dziękował im i tłumaczył się dziecinnie:

— No, zobaczycie, że ja będę teraz inny zupełnie. Dałem sobie słowo. W ciągu tego roku muszę się ustałkować! Będę bywał tylko w przyzwoitych domach. I wiecie co? Słowo daję, muszę się ożenić!

A matka z radości aż rosła, bo on, podług jej pojęcia, do innego życia był stworzony. Dziewczyny, ot jak zwykle dziewczyny, wskutek biedy do nowej nędzy już zupełnie przystały. Nie potrafiłyby już nawet być paniami. On jeden został prawdziwym Latoszkiewiczem, jak ongi, panem z panów! znać to po cholewach! Ani wielki los na loteryi, ani królewicze dla córek, o których już zupełnie zwątpiła, ani zbawienie—nie były ideałem starej Latoszkiewiczowej—jedynie bogata synowa; marzyła ona o niej bez przerwy, cerując koszule do fraka dla Franka. To miała być nagroda za wszystkie jej zmartwienia, za bieganie ongi pó nauczycielach, za przepłakane noce, kiedy go ze szkół wyrzucali, za zmarnowane na spłatę jego długów ostatnie zabytki z dawnych czasów, za kłopoty z jego miejscem. Zapomni o wszystkim, byle jej ukochany, dobry, nie-

winny, lekkomyślny chłopak był już w dostatku u siebie, na swoim, pod opieką bogatego teścia, otoczony dziećmi, podobnemi do niego, z jego czarnemi oczyma, do których aż dusza jej się rwała. Bogata żona! nie wychodziło to z głowy jej i córek. I myśl ta fruwała po całym domu. Rodziła się codzień rano i towarzyszyła aż do łóżka, czasami sen odbierała.

— Gdybyś choć coś miał ze swoich ładnych wąsów—fukała na niego Julka.

— Kiedy się zaciągnęło długi wdzięczności względem całego rodzeństwa, które się poświęciło...—deklowała panna Petronela.

— Nie umrę spokojnie, póki ty...—wznosiła do nieba oczy matka.

— Nie bójcie się, już zobaczycie...

— Gdybyś miał za grosz rozumu, toby może chociaż jakaś wdowa...—ustępowała Julka.

— Co? wdowa? Także!—błagował Franek. — Gdybym chciał wdowę, to widziałyście te dwa trzypiętrowe domy na rogu Alei Ujazdowskich? byłyby już dawno moje.

— Niechby tam już był sobie choć jeden dom.

— Już bądźcie spokojne. Mam teraz coś takiego na oku...

Nie nie miał na oku. Nie był ani trochę karyerowiczem. A mówił tylko ot tak, co mu ślina do ust przyniosła. Bywał rzeczywiście proszony, jako dobry tancerz, ładny chłopiec z natury układny i przyjemny. Nawet po sezonie karnawałowym przyjmowano go na małych herbatkach panieńskich.



Ten chłopiec, umiejący przepić całą noc w najposledniejszym towarzystwie z gwarem najwyuzdańszego żargonu w uszach, umiał pysznie, maskując dwoistość życia, bawić się, jak dobre dziecko, nazajutrz z panienkami w cenzurowanego i w fanty, rozochocony, niewinny jak one. Bo co innego bibka, w której spędził noc wczorajszą, gdzie w rachunku figurowało stłuczone lustro i gdzie za gaszenie latarni na ulicach doszło do awantury, a co innego dzisiejsze panienki, dom prywatny, „sekretarz“ i „ciuciu-babka“. Tak żyją przecież wszyscy, a najmniej pobłażliwe bigotki-ciotki pojmują, że „młody wyszumieć się musi“. Zresztą Franek nie jest nałogowym hulaką i bawi się tylko, wciągnięty do towarzystwa i, choć ma głowę mocną i pije nie mniej od innych, w domu bez kieliszka wódki się obywa. I jest mu bardzo dobrze w przyzwoitych domach i bardzo lubi bawić się w cenzurowanego i w fanty z panienkami.

Rozbawionemu ani w głowie w tej chwili posagi i zajęty jest wszystkimi posażnemi panienkami jednako. Niejedna już z nich w nocy o nim śniła (on, co prawda, ani o jednej) i do nógby rodzicom padła, gdyby się zgodzili na taki związek. Lecz Franek nie był żadną partyą, a posiadał za mało temperamentu i charakteru, aby nakłonić pannę do uporczywej walki i do zwalczania przeszkód. Wygodniejsza mu była rola dobrego chłopca, kuzynka, w której proponował panienkom:

— Panno Antonino, wie pani? Zrobimy mamie niespodziankę na imieniny i zagramy „Kalosze“ Fredry.

Dobrze? Już ja wszystko sam urządzę. Kurtynę zrobimy z portyery.

— Bravo! Wyśmienicie! Ale słowo?

— Słowo honoru.

Nie wierzyły mu; wiedziały, że na niego liczyć nie można.

I panny od biedy godziły się na wybranych przez rodzinę *épouseur*'ów, nieciekawych panów ze stanowiskiem i łysiną, grających w winta i bardzo złem okiem patrzących na tego ładnego chłopca, do którego narzeźzone tak się uśmiechały. I wyrozumiałe teściowe przedstawiały wtedy na jakiś czas zapraszać Franka, który, bardzo prędko pocieszony, znikał w swoich knajpkach; następnie znowu grywał w fanty i cenzurowanego z posażnymi panienkami nowego stempla i znowu rozpoczynał jakiś błahy romansik z panią, która mu przed nosem wychodziła za kogo innego. I znowu powracały knajpka, zabawy kawalerskie.

Wśród tych zabaw, wobec braku zaproszeń koleżeńskich, następowała zwykle kolej życia rodzinnego. Była to wielka uroczystość dla Latoszkiewiczów, bo nawet siostry, które udawały, iż go mniej psują, niż matka, miały słabość do niego. Dawniej w szkole źle się uczył i sprawował się nie świetnie. Lecz teraz nim się szczyciły. Olśniewał je wrodzonym szykiem, szczęściem do ludzi i domami, w których był przyjmowany. Choć goły jak święty turecki i z musu przebywający w domu, był wesół, figlował naiwnie z siostrami, to czytał im romanse kryminalne, to opowiadał szczegóły o balach i o *tout Varsovie*; bo z tą „całą Warszawą“

zył za pan brat i uchodził tam za Latoszkiewicza z Kujawskiego, który utracił wprawdzie majątek, lecz jest bardzo „dobrze“.

A siostry posyłały mu po papierosy, a matka mniej apatyczna, niż zwykle, robiła na stronie uwagi Julce nakrywającej do kolacyi:

— Ach! Jezus Marya! taka brudna serweta! mogłabyś doprawdy dzisiaj...

Franek w fazie oddawania się życiu rodzinnemu, kiedy w kieszeni pozostawało mu jeszcze kilka dziesiątek na stróża, odwiedzał i starą Kuczyńską. Stosunki pomiędzy rodzinami Montecchich i Capuletów uregulowały się o tyle, że choć damy te poza oczami suchej nitki, jak to mówią, na sobie nie zostawiały, odwiedzały się jednak wzajemnie, racząc się na przywitanie i pożegnanie całusami z dubeltówki i grzecznosciami w rodzaju:

— Kochana pani na nas nie łaskawa. Ładnie tak o nas zapominać! — ot, jak to zwykle bywa pomiędzy serdecznymi znajomymi. O możliwości pobrania się młodych nawet do głowy im nie przychodziło, bo z czegożby żyli? Przecież nie z pensyi Franka lub z lekcyi Belci?

I zdarzało się, że Franek przychodził kilka razy w tygodniu do Kuczyńskich. Było mu tu dobrze. Prawda, że Frankowi jest wszędzie dobrze. Bawi się szczerze z całym zapasem młodzieńczych sił i w gabinecie z fortepianem, i kiedy, jak mały gimnazysta, goni panienki w salonie w „kotkę i myszkę“, a figluje z panienkami tak, że najsurowsze mamy i ciocie nie mają mu nic do zarzucenia. Tak bawią go i wreszcie, mają-

ce swój odrębny charakter, wieczory u Kuczyńskiej, bo starzy wiedzieli jedno a młodzi wiedzieli drugie. Wisiała pomiędzy nimi tajemnica, nie mająca nic wspólnego ani z jego dochodami, ani z widokami określonej przyszłości. Było mu tu dobrze, ot co. Franek jest tu zupełnie inny. Dziwna rzecz! ten szczery chłopiec, który nie jest wcale komedyantem, wskutek nie premedytowanej, lecz wrodzonej chęci podobania się, bo mu zależy na atmosferze cieplej, przyjemnej i na otoczeniu ludzi, którzy go poszukują i lubią, potrafi przeinaczać się i intuicyjnie staje się takim, jakim dani ludzie chcą, aby był.

Jest więc odrobinę klownem i pozwala drwinkować ze swoich blag w gabinetach, na bibkach; jest dobrze wychowany, wesoły, banalny w salonach, a tu jest znowu zupełnie inny: jest taki, jakim go pragnie widzieć Belcia.

We Franku znać przymus jedynie wtedy, kiedy w tem samym towarzystwie znajdują się zaraz jednocześnie wszystkie sfery: i towarzysze z gabinetów, którzy sobie z niego po przyjacielsku drwinkują, i panienki z salonów, bawiące się w cenzurowanego, i goście, którzy go widują w domu i u Kuczyńskiej. Franek wtedy traci zupełnie grunt pod nogami, jest milczący, nieswój i znika niepostrzeżony bez pożegnania. Na szczęście taka skomplikowana sytuacja przytrafia mu się bardzo rzadko. Belcia zresztą nie wymaga od niego roli zbyt trudnej: wie, że nie kończył uniwersytetu, wie, że nie ma charakteru wyciosanego z jednej sztuki granitu; lecz byłoby jej bardzo przykro, gdyby, broń Boże, coś

blagował lub był płytkim salonowcem. Belcia lubi jego lekkomyślność, roztrzepanie, ustawiczne gubienie szalika, rękawiczek, zamienianie tylko co kupionego nowego kapelusza na stary i wytarty, jego poczciwość, wreszcie przywiązanie do matki, do siostr i jego życiową niezaradność dobrego dziecka. Franek bardzo sprytnie wszystkie te właściwości tu (a inne gdzieindziej) na pierwszy plan wysuwa. Belcia nie lubi, kiedy ktoś zachwyca się urodą jej ideału, jego talentem dobrego tancerza. I kiedy nazywają go krótko Frankiem, Belcia poprawia wiecznie:

— Pan Latoszkiewicz? Nie uważam, aby on był tak piękny. Co się tyczy jego tańca, to wiem, że pan Latoszkiewicz tańczyć nie lubi, ponieważ w gruncie jest to człowiek bardzo poważny (ludzie go nie znają), którego cenię najwięcej za jego serce i charakter.

I nie wiadomo, czy Belcia, pokochawszy, jest tak złym psychologiem, czy kochając go takim, jakim jest, a nie takim, jakimby go widzieć pragnęła, ustawia go umyślnie na takim wysokim piedestale.

Faktem jest, że go kocha z tą siłą, z jaką poważne panienki zakochują się raz w życiu, choćby były w czasie tym jeszcze nie odpowiedzialnymi za swoje gusta dzieciakami—wierne tej swojej jedynej miłości aż do późnych lat, do grobu.

I Belcia nieraz przemyśliwa nad kolejami i fazami, jakimi przechodziło jej uczucie. Ten spacer do Łazienek nie jest najprzyjemniejszym punktem jej wspomnień. Wstydzi się tego spaceru. A następnie owa noc,

wśród której bronila się od zmory wspomnień opieką francuzkich *particip'ów*.

Prawda, że od tej chwili wszystko już jest inaczej, tak, jak się należy. A było to tak: Kiedy pewnego wieczora po owym pamiętnym spacerze w Łazienkach, zasiedli do stołu, nakrytego czerwoną serwetą, zastawionego symetrycznie ułożonymi na talerzykach cienkimi plasterkami „rozmaitości“, w przyjemnem świetle lampy, zawieszonej na środku pokoju, samowar huczał na stoliku, zawieszony w szafce zegar tykał miarowo, a stara opowiadała o swoim niedawno przegranym jak najniesprawiedliwiej procesie, rzucili na siebie nieme spojrzenie. To nieme spojrzenie mówiło tak głośno, że zagłuszyło swoją siłą tik-tak zegaru, szum samowaru, nawet głos matki, którego słyszeli dźwięk bez znaczenia treści. A dźwięk ten wraz z hukiem wiatru z poza ciemnego podwórza i z uderzeniem jesiennego deszczu, bijącego o czarne szyby okien, wydawał się jedynie akompaniamentem do tej niemej cudownej muzyki, jaką tworzyło ich spojrzenie...

Zrozumiała jego myśl doskonale i spuściła oczy; był to dalszy ciąg powrotu alejami z Łazienek. Siedzieli blisko siebie. Nogi ich nie dotykały się, lecz czuła w sobie jakąś potężną siłę, która pcha ją w jego objęcia i, jakby zadając gwałt tej sile, przechyliła się korpusem w stronę matki; ręce miała złożone na fałdach sukni i naraz domyśliła się, że i on swoją dłoń oparł na swoim kolanie i najwyraźniej czuła parowanie, jakby oddech tej ręki na swojej dłoni; czuła, że ręka ta, jak ma-

gnes, wolniutko się zbliża i że jej własna jakby uwięzła, omdlawszy nieruchomie na fałdach sukni...

Wreszcie musnęła ją tem samem rozkosznem ciepłem, co w Łazienkach... Mała rączka Belci ostatnim wysiłkiem woli odrobinę się cofnęła... A stara wciąż dalej mówi, że gdyby nie była słuchała adwokata, nie byłaby ze swoją sumą spadła z hipoteki. Dokoła saloniku cisza, wiatr tylko huczy, deszcz z łoskotem bije czarne szyby... Belcia aż oczy przymyka i oddechu uchwycić nie może: pod stołem jej cofająca się rączka, pod falami rajskich obezwładniających uściśnień, utonęła cała bez ratunku w głębi dużej męskiej dłoni...

Stara, znudzona swoim monologiem bez dyskusyi milczących słuchaczy, zamilkła wreszcie; a że Franek ani Belcia nie byli zdolni zadzierzgnąć dziś nowej rozmowy, stara znacząco zaczęła poziewać i spoglądać na zegar; nie było rady, Franek powstał z siedzenia, pocałował w rękę starą.

— Belciu, odprowadzisz pana, muszę sprzątnąć; tylko zobacz, czy w przedpokoju lampa nie zgasła?

A Belcia zdobywa się na bohaterską odwagę. W dzisiejszem oszołomieniu ma jej więcej, niż w czasach najtrzeźwiejszej przytomności; sama potem nie pojmuje, skąd jej się siły wzięły... Lecz wiedziała wtedy jedno: dość się napłakała po nocach po owym spacerze w Łazienkach! Teraz znowu w obecności matki, to występek! I bardzo nieszczęśliwa, blada, zapytuje go, jak współnika zbrodni, przed którym tajemnic się już nie ma:

— Panie, to się nie powinno było stać. Dlaczego pan to uczynił?

On uklęknął u jej kolan i bardzo rozkochany i bardzo szczery wyszeptał:

— Kocham, kocham, kocham na zawsze, do śmierci.

Stara stanęła w przedpokoju i usprawiedliwia się, iż musiała zająć się sprzątaniami, ponieważ kucharka...

— Ależ mówiłam Belci, ażeby zważała na lampę. Nie widzieliście, że filuje? Ach, młodzi! młodzi! zawsze wam pstro w głowie.

Franek pochwycił za kapelusz, zaplątał guziki palto-ta, cmoknął w rękę starą i wybiegł.

Od tego wieczora Belcia, choć nie zwierzyła się ze swoich uczuć matce (od najmłodszych lat była nie wynętrzającą się i umiała lepiej słuchać, niż mówić, i chętnie stawiała się powiernicą czyichś tajemnic, lecz rzadko powierzała komukolwiek swoje), była spokojna, nie miała wyrzutów sumienia, bo nie uważała się za występłą kochankę, lecz za prawną narzeczoną.

O dniu ślubu naturalnie jeszcze nie myślała. Stanie się on tam het kiedyś, kiedy Franek otrzyma lepszą posadę lub ona odbierze pieniądze. Lecz teraz wie przynajmniej, że jeżeli go kocha, to dlatego, że jest jej narzeczoną. Rzecz bardzo naturalna.

To uczucie ma już rację bytu i jest zupełnie w porządku. Nawet od tej chwili przeszło w jakąś inną fazę: mniej w niem teraz gorączki (bo gdyby tak wiecznie wrzało, jak ongi, spaliliby się na węgiel). Jest zdrowsze to uczucie; wie teraz, że rok, dziesięć lat lub wiek cały trzeba czekać. Trudno, na to rady niema! Bunt



nie pomogą. Lecz co się odwlecze, nie uciecze. I te ich uczucia narzeczonych, jak wyrozumiałe dzieci, grzeźcznie czekają.

Kiedy odprowadza ją naprzykład wieczorem z jakiej herbatki, opiera się naturalnie na jego ramieniu, i Franek całuje ją nieraz przy okazji w rękę i patrzą się czasami na siebie bardzo ładnie, i innym wydaje się Belci świat i wszystko, co na nim jest, i ona sama w jego obecności. I pokrywa się szarą chmurą naraz cały świat, kiedy jego długo niema. To wszystko prawda. Lecz żadnych, broń Boże, tajemnych uścisków, żadnych chęci tulenia się do jego boku! O tem i mowy być nie może. Belcia uważałaby wszystko to teraz za znieważenie tego wielkiego uczucia, jakim żyje.

Teraz, kiedy go spostrzega, nie spuszcza wystraszonego oczu, lecz pieści go spojrzeniem, jakie posiadają wyłącznie młode zakochane dziewczyny. Kiedy podaje mu rękę, nie drży, lecz się uśmiecha. Kiedy w nocy o nim myśli, nie wstydzi się swego uczucia, lecz sama przed sobą się niem szczyści. Czasami tylko napada na nią chęć rzucenia mu w twarz:

— Kocham cię!

Lecz niema na to odwagi i do końca życia mieć jej nie będzie. I raz jeden tylko przyszło jej do głowy włożyć bukiet fijołków do książki, której mu pożyczyla.

— Zapomniałem pani podziękować za książkę—mówił po tygodniu Franek.

— Przeczytał ją pan?

— Naturalnie, bardzo pięknie napisana: i styl, i intryga, i opisy trochę za rozwlekłe, ale bardzo ładne, bardzo ciekawe. Przytem psychologia...

Spojrzała mu w oczy, domyśliła się wszystkiego: nie ruszył tej książki.

Na drugi bukietek fijołków już się więcej nie zdobyła.

Franek wcale nie jest ciekawy stanu duszy Belci. Gdyby była z nim szczerą, możeby nią pogardzał, jak owemi szwaczkami, które się wiecznie trują zapałkami. Bywa w porządnym domu po to, aby mieć spokój po awanturach, i ceni panienki właśnie dlatego, że są z innej gliny ulepione, a szczególnie Belcia wydaje mu się świętą.

Nawet stara Kuczyńska odczuwa, że kiedy Franek wieczorem się zjawia, w domu jest jakoś dziwnie przyjemnie, i nawraca i tak już aż nadto nawróconą Belcię.

— Czy nie uważa Belcia, że ten Franek to już tak jakby należał do naszego domu? Co tam mówić domu! uważam go za bliższego od nich wszystkich! Onby nie odrwił nas tak, jak czuła nasza rodzina. To pocziwy do szpiku kości chłopak.

— Mamcia rzeczywiście w jego obecności jest w takim humorze—mówi uszczęśliwiona Belcia — jak nigdy.

— A naturalnie, bo z nikim mi nie jest tak przyjemnie. Doprawdy kocham go jak syna; zupełnie nie przypomina swojej czulej mateczki i siostrzyczek.

— I pan Latoszkiewicz ma swoje wady—przekomarzy się z nią córka.

— Z pewnością nie takie, jak Belcia.

Stara ma ciągle do niego interesy. Franek doradza jej, gdzie ma kupować druty do pończoch, gdzie na targu mięso tańsze. Bo Franek wie o wszystkim, a kiedy nie wie, to skłamię. Stara, nie mogąc przybić haka do firanek, utyskuje:

— O! gdyby był Franek, przybiłby.

A kiedy raz piec dymił i nie wiadomo było co robić, Belcia przekomarzała się z matką:

— Mamciu, a możeby posłać po pana Franciszka?

A stara, robiąc przyjemność córce, odpowiada:

— Naturalnie, że onby pomógł. Wolę go, niż was wszystkich.

I Belcia jest w siódmym niebie. A stara, nie zdając sobie z tego sprawy, wie, że tą swoją przyjaźnią dla Franka sprawia przyjemność nie wiadomo czemu Belci. Bo o uczuciach córki stara nie domyśla się, nie wierzy, że wogóle tak potężne uczucie istnieje; nie wiadomo czy z powodu, że dawniej tak nie kochano, czy że o tem zapomniała. I bardzo rzadko tylko wpadała jej do głowy myśl:

— O! gdyby tak ktoś podobny do Franka, tylko naturalnie mający ze sto tysięcy (stara jest wymagająca co do przyszłego zięcia) i bez tej czulej mateczki i siostrzyczek — nadarzył się... wolałabym go naturalnie wpuścić do domu, niż zupełnie obcego.

I tak, bywało, schodzi jeden wieczór za drugim, a w nich Franek promienieje swoim humorem, młodo-

ścią i wszystkimi zaletami, które w opinii Belci każdy ideał posiadać powinien. W razie, kiedy nie udawało się bożkom miłości owe żądane zalety Frankowi podsuwać, figlarze rzucali na oczy Belci bielmo—wad więc jego nie widziała. Lecz bożkowie jakby zauważyli, że różnica charakterów pomiędzy zakochanemi jest trochę rażąca: za ich więc sprawą stała się metamorfoza; oto zbyt poważna ongi Belcia zmienia się na bardziej płochliwą; nawet w ruchach jest swobodniejsza, co przy jej poczciwej, seryo twarzyczce tem większy urok miało. Belcia dawniej śmiała się rzadko, a śmiech miała zawsze taki szczery i serdeczny, jak ci, którzy nim rzadko wybuchają. Bożkowie, stwierdziwszy, że śmiech ten jej posiada niezwykle wdzięk, sprowadzali go teraz na jej usta bardzo często.

I wieczory przechodziły, jak tylko bożkowie miłości wieczory urządzać potrafią. I Belci nie można było wyciągnąć teraz z domu ani do teatru, ani na bal, ani na zabawę żadną, nawet w razie, gdyby miał się tam znajdować Franek. Wydawał się jej wtedy na innem tle, jakby murem chińskim od niej oddzielonym.

I ona czuła się inną; czuła, że ma tam mniej wdzięku, że znać marsa na jej czole, że nie potrafi tam ani śmiać się, ani rozmawiać z nikim, nawet z Frankiem, który odchodzi od niej z musu zabawiać się z innymi. Tylko Ajaks bez ceremonii robi jej uwagi:

— Panno Belo, odważnie, odważnie! niech pani rzuci swoje miny i będzie tak miła, jak u siebie w domu.

— Czy ja robię jakie miny?—mówi Belcia ze swoim marsem, bardzo nieszczęśliwa.

— Ach! taki dzikus się z Belci robi—utyskuje stara.

A Belcia rzuca jej się na szyję, bo są już na ulicy blisko domu i odprowadza ich Franek, a ona pyta swoim głosem już domowym:

— Panie Franciszku, gdzie jest najlepiej na świecie?

— Gdzieżby? Naturalnie *u nas* w domu.

Belcia na ulicy całuje matkę.

— Belciu, jakże można, ludzie patrzą!

Ich dom!

Niema tu ani tańców, ani huku muzyki, ani jarzących świateł, ani bogactw; jest stara matka zajęta drutami pończochy, ich dwoje i cisza lubego pokoju, i lampa na stole, i miłość, i młodość, i w całej atmosferze trzepot skrzydeł Amora... I *trio* wieczora za wieczorem płynęło całym bogactwem harmonii: każdy na pamięć umiał swoją rolę, choć nikt mu jej nie dyktował i nie umawiał się. Ot! intuicyjnie melodia miłości płynie u każdego z nich w tym tonie, w jakim do ogólnego akordu potrzeba.

Stara, jakby przeczuwała, że Belcia do roli zakochanej w chłopcu, posiadającym różne wady, powinna posiadać także różne „ale“, udaje groźną matkę, ustawicznie napominając swoją wietrznicę. I Belcia, która nigdy wietrznicą nie była i której nikt, a szczególnie ubóstwiająca ją matka nie ma nic nigdy do zarzucenia, ogromnie jest kontenta z tej roli i z tych ciągłych:

— Jakże można być tak roztrzepaną! Ja wiem:

dla Belci splamić nową suknię, to jakby zjeść chleb z masłem. A potem sprawiaj nową!

Belcia śmieje się do rozpuku, tak jej przyjemne są te wymówki przy Franku, który także nie jest ze złota: tak ją bawią te wyrzuty, do których nie jest przyzwyczajona, bo nigdy sukien nie plami i nigdy nowych nie żąda. Mama także dąsa się na nią często za to, że jest za mało grzeczna dla Franka. A tak dobrego chłopca to ze świecą szukać.

— Jak mamę kocham — rośnie z radości Belcia — mamcia w panu Latoszkiewiczu się zakochała!

Belcia opowiada przy herbacie jakieś zdarzenie. Nie jest wymowna. Miesza ją jeszcze trochę obecność Franka i poprawia sobie zwykłym gorączkowym ruchem swoich małych rączek włosy, które w tyle wiecznie jej się targają. I onieśmielona dźwiękiem własnych słów, chce z opowiadaniem jak najprędzej dobiec do końca i pędzi, oddychając i jękając się ogromnie śmiesznie:

— Spotkałam Józję na Bielańskiej, szła z pieskiem; taki śliczny! Stara Milerowa także z nią była... powiadam mamci. Dochodzi do mnie i mówi: Obstałowałam sobie muślinową suknię.

— Jakto, pies mówi?—pyta stara Kuczyńska, której słuch już trochę stępsiał.

— Ale, mamciu, nie pies, tylko stara Milerowa.

— Ależ, moja Belciu, mówisz tak, że ciebie nikt nie zrozumie. Któż więc sobie muślinową suknię obstałował?

— Któż? Stara Milerowa—mówi ze śmiechem Frank, przekomarzając się z Belcią.

— I ja tak zrozumiałam, ale na cóż starej Milerowej sukni muślinowa?

— Ależ mamciu, to nie stara Milerowa, tylko Józia sobie suknię obstałowała — śmieje się teraz i Belcia, grożąc na stronie Frankowi.

A stara kontenta, że się młodzi bawią, gdera:

— Ależ Belciu, jak można tak połykać wyrazy? Pan Franciszek także zrozumiał, że Milerowa.

— Nie, ja zrozumiałem, że piesek pani Milerowej.

I teraz w programie ich zażyłych rozmów i żarcików figuruje wieczne zapytanie:

— Panno Belciu, kto sobie muślinową suknię obstałował?

A innym znowu razem:

— Wie pani, panno Belciu?

— Co się stało?

— Obstałowałem sobie muślinową suknię.

A stara tryumfuje:

— Masz za swoje.

Takich żarcików, niezrozumiałych dla nikogo, jeno dla nich samych, a które ich bawią więcej, niż wszystkie zabawy na świecie, mają setki. Dla Belci mają one poza swoim humorem czar więzów zażyłości i tajemnic, niezrozumiałych dla nikogo a łączących ją z ukochanym.

Oto stara opowiada wiecznie o adwokacie Karczmar skim, który jej źle poradził co do jej hypoteki i tem ich zgubił. I razu pewnego Belcia, opowiadając Frankowi o swojej dawnej koleżance z nazwiskiem owego właśnie adwokata, które jej z głowy wypadło, zapytuje matkę, nie wiedząc, że ta nad pończochą zasnęła:

— Mamciu, kto to nas zgubił?

A stara, drgnąwszy, odpowiada prawie przez sen, jak nauczona lekcję, jednym tchem bez zająknięcia:

— KarczmarSKI.

Odpowiada tak śmiesznie, że rozśmiali się do rozpuku nie tylko Franek i Belcia, lecz i ona sama, choć broniła się, udając jak zawsze groźną, boć przecież była w tem *trio* altówką.

— Rzeczywiście, jest się z czego śmiać! Pstro wam tylko w głowie i tyle.

Samo wyrażenie „pstro w głowie“ wydaje się jeszcze śmieszniejszym.

A swoją drogą do ich repertuaru domowego przybyło pytanie:

— Panno Belciu, kto panią zgubił?

Czasami z tych żartów robili warianty zupełnie już bez sensu, które ich jednakże nad wszelki wyraz bawiły, tak, że nieraz stawali się niemożliwi ze swoim parszaniem śmiechu, jak gimnaziści; szczególnież ona, taka poważna panienska, która dopiero teraz śmiać się nauczyła.

Kiedy pewnego wieczora nudny jakiś krewny z prowincyi opowiadał starej jakieś nieciekawe rzeczy, Franek zapytał na stronie Belci:

— Czy to prawda, że Milerowa zgubiła pieska, a adwokat KarczmarSKI kupił sobie muślinową suknię i. t. d.

Belcia musiała się aż odsunąć od stołu i zakryła sobie gwałtem obiema rękoma usta, a stara pokiwała sentencyonalnie głową rada, że są weseli:



— Aj, młodzi, młodzi!

Lecz Belcia miała dzisiaj dzień feralny i kiedy stara oznajmiła jej wieść o chorobie p. Dąbka, który coraz więcej uskarża się na ból krzyża i nóg, wyrwała się jak Filip z Konopi:

— To wszystko grzechy młodości; pokuta za życie hulaszcze.

Powiedziała to tak naiwnie, że stara zamieniła mimowoli z Frankiem rozbawione spojrzenie.

Belcia spiekła raczka. I naraz przyszła jej myśl pokazać, że nie jest tak naiwna, i rzuciła spojrzenie Frankowi, mówiące z dziecinną przechwałką:

— Wiem doskonale, co mówię.

Teraz nie wiadomo czemu Franek spiekł raka.

Czasami napada ich jakaś melancholia, niemniej rozkoszna od figlów i wesołości. Rozmowa się nie klei. Stara coraz niżej głową kiwa. Belcia i Franek z owym wiecznym uśmiechem, który nie schodzi nigdy z ust dwojga zakochanych, opowiadają sobie zdarzenia najobojętniejsze; lecz sprawia im przyjemność rozmowa półgłosem, aby nie zbudzić starej. Wreszcie zamilkli. Belcia spuściła głowę. Smuga światła lampy ułożyła się na jej włosach.

Stara ziewnęła i otworzyła oczy:

— Patrzcie państwo, zdaje się, że zasnąłam.

Belcia podniosła głowę, spojrzała Frankowi przeciągle w oczy i drgnęła... Tak dziecko przypatruje się studni dopóty, póki nie dojrzy na jej dnie stojącej czarnej wody...

— Ale, ale—zerwała się z siedzenia stara — kocieł

garnkowi przygania, a sama staje się na starość tak roztrzępaną, jak i wy. Toż jest list od rana dla Belci. Czy tylko się nie zgubił?

Wstała, aby go poszukać, a oni spojrzeli na siebie, czytając w swoich myślach, i na dźwięk wyrazu „zgubił“ wykrztusili ze śmiechem:

— Zgubił? Kto? Karczmarzski?

Lecz stara powróciła z listem w ręce.

— Macie. Na komodzie leży od rana, a ja roztrzępana nie nie mówię. Zdaje się, że to od Kazi i podobno pilny.

— Ach mamciu, mamciu!—Belcia rozrywa pośpiesznie kopertę i czyta na głos:

— „Najdroższa! Rzucaj wszystko i przychodź! Potrzebuję nie rady, ponieważ na nią już za późno, bo cierpliwość także ma swoje granice i wszystko, co się stało, już się nie odstanie. Lecz chcę widzieć koło siebie choć jedną żywą duszę, którą może trochę obchodzę. Kazimiera“.

— Ach, ta pani Janowska! — oburza się Belcia.— To zapewne znowu jej sprawka. Biedna Kazia, biedna Kazia! — biada Belcia i wnet z żalu poczyną mrugać oczyma.

— Belciu — przestrzega ją stara. — Znowu mru-gasz?

— Ależ to zanoszi się na coś poważniejszego—za-decydował Franek—panna Kazimiera nie wysłałaby takiego listu z powodu jakiejś tam bagatelki.

— Naturalnie — potwierdza stara.—Musiało zajść

coś większego. Do małych awantur Kazia przyzwyczajona. Przecież żyją w wiecznej wojnie od tylu lat.

— Ach, ta pani Janowska! Panno Belo, znowu pani mruga—przekomarzał się z nią Franek, naśladowując piłę starej.

— Ej! — pogroziła mu ślicznym ruchem palca Belcia.

— Nie dobrały się, to prawda — dowodzi stara. — Jedna nie ustępująca, zacięta i ambitna, jak księżniczka, a druga, choć w najlepszej nieraz wierze, to prawda, ale despotyczna, gniewliwa i kiedy wybuchnie, w słowach nie przebiera. Do tego macocha, kiedy nawet pocałuje, to więcej boli, niż kiedy matka uderzy.

— Już tam pani Janowska Kazi wiele nie całowała.

— Co wy tam wiecie! Ona może ją po swojemu i kochała.

— A może to wcale nie o panią Janowską chodzi?

— Wie mamcia, jabym teraz do nich pobiegła, jak mamcię kocham.

— Niechże się Belcia przeżegna! o godzinie jedenastej w nocy. Za nic w świecie nie pozwalam.

— Ja pójdę — zadecydował Franek — i panie o wszystkim zawiadomię.

— Mężczyzna! a mówi, jak Belcia. W nocy będzie pan ich stróża budził, potem naszego i do mieszkania ludzi obcych będzie pan dzwonił o północy? Sensu ani za trzy grosze. Do jutra trzeba czekać i skończyło się.

— Do jutra! niema rady.

Lecz wieczór mieli zepsuty, bo ich litość brała nad biedną Kazią, rzeczywiście sierotą, której pomimo jej osobistych zalet i niezwykłej urody, tak źle się na świecie działo.

## VII.

Kazia Janowska rzeczywiście była znana ze swojej piękności w całej Warszawie. Kiedy przechodziła ulicą w swojej ciemnej wełnianej sukience i obcisłym kaftaniku, w ulubionych swoich, trochę dużych kapeluszach, przeładowanych taniemi piórami, z pod których gorzały oczy Egipcjanki i zarysowywał się delikatny profil owalnej, alabastrowej twarzyczki, okolonej pianą stapirowanych czarnych włosów, studenci tręcali się niedyskretnie:

— Patrzcie, panna Janowska.

Nie było emeryta, któryby się z uśmiechem nie odwrócił, ani damy, któraby lornetką nie zmierzyła jej od stóp do głowy, ani clubmana, któryby nie wycedził:

— *Regardez la petite Janowska. Elle est ravissante.*

Kiedys zaszła do fotografa, aby obstałować swoje zdjęcie dla koleżanek. Fotograf zakrył jej skromną sukienkę wielką białą koronką, zarzucił jej białą gazę na głowę, kazał jej się uśmiechnąć i wśród ustawionych kwiatów zrobił z niej obrazek piękny, jak marzenie. Fotografie te w kilku pozach zawieszono były w szafkach na rogach ulic. Stara Janowska wybierała się,

aby przeciw temu zaprotestować, w gruncie trochę dumna z piękności Kazi, lecz czasu jakoś nie było. Wreszcie przecież Kazia prócz tej piękności nic nie miała. Stara nie ma czasu pokazywać jej światu; może więc ktoś z fotografii zakocha się w niej, odszuka i zaślubi. Po skończeniu pensyi stara czekała cierpliwie na tego „kogoś“ rok cały. Wreszcie po roku z właściwą sobie energią zdecydowała, że tak dłużej czekać z założonymi rękoma nie można, majątku niema; Kazia powinna myśleć o swojej przyszłości. Jest ładna, podoba się, tem łatwiej ludzie powinni jej dopomóc. I zaczęła się starać o lekcyę.

Belcia zaraz po skończeniu nauk otrzymała mnóstwo korepetycyi, protegowana przez zarząd pensyi, do której się zwykle po młode nauczycielki udawano. Kazia była zdolniejsza od Belci, choć nagród na pensyi nie brała, bo nie umiała być miłą, ani nie pochlebiała nauczycielkom, które tej dumnej dziewczyny nie lubiły. I teraz więc, kiedy zwyciężywszy z trudem swoją ambicyę, udała się z prośbą, aby ją protegowano, przyjęto ją zimno, zachęcając do pracy oświadczeniami, że nie mają zaufania do jej zdolności pedagogicznych.

Co prawda, była zbyt piękna ze swoją śliczną figurką, w kapelusiku wyglądającym na jej kształtnej główce, jak gdyby był sprowadzony od Worth'a, choć tanie pióra były upięte na nim własnymi jej rączkami. Teraz miała marzenie wszystkich panien bez posagu: otrzymać posadę w biurze telefonów. Trzydzieści rubli pensyi, 10 godzin pracy i wolne święta, w które w świeżej

sukni będzie mogła chodzić do kościoła, a stamtąd z ładną książką do nabożeństwa do ogrodu Saskiego.

Zdobyła się jeszcze raz na śmiałość i pobiegła z matką do jednego z potentatów, posiadacza akcyi, przydującego na sesjach, wszechpotężnego. Przyjął ją, jak wszyscy, uśmiechnięty, z iskrzącymi oczyma. Zna ją z widzenia doskonale, lecz nigdy nie przypuszczał, aby fortuna była dla niej tak nielitościwa. Był po prostu zażenowany, lecz znać było, że odmawiać jej nie chce, a protegować ją wstydzi się; co innego, gdyby chciała przyjąć małą pożyczkę...

— Miejsca teraz niema, chybaby należało kogoś usunąć dla pani. Lecz ja ośmieliłbym się wskazać pani inną drogę. Przy pani warunkach szkoda zaprzęgać się do tak zmudnej pracy bez żadnej przyszłości. Czemuż pani nie wybierze raczej teatru? Moznaby wynaleźć fundusze na kształcenie się...

Stara skrzywiła się. Potentat ciągnął dalej:

— Upředzenie co do teatru od dawna już minęło. Panienki z najlepszych domów wstępują na scenę. Jeżeli pani posiada trochę talentu i głosu, to co do dalszych środków kształcenia się w tym zawodzie, co do ewentualnego wyjazdu w tym celu za granicę, nie będzie trudności: znam ludzi bogatych, którzy nie będą się ani chwili wahali...

— Proszę pana — zatrzęsła się stara — myśmy do pana przyszły nie po radę, ani tembardziej po ofiarę; jeżeli miejsca są u pana zajęte, niema o czem mówić.

Potentat, nie spuszczaając oczu z Kazi milczącej, zawstydzonej, bardzo pięknej i bardzo nieszczęśliwej, był

bardzo miły dla matki, twierdził, że uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, lecz nie obiecuje nic, bo to nie zależy od niego, lecz w razie, gdyby zechciała posłuchać jego rady, gotów przysłać jej niezwłocznie najlepszego nauczyciela, który nic ich nie będzie kosztował.

— Mama mówiła już panu dyrektorowi, że my od nikogo nic darmo nie przyjmujemy.

Potentat tłumaczył się z uśmiechem, że nie trzeba być zbyt wrażliwą, że zwykle artystki spłacają swoich nauczycieli dopiero po otrzymaniu *engagement*, po zrobieniu karyery. Lecz rozmowa dalej się nie wiązała; pożegnały go bardzo zimno i odeszły.

W kilka tygodni potem odwiedziła Janowską jakaś tajemnicza, wymalowana stara dama. Janowska przeczuła, że jest nasłaną przez owego potentata, lecz dama ta wyrażała się o nim z pogardą i wyliczała nazwiska ryb znacznie grubszych. Wizyta jednak trwała bardzo krótko i zakończyła się kategorycznym: „Niech się pani nie waży drugi raz przestąpić progę mego domu!“ Poczem Janowska wyszła do pokoju, trzęsąca się, wściekła.

A Kazia, domyślając się przez pół, że to o nią chodzi, zapytała z drażniącym wiecznym cierpliwością Janowskiej sarkastycznym uśmiechem:

— Czego ta mumia egipska właściwie chciała?

— Czego? Proponuje ci także, abys wstąpiła do teatru.

— Więc cóż z tego? ostatecznie przecież na tem się skończy.

— Dobrze. Możesz do niej iść, ale po mojej śmierci.



Kazia się z przekorą uśmiechnęła; pojęła doskonale, że ten teatr to hańba.

— To nie dyrektor tę panią przysyłał?—badała ją.

— Nie wiem; idź do niej i zapytaj się.

Kazia uśmiechnęła się złośliwie, dając do poznania macosze, że nie jest już tak naiwna, aby nie domyślić się propozycyi owej damy. Lecz czyż można uważać taktownem wobec tego owo rzucenie matki młodej pannie:—„Idź i zapytaj“. — Ostatecznie ta wizyta owej damy więcej ją bawi, niż gniewa. Jaki on jednak naiwny, ten książę! Wiedziała, że książę Siżyś od pamiętnego *corsa* w Alejach zwrócił na nią uwagę; dawał jej to do poznania bardzo śmiało, zarazem bardzo dziecinnie.

Kiedy spacerowała z przyjaciółkami w Alejach, zatrzymywał się i stępa jechał najpiękniejszym w Warszawie powozem tuż za nią, póki nie ukryła się przed nim w ogrodzie. Czasami wyrastał na ulicy tuż za jej plecami, prześliczny w swoich angielskich ubraniach, z dystynkcyą pretendenta do korony, a zarazem z uśmiechem i minką dobrego chłopca urwisa. A Kazi pochlebiał ten hołd królika Warszawy, którego jednak wyśmiewała przed studentami demokratami.

— Jak pan sądzi, czy taki Siżyś zdałby egzamin do trzeciej klasy?

— Bardzo wątpię.

— Ciekawa jestem, czy on umie porządnie list napisać?

— Po francusku zapewne potrafi.

— Ale na koniach jak się zna!

— To musi być straszny idyota! — wybucha śmiechem, lecz faktem było, że o nim często mówiła.

A księżę wciąż stawał na jej drodze, nie jako niebezpieczny uwodziciel, lecz jako zakochany dobry chłopiec gimnazysta.

— To nie on przysłał tę babę — doszła do przekonania.

Pewnego razu w Alejach spostrzegła, że zgubiła kufioną przed chwilą różę, którą przypięła do stanika. Odwraca się, a oto księżę schyla się ku ziemi i oddaje jej. Zaczerwieniła się po białka oczu i, szepnąwszy mu, nie wiadomo dlaczego po francusku: *Merci, monsieur* — skreśliła z przyjaciółką w boczną ulicę; pobiegły do domu, jak gdyby je kto gonił. Nie spała tej nocy ze złości na swoją głupotę, bo księżę podał jej nie jej różę, lecz cztery inne, stokroć piękniejsze, a jej własność widocznie sobie zatrzymał.

— Lub może nie wiedział wcale — zgnębiła się — że ja różę zgubiłam i że przyjąłam podane, jedynie sądząc, że to moja własność, podniesiona przez niego z ziemi.

Więc on sądzi, że ona przyjmuje różę od nieznanomych na ulicy? I dlatego, że nie jeździ powozem i nie ma guwernantki, on odważa się obrażać ją? W takim razie mógł być zdolnym i do przysyłania owej pani...

Co za śmiałość w takim młodym chłopaku, któremu zaledwie wąsy wyrosły i który ma uśmiech dziecka. A pozwala sobie na wszystko dlatego, że jest księciem.

Najwięcej ją to gniewa, że mu nie odpowiedziała, że nie spojrzała jak należało, że nie zaimponowała mu

ani dowcipem ani taktem. Dobrze jeszcze, że odpowiedziała po francusku... Lecz czerwienić się, jak parafialna gaska... Martwiło ją to więcej, niż nieznanie posady.

Po owych kilku niefortunnych wyprawach, po kilku takichże próbach malowań na porcelanie, po ofiarowanych różnym sklepom ręcznych haftach i robótkach, a szczególnie po wizycie wymalowanej damy, werwa ich do szukania pracy zupełnie ostygła.

Dzięki pensyonarzom Kazia miała ostatecznie dach nad głową i kęs chleba do ust, a i na trzewiki i na sukienkę od biedy wynaleźć się musiało; nie było więc gwałtu. W gorszych sytuacjach ludzie się znajdują. Jest młoda, piękna, dobrze ułożona; całe życie jeszcze przed nią. Niech czeka. Losy przecież muszą coś jej zgotować. I czekała.

Gdybyż wiedzieli ci wszyscy, podziwiający na rogach miasta jej fotografie, ci oglądający się za nią na ulicach i ci wszyscy, którzy nieraz, w salonach analizując jej rysy, dysputowali, czy rzeczywiście jest podobna do księżny Chimay i o ile jest od niej mniej ładna, a według innych świeższa i piękniejsza, gdybyż wiedzieli, jak w tym samym czasie marnie płynęły dni tej pięknej, młodej i powabnej królownie.

Często nie wychodziła z domu z powodu braku rękawiczek lub woalki; nie знаła, co jest Dolina Szwajcarska, co majówka, wieczór u wioślarzy, o których ciągle czytała w *Kuryerach* i połykała ślinkę na myśl o tych uciechach. Nawet w domu brakło dla niej miejsca. W złożonem z ośmiu pokojów dużem mieszkaniu

Janowskiej, wśród ustawicznego huku stosów talerzy przy nakrywaniu do stołu i sprzątaniu, przy ciągłej bieganinie i utarczkach macochy z kucharką, wśród zgrai obcych, którzy, płacąc, znajdowali się tu, jak u siebie, ona jedna nigdy nie była u siebie w domu. Nie miała kąta, w którymby mogła należeć do siebie choć chwilę, przeczytać jaką książkę lub zaszyć rękawiczkę.

— Ach!—utyskiwała przed Belcią, zazdroszcząc jej już nietylko matki, lecz ciepła cichych, własnych dwóch pokoików.—Gdybym mogła mieć dla siebie choćby komórkę zamkniętą na cztery spusty, nie żądałabym więcej niczego.

Wojny z macochą swoim porządkiem nie ustawały. Wiecznem jabłkiem niezgody stał się teraz konserwatyzm starej i upór, z jakim go broniła z najbliższych powodów.

— Panny Kropiwnickie (Kropiwniccy, ongi sąsiedzi Janowskich, bardzo jej imponowali; cytowała też ich bezustannie) zawsze przewiązywały sobie włosy niebieską wstążką.

— Panny Kropiwnickie mogły, a ja nie.

I wojna była gotowa.

Godziły się zaledwie za uderzeniem dzwonka.

Oto na obiad schodzą się już codzienni dawni goście z pewnemi zmianami, jakie przynosi z sobą nieoszczędzający nikogo czas. Studenta, narzeczonego panienci z konserwatoryum, już niema. Od lat dwóch jest lekarzem na prowincyi. A ona pobladła trochę i zwiędła, daje lekeye muzyki i rozkoszuje się jedynie listami narzeczonego, przy których jednak wiecznie popłakuje.

W listach tych narzeczony, choć zapewnia ją zawsze o swojej miłości i choć niby to żali się na nudy prowincjonalne i na dochody tak małe, że nie wystarczyłyby na dwie osoby, znać, że życie tam płynie mu niezgorzej, bo na fotografiach wypiękniał, trochę się roztył, broda mu urosła i oczy mu świecą tak jakoś dziwnie, że narzeczona, patrząc na nie, popłakuje i więdnie.

I Chmielakówna także straciła dawny ogień w odczuwaniu nieszczęść, jakie ją spotykają ze strony dyrekcyi i reżyseryi. Podczas letniego sezonu urlopów dano jej do dublowania jakąś odpowiedzialną rolę. Wskutek braku już nietylko talentu, lecz i rutyny, ledwie dojechała z tą rolą do końca. O grze już mowy być nie mogło, lecz język jej się tak plątał, że po prostu nawet recytować roli nie mogła. I z wejściem na scenę się spóźniła i deptała po trenie nie swojej teatralnej sukni, tak że omal się nie przewróciła. W ostatnim akcie wyszła na scenę z zapłakanemi oczyma. Za kulisami, jak makiem zasiał, nikt jej słowa nie powiedział, choć swoim „sypaniem się“ innym grać przeszkadzała. Pojęła to doskonale, nie było tu żadnych intryg, żadnych niesprawiedliwości. Wzbudzała litość, była do niczego. Grywała teraz mówiące dwa słowa pokojówki, potulna schodziła wszystkim z drogi, skazana dożywotnio na beznadziejne męki aktorki, przeświadczonej, że jest do niczego, pragnącej jednak, aby jej nie wyrzucano, bo choć się niema talentu—jeść trzeba.

Panią Januszewską krewni teraz znacznie rzadziej zapraszają; jedna z krewnych zmarła, jedna przeniosła się na wieś; pani Januszevska nie wychodzi teraz pra-

wie na miasto; na godzinę już przed obiadem wybiega ukradkiem do kuchni i, niespostrzeżona przez starą Janowską, bada Marysię, co będzie na obiad. A ta dla figłów wylicza ulubione jej potrawy; a kiedy jest w złym humorze, mści się, martwiąc starą, że będą dziś kotlety siekane lub baranina, której pani Januszewska nie znosi. A i pan Wawrzyńkiewicz, przekręcając jej nazwisko, rzuca od czasu do czasu swoje zjadliwe dowcipy w rodzaju:

— Pani Jaroszewska nie musi pochodzić z prawdziwych Jaroszewskich, bo jarosze nie opychają się tak, jak ona, a mięsa wcale nie jadają.

Pani Januszewska, nie wychodząc teraz prawie ze swego pokoju, wynalazła sobie nowy sport: wsłuchuje się w cieniutkie tony nakręconej pozytywki, którą gdzieś na wyprzedazy za uciulane grosze kupiła. W samotnym jej wdowim pokoiku cieniutkie te tony brzmiały, jak daleka przeżyta jej przeszłość, jak młodość, która het gdzieś uleciała już tak dawno, tak dawno, jak gdyby była marzeniem, jak gdyby należała nie do niej, lecz do kogoś jej blizkiego, jak gdyby nią żyła nie w tem, lecz w innym jakimś, dalekiem od niej, bardzo dalekiem, dobrem życiu. I płynie teraz do niej ta przeszłość cieniutkim strumykiem, a ona wsłuchuje się w nią coraz cieńsza, coraz mniejsza w swojej czarnej sukni i wytartej barbce na zupełnie już siwych, rzadkich włosach.

Pani Janowska nie ma serca zakazać jej tej muzyki, która monotonnością przeszkadza jej w pracy. Tylko p. Wawrzyńkiewicz, który nie daje się powalić czaso-

wi, wiecznie jednakowo wyprostowany, jak zasuszona mumia, twierdzi, czyniąc aluzję do zwiększającej się głuchoty Januszeńskiej:

— Ja nie wiem, czy naprzykład w instytucie ociemniałych zawieszają na ścianach malowidła? Wartoby zamienić tę pozytywkę na zwyczajną tabakierkę z kluczykiem. Onaby ją nakręcała i wsłuchiwała się z jednakową rozkoszą.

Nazwisko biednej Chmielakówny przekreśla w Chmielównę, dowcipkując, jak zwykle, zjadliwie:

— Gdyby z takiego chmielu wyrabiano piwo, toby się niem można było otruć.

Najwięcej pocisków dostaje się teraz od niego panu Dąbkowi, który stał się nad wyraz śmiesznym. Losy mu się na starość uśmiechnęły. Nie był już do niczego, zawadyką i Don Juanem, któremu nikt nie wierzył, ex-obywatelem, próżnującym od rana do nocy. Nie używał już francuskich przysłów, pan Dąbek został teraz — nie śmiecie się państwo, nie byle czem — literatem.

Pewnego wieczora, kiedy nie miał dziesiątki na herbatę w cukierni, wyczytał w jednym z dzienników ogłoszenie konkursu na jednoaktówkę. Nagroda wynosiła sto rubli. P. Dąbek w swoim życiu nie zarobił jeszcze stu rubli. Pokusa była wielka. Siadł i napisał. Nie dostał wprawdzie nagrody, lecz był wyróżniony. Ujrzał swą pracę w druku. Nazwisko jego figurowało we wszystkich *Kuryerach*. On, który dawniej był niczem, któremu imponował każdy pracujący konduktor tramwajowy, stał się teraz sławnym! Komedyjek takich teraz, kiedy zechce tylko, napisze setki. Będą coraz lep-

sze, będą je grali w teatrach, będą mu za to płacili. Wziął się do pracy, szła mu ona, jak z płatka, i pióro aż skrzypiało. Oto wynalazł nareszcie lekki kawałek chleba, o jakim zawsze marzył. Z pliką manuskryptów pobiegł do redakcyi. Niestety! oświadczone mu, że poza pracami konkursowemi pisma te nie pomieszczają utworów teatralnych. Pobiegnął do innych redakcyi; wszędzie to samo. Ha! trudno, schował wszystkie komedyjki do szuflady. Zabrał się do nowelek. Szło mu to trudniej. Po upływie pewnego czasu miał ich kilka. Obiegł wszystkie redakcyje. Okazało się, że teki redaktorskie są wszędzie zaopatrzone na długi przeciąg czasu i że zmuszony będzie czekać swojej kolei. Zgodził się i na to, chciał tylko wiedzieć, czy drukować go wogóle będą. Kazano mu przyjść po kilku tygodniach. Kiedy jednak zjawił się w oznaczonym czasie, w jednym piśmie redaktora nie zastał, w drugim redaktor był tak zajęty, że go przyjąć nie mógł; po długiej wreszcie bieganinie okazało się, iż jedną nowelkę mu zarzucono, jedną zwrócono a jedną obiecano mu kiedyś drukować. Krótki więc był tryumf pana Dąbka! Pojął, że i ta droga w życiu jest dla niego zbyt ciężka. Dał za wygraną; wiedział od dawna przecież, że jest do niczego. Lecz dla świata, jak ongi, był Don Juanem, obywatelem ziemskim, zawadyką, teraz stał się literatem. W kieszeni nosi numer dziennika ze sprawozdaniem z konkursu na komedyjkę i z tryumfem pokazuje podkreślone niebieskim ołówkiem odpowiedzi redakcyi, w których oznajmiono panu Dąbkowi, że obrazek



„Okreźne“, choć temat ma zużyty, obrobienie ma dość poprawne i jest zakwalifikowany do druku.

Tylko pan Wawrzyńkiewicz, dla którego nie było nic świętego, drwił z niego po dawnemu ku uciesze stolowników.

— Wie pan, spotkałem dziś Henia.

— Jakiego Henia?

— No, nie wiesz pan? Kolegę pańskiego, Sienkiewicza. Choć ja was znam: wybyście się wszysecy w łyżce wody wzajem potopili, a ci starzy szczególnie o młode talenty są zazdrośni.

I pan Dąbek uśmiecha się, kręcąc z tryumfem wąsa, godząc się pozornie na owo *wy*, na zazdrość Sienkiewicza i na zbyt jawną już ironię co do swojego wieku, w jakim się dopiero zabrał do literatury.

Był jeszcze ktoś inny, przed kim literat konkursowy nie śmiałyby się popisywać swymi tryumfami literackimi, potentat, którego śmiałości nawet pan Wawrzyńkiewicz się obawiał. Tym literatem całą gębą jest teraz wicedyrektor *Latawca*, Władek Jaworowski, który od pewnego czasu stołuje się u Janowskiej. Od lat najmłodszych koledzy wiedzieli, że w życiu nie zginie, lecz któż mógł przypuszczać, że wyrośnie na taką sławę w przeciągu lat kilku! Od czasu opuszczenia szkół zdążył wystawić kilka kasowych komedyi z kupletami w ogródkach; drukował powieść w jednym z dzienników prowincjonalnych, miał głośny romans z jedną z ładniejszych aktorek (wszyscy o tem wiedzieli od niego samego). Teraz, dzięki sławie i znajomości teatru, został pomocnikiem redaktora jednego z pism i krytykiem

teatralnym. To się nazywa zrobić karyerę! Sława, a przytem chleb taki lekki! Miał długów po uszy, to prawda, ale co za znaczenie! Miał wolne miejsce we wszystkich teatrach. Aktorowie do nóg mu się kłaniali, a Chmielakówna po prostu przed nim drżała, bo kiedy palcem kiwnie, może uczynić z niej gwiazdę, kiedy mu się tylko zechce, skruszy ją. Kiedy przychodził, powstawała z siedzenia; kiedy mówił, nie spuszczała z niego oczu, uśmiechnięta, potakująca na wszystko, aby mu się tylko nie narazić. Dzięki tej czołobitności doczekała się wzmianki w *Latawcu*: zbeształ wszystkich grających, wyróżnił jej rolę, składającą się z trzech zdań, lecz odegranych, według niego, z poszanowaniem sztuki i dawnych (był tak młodym, iż tych dawnych dobrych czasów pamiętać nie mógł) tradycyi teatru.

— Czytała pani wczorajszego *Latawca*, co?—zapytał z uśmiechem dobrego króla.—Uf!—wciągał przytem ustami powietrze, a wciągnąwszy, cmokał i gładził się po głowie, jakby zmęczonej wysiłkiem wielkich myśli, i kręcił niezbyt sutego wąsika. Nauczył się tego od niedawna, a czynił to zwykle, kiedy udawał wielkiego.

— A jakżebym nie czytała! Kiedy zobaczę tylko podpis pana redaktora, to dla mnie największe święto.

— No i cóż? kontenta pani?

— Ach! pan redaktor psuje mnie swoją dobrocią.

— Zawsze oddaję każdemu, co należy. Ale Rapacki staje się teraz niemożliwy. A Wisnowska? Jednego słowa nie można zrozumieć z tego, co mówi. *Horrendum!* Co się tyczy pani wymowy, jest weale niezła, ale trzeba pracować nad literą *l*. Niech pani o tem pamięta—po-

kręcił wąsika, wciągnął łyk powietrza i cmoknął zadowolony, a biedna Chmielakówna musiała się zgodzić na to, że nie zna alfabetu swego rzemiosła, ona, która miała ongi zastąpić Modrzejewską. Poza swoją wielkością miał on zawsze swoje dawne gimnazyalne dowcipy, specjalne, coraz nowe, do znudzenia używane wyrażenia z operetek sezonowych w rodzaju:

— Nie można wiedzieć! Czwartki nam się udają. To nie jest z prawdziwego zdarzenia. Lepszy wróbel w garści, niż wół do karety itp.

Zbyt wielki, aby jak dawniej naśladować aktorów, szafował teraz do przesady, kiedy chciał bardzo olśniewać, wielkimi słowami: kulturą, idyosynkrazją i sugestją, jak gdyby pisał bardzo oklepany artykuł wstępny, cmokał wtedy i wciągał, kręcąc wąsika, łyk powietrza.

Pozostał, jak zawsze, nieładny, lecz wyrósł, zmężniał i cera mu się wyrównała. Nosił małe rzadkie czarne baczki i monokl; ubierał się ciemno. Próżny, jak kobieta i jak nałogowy pijak spragniony słuchaczy, powodzenia na herbartkach panieńskich, popularności w knajpkach, silił się, aby być usłużnym, potrzebnym, poszukiwanym i wszystko wiedzającym. Podkreślał swoje stosunki, swoją wielkość; lecz humor dawny utracił, bo w głębi serca zrodziło się zwątpienie we własne siły, w talent, w przyszłość. Pojął, iż na arenie sztuki istnieje tylko jedno *Grand prix* dla pierwszego u mety. Wycofany z pracy perszeronów, czuje, iż stał się jednocześnie zdystansowanym koniem bez marki, na którego

już nikt nie stawia, a który biega ot tak, jako statysta, bo do niczego go użyć nie można.

Ambicya i próżność jego wciąż potężniały. Życie jego stało się tandetą, karykaturą życia, bo odczuwał wszystkie wrażenia jedynie tem, jakie wrażenie jego osoba na otaczających sprawiała. Na wystawę obrazów nie chodził nigdy sam: najpiękniejsze dzieło sztuki go nie zajęło (o czem się przekonał, nudząc się w najpyśniejszych muzeach na obczyźnie), lecz musiał zawsze mieć przy sobie kogoś: objaśniał i krytykował tak głośno, aby wszyscy dokoła go słyszeli i rozum i dowcip jego podziwiali.

I do teatru chodził nie aby widzieć, lecz aby być widzianym w towarzystwie ludzi wielkich, sławnych, z którymi nie lubił przepędzać czasu sam na sam, lecz na pokaz przed światem. Krytykował wtedy głośno, dając w antraktach z siebie przedstawienie. Jeśli nie było w teatrze dawnych kolegów szkolnych, ani znajomych brata, uciekał znudzony w wiecznej pogoni za słuchaczami, za audytoryum, któremuby mógł rzucić:

— Widzicie, jaki ja jestem wielki!—i pasya ta rosła w nim z coraz większą siłą, im bardziej stawał się przekonany, jak jest mały i że nim będzie do końca życia. Do tej męki przywiązała mu się do szyi nowa katusza: miłość dla Kazi. Odpowiadała jego ideałowi nie tylko jej piękność, lecz dowcip, pewna wspólność umysłowa, pewne bóle życiowe, pewne zawody, dążności i ambicye. Pochlebiało mu też pokazywać się na świecie z tą słynną pięknnością, którą mało kto znał osobiście. Nie martwiło go, że wszyscy domyślają się, iż

się w niej kocha; przeciwnie, przywykły do życia na pokaz, udawał przed światem zakochanego, pomimo, że był takim w istocie.

Kiedy toczyła się mowa o Kazi, poprawiał właściwym sobie ruchem włosy, pokręcał małego wąsika i, udając silne westchnienie, wciągał, jak zwykle, kłęb powietrza, wypuszczonego następnie z małym świstem.

— Panna Janowska! O! bywam tam prawie codziennie.

A jednak zenić się nie chciał. W tem postanowieniu tkwiła wcale nie poważna rozważka. Był lekkomyślny i przez głowę nie przeszłaby mu myśl, że nie może przyszłości żony zabezpieczyć. Lecz ożenić się z Kazią nie było żadną sztuką; panny bez posagu muszą być niewybredne. Ludzieby mówili:

— Biedaczysko! zakochał się i wpadł. Złapali go— i później niktby słowa już o nim nie mówił.

Złapany! ten wyraz tkwił mu wiecznie w głowie. Mógł wątpić o swoim talencie, lecz nie wątpił nigdy o swoim wielkim sprycie. To on, może łapać innych, lecz jego nikt nie złapie. I przechodził katusze, bo dusza rwała mu się do tej dziewczyny, ramiona wyciągały; zaczerwieniony zacinał usta z niedokończonym wykrzykiem, dusił w sobie wszystko, co mu piersi rozszadzało, aby się z panną nie „zagalopować“.

Kazia, jakby przeczuwając jego walnę, mierzyła go od stóp do głowy wyzywającym, pełnym pogardy uśmiechem, zdającym się mówić: Co? Więc i dziś niczego się ciekawego od pana nie dowiem? A może jestem za mało piękna? Ha! Trudno, kiedy ci się nie podobam!...

Czasem żaliła się żartobliwie na jego zadumę i brak humoru.

— Już ja mam szczęście w życiu! Niema co! Znam jednego miłego człowieka, a i ten jest nieznośny.

Rzeczywiście prócz niego nikogo nie miała. Niektórzy dawni stołownicy bogato się poženili, inni kawalerowie o wybitnem stanowisku stołowali się teraz w pierwszorzędných restauracyach. Kazia pogardzała nimi, jako filistrami i karyerowiczami.

Ajaks II już u nich nie bywał, bo Pawełek także zrobił karyerę: założył skład nasion i machin rolniczych, grywał na giełdzie. Władek wyrażał się o bracie niby z pogardą, nazywając go aferzystą, filistrem, kupczykiem, choć znać było, że pod tą pogardą ukrywa się chluba, iż brat jego jest cyganem, że próżny, jak on, stał się członkiem różnych instytucyi społecznych.

Pawełek, odwdzięczając się Władkowi, także odzywał się przy wincie w resursie, niby z pogardą o swoim bracie cyganie, choć w głębi przed swymi kupczykami także się jego sławą i portretami brata w małych dziennikach chlubił. Jak dawniej, nie lubili się spotykać z sobą w tych samych towarzystwach, aby wzajemnie się nie zaciemniać (Władek zawsze był dowcipniejszy i śmielszy, a Pawełek, uchodzący w swoich resursach za dowcipnego, przyswajał sobie po większej części dykteryjki nieznanego w tych kołach Władka). W gruncie jednak bardzo się kochali i Pawełek nieraz po uszy grzęznącego w długach Władka z błota lichwy wyciągał.

Kazia, z właściwą sobie wrażliwością, zdająca sobie

do przesady sprawę z tego, że w życiu po różach nie stąpa, że jest pokrzywdzona przez losy, zdenerwowana swoją rolą piątego koła u wozu, jaką w domu grała, znienawidziła wszystkich stołowników. Miała już po szyję wiecznych utyskiwań Januszeńskiej na macochę (głośno Januszeńska skarżyłaby się nie ośmieliła), że na wiosnę nie kupuje nowalijek, szpinaku i młodych kartofli, choć na targu są już bardzo tanie! Albo miałaż być powiernicą Chmielakównej, która obrażała się o byle co i zwykle małomówna, w chwilach, kiedy zdawało jej się, że za mało atencji jej się oddaje, wybuchała, spragniona powiernika swoich nieszczęść, litaniami bez końca, że Kamiński udał wczoraj na ulicy, iż jej nie widzi, że pan Dąbek nie podał jej półmiska, jeno go na stole postawił, że pan Wawrzyńkiewicz zawsze dopiero na końcu się z nią wita i t. d.

Lecz najgorsza była „konserwatystka“, rozdrażniona ustawicznym oczekiwaniem listów i jeszcze bardziej rozgoryczona i nieszczęśliwa, ilekroć listy nie takie, jakichby pragnęła, od narzeczonego przychodziły. Zmierzowana niepewnością, z wędnącą cerą, z zamglonemi, podkrążonemi oczyma od bezsennych nocy, chora na blednicę, dostawała ataków nerwowych i ostatnie grosze wydawała na bezskuteczne lekarstwa.

Trzeba było z biedaczką obchodzić się jak z jajkiem, bo rozżalona wybuchała setkami najdzikszych pretensyi, że jej się nie lubi, że jej się unika, że uważa się ją za nudną, że Janowska to powiedziała, że Januszeńska się tak odezwała, a Chmielakówna to, a Janowska owo... I plotkowały na siebie wzajem-

nie od rana do nocy, przyjaźniąc się dziś z jedną, nazajutrz z drugą i trzaskając przed nosem drzwiami swych pokojów przed temi, na które przyszedł dzień niełaski.

Cóż ją obchodził narzeczony konserwatystki albo pretensye Chmielakówny?

I Kazi dni za dniami płyną bez zajęcia, bez rozrywki i bez widoków poprawy. Jest tak zdenerwowana, że czytać nawet nie może. Nie mając własnego kąta, po całych dniach tuła się od okna do okna, zajęta pukaniem w szyby, polerowaniem paznogi lub poprawianiem włosów w lustrze. Jak motyl ognia, szukała lada sposobności, aby być sfukaną i skarconą; stały się potrzebnymi do jej marnego życia te krzyki macochy, po których z suchemi oczyma może lubować się sama przed sobą w swoich nieszczęściach.

— I długoż to tak potrwa? — mówi, przylepiając skronie do szyby okna, która ją chłodzi. — I na nic się nie zdobędę, nigdy, nigdy? A moja piękność, młodość, talent, wykształcenie na co mi były dane? I na co ja czekam? Aż zbrzydnę, aż się zestarzeję, aż zidyocieję, skwaśnieję, jak Chmielakówna, jak konserwatystka? One przynajmniej potrafią na chleb zarabiać. I humor już straciłam, i rumieńce, i dobroć. Kłócić się z mamą tylko potrafię, nic więcej.

— Wiesz—zwierzyła się kiedyś Beli—mnie imponują ludzie, którzy mają odwagę zdobyć się na coś złego. Nawet ostatnia ladacznica...

— Jezus Marya! co ty pleciesz? — zatykała sobie



uszy Belcia, litująca się nad położeniem Kazi, lecz nie pojmująca jej zbytniego pesymizmu.

Władek to była jeszcze jedyna osoba, którą Kazia uważała za ulepioną z tej gliny, co ona. Tylko z nim odzyskiwała odrobinę humoru i, odchodząc od szyby okna, witała go jego stylem:

— Środy nam się udają, co?

— To nie jest z prawdziwego zdarzenia—odpowiedział jej.

— Dlaczego pan dzisiaj taki rozkoszny?

— Nie można wiedzieć!

— Co pan szczebioce?

Kiedy chciał ją wprowadzić w dobry humor, zapytywał:

— Panno Kazimiero, kto jest największym komydyopisarzem współczesnym? No, no, Władysław, Władysław—podpowiadał jej, niby stary bakałarz małemu dziecku—Władysław...

— Władysław Łokietek—żartowała.

— Nie. Władysław vel Ajaks Jawo... Jaworo...

— Jaworowski.

— Bardzo dobrze. A jaka jest najlepsza komedia tego autora?—drwił sam z siebie, wiedząc, że ostatnia jego komedia była nieudatna—Cza... Czar...

— Czarownica.

— Nie. Cza... Czaro... Czarodziej... No, jak dalej?

— Eee! Pan jest piła — śmiała się do rozpuku Kazia.

— Czarodziejka. Bardzo dobrze.

Oddawała się całej rozmowie z Władkiem. Bo poza tem nic w życiu niema. Rzecz pewna, że rozmawiając z sobą, nie plotkują nigdy na nikogo, nie mówią nigdy ani o zaletach Pawła, ani o wadach Gawła. Jaki kto był, taki był; sądzenie ludzi i krytyka to plotkarstwo, dobre dla starych bab. Niema też pomiędzy nimi mowy o faktach, ani o jakichś szczególniejszych zdarzeniach, bo i cóż ich one obchodzić mogły? O czemże więc oni nieustannie z sobą mówili? Co ich tak zajmowało i bawiło, że się bez końca śmieją i rozmowy nie kończą, choć przed jego przyjściem Kazia była zasepiona i pochmurna? Oto pytanie, które zadawali sobie wszyscy. O czem? o tem, o czem mówią zawsze młodzi: o wszystkim i o niczem. Była w tem jednak werwa, był dowcip, była oryginalność spostrzeżeń, było oburzenie, podziw, pogarda, zachwyty i świeżość.

Kiedyś po obiedzie zostali w pokoju sami. Janowska zajęta była w kuchni, a wszystkie baby skupiły się w pokoju Chmielakówny, skąd dochodził ich chóralny szept i plotki. W pustej jadalni było już prawie ciemno, ponieważ Janowska protegowała szare godziny, aby nafty mniej wychodziło. Władek i Kazia siedzieli bardzo blisko siebie. Z początku rozmowa szła wesoło. Lecz owionięci ciszą pokoju i wzrastającym mrokiem, poważnieli.

— Maryanno, proszę zapalić lampę w jadalni — zdecydowała wreszcie Kazia.

— Nie trzeba — odezwał się z kuchni ostry głos Janowskiej. — I tak dość długie wieczory.

— Chodźmy do okna — zdecydowała Kazia, onie-

śmielona jego przeciągającym się milczeniem i czarnością wieczoru, która coraz gęstszym całunem ich obejmowała.— Tam trochę jaśniej.

Na ulicach zapalono już gaz. W ciemnych oknach sklepów żółte płomyki, jak gwiazdy, coraz nowe się ukazywały. Władek i Kazia stanęli przy oknie tuż przy sobie i, przylepiwszy gorące głowy do zimnej szyby okna, patrzali błędnie na ulicę, oszołomieni ciszą.

Kazia, aby ją zagłuszyć, robi banalne uwagi:

— Patrz pan, jakie ładne te nowe palniki Auera! Światło zupełnie białe, jak elektryczność, prawda? Nasza ulica się upiększa. Dawniej nie było tu takich ładnych wystaw sklepowych.—Zamilkła.

Cisza nie dawała się zwalczyć. I Kazię ogarnęła ciekawość, co z tego wyniknie. Niech raz się coś stanie. Przeczuwa, że w tej sekundzie stanie się coś: czuje, że Władek obejmuje ją w pól, usuwa się z jego objęć, lecz wolno, aby go zbyt nie zrażać. Władek to nie król z bajki, ani piękny, ani bogaty, ani stanowisko. Lecz ona gotowa skwitować z wielkiej karyery; dość lubi tego chłopca. Jeżeli do jego szczęścia potrzebna mu jest piękna żona—ha! niechaj mu zazdroszczą i żalują ci wszyscy, którzy się nie pośpieszyli. A ci wszyscy, którzy oczerniają i obawiają się pięknych panien, zobaczą, jak potrafi ona uszczęśliwić nawet takiego Władka, którego nigdy na seryo nie traktowała, zobaczy macocha, jaka będzie oszczędna i pracowita w dwóch pokojach, jaka gospodyni, żona i matka — wszystkim na złość. Ach! odetchnie, kiedy już będzie na swoim,

choćby na poddaszu, i będzie wdzięczna temu, kto ją weźmie, jakby ją z niewoli lub z piekła oswobodził.

Tymczasem Władek przyciągnął zajętą myślami bliżej do swoich ramion i słabo broniącą się pocałował gorąco w same usta...

Miała tego już dosyć. Władek był zbyt śmiały. Wyrwała się z jego objęć i pobiegła do drzwi kuchni, wołając, trochę w swojej dumie dotknięta:

— Maryanno, prosiłam od tak dawna o lampę!

Z Władkiem pożegnała się oziębłe. Przez całą noc nie spała, bardzo niezadowolona. Czuła, że gdyby miała posag, konkurenci w inny sposób staraliby się o jej rękę. To wczorajsze zajście było *shocking*. Naturalnie nie powtórzy się ono więcej aż do dnia ślubu. Oczekiwała Władka z upragnieniem. Bywał teraz u nich tylko trzy razy tygodniowo na obiedzie; w inne dni obiadował u rodziny. Pojmowała, że te obiady u nich były dla niego tylko pretekstem; miał towarzystw i znajomości po uszy. Tego dnia przyjść musiał, obiecał jej przytem przynieść książkę, a słowa zwykle dotrzymywał.

Kiedy się zjawił, Kazia przyjęła go z rumieńcem, jak narzeczona. Od czasu owego pocałunku był już dla niej więcej, niż dawnym, przyjemnym, dowcipnym chłopcem.

Dzisiejszy obiad wydał się jej wiekiem, a sarkazmy Warzynkiewicza i polemika jego z Dąbkiem męczarnią.

Nareszcie zostali sami. Kazia czekała. Była gotowa zwalczyć wszystkie przeszkody, aby tylko wszystko jak najprędzej się skończyło. A Władek mówił:

— Panno Kazimiero, mam pani słówko do powiedzenia.

Kazia milezała.

— Postąpiłem wczoraj względem pani nieuczciwie, jak ostatni żak. Są chwile, za które się nie odpowiada. Nawet sąd uwzględnia stan nietrzeźwy. Jeżeli to nie zmazuje winy, w każdym razie są okoliczności łagodzące. Panno Kazimiero, czy pani może mi przyrzec, że jeżeli pani jeszcze nie zapomniała o tem, co wczoraj między nami zaszło, to pani postarasz się przynajmniej z czasem zapomnieć. Będziemy nadal przyjaciółmi. Zgoda?

Nie pojmowała w pierwszej chwili tego początku rozmowy; wsłuchiwała się coraz uważniej, lecz wkrótce pojęła:

— Nie chce mnie.

— Zgoda?—powtórzył swoje pytanie Władek.

Spojrzała na niego z uśmiechem najwyższej pogardy, aż nie wiadomo czemu zaczerwienił się, i z wyniosłością, z jaką dumna królowa patrzy na ostatniego karła, któremu wpadło do głowy chcieć ją obrazić, odrzekła bardzo zimno:

— Naturalnie, przez zapomnienie, zdawało się panu zapewne, żeś był za kulisami.

Nie istniał dla niej od tej chwili. Gniewało ją tylko, iż żal w duszy jej był głębszy, niż przypuszczała i niż pragnęła. Boć ostatecznie ten biedny Władek! Boże drogi—i rozpacz po nim, to przecież śmiechu warte, nie więcej! Była dnia tego i następnych rozstrojona jak nigdy, daleko więc mniej jeszcze, niż zwykle, zdolna do znoszenia złego humoru macochy. A ta właśnie zaczę-

ła prześladować ją Władkiem. Lecz Kazia ani słówkiem nie odpowiadała. A Janowska zmartwiona tem, że dwóch naraz stołowników zapowiedziało jej, że przez kilka dni nie przyjdą i że za ten czas wytrąca jej przy obrachunku, wzięła tę zawziętość Kazi jako osobistą zniewagę.

— Mamo!—wybuchnęła wreszcie Kazia.—Ja mamę proszę, niech mama dziś ze mną się nie kłóci. Kiedykolwiek, aby nie dziś.

— Co? co? grozisz mi?—krzyknęła stara, zdziwiona niezwykłym tonem.—Grozisz mi? Wroga we własnym domu sobie wychowałam.

— Wroga—potwierdziła szczerze Kazia.

— Za to, zem twój charakter chciała zmienić, abyś nie była podobna do swojej matki, kobiety próżnej, lekkomyślnej, która twojego ojca zrujnowała, która...

— Milez pani!—krzyknęła nie swoim głosem Kazia, gotowa rzucić się na tę zupełnie obcą jej w tej chwili kobietę.—O mojej matce mówić ci wara. Słyszałaś pani? wara, wara...

— Podła! W ten sposób odzywasz się do twojej karmicielki. To wdzięczność za wszystko, co dla ciebie uczyniłam, za trzewiki, które nosisz, chleb, który codziennie zjadasz.

— Nie będę więcej nosiła pani trzewików ani jadła twego chleba. Miara się przepelniła. Jednej chwili więcej tu nie pozostanę. Abyś pani wiedziała, wszystko pomiędzy nami skończone.

— Bardzo dobrze — rzekła Janowska, nie biorąc jeszcze zupełnie na seryo tej groźby — bardzo dobrze.

Raz przynajmniej odetchnę. Raz wroga z domu się pozbędę.

Kazia jednak miała zbyt wiele charakteru, aby podobne pogroźki na wiatr rzucać. Nie pomogło już nie chodzenie koło niej Janowskiej, która, wysapawszy się, rzucała w stronę Kazi ukryte spojrzenia badawcze, trochę nawet niespokojne.

Kazia w kącie pakowała swoje pamiątki, spaliła listy i schowała do kieszeni jedyną cenniejszą puściznę po matce: broszkę z brylancikami, ocenianą zwykle w lombardzie na kilkadziesiąt rubli. Janowska oka teraz z niej nie spuszczała. Wreszcie tonem, który dla przyzwoitości miał być jeszcze trochę groźnym, rzekła:

— Bardzo cię proszę, abyś awantur nie robiła i kładła się spać tak, jak ci lekarz kazał. Na robienie porządków dość czasu jutro będzie. Nie mam ochoty wydawać potem pieniędzy na lekarstwa i doktorów.

Kazia nie odpowiedziała. A Janowska, zmęczona całodzienną bieganiną i potrosze kłótnią, zasnęła, chrapiąc ciężko.

Dopiero nazajutrz, powróciwszy z targu, kiedy spostrzegła, że Kazi istotnie w domu niema, oniemiała. Przypomniała sobie charakter Kazi. To nie były przechwałki. Czekala godzinę, dwie... Stanowczo przeciągnęła strunę. Każdy dzwonek, każde uchylenie drzwi wstrząsało nią: To Kazia.

Dokoła niej cały dom wiedział już o zajściu. Nastąpił wieczór, Kazi nie było, wszystko więc stracone. Jakiś ból za piersi ją chwycił i jak długa runęła na łóżko. Służąca pobiegła po lekarza.

Panie Januszevska, Chmielakówna i konserwatystka miały sobie co do opowiadania: biegały z kąta do kąta. Nie spostrzegły nawet, że na obiad zupa była przydymiona a pieczeń jak łyko twarda. Lecz co tam obiad! Taka gratka do plotek jak dziś nie często się przytrafiała.

List, pisany do Belci jeszcze przed ucieczką, spóźnił się o całą dobę. Kiedy nazajutrz rankiem Belcia do bramy domu Janowskiej wchodziła, zastała w sieni całe towarzystwo: stróża, praczkę, służbę z całego domu a na czele kucharkę Janowskiej Marysię, mającą dziś powodzenie w popisowej roli osoby najlepiej poinformowanej i kokietującej swoim długim monologiem, którym się przed coraz to innem audytoryum popisywała.

Teraz spostrzegłszy Belcię, zwróciła się do niej z niezwykłą dotąd śmiałością i wymową:

— Panienska nie wie jeszcze o niczem? Panny Kazimiery już niema; jeszcze wczoraj napisała list do matki, aby jej nie szukać, że idzie w świat za chlebem. Niema panienska po co chodzić na górę. Pani leży chora.

— I adresu nie zostawiła? — wyrwało się naiwnie Belci, przejętej tem, że nie będzie mogła odszukać Kazi i w nieszczęściu pocieszyć.

— Gdzieżby tam, proszę panienski? Ot, jeżeli kto wie—rzekła z konfidencyonalnym uśmiechem—to jedynie pan redaktor.

— Prawda, prawda, Władek!—zgodziła się w myśli Belcia, nie rozumiejąc fluterności uśmiechu Marysi,



podziękowała za objaśnienie i bardzo przejęta tą smutną nowiną pobiegła do domu podzielić się nią z matką, a ewentualnie wyszukać Kazię, ulżyć jej w strapieniu, a co najgłówniejsza załagodzić to całe nieporozumienie i jak najprędzej pogodzić ją z Janowską.

## VIII.

Po tygodniu zaledwie Belcia spotkała się z Władkiem, który, cmokając i wciągając łyk powietrza, pokręcił rzadkiego wąsika i z ważną miną człowieka, który wszystko wie, choć mało mówi, rzekł, udając dyskretnego, lecz pragnąc, aby nie wierzono:

— Rzadko widuję pannę Kazimierę; mieszka podobno w *chambres garnies* na Nowym-Świecie pod numerem 30. Zresztą nie pamiętam dobrze.

W domu rozprawiano zawsze o Kazi szeptem i, kiedy Belcia do pokoju wchodziła, mowę przerywano. Stariej Janowskiej, która od pamiętnego dnia wypadku nie powstawała jeszcze z łóżka, składano wizyty kondolencyjne, lecz, aby nie pogarszać stanu chorej, wystrzegano się jak ognia, aby nie dotknąć jakiegokolwiek kwestyi, któraby jej mogła przypomnieć Kazię. Tak jak w domu żałoby, póki rana jeszcze nie zablizniona, nie wspomina się o umarłej. Kuczyńska zaś Belcię zbywała krótko:

— Moja dziecko, nie mówmy o niej; jest stracona.

A Belcia, która nie była przecież dzieckiem i pojmowała zarzuty, jakie czyniono jej przyjaciółce, powtarzała sobie z najzaciętszym uporem i przeświadczeniem, że się nie myli i że obie ręce dałaby sobie odciąć:

— Nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę.

Nie mogła jej w żaden sposób potępić, nie ujrzawszy jej, i po kilku dniach wahania w sekrecie przed matką zdecydowała się na krok heroiczny, i blada ze wzruszenia zapukała do wskazanych jej drzwi na ostatniem piętrze w brudnym hoteliku na Nowym-Świecie.

— Proszę wejść—usłyszała tak dobrze znany jej od dzieciństwa dźwięczny głos Kazi.

Weszła i wnet aż za serce ją ścisnęło.

W pokoju ze ścianami o brudnej i taniej tapecie w niegustowne bukieciki, ozdobionym kilku ohydnyimi oleodrukami, z poczerniałym sufitem, z ordynarnym parawanikiem, ukrywającym ubogie, wązkie łóżko, z kilku arkuszami roli w ręku siedziała na wytartej kanapie Kazia przy szklance leciutkiej herbaty, przy której walały się resztki pokruszonej, nie smakującej widocznie bułki i niezjedzonego serdelka.

Ujrzawszy Belcię, zerwała się z siedzenia, i rzuciły się sobie w objęcia, pozostając nieme w przeciągłym, długim uścisku.

— Dziękuję! twoje odwiedziny bardzo mi były potrzebne, bardzo—przełknęła ślinę.—Napijesz się herbaty ze mną. Matka twoja tu zapewne po ciebie nie przyjdzie.

— Nie wiem. Być może, że nie przyjdzie, ponieważ... — zahaczyła się, nie umiejąc skłamać.

Kazia uśmiechnęła się boleśnie.

— Pojmuję, nie przyjdzie. Naturalnie przyszedł do mnie pomimo jej woli. Dziękuję—ucałowały się znowu przeciągle bardzo serdecznie. — Bądź pewna, że jeżeli

będę się czuła niegodna twojej przyjaźni, a raczej, mówiąc bez patosu, z chwilą, kiedy moje towarzystwo mogłoby zaszkodzić twojej opinii, sama zamknę drzwi mego pokoju przed tobą. Choć, co ja mówię! Opinia! toć może już obecnie powinnam to uczynić! Twoja matka ma słuszość. Choć zdaje mi się, że kochankowie pięknej Janowskiej mogliby urządzać jej paradniejsze mieszkanie, a przynajmniej dać jej lepszy obiad. Co? Ach! ta opinia! opinia!—mówiła dalej wzburzona—opinia! dla której my ubogie dziewczyny skazujemy się na wegetację, bo nie mamy posagowych magnesów, którymi rodzice ciągną konkurentów. I co za marne życie więdziemy w wiecznej pogoni za wymarzoną posadą telefonistek, zajętych wiecznie, jak konie tramwajowe, którym w dodatku w grubijański sposób klienci wymyślają i grożą skargami i dymisyą. I co my mamy w życiu w porównaniu z temi dziewczynami, nie umiejącemi czytać ani pisać, a rozjeżdżającemi się w powozach i lśniącemi od brylantów. I niejedna z nich ze swego pałacu wymyśla z pogardą piękniejszej od niej telefonistce, magazynierce lub nauczycielce, która kończyła szkoły i jest „panną z domu“. My mamy za to opinię... Opinię czyją?

— Kaziu! — przerwała jej Belcia, lecz nadaremnie.

— Naszą opinią jest pani Januszewska, Chmielakówna i jeszcze kilka plotkarek. I dla tej opinii, czyż śmiechu nie warto, poświęca się całe życie, skazane na mękę jałowej pracy lub stokroć gorszej jeszcze bezczynności, na owe nudne niedziele, przewegetowane na białej kawie z ciastem u starych ubogich ciotek albo na

gapieniu się przez szyby okien. Kiedy nasi kuzynowie i bracia, nie warci nam rzemyka u trzewika rozwiązywać, wyrzuceni z gimnazyów, piszący listy z błędami, mają pracę, a dla zapełnienia pustki i smutku życia mają kochanki, wino, zabawy, są zdrowi, weseli, nie jak my, chybione, więdnące, ośmieszane przez wszystkich, starzejące się panny.

Była wzburzona jak jeszcze nigdy i z ust jej wylatywały słowa buntu i owe jej własne o wszystkim idee, któremi się lubowała jeszcze obficie, niż zwykle.

— Pozwolisz, że zapalę papierosa—rzekła, zapalając go niezręcznie i puszczając śmiesznie cieniutkie kłębiki dymu, bo nie umiała się zaciągać a paliła jedynie, aby okazać przed Belcią swoją pogardę dla wszystkiego, co wypada pannom, a co nie wypada.

A Belcią, która zużyła już całą swoją śmiałość na przyjście tu wbrew zakazowi matki, razi ta mowa, razi ten papieros, ten pokój hotelowy i ma ochotę zapytać przyjaciółki:

— Kaziu, dlaczego ty palisz papierosy?—Lecz nie śmie; czuje, że Kazia już jest jakaś inna. I Belcia oniesmielona milczy.

— Wszystko byłoby dobrze — żali się Kazia—gdyby nie ta głowa; boli i boli.

Zmęczona oddycha ciężko, trzymając się rękoma za skronie.

Belcia, ośmielona trochę, gładzi jej włosy i mówi swoim miłym głosem blondynki, poczciwej, pogodzonej z losem optymistki.

— Na świecie, moja Kaziu, jak jest, tak już jest; to

trudno. Ty rzeczywiście więcej niż kto inny przechodziłaś w swoim życiu nieszczęść; stąd u ciebie to rozgoryczenie. Lecz jednemu źle jest dziś, drugiemu jutro. Czy możesz wiedzieć, co cię w życiu jeszcze czeka, powiedz, możesz?

— Mogę: szpital i miejsce we wspólnym grobie na Bródnie.

— Oczywiście, jeżeli będziesz się wciąż buntowała przeciwko wszystkiemu, co ci wpajano od najmłodszych lat, przeciwko wszystkiemu, co przyjęte za nienaruszone, za święte.

— Przeciwko opinii, czy tak? Dla opinii powinnam poświęcić młodość, sławę, teatr, który kocham, bogactwo, które piękni kochankowie za poruszeniem palca będą składali u moich stóp. Dla opinii, czy tak? A jeżeli ta sprawiedliwa wyrocznia tej twojej wielkiej opinii już ode mnie się odwróciła? Jeżeli nawet twoja matka i koleżanki z pensyi na ulicy udają, że nie poznają mnie? Wczoraj, kiedy szłam z Władkiem do dyrekcji teatru w sprawie mego debiutu, usłyszałam za sobą głos: — Patrz, Janowska puściła się! — Ha, ha, ha! Ja Władka kochanką! Wolałabym kamień do szyi sobie przywiązać i do Gdańska popłynąć. Ja go nienawidzę — rzekła z płomykiem w swoich pięknych oczach. — Nie wiesz, jak się stała cała ta awantura, wyobraź sobie, z powodu niego. Byłam wtedy tak wzburzona. A tu macocha jak na złość rzuca mi w twarz obelgą na matkę moją. Bo trzeba ci wiedzieć, że nie chcąc być dłużej jej ciężarem, jeść gorzki jej chleb, skwitowałam już z wielkich widoków na przyszłość, z wysnionych królewiczów i rzuciłam się

prawie na szyję Władkowi, który przewracał do mnie swoje rybie oczy! Zdecydowana już byłam zostać jego żoną. — Do licha! — mówiła, zapalając papierosa — czyż wmawiałam sobie zbyt wiele? Czy młoda i, jak mówią wszyscy, piękna, „z wykształceniem“ panna, mogłam myśleć o mniejszej karierze, niż o mężu nieładnym, literacie bez talentu, chybionym, zadłużonym? Więc za kogoż my panny bez posagów mamy wychodzić? Za doróżkarzy czy woziwodów? Znasz mnie, znasz moją ambicyę, mój upór, moją dumę; choć go nie kochałam, nikt nie powiedziałby, że jestem złą żoną. Musiałabym go uczynić szczęśliwym, nawet gdyby mię to kosztowało. Lubiłam go, przyzwyczaiłabym się do niego, wdzięczna mu za posiadanie własnego kąta, do którego wiecznie tęskniłam. Lecz on mnie nie chciał i przyciśnięty do muru cofnął się. Postawiwszy swoją ambicyę, dumę, wszystko na jedną kartę, domyślasz się, w jakim stanie wzgardzona znajdowałam się. I pojmujesz, jak dobrą chwilę wybrała sobie moja macocha do robienia mi awantury, kiedy zaczęła mi wymawiać moją miłość dla Władka. Wybuchnęłam i teraz siedzę tu w tej mojej Arkadyi, jako kobieta upadła, kochanka Władka. Biedny Władek!

Wybuchnęła ślicznym, sarkastycznym trochę śmiechem.

Pewnego wieczora pogoda była śliczna.—Zdenerwowana kilkodniowem ukrywaniem się, jak więzień, w tej celi hotelu, zgodziłam się na jego propozycyę przejścia się po alejach. Domyślasz się, że nie miałam przy sobie guwernantki. Naraz słyszę głosy jakichś studentów, któ-

rzy szli za nami; poznali mię i, mijając nas i przypatrując mi się, słyszałam, jak mówili:

— I co ona u licha w nim widziała?

— Takie mały często się kobietom podobają—odrzekł z przekonaniem drugi.

— Biedny Władek! Udałam, że tej uwagi nie słyszałam. Choć niepotrzebnie się nad nim lituję. Czy nie dość mu tego, że uchodzę za jego kochankę. Przecież w ich romansowych zabiegach głównie o to chodzi, aby ludzie myśleli, że mają szczęście. Dlatego prawdopodobnie proponował mi ten spacer wieczorem po alejach, aby wzbudzić zazdrość, mniejsza o to, że on sam najlepiej wiedział, iż nie mają mu czego zazdrościć. Nie wiem też, czy w celu, aby mię kompromitować, czy, aby mi rzeczywiście pomódz, przeczytaj, co umieścił we wszystkich pismach. Patrz, co pisze *Latawiec*: „Dowiadujemy się z pewnego źródła, iż jedna z najpiękniejszych Warszawianek powiększyć ma niebawem draśnięty zębem czasu personel kobiecy“. A patrz inne pisma: „Znana szerszym kołom Warszawy nadobna panna J. i t. d. i t. d.“ A co! jestem już sławna! Nie zazdrościsz mi? Dziś odbyłam już pierwszą próbę; w przyszłym tygodniu mój występ.

— Teatr, teatr! — wzdrygnęła się z przestraczem Belcia i nagle zdobyła się na wymowę.—Posłuchaj mię, Kaziu, jeszcze nic nie stracone, bo ktoby tam na złe języki uważał, jeżeli ma sumienie czyste! Ludzie poplotkują trochę, wreszcie ucichną; po jakimś czasie zapomną. Twoja przybrana matka po swojemu cię kocha, uwierzy ci, przebaczy; wracaj do matki!



— Przenigdy! Już za późno! Kocha mię — powiadasz— a ja czy myślisz, że miałam dużo osób do wyboru, aby ich obdzielać swoją miłością? Ją jedną tylko. Tyle razy popychało mię coś do niej, aby przytulić głowę do jej piersi, całować po rękach, wypłakać się. Byłoby to więcej korzyści mi przyniosło, niż te wszystkie drogie pensye na równi z bogatemi dziewczkami! I to jej wieczne drażnienie mojej dumy, jak małego psiaka. Co ona ze mnie zrobiła? Jeśli mię rzeczywiście kocha, musi bardzo cierpieć. Ha! cóż robić? Życzę jej z całego serca, aby o mnie zapomniała.

— Wszystko jeszcze da się naprawić, jeśli tylko ją kochasz.

— Cóż jej przyjdzie z mojej miłości? Nie potrafię być inną, ani ona. Mam wracać do niej? po co? Aby czekać z założonemi rękoma na męża, który przyjść nie chce. I co przez ten czas mam robić? brzęczeć palcem po szybach okien, spędzać niedziele u boku starych bab, opowiadających o oszczędnościach zrobionych na targu i o grzeszkach bliźnich. Nie! jam już dla tego życia stracona. Trudno jest zdecydować się na ucieczkę z domu, prawda; prawie tak trudno, jak skoczyć z okna na bruk. Lecz kiedy raz porzuciło się klatkę, nie wraca się do niej nigdy. Stało się! Przeszłam już Rubikon.

Ktos zapukał do drzwi.

— Proszę wejść!— rzekła głośno trochę zaniepokojona Kazia.

— Ach! To Józef— dodała, ujrzawszy numerowego— cóż się stało?

— Mam coś pani do powiedzenia — szepnął tajemniczo.

Kazia powstała do niego. Szeptali coś przez chwilę. I Belcia zaledwie usłyszała słowa Kazi:

— Powiesz więc, że czekam za godzinę.

— A ten pokój obok pani już wolny.

— A swoje pianino ta pani w nim zostawiła?

— A jakże!

— Dobrze, może już Józef odejść. A za pół godziny proszę przyjść po kufry.

— Wyobraź sobie — zwróciła się do Belci — że mi się poszczęściło tu w hotelu. Sąsiadka moja, jakaś pani ze wsi, najęła tu i opłaciła na cały miesiąc nie taką norę, jak moja, lecz bardzo piękny pokój. Teraz zmuszona jest wyjechać na wieś, odstąpiła mi więc od siebie ten pokój za cenę mojej nory. I co najprzyjemniejsza, że nawet fortepian przez cały miesiąc będę miała darmo.

— Pakujesz rzeczy; nie chcę ci przeszkadzać; bądź zdrowa.

Ucałowały się mniej serdecznie, niż na powitanie, bo Belcia czuła, że Kazia jest już z innej gliny i staje się jej obcą. Ta mowa jej, papierosy i te bluźnierstwa! A teraz te szeptki z numerowym, nawet ta cudowna zamiana pokoju, wszystko wydało się Belci podejrzanem. Nie Władek? więc może inni? tem gorzej jeszcze. Wspowiada się z tej wizyty matce.

— Trudno! Już nie będę mogła więcej jej odwiedzać.

Czuła, że Rubikon od dawnej przyjaciółki ją oddziela.

A Kazia, zmęczona wizytą Belci, przypominającej

jej dawne czasy, z którymi już nie wspólnego nie ma, bo mosty poza sobą popaliła, wpada w zadumę. Nie myśli ani o scenie, ani o swoim pierwszym występie. *On* zajmuje jej dnie i noce. To nie jest przecież miłość, bo miłość jest rozkoszą, a to uczucie jej jest tak przykre, tak ciężkie, męka, na którą rady znaleźć nie może!

I teraz usiadła nad kufrem; paczka jakaś rozwiązana z jej ręki upadła, a ona, zapatrzona błędnie w dal, widzi go całego od stóp do głowy, o ładnej twarzyczce paniczyka, w pięknym ubraniu: cały, jak z ilustracyi angielskiej młody bohater romansu.

Pamięta dźwięk jego głosu, rodzaj mowy; widzi całą scenę, jedną za drugą.

Poznała go nakoniec osobiście. Było to przed kilkoma dniami. Czekala swojej kolei w kancelaryi dyrektora teatru, którego odwiedziła już kilka razy, a który z tym przyobiecany jej niby debiutem zwlekał z dnia na dzień, wymawiając się repertuarem, trudnością wyznaczenia próby wobec wystawionych nowych sztuk; choć nie odmawiał stanowczo, szło z nim, pomimo protekcyi Władka i jego kolegów, jak z kamienia. W pokoju prócz kilku urzędników, zajętych przy biurkach i nie zwracających na nią uwagi, z interesantów nie było nikogo. Siedziała błada, niepewna, zdenerwowana. I chwila wyczekiwania wydała jej się wiekiem. Wreszcie w kancelaryi *on* się pojawił.

Drgnęła. I *on* był zmieszany. Przez chwilę chodził gorączkowo z zegarkiem tu i owdzie, badając urzędników o prezesa. Wreszcie usiadł u wielkiego stołu, zakrytego zielonem suknem. Urzędnicy z wielkimi plika-

mi przeszli do innych pokojów; słychać było ich debaty co do dat, urlopów, emerytur, kontraktów; przy innych biurkach żartowali, mówili o kartach, wyścigach, totalizatorze.

Księżę zwrócił się do Kazi:

— Pani zapewne o występ? — przemówił z uśmiechem dobrego chłopca.

— Tak, panie — rzekła, czując na twarzy rumieniec, który jeszcze bardziej potęgował jej zawstydzienie.

— Jestem Dorohowiecki — przedstawił się bardzo grzeczny i naturalny — dyrektora znam bardzo dobrze. Jeżeli pani pozwoli, będę bronił jej sprawy.

— Będę księciu bardzo wdzięczną — odrzekła, trochę tonem teatralnym, w którym chciała, aby malowało się bardzo wiele: i duma i dystynkcyja. Była zadowolona z dźwięku swego głosu. I w uszach przyjemnie jej brzmiał wyrzucony bez zająknięcia dźwięk „księciu“, choć usta jej wymawiały go po raz pierwszy w życiu.

— W jaki sposób życzy pani, abym ją zawiadomił o rezultacie mojej rozmowy?

Kazia, siedząc teraz nad kufrem zadumana, pamięta, iż wtedy znowu poczerwieniała. Czuła już wtedy, że pomiędzy nimi zawiązuje się nić. Zdawało jej się, że od jej odpowiedzi zależy całe przyszłe jej życie, i ta sekunda milczenia wydała jej się wiekiem. Była tak wzruszona, że mogła się zdobyć jedynie na słowa prawdy.

— Mieszkam sama jedna w hotelu — wykrztusiła tchem jednym. — Nie mogę więc, niestety, przyjmować

nikogo. Będę księciu bardzo wdzięczna, jeżeli zechce zawiadomić mnie listownie o wyniku tej sprawy.

Zaledwie doba upłynęła od czasu ich rozmowy, kiedy Kazia usłyszała pukanie u drzwi.

— Proszę wejść—rzekła automatycznie, zadumana o występach, kiedy ujrzała we drzwiach swego nędznego pokoiku złotowłosego królewicza z tysiąca i jednej nocy—księcia.

— Proszę mi wybaczyć tę natarczywość, ale nie mogłem się powstrzymać, aby nie podzielić się z panią dobrą nowiną, która przeszła moje oczekiwanie. Prezes był tak uprzejmy... Rzecz już załatwiona... Jest pani już artystką teatru Rozmaitości.

— Jakto, bez debiutu?—rzekła więcej zdziwiona, niż uszczęśliwiona tem cudownem spełnieniem jej życzeń.

— Wystąpi pani *pro-forma*, tak jak pani sobie życzyła, w tej jednoaktówce. Oto pani rola z wyznaczeniem próby na jutro, lecz bez względu, jak ten pierwszy występ wypadnie, czy to z powodu tremy, czy to z powodu niewłaściwości roli, jest pani, jak mówiłem, już na stałe zaangażowana.

— Nie wiem, jak księciu za to podziękować—rzekła coraz bardziej smutna i nie swoja; rozejrzała się po nędzy swego pokoju i bardzo zażenowana zdobyła się machinalnie na wskazanie mu krzesła.

Przypomina sobie w tej chwili zadumy dokładnie, iż mimowoli rzuciła spojrzenie na niego i pamięta, za-bolało ją wtedy to, iż kiedy w niej wrzały tysiączne struny wdzięczności, upokorzonej dumy i smutku, on był zawsze tym samym pięknym królewiczem z amery-

kana, zaprzęzonego w trójkę na szpic karych jukierów, ubranych kwiatami z *corsa* w Alejach, — o niezamąconej żadnym wiaterkiem losu, uśmiechniętej twarzy czce dobrego króla, któremu rozkosznie jest na świecie.

Chciała go zasmucić; coś ją pchało do tego, aby i on sam poznał, co to jest zmartwienie. Nie była usposobiona do grania komedyi salonowej, ani miejsce było po temu, ani jej sytuacja. Na co ukrywać sama przed sobą? Ten człowiek, do którego przemówiła zaledwie kilka słów w życiu, nie jest jej obcym, ani ona jemu. Te rasowe rysy jego twarzy, dziecięce oczy jasne, ta mała głowa i młodzieńczy wąsik, utrefiony przez fryzjera i cała wysmukła jego postawa młodziutkiego światowca, wszystko nie od wczoraj jej znane, to człowiek jej blizki i którego nie wykreśli tak łatwo ze swego życia.

Na cóż więc było udawanie, kiedy i on zarówno dobrze wie, co ona o nim myśli, tak jak ona czyta w jego niby niewinnych oczach. Porzucając więc etykietę, rzekła:

— Księżę wiedział o moich zamiarach wstąpienia na scenę wcześniej, niż ja sama. A raczej to księciu wpadła pierwsza myśl wykierowania mię na aktorkę.

— Nie rozumiem pani — rzekł wyniosłe, przemieniając raptownie wielkopańską grzeczność na marsa zwykłego u wielkich panów, nieprzywykłych, aby ktoś mógł być dla nich niemiłym.

— Przed półrokiem była już u mojej matki, a raczej u macochy, pewna dama, która z polecenia księcia proponowała mi scenę.

— Daję pani słowo, zem żadnej takiej damy nie

widział na oczy, że z nikim o pani nie mówił, a tem-  
bardziej nie ośmieliłbym się narzucać rad swoich.

Spojrzała w jego oczy i zawstydzila się, iż okazała  
się niegrzeczną. A w myśli jej zadudniało:—Jestem bar-  
dziej zepsuta, niż on. — Aby złe naprawić, zupełnie już  
innym tonem rzekła:

— Proszę mi wybaczyć moją niewdzięczność, jaką  
księciu odpłacam za wyświadczoną mi usługę. A prze-  
dewszystkiem proszę zapomnieć o tem, o czem przed  
chwilą mówiłam. Proszę to wziąć na karb zdenerwowa-  
nia przed występem, jak również wobec mego obecnego  
położenia, jak księżę widzisz, zupełnie nienormalnego.

— Pojmuję panią zupełnie, bo wie pani i ja jestem  
bardzo nerwowy — rzekł, wywnętrzając się przed nią,  
jak przed przyjacielem.

— Księżę nerwowy? — zapytała, ośmielając się już,  
z owym pięknym swoim uśmiechem, trochę sarkasty-  
cznym, jakim obrzucała Władka.

Ten uśmiech kokieteryjny i ten cały jej styl szy-  
kownej, dowcipnej Warszawianki wobec tego wielkiego  
pana, do tego w jej obecnem położeniu, był zupełnie  
niepotrzebny. Czyni sobie teraz z tego powodu wyrzu-  
ty. Lecz nie! Księżę czy nie księżę! jest przecież takim  
człowiekiem, jak inni. I on lubi dowcipkować, przypo-  
mina sobie, jak jej na to odpowiedział:

— Pani sądzisz, że my arystokraci jesteśmy za głu-  
pi na to, aby mózgi mieć nerwy?

Gawędzili coraz swobodniej, bardzo ciekawi poznać  
się wzajemnie; mieli tyle sobie do powiedzenia, jak dwaj  
starzy niemi przyjaciele, którym wyroki nieba nagle je-

zyki rozwiązały. Byli tacy ciekawi, jacy właściwie oboje są, jakimi się sobie wzajemnie wydadzą i, rozmawiając, wydawali się coraz bardziej sobie wdzięczni, że się co do siebie nie rozczarowują. Lecz co najbardziej Kazię uszczęśliwiało, to to, że księżę ani słówkiem jej nie dotknął; rozmawiał z nią, jak z panną z domu, której matka, guwernantka i kilka ciotek siedzą na aksamitnej kanapie pod oknem. Tembardziej ją to dziś cieszyło, kiedy samotna w swoim marnym hotelu, obiadująca w tanich restauracyach, czuła, że taką normalną panną z przyzwoitego domu już być przestała.

— Pani wyobrażała sobie moją osobę inaczej?

— Być może; pod pewnymi względami.

— Jako Mefistofelesa w operze, który za poruszeniem cudownej laski, napełnia czarę ognistą lawą. I kto się do niego zbliża, zginął. Jedyne lekarstwo na niego — Zdrowaśki i święcona woda. Dopiero wtedy ugina się, wykrzywia w największych cierpieniach i znika. Czy tak?

— Moja wyobraźnia jest trochę mniej melodramatyczna.

— A przekonała się pani, że ja jestem po prostu dobrym chłopcem, który chce zawiązać z panią przyjaźń.

— Przyjaźń? — zaczerwieniła się znowu spłoszona tym wyrazem.

— Szukasz pani znowu wody święconej? Panno Kazimiero — wziął ją za rękę — pani pozwoli się tak nazywać. Znam imię pani od dawna. Bądźmy z sobą zupełnie szczerzy. Dlaczego ta nieufność? Niech pani raz so-



bie wybije z głowy te baję, któremi niańki dzieci, a guwernantki i matki straszą córki i pupilki. Mefistofełów niema na świecie. Nie jesteśmy przecież na bezludnej wyspie. Jest pani u siebie w pokoju; za pierwszym słówkiem, którem człowiek źle wychowany mógłby panią dotknąć, wskażesz mu drzwi; masz dzwonek na służbę, wreszcie okna otwarte łączą panią z całym miastem. Rozmowa ta jest mi nad wszelki wyraz przykra, lecz wydawała mi się konieczną do tego, aby unormować raz na zawsze nasz stosunek.

— Stosunek? — szepnęła draśnięta znowu samym dźwiękiem tego wyrazu. A teraz znowu truje się myślą z powodu tego niewłaściwie uczynionego pytania.

— Może nie powinnam była okazać, że rozumiem drastyczną dwuznaczność tego wyrazu. Nie, nie. Mam lat dwadzieścia. Nie mam przy sobie guwernantki, opiekunek, nie mogę udawać naiwnego podlotka.

I przypomina sobie teraz replikę księcia:

— Tak, stosunek czystej przyjaźni i szczerj życzliwości. Zgoda? wszak prawda? Bo dlaczegożby miała pani zamykać drzwi przed człowiekiem honoru, który ofiaruje pani swoją pomoc i opiekę.

— Opiekę? — wstrząsnęła się znowu. Chciała mu powiedzieć bardzo wiele. Myśli do głowy się tłoczyły, a wycisnąć ich nie była w stanie. Chciała mu powiedzieć, że wie, w jaki sposób świat pozwala ludziom honoru opiekować się młodemi dziewczynami! Kiedy jemu, „człowiekowi honoru“, będzie rzucał uśmiechy, mówiące: „ej ty szczęśliwczu“, ona będzie zbierała spojrzenia po-

gardy ludzi złych i kiwania litośnie głową najwyrozumialszych, mówiące: „stracona!”

Chciała mu powiedzieć, że jak na pierwszą wizytę siedzi u niej za długo. Chciała go zapytać, czy gdyby była w zwykłych warunkach, ośmieliłby się przemawiać do niej, nie będąc przedstawionym, i odwiedzać, nie będąc proszonym? Chciała mu powiedzieć, że jest z innej sfery, że nic ich nie łączy, że nic więc nie mogą mieć w życiu wspólnego. Przypatrywała mu się badawczo, jak sędzia śledczy. I wszystko, co jej się do ust cisnęło, wydawało jej się patosem, melodramatyczną przesadą, banalnymi katarynkowymi komunałami. A on taki prosty, naturalny, usłużny bez żadnej maniery. I te rysy twarzy zrosły się z nią od dawna w pamięci. I ten głos dźwięczny, ten ton dobrego chłopca brata, który chce samotnej ulżyć w życiu. Wyobrażała sobie tylko dawniej, że jest głupszym, że łatwo jej będzie drwić z arystokraty. Chciała mu powiedzieć, że nie przypuszczała, aby on, z tą swoją twarzyczką cherubina, mógł być tak inteligentnym i tak zręcznym, tak prędko umiejącym wkraść się w jej życie. Wolałaby, aby był naiwniejszy, aby nie traciła przy nim zwykłej werwy, przytomności umysłu i dowcipu.

Później, pamięta, iż wspomniał jej o rozmowie, jaką usłyszał na korytarzu pomiędzy garsonami, o owym sąsiednim pokoju, o którym nic nie wiedziała, a który teraz wynajęła. Pamięta, iż mu na to odrzekła:

— Więc nawet to będę miała księciu do zawdzięczenia? Jaka ja jestem niezdarna! Nawet o tym pokoju, mieszkając tu, nic nie wiedziałam. Dopiero księżę...

Powstał z siedzenia; podała mu rękę, a on, zanim spostrzegła, przycisnął jej dłoń do ust. Sponsowiała cała i nagłym ruchem rękę wyrwała. Lecz, aby zamaskować wzruszenie, rzekła jakby bez ceremonii, nie uważając go za niebezpiecznego:

— Książę tak się ze mną znudził, że się zerwał i ucieka.

— Biegnę w pani interesie do reżyseryi o kostyum, ponieważ pani nie chce kupić nowego. Za godzinę wrócę do pani z odpowiedzią. Takie częste naprzykrzanie się jest bardzo złą metodą w staraniu się o czyjeś względy, lecz pomiędzy przyjaciółmi... Kiedy będę miał więcej czasu, opowiem pani coś z mego życia, co ureguluje, sądzę, pani nieufność dla mnie i unormuje nasze stosunki.

Więc znowu dziś przyjdzie! Co jej powie? Czemu ją męczy? Czemuż stanął jej na drodze? Czemuż nie dostała się do teatru bez jego pomocy?

Paczka, którą otrzymała pochylona nad kufrem, wyleciała jej z ręki... Nie miała siły pakować dalej bielizny. Przeszła do okna i, przylepiając zbolące czoło do zimnej szyby okna, rzuciła rozgoryczona:

— E! głupstwo, niech się dzieje, co chce!

Nie myślała ani o pierwszej próbie, którą dziś odbyła; za łatwo ten występ zdobyła, aby mógł jej sprawić przyjemność; czuła, że nie jej w tem zasługa. Co znaczy teatr, do którego się można dostać za skinieniem palca tego młodego chłopca! Nie myślała ani o Belci, rażącej ją dziś małomieszczaństwem i zaściankowością. Wyobrażała sobie, jak ona w tej chwili spowiada się

przed matką z wielkiego grzechu odwiedzenia przyjaciółki i jak stara przebacza jej wspaniałomyślnie, rącząc w zapłatę swoją ciekawość plotkami i wiadomościami:

— Jak to tam u niej, co Kazia mówiła i jak wygląda?

Nie myślała ani o Władku, który jej nie obchodził, ani o swojej przyszłości, bo pensya, którą otrzyma teraz w teatrze, większą, niż w telefonach lub w sklepach, zapewni jej utrzymanie.

Myślała jedynie tylko o nim... Czy nie była dla niego zbyt uprzejmą? Czy nie może on z tego powodu sądzić o niej nie dobrze? Czy też nie była za mało uprzejmą? Właściwie zależało jej na jednej rzeczy: chciała, aby dziś do niej przyszedł, i kiedy usłyszała pukanie do drzwi, zadrżała...

To był Władek, którego od kilku dni nie widziała, ponieważ wyjeżdżał jako korespondent na otwarcie jakiejś prowincjonalnej wystawy.

— Więc już po pierwszej próbie?—mówił tryumfalnie, przekonany, iż to jemu wyłącznie zawdzięcza Kazia tak nagłe sprawdzenie swoich odwiecznych pragnień.— Ale pobladła pani! nie dziwnego zresztą wobec pierwszego występu. To krok trochę ważniejszy, niż pierwsza suknia balowa. No, wszystko będzie dobrze—pocieszał tryumfująco, zacierając ręce i wciągając łyk powietrza, jak zawsze w chwilach, kiedy udawał wielkiego. — Teraz zaczyna się dla pani nowe życie—mówił. — Dawna panna Kazimiera Janowska, skrepowana na każdym kroku przesadami burżuazyjnymi, dusząca się w fili-

sterskiej moralności, umarła. Na jej grobie rozkwita artystka, człowiek żyjący dla sztuki, dla idei i dla siebie. Wszystkie drogi dla wolnych ptaków są otwarte: droga do sławy, droga do miłości!

— Przy ostatnim wyrazie: miłości, opuścił pan jeden epitet. Droga do wolnej miłości, do tej dawniej w klatce niedozwolonej. I nie będę potrzebowała nawet bardzo męczyć swoich skrzydeł, prawda? Mam ją tuż pod bokiem: pana? Ach! Ajaks! Ajaks! — spojrzała na jego twarz o nieregularnych pospolitych rysach, o małych, czarnych, błyszczących oczkach, na ten śmieszny monokl i długie cienkie bokobrody z wygolonym pretenzyonalnie wąsem, na tę całą sztuczną i śmieszłą charakterystycę przesadnego aktora bez talentu i rozśmiała się nieszczerym, ostrym, obrażającym śmiechem, w którym ukłuła go nie tylko pogardą, lecz bardzo głębokim, nigdy nieuleczalnym żalem i rozczarowaniem.

— O! zaczynamy mieć dobry humor, to dobrze — rzekł protekcyjnalnym tonem, jakim przemawiał do Chmielakówny, dając jej tem do zrozumienia, że teraz, kiedy dostała się już do teatru, tembardziej może być jej użytecznym lub szkodliwym.

Lecz Kazia, za ledwie dostawszy się do teatru, już o ten teatr nie dbała.

— Co za wielki ton! Ajaksie, nie strasz mnie swoją potęgą, bo wiesz, że nie jestem lękliwą.

— Tak? to dobrze. Zostańmy przyjaciółmi. — Ścisnął ją przeciągle za rękę i, nadając swoim brzydkim oczom wyraz rozkochania, milcząc, suggestyjonował ją

wspomnieniem pocałunku, jaki złożył ongi na jej ustach. To nieme spojrzenie wyrażało zarazem prośbę.

Kazia je zrozumiała i na ustach jej pojawił się znowu ów szyderczy, zły uśmiech.

— Panie Władysławie, zdaje się, że nadeszła chwila, w której możemy być z sobą szczerzy. (Miała pasyę teraz do zamykania wszystkich starych rachunków). To jest męka mieć coś do powiedzenia, żyć z tem i nie mieć odwagi się wypowiedzieć — myślała w tej chwili o *tamtym*.— Otóż kiedyś zapędziwszy się, oświadczyłeś mi swoją miłość i zaraz potem, wyrażając się po filistersku, cofnąłeś się pan. Byłam wtedy w klatce, a pan chciałeś zrobić lepszą partycję. Dziś jestem wolnym ptakiem, a pan wydajesz się bardzo zadowolonym z tego powodu. Pan się łudzisz. Na ziemi się ma inne wymagania... Ale teraz w powietrzu, mając do wyboru wszystkich orłów z całego świata, nie łudź się pan! nie wybiorę przecież pana dla kilku wzmianek w dziennikach!

— To taak?— odrzekł bardzo blady.— A więc to prawda, co mówiono, że tu roztacza już skrzydełka nie orzeł wprawdzie, ale jakiś inny złoty ptaszek. Winszuję—nie radzę jednak wzlatywać za wysoko, aby potem nie spaść za nisko.

— Ha! Trudno. To już właściwości życia poza klatką. Wielkie wzloty! Wielkie pragnienia i swoboda, swoboda... A potem w każdym razie można dostać w składzie esencji octowej... Do klatki przecież nie wrócę.

— Więc nie chcesz pani, abym był jej przyjacielem?

— Przyjacielem? Czemużby nie? Z chwilą, kiedy

nie chciałeś pan być moim mężem... Przyjacielem, zgoda. Lecz niczem więcej! Przysięgam ci na pamięć mojej matki, niczem nigdy, nigdy, nigdy!

W tej jej szczerości widniał zacięty żal kobiety, którą się odrzuciło i która tego nie zapomni i nie przebaczy. Żal ten był większym, niż Władek mógł przypuszczać, ponieważ Kazia w owym pamiętnym cofnięciu się Władka widziała wszystko złe, jakie ją spotkało. Czyniła go odpowiedzialnym za owo opuszczenie klatki i za ostateczne zerwanie z macochą.

Ajaks cmoknął parę razy i, zmieniawszy rozmowę, pożegnał się z nią niebawem bardzo dotknięty.

W chwilę po jego wyjściu przyszedł książe.

— Wracam od Hersego. Reżyser przysłał, aby pani na rachunek dyrekcji teatru obstałowała sobie potrzebny do roli strój balowy. Chodzi jedynie o to, aby pani chciała wybrać sobie materyał i iść do miary.

— Nie. Nie wybiorę żadnego materyału i nie pójdę do miary; mam białą wełnianą suknię; w tej wystąpię.

— Dlaczego?

— Nie mówmy więcej o tem, dobrze?—Nagle nowa myśl wpadła jej do głowy i dodała: — I czy wie książe, z tej szczęśliwej okazji najętego trafunkiem za bezcen mieszkania korzystać nie będę. Ale, ale — zmieniła rozmowę, udając gościnną, grzeczną, pomimo wszystko, gospodynię. — Książe miał mi zakomunikować jakąś wiadomość. Słucham.

— Doskonale.

Młody Donżuanik wpadł na pomysł, nadużyty we

wszystkich najbanalniejszych starych romansach, pomysłu udawania przed Kazią miłości dla innej, wyznaczając Kazi niby rolę jedynie powiernicy. Ów oklepany środek dokazał cudu. Kazia zgodziła się być powiernicą, siostrą, badała go, wypytywała o tysiączne szczegóły, pocieszała ogromnie przejęta swoją rolą.

Książę przychodził teraz codziennie. Dotychczas znał tylko kokoty, aktorki i wielkie damy. Ta panna z burżuazyi, inteligentna, dowcipna, piękna i cnotliwa nęciła jego zmysły swoją zagadkowością, nieznanym mu specjalnym rodzajem każdej sfery, tak jak na obczyźnie działały na niego kobiety swoim egzotyzmem, tem wiecznem a, b, c miłości, w którym się mówi:

— Ona jest inną, niż wszystkie. Ta jedynie miłość da mi szczęście i ona musi być moją — dodawał z uporem młodego zmysłowca zepsutego szczęściem i mającego wszystko ku temu, aby nie odmawiać sobie czegoś, co mu wpadnie do głowy.

I przesiadywał u niej godzinami, stając się wymownym i miłym pod wpływem rozkoszy, jaką odczuwał, badając okiem linie jej stanika i nogi, zarysowujące się pod suknią. Mierzył okiem długość figury, kiedy siedziała; a po długości ręki i cienkości palców odgadywał kształty i rysunek nogi; widział w imaginacji całą, od stóp do głowy.

Był przekonany, że nie potrafiłby wybić jej sobie z myśli, że prześladowałaby go do końca życia. Nie pamiętał, że takich innych, niż wszystkie, bez których zdawało mu się, nie mógłby żyć, było już wiele. Zapomniał o niesmaku, który nadchodzi nieunikniony, jako



epilog zbytńio nasyconego głodu. I te pragnienia jego przybierały się, jak zwykle w tych razach, w szatę jego indywidualnego powabu, świeżości, dowcipu, dobroci, wszystkich naturalnych jego zalet i uroków, które jakby wzięły się za rękę, aby ma pomagać. Jakoż jaśniał całem bogactwem czarów, tak, że koledzy jego zdumieliby, gdyby go tu widzieli, oni, uważający go jedynie za dobrego chłopca, któremu kobiety ulegają dla pieniędzy.

Bo księżę od natury miły chłopiec. Było mu na świecie tak dobrze, że nie miał okazyi wyrobić w sobie złości, był w stosunku z mężczyznami nieśmiałym i skromnym, tak, że aż go to gniewało i pokrywał swoją nieśmiałość umyślnie wyniosłością. Wiedział przecież, że jest księciem, i wstydzilo go to, że jest w gruncie żakiem, nie umiejącym się w żadnej sprawie odezwać, i żenowało go to, że poza ładnymi kobietami zna całe życie z jego celami, dążeniami, walkami, ideałami jedynie z wysokości swojego amerykana, zaprzężonego w czwórkę jukierów ubranych fijołkami, tak jak niemowlę z wysokości ramienia piastunki, która go jeszcze nie nauczyła po ziemi chodzić. I kiedy nie wiedział nieraz, co powiedzieć, robił sztucznego marsa, rumieniec jego wtedy udawał zaczerwienienie gniewu i odchodził. Owa słabość jego, nieznanjomość życia, nieumiejętność chodzenia po ziemi stawała się tu jego siłą, bo dodawała mu wdzięku.

Niewyspany po hulankach, z delikatnem zdrowiem blondynka-panienki rozpoczynał każdą rozmowę od słów:

— Ach! Taki jestem dziś chory!

I ożywiał się potem i zapominał o tej zwykłej chorobie nerwowców, którzy nie umieją bliżej określić swojego cierpienia.

I Kazia śmiała się z tego zwykłego jego wstępu, a on kokietował ją za każdym razem:

— Pani mi nie wierzy, ale jestem dziś czegoś taki chory, jak jeszcze nigdy.

I śmiali się z tego oboje.

Kazia samotna, wykolejona i trująca się wiecznie myślą co z nią będzie, upijała się jego wizytami, jak haszyszem. Była dość pojętna, ażeby się domyślić, że owa nieznajoma, którą on kocha, to błaga, że tą nieznajomą jest ona sama. Lecz drzwi swoich nie zamykała; nie chciała go tracić. I ta wewnętrzna jakaś, fizyczna, wszechludzka, druga wola zwyciężała swoją potęgą w niej wolę panny Warszawianki, wiedzącej doskonale, co wypada i co nie wypada. I Kazia okłamywała się sofizmatami, że można tylko obrażać się za słowa, za czyny, lecz nie za to, co w czyjejs głowie siedzi.

Gdyby jej powiedział, tumanila się: „Kocham panią“— odrzekłaby mu:

— Jesteśmy oboje wolni. Jeśli więc pan oświadczasz mi swoją miłość, a nie ofiarujesz mi swojej ręki, znaczy, że uważasz mnie za ladacznice. Ponieważ nią nie jestem, mam prawo uważać to za obelgę i żądać, abyś nie pokazał mi się więcej na oczy.

Lecz książę mówił jej jedynie o swojej przyjaźni, o chęci być jej użytecznym i o miłości dla innej.

Spędzali teraz z sobą godziny na obojętnych rozmo-

wach, uczuwając rozkosz, jaką posiadają zakochani, delectujący się samą obecnością ukochanego.

Nareszcie nadszedł ten oczekiwany i omawiany tyle dzień jej debiutu w teatrze Rozmaitości.

Już na dwie godziny przed rozpoczęciem sunęły tłumy schodami ciasnymi, trzęsącymi się pod stopą, przypominającymi czystością i stylem siostrzyce swoje z ulicy Piwnej i Podwała. Teraz przeciskają się przez wązkie, niskie, puste korytarze, które budowniczy powygiął, jak w klasztorach, w różne szyjki, esy i floresy, aby się w nich odnaleźć nie można było, i dostają się wreszcie do widowni z parterem umieszczonym na wysokości trzeciego piętra, z małemi drzwiczkami zamykającymi się z hałasem za tobą, jak w pułapkach na szczury. Widownia ta o bielonych ścianach, brudnej kurtynie i wyplatanych niewygodnych krzesłach, ma jedyny wdzięk: wdzięk wspomnień, z którymi rzuca się każdemu na szyję. Młodzież pamięta, kiedy jeszcze w mundurkach, w tej samej widowni, o godzinie 7-ej, zdobywała szturmem miejsce na galeryi nienumerowanej. Przynosiło się wtedy z sobą dla skrócenia czasu „Trzech muszkieterów“ lub w ogromnej oprawnej księdze *Tygodnik romansów i powieści*. A tytuł rozłożonej na aksamitnej krawędzi książki wyczytywali spektatorowie z paradyzu i komunikowali chórem całej galeryi:

— „Trzej muszkieterowie“, *Tygodnik romansów i powieści!*—i śmiech wybuchał dokoła.

W widowni, z wyjątkiem tłumu na galeryi i paradyzie, nie było jeszcze nikogo. I ten syk gazu w roz-

jaśnionym żyrandolu z towarzyszącem mu przeciągłem:  
„Aaaaa!“

O! jakże grali wtedy: Modrzejewska, Popielka, Żółkowski, Królikowski! I jakie sztuki wtedy pisali! Taka naprzykład: „Nitka jedwabiu“, „Serafina“, „Panna de Belle Isle“, „Ręce czarodziejskie“! A teraz!

Kurtyna spuszczone i przed oczyma widzisz przechylnego w bok Lewandowskiego, jak spoglądając z ukosa i kłaniając się znajomym z 1-go rzędu krzeseł, rźnie na swoich skrzypeczkach i całą siłą młodzieńczych piersi, z całym ogniem, który cię rozpycha, krzyczysz:

— Popiel brawo! Popiel, Popiel brawo! brawo!

A teraz? teraz spoglądasz na górę i widzisz toż samo: ciebie tylko tam wśród młodych niema. Lecz inni tacy sami, z tym samym ogniem w oczach, z tym samym zachwytem i zapalem w piersiach zagłuszają skrzypki Różalskiego i krzyczą:

— Marczello, Trapszo, Lüde, Frenkiel! Brawo! brawo!

Ale na dole dziś premiera. W pierwszych rzędach krytycy nienawidzący teatru i chwalcący jedynie nieboszczyków: Żółkowskiego, Królikowskiego, których oglądali ongi z paradyzu, kiedy nie byli jeszcze krytykami. Wkoło nich *tout Varsovie*, która różni się tem od publiczności z następnych przedstawień, iż zdaje jej się, że zna się lepiej od nich na sztuce. I cytuje bez końca pięknie w ich mniemaniu brzmiące nazwiska aktorek, które podziwiali, zawadziwszy z badów o Paryż w lecie podczas kanikuły. I brzęczą ustawicznie nazwiska ohydnej panny Dudley, udającej w lecie Sarę

Bernhardt, panny Bereta René du Minil. Gdybyż czytali uważniej chociażby *Gil Blasa!* Toć i tam znudzeni teatrem krytycy i zblazowani premierowicze rozdierają we łzach szaty na stan obecny i entuzyazmują się na *conto* nieboszczyków. Och! gdybyż ci wszyscy nieboszczycy mogli przemówić, co się nacierpieli, ile krwi zepsuli tym wszystkim Królikowskim, Żółkowskim za życia nie żyjący już wtedy Kudlicze, Panczykowscy, Halpertowa. I tak zawsze aż do końca świata będzie paradyz, który się bawi, oklaskuje i zapala, bo mu jest dobrze, bo jest młody i zawsze będzie, parter, który się kwasi, bo jest chory na żołądek, bo mu jest źle, bo jest stary lub zblazowany.

Lecz dziś łoże i krzesła zajęła publiczność najniewdzięczniejsza. To przyjaciele Kazi. Panie znają ją wszystkie z widzenia; panowie wszyscy pomimo gentelmańskiej dyskrecyi chcieliby dać do poznania, że ją znają bardzo dobrze. Życzą tej biednej dziewczynie, naturalnie, jak najlepiej. Kobiety są ciekawe, jak będzie ubrana. Plotka o księciu, który jaśniej w pierwszym rzędzie krzesel białością krawata, koszuli z białą gardenią w butonierce fraka, fruwa po całym teatrze.

— Powinien nosić raczej mirt i kwiat pomarańczy—szepnęła w łoży jakaś dama.

Ajaksowi w drugim rzędzie krzesel, choć nikt nie zwraca na niego uwagi, zdaje się, że jest bohaterem dzisiejszego przedstawienia. Dokoła niego głośno mówiono już o księciu; pomyślał o wczorajszych odwiedzinach swoich i o obelgach, które mu w twarz rzuciła,

i uważał za obowiązek udawać przed samym sobą, że nią pogardza.

— Cóż, kolego? — odezwał się jeden z gazeciarzy — tremę macie?

— Ja?—zapytał.—To księżę raczej powinien mieć.

— Nie bójcie się—odrzekł „gazeciarz“.—Już mówiłem o tem z kolegami; zbeszta się tylko ten system protekcyi. Wszak to upadek teatru. Ją pochwali się.

— Ucieszycie bardzo tem księcia. Może wam przyśle za to bilety gratisowe na wyścigi. Bo ja zbesztam stanowczo ten system protekcyi, jako upadek teatru, a co się tyczy debiutanki, to się pokaże, czy może z niej coś być, czy nie.

— Ach! Tak? Jeśli nie chcecie, tem lepiej; oby tylko już skończyli, aby mózgi się wydostać z tej budy. I pomyśleć, że są jeszcze głupcy, którzy płacą za to pieniądze. Jak Boga kocham, drwiny!

W tej chwili odezwał się z poza kurtyny przeciągły cieniutki dzwoneczek, taki znany, taki stary, zdaje się, że ten sam, który wzywał na scenę Żółkowskiego, Tartarkiewicza, Królikowskiego. W widowni szmery uci-chły; tylko w pierwszym rzędzie jakiś premierowicz w smokingu utyskiwał:

— W Paryżu już od wieków, zamiast dzwoneczków, odzywają się trzy miarowe tępe stuknięcia. Ale u nas...

— Paryż stał się teraz Kockiem—przerwał mu stary baron anglo-man, kulawy, z długimi siwymi bokobrodami, ucharakteryzowany na Anglika z *Journal Amusant*—ale w Londynie, który pod każdym względem jest pierwszym miastem na świecie...

Kurtyna się podniosła. Afisz zapowiadał jako „*Lever du rideau*“ jakąś jednoaktówkę francuską. Salon bogatej wdówki wyglądał brudnie z wyblakłemi, marszczącemi się ścianami z płótna, z nieprawdopodobnemi pysznemi buazeryami i parapetami, biednemi nicianemi przytem frankami przy oknie, wychodzącem na kulisy, w których jakiś wolny na chwilę chórzysta z teatru Wielkiego w kostyumie jednego „z kwiatu brabanckiej młodzieży“ rozmawiał z pokojówką jakiejś primadanny. W środku sceny dziwnego rodzaju martwe lustro, w którem się nic nie odbijało z tej prostej przyczyny, że było malowane — wisiało nad malowaną konsolą; ponad tym pokojem wdowy rozstaczał się dziwny sufit nie z jednej białej płaszczyzny, lecz z szeregu malowanych płócien, z poza których jaśniały sosnowe deski sklepień, jak na strychu.

Na scenę wchodzi Kazia, w białej z przeszłego karnawału wełnianej sukience, źle umalowana, wygląda brzydko. Rusza się niezgrabnie; jest skrępowana i patrzy błagalnie na suflera, jak śpiewak na pałeczkę dyrektora, aby nie wyjść z taktu. Widać, że nie odpowiada ani za słowa, ani za ruchy. Nie nauka, nie rozwaga, nie przygotowanie się, bo to wszystko za podniesieniem kurtyny pierzchło jej z głowy, lecz jedynie sufler i jakaś siła wyższa nią kieruje, siła nie bardzo dla niej przychylna, ponieważ dyktuje jej nie świetnie. Potoczne słowa wypływają bez wdzięku, w miejscach dramatycznych ratuje się, aby dobieść do końca sztucznością — patosem.

— Klapa! — szepcą wszyscy i spoglądają na łóżkę

tuż przy scenie, w której eksfaworyta księcia wybrylantowana, w żółtej mocno wyciętej sukni, z farbowanymi włosami, słynna w Warszawie Lorka Marchewska (dawniej Marchewka) zwycięsko śmieje się do rozpuku.

— To jest piramidalne! Niech ciotka spojrz na jej buciki. A ta sukienka—to jest klasowe!

Damy odjęły teraz od oczu lornetki. Nie była niebezpieczną. Nie była już tą piękną panną Janowską, nie była niczem.

— Można nie mieć talentu, lecz jak można wystąpić w podobnej tualecie.

Jakiej litościwej duszy wyrwało się jakieś ostatnie: *Pauvre fille!* i zaczęły rozmawiać z sobą o sukniach i balach, koncertach i komerażach.

Nareszcie kurtyna zapadła. Panowie z pierwszego rzędu, a za nimi dalsze rzędy bili oklaski... kondolencyi. Kazia kłaniała się nie całą figurą z wdziękiem, z uśmiechami i rutyną primadon, lecz kiwała głową niezręcznie, ciągle jeszcze w stanie niepoczytalności.

Lecz kiedy kurtynę jeszcze raz podniesiono, publiczności sprzykrzyła się już ta blaga i panowie odwracali się od sceny.

— Mogliby już dać spokój. Przecież to nic nie jest...

— Naturalnie, mogłaby dać teatrowi za wygraną.

— Cóż, kolego? Klapa?— badał po koleżeńsku gazięciarz Ajaksa.

— Najkompletniejsza. Nic z niej nie będzie — odrzekł z pewnością wyroczni.

Książę słyszał to wszystko. Lecz nie wierzył ani



im, ani sobie. Jemu gra Kazi zdawała się doskonałą. Dziwiła go swoboda, z jaką się poruszała i mówiła. Jemu słowo przez ustaby nie przeszło, tak go coś w gardle przez cały czas jej gry ścisnęło. Wydawała mu się jakąś inną, lecz tem nie mniej blizką. Nie odejmował od oczu lornetki, pochłaniał ją całą i bał się za nią. Tyle osób przeciwko niej jednej, biednej... Wszyscy czytają tylko, aby się potknęła, zmieszala, aby ją wyśmiać i nazajutrz skrytykować... Kiedy kurtyna zapadła, odechnął, jak gdyby mu kamień spadł z piersi. Wdział cylinder na głowę, aby pokazać, ile sobie robi z tej całej głupiej widowni. I, minawszy dwie sionki, oddycha swobodnie w sali reductowej, oświetlonej jedynym płomieniem gazu, z głębią pograżoną w ciemnym śnie i w chłodzie jak w lochu.

Księżę wyjmując papierosa z uherbowanego *porte-cigaru*; dobiega do niego w wielkich ukłonach woźny i podaje mu ognia, choć innym gościom palić tu zabrania. I księżę pali we drzwiach półmrocznej olbrzymiej sali, nie decydując się wejść do brzydkiego *fumoiru* z jesionową oszkloną szafką i takimże bufetem z butersznitami, ciastkami, oranżadą i piwem, przypominającym salę II klasy na trzeciorzędnych stacyach kolejowych. I tłumy ludzi, ginąc tu w kłębach niebieskiego dymu, duszą się w denerwującym łoskocie nowo ustawionego przy oknie wentylatora, który, jakby pełnił rolę Augusta w cyrku, udaje z hałasem zajętego a nie nie robi.

I księżę czuje się ogromnie sam wśród tych wszystkich ludzi. A jednocześnie obawia się, aby kogo ze swo-

ich tu nie spotkał; czuje, że jednakową przykrość uczyniłyby mu ich pochwały debiutu, jak polityczne milczenie. Lecz skwapliwie wita się ze znawcą teatru, starszkiem, redaktorem nieistniejącego już od dawna pisma. Ten mu powie prawdę bez ogródek, nie zna on już obecnych tajemnic, stosunków, intryg.

— Jakże nowa debiutantka? Jak redaktor sądzi? Będzie co z niej?—pyta starszka, czerwieniąc się.

— Pi!—rzekł z zadowoleniem, jakie atawistycznie odczuwa burżuazya, ilekroć zbliża się do nich ktoś „z panów“.—Tego przesądzać nigdy nie można. Sądzę jednak, że nic z niej wielkiego nie będzie. Jak dotychczas, niema śladu talentu.

— No, pierwszy występ, trema, źle ubrana, malować się nie umie. No, naturalnie nic wielkiego z niej nie będzie. Do widzenia, redaktorze.

— Księżę nie zostaje na „Małomieszczanach“ Sardou? Marcello, Lüde, Trapszówna—znakomite!

— Nie, niestety, nie mogę.

W swojej wrażliwości młodego arabczyka, trząśnięty cały z niepokoju i wzruszenia; za kulisy i do garderoby chodzić w Warszawie niema zwyczaju. Mógł czekać na nią przed bramą i nawet powinien powiedzieć jej słowa kilka...

— Nie, nie—powiedział sobie nagle z jakimś nagłym kaprysem zakochanych, z których najśmielsi posiadają nieraz pasy ustawiania sobie sztucznych zapór i przeszkód nie do zwalczenia.—Wolę jej dziś nie widzieć. — Choć całą duszą pragnął ją zobaczyć. I nie wiedząc

co robić, pojechał do klubu. Grał do rana. Karta sprzyjała mu jak nigdy.

A Kazia?

Nie wie, jak dostała się tego pamiętnego wieczora do domu. Nie pamięta, jak grała. Jak się publiczności kłaniała. Nie zdaje sobie sprawy z niczego, jak gdyby była pijaną. Dopiero położywszy się do łóżka, oka zamknąć nie mogła; bo nie wie dokładnie, jak grała wczoraj. Zdaje jej się, że źle. Lecz jakaś otucha nadziei szeptuje jej, że ocenia się zbyt surowo. Może ludzie na wszystkich jej wczorajszych błędach nie poznali się tak, jak ona sama; zresztą wszak to był pierwszy występ w jej życiu na scenie. Będą wyrozumiali, pobłażliwi...

Po nieprzespanej nocy, drżącemi rękoma wertuje dzienniki poranne... Przebiega jednym tchem jakąś sarkastyczną wzmiankę, pochwytuje za drugi i rzucą okiem na artykuł z sensacyjnym tytułem: „Niefortunny debiut“. Wertuje potem inny, potem jeszcze inny... Wszystkie jednogłośnie zaprzeczają jej żdźbła talentu...

Zmieła je w garść i rzuciła na ziemię.

— Podli! podli! — krzyknęła — więc cóż oni chcą, abym ja teraz z sobą robiła? Niech mi poradzą, co mam czynić? zaślubić mnie nikt nie chciał, nauczycielkę nie chcieli, teraz teatr także nie? Więc co? Więc co? — mówiła w rozpacz, nie zdając sobie sprawy ze swojego dzieciństwa, bo czuła przecież, że grała wczoraj źle, a krytyka nie może przecież obchodzić poza sceną artysta, lub poza dziełem autor.

— Zamiast ośmielić mię, dodać otuchy do dalszej

pracy—takie policzki na pierwszym kroku walki o chleb! O! podli, podli!—czyniła im w swoim niedoświadczeniu życiowem wymówki, jak wyrodnym rodzicom, nie myślącym o przyszłości swojej jedynaczki.

Do drzwi jej ktoś zapukał... Była pewną, że to książę. Wstydziła się przed nim wczorajszego fiaska; nie chciała jego pocieszeń i otworzyła usta, aby mu przez drzwi powiedzieć: Nie mogę pana przyjąć. Jednocześnie chciała go i widzieć i krzyknęła:

— Proszę!

— Żeby pani wiedziała, taki dziś jestem niezdrów—rzekł na powitanie, całując ją w rękę.

Kazia rozśmiała się. W oczach jej książę złowił błysk miłości tak silnej jak nigdy. Błysk ten nie kłamał. Kazia tak wdzięczną mu była za tę dalikatność jego, z jaką złamał pierwsze lody rozmowy i skazywał się na rolę kłowna, aby ją rozweselić i nie dotykać drażliwej wczoraj rany.

— No i cóż się takiego znowu stało?—rzekła zupełnie już pogodna z miłosnym uśmiechem mateczki dla śmiesznego dziecka.—Książę może po prostu nie wyspał się? A może nawał pracy, lub jakie wielkie zmartwienie?—mówiła, jak ongi z Ajaksem.

— Wszystkiego po odrobinie, tylko zmartwień co prawda nie miałem żadnych — mówił, uważając za odpowiednie udawać naiwniejszego, niż był w istocie. — Bo pracę miałem i nie wyspałem się. Grałem całą noc do białego rana w klubie. Wygrałem 10,000 rubli.— Tu pokazał jej olbrzymią plikę lśniących papierków 500-rublowych, o jakich istnieniu nawet nie wiedziała.—

I taki jestem śpiący. Aaaa — ziewał, karykaturując i przesadzając trochę swoje niewyczasowanie, jak ludzie trochę pod dobrą datą mają pasyę udawać zupełnie pijanych, co jest swoją drogą dowodem, że nie znajdują się w stanie zupełnie normalnym.—Będę leżał w trumnie i jeszcze mi nikt nie uwierzy, że byłem chory. Aaa! Przepraszam panią za to ziewanie.

— Książę dobrze się bawi w mojem towarzystwie! Cóż dziwnego? Z taką idyotką, która tak ślicznie wczoraj się popisała. Ładnie mnie ubrały kochane nasze dzienniki!

— Pani czytasz warszawskie dzienniki? — mówił z głową przechyloną w fotelu, z zamkniętymi oczyma — wiesz pani! (Książę z zagranicznych dzienników czytał jedynie *Gil Blas'a*). Ja się na teatrze, co prawda, nie znam. Wyścigi to co innego. Gdyby pani była...

— Konie? toby książę wiedział, co jestem warta.

— Proszę mi nie przerywać, bo ja jestem chory i śpiący. Bo to jest ważne, co powiem, tylko przedtem zaciągnę się papierosem—zapalił świecę i w swojej roli śpiącego zwinął niby przez omyłkę 25-rublowy papierek, który przyłożył do płomienia.

— Co książę wyprawia?—krzyknęła, chcąc ratować zwęglony papierek.

— Jeżeli pani będzie przeszkadzała, to zamiast papierosa sam przytknę się do świecy i spalonego znajdę mnie w pani pokoju.

— To się nazywa mówić brednie!

— Bo ja jestem śpiący i chory. A jeżeli znajdę mnie śpiącego w pani pokoju—kompromitacya dla pa-

ni jeszcze większa. Zaraz sobie pójdę; muszę tylko powiedzieć jedno, bo przez cały tydzień się nie zobaczymy. Wyjeżdżam na polowanie. Otóż (udawał poruszenie dzwonka) panowie!

— Czy książe jest pijany, czy książe udaje?

— Cicho! póki mówię z dobrocią. Jestem pani przyjacielem, jestem zarazem przyjacielem teatru. Pieniądze mogę palić, wyrzucać oknami. I nie pozwolę, aby moja protegowana występowała w podobnych tualetach. Wszyscy są tego zdania, że gdyby pani była inaczej ubrana, wszystkoby poszło inaczej. Wracam od reżysera. Rola wczorajsza była dla pani nie właściwa. Oto są dwie nowe role, nie duże, nie trudne — w sztukach salonowych, gdzie trzeba być młodą, piękną, ładnie ubraną. Stopniowo będzie pani wchodziła w repertuar poważniejszy. Teraz trzeba mię słuchać. Do każdej roli obstalowane są już nowe туаlety. Odłóży pani upór na stronę i da się pani uczesać sławnemu Michałkowi. Mnie jest wszystko jedno. Ja pani i tak nie zobaczę, bo wyjeżdżam, a jestem teraz taki chory... Żegnaj panią — powstał z siedzenia, pochwytując za kapelusz.

— Czy książe jest uczciwym człowiekiem? — zapytała z myślami bardzo na seryo, patrząc mu bardzo poważnie w oczy.

— Pani sądzisz, że ja te 10,000 rubli ukradłem? Bardzo chciałbym siedzieć razem z panią w kryminale — i nagle porzucając ton żaka, ogarnął ją poważnym wzrokiem, w którym malowały się jakieś tytaniczne

uczucia. Przylepił rozpalone usta do jej ręki i szepnął głęboko, bardzo szczerze:

— Kocham kogoś tak, jak nie kochałem dotąd nigdy nikogo—i zniknął za drzwami jej pokoju.

A Kazia, osunięta w siedzenie kanapy, z oczyma utkwionemi błędnie w okna, usłyszała machinalnie wylatujące jej z ust nie wiadomo przez kogo podsunięte słowa:

— Tonę, tonę coraz niżej, coraz niżej...

Naturalnie. Czyż powinna była przyjąć protekcję? Czyż powinna przyjmować go u siebie? Teraz wystąpi w nowych tualetach. Czyż znajdzie się jedna osoba na świecie, która uwierzy w jej niewinność? Czyż dokoła siebie nie czuje na każdym kroku w tem odwracaniu głów znajomych na ulicy i w tej przesadnej uniżonej grzeczności usłużnych kupców, właściciela hotelu, że ją uważają za metresę księcia? Wczoraj jakaś Żydówka przyszła do niej z propozycją kupna starych koronek i biżuteryi. Nie wiedziała, że Kazia w oczekiwaniu pierwszych 40 rubli miesięcznej gaży, przez kilka ostatnich dni miewa za jedyny posiłek herbatę i serdelki!

A jednak ona metresą księcia nie będzie nigdy!

— Nie, nie, nigdy! — mówiła sobie teraz, czując, że podłość jest łatwiejszą do wyrozumowania, niż do spełnienia.— Gdyby był starym i wstrętnym, nie wahałabym się. Ale właśnie dlatego, że go kocham, nie stanie się to nigdy.

Teraz występowała już w przepysznych kostyumach, wspaniale ufryzowana, umiejętnie umalowana, ośmielona, bez tremy. Publiczność, już nie premierowa

lecz zwyczajna, przyjmowała, jako nowość, tę młodą aktorkę, wnoszącą na scenę młodość i świeżość, życzliwie. Za kulisami pomiędzy jej koleżankami aż wrzało od zazdrości... Z poza oklasków coraz częściej dawało się słyszeć z paradyżu sykanie małych urwisów. Owa fatyga gwizdania była jedynym ich kosztem teatru. Bawiło to ich ogromnie, bo bilety ofiarowywały im za darmo stare rywalki Kazi.

Kiedy grała, zazdrosne koleżanki, znajdujące się z nią jednocześnie na scenie, mówiły niby do siebie rzeczy dla niej tak przykre, że ledwie do końca mogła wypowiadać swoje „kwestyę“. Zmieniały też umyślnie swoje repliki, aby się plątała, i spoglądały jej w oczy tak wyzywająco, aby się „zasypywała“. Jedynie reżyser był dla niej grzeczny. Dawał jej jednak do poznania, w swoim wyniosłym a zimnym tonie lorda teatralnego, że jest grzecznym, ponieważ takim być mu kazano.

Wracała do swego samotnego pokoju co wieczór splakana. Zastawała na domiar w domu anonimy i pisma humorystyczne, w których traktowano ją jak ulicznicę. Nazajutrz trzeba było znowu chodzić na próby, na których odwracali się od niej wszyscy, jak od zakażonej.

O! miała już dość teatru, po samą szyję!

— O! jak ciężko i trudno jest zapracować sobie na kawałek chleba! Wielki Boże! Jak trudno!

Dzień miał się już ku schyłkowi. Nie występowała tego wieczora. Na miasto nie wychodziła, bo nie miała z kim, ani gdzie, ani po co. Ktoś do drzwi zapukał. Apatycznie rzuciła:



— Proszę.

Drzwi się otworzyły. Książę! Bawił na wsi znacznie dłużej, niż zamierzał: prawie miesiąc. Kiedy ujrzała śród swojej nędzy jego ukochane rysy, doznała uczucia, jak gdyby się nieba dla niej otworzyły. Rzuciła na stół rolę, której się uczyła, i zerwała się z siedzenia; jakaś siła pchała ją w jego objęcia.

Ach! oprzeć głowę na jego ramieniu, przytulić się i płakać — jakby to musiało być dobrze... Przymknęła oczy.

— Siadaj pan i mów mi o sobie jak najwięcej i nie pytaj mnie pan o nic — rozkazywała mu bez śladu kokieteryi.

Wyglądała tak pięknie, jak nigdy, w gładkim różowym płóciennym szlafrocжку bez kawałka wstążki, ani koronki, z głową opartą niedbale na ręce. Pobladła trochę; oczy wydawały się jeszcze większe, jeszcze bardziej podmalowane, a karbowane jej włosy, spięte niedbale jedną szpilką, piętrzyły się jeszcze fantastyczniej, niż zwykle.

Książę nie mógł spuścić z niej oczu.

— Czemu mi się pan tak przypatruje?

— Zbrzydła pani w ciągu tych czterech tygodni.

— Rzeczywiście? — zapytała odrobinę przestraszona. — Nie dziwiłabym, się temu wcale — rzekła, myśląc o kłopotach, których inne piękne kobiety zapewne tyle nie mają. — Proszę wyjść na chwilę na korytarz. Upudruję się i poprawię sobie włosy.

— Za nic w świecie!

— Ha! To proszę nie wyrzekać na moją brzydotę.

Lecz w pokoju było duszno; wyszli na balkon...

Przed nimi rozciągało się miasto w owych dziwnych profilach, kiedy się patrzy na nie z góry. Ogrody jak na szachownicy, dalej podwórka, jedno tuż przy drugim, porozdzielane śmiesznie niskimi w perspektywie starymi parkanikami. I w oczy ci wpadają przylepione do tego pejzażu dyszącego *pleinair*'em słupy telegraficzne z czterema drgającymi ponad sobą cieniutkimi nitkami drutów i z jaśniejącymi białością izolatorami; druty te wyglądają jak linijki na nutach. Ciszę letniego wieczora, w tym zaułku wśród dachów, rozpruwa gwizd fabryki, to daleki dzwonek wagonów kolejnej, sunących mostem ku Pradze, to wózek zajeżdżający w podwórze zaturkoce, to pies gdzieś zaszczeka i znowu cisza... owa cisza letnich wieczorów z balsamem powietrza, czarem ciepłego wiatru, lechącego twarze, owa cisza, szepcząca jakieś cuda zakochanym do uszu, sprawczyni wielu błędów młodzińskich. I Kazia zdaje się nie spostrzegać tego, że opiera się z ufnością o księcia i że ramię jego delikatnie ją oplata, a ona gładzi go po włosach z rozkoszą, która zdaje się mówić:

— Chciałabym, abys był szczęśliwym...

A cisza coraz dalej uwodzi ją, kusząc przekonywająco:

— Za to wszystko, coś w życiu przeszła, należy ci się chwila rozkoszy.

I księżę staje się natarczywym. Zbyt mocno przyciąga ją do siebie. Kazia jest zmęczona katuszami, jakie przeżyła. Teraz upojonej tym letnim wieczorem wystarczyłoby ciepło jego rąk i miękkość jego włosów; lecz

ten żar rozpalonych warg, które uczuła na szyi, nie sprawia jej rozkoszy... Aby go nie stracić, broni się ostrożnie, z lekka odtrąca, marudząc jak dziecko.

— Nooo! Przestać! Być grzecznym! Nooo! bo pójdę sobie. No, dość tego! — zdecydowała już krótko, bardziej stanowczo, otarłszy oczy, wytrzeźwiona z letargu, w który ją wieczór letni zwodniczo pogrążył.

— Proszę zapalić świecę w pokoju.

— Tak, tak, chodźmy.

Zapalił w pokoju świecę; teraz całuje ją w rękę na pożegnanie.

— Już? — wyrwało jej się mimowoli, bo znowu zostanie sama w celi ze swemi myślami.

— Zostałbym jeszcze godzinę, ale jestem szalenie głodny. Od śniadania na wsi nie miałem nic w ustach. Chyba, że pani pozwoli, aby służący przyniósł mi tu z restauracyi kawaleczek mięsa i naparstek wina?

— Nie, stanowczo nie.

— Nie pozwala pani? a więc dobrze, zostanę — zadzwonił na służącego i dawał mu cichaczem polecenia:

— Przyniesiesz pędem pularde na zimno, kawioru, ostryg, sera, owoców i dwie butelki szampańskiego, zrozumiałeś? Marsz!

Za chwilę Kazia robiła honory gosposi, szepnąwszy przedtem naiwnie lokajowi:

— Proszę umieścić to wszystko na moim rachunku.

Ponieważ z balkonu ostre powietrze wieczora mroźną falą ich przejmowało, zamknięto okna, pospuszczano rolety, zapalono lampę. Teraz byli zupełnie jak u siebie. W pokoju ciepło, jasno. Na śnieżnym obrusie ja-

śniało szkło, porcelana, srebro. Kazia zaprasza go do jedzenia, nakłada mu na talerz. Bawi ją to ogromnie. Nigdy nie wydał jej się tak pięknym i powabnym, nigdy nie czuła się tak szczęśliwą, że może nasycić jego głód i uraczyć go wieczerzą, którą nakłada mu na talerz własnymi rączkami; a on, machając niecierpliwie rękami, udaje nieznośnego chłopca i mówi płaskim głosem każdy wyraz osobno:

— Ja chcę kawioru. Ja chcę jeszcze ostryg. Bee... Ostryg!

— Cicho — strofuje go Kazia, nakładając mu nową porcję. — Zaraz, są już.

— A Kaziutka? — zapytuje księżę pełnemi ustami, rozkoszując się jadłem, jak dzieci, kiedy się bawią w kuchnię.

— Nie, ja nic.

— Tyci kawałeczek — prosi. — Ja chcę.

— Nie, nie, tylko tych kilka truskawek — broni się Kazia, prześliczna z olbrzymią truskawką w buzi. Lecz po truskawkach z właściwym nieporządkiem jedzenia u kobiet — kosztuje kawioru, potem sera, potem pulardy.

Wina ćwierć szklanki, więcej za nic w świecie...

Lecz wino było tak słodkie i chłodne, iż wypila szklaneczkę jedną, potem drugą, potem trzecią.. Oczy jej coraz bardziej błyszczą... Siedzą tuż przy sobie na kanapie. Kazia bawi się jego włosami; on obejmuje ją w pól...

Nie zdają sobie sprawy oboje z chwili, którą przeżywają. Jest tu tylko dwoje młodych, którzy się kochają.

I księżę zapomina o całym swoim machiawelizmie,

z jakim dążył stopniowo do dzisiejszej uczy sam na sam i Kazia nie pamięta o walce, jaką staczała z marną opinią. Są tu tylko nie odpowiadające za swoje czyny dwie młode jaźnie, zdradzające wzajemnie swoje ukryte uczucia — rumieńcami, błyskami oczu, biciem serca i drzeniem i biegające koło ognia tak długo, aż kiedy ratować się było już za późno...

---

## IX.

Kiedy w kilka dni później Ajaks pukał w korytarzu do drzwi pokoju Kazi, numerowy objaśnił go:

— Ta pani już tu nie mieszka.

— Taaak? Nie mieszka? A od kiedyż to?—badał— a to dla ciebie na piwo. — Udobruchał jego lakonizm wciśniętym w rękę kubanem.

— Dokąd się wyprowadziła?

— Wyjechała onegdaj jeszcze wieczornym pociągiem podobno do Paryża, do Nizy, potem do Włoch. Odwoziłem na kolej kufry, przynosiłem też urlop z teatru i pasport.

— Sama wyjechała?

— No nie zupełnie—uśmiechnął się poufale.

— Z księciem?

— A z kimżeby, proszę pana? Chodził tu za nią od kilku miesięcy. Rachunki wszystkie co do grosza zapłacił. Co tam takie rachunki! Ale to miejsce w teatrze, te kufry, ta podróż, to także ładny grosz. Piękna, bo piękna, ale zawsze udało jej się. Aby tylko długo się trzymał.

— Stało się—szepnął Ajaks.

Głos, którym to wymówił, wydał mu się nie jego własnym i tak patetycznym, aż się musiał oblać zimną wodą swego zwykłego cynizmu.

— Tylko nie dramatyzujmy! Proste, jak bułka za dwa grosze. Musiała iść na dobrą „stajnię“. Była tylko do tego stworzona.

I z pasyą, z jaką nie chce nam się nigdy wierzyć w fakty, których spełnienia nie chcemy, rozglądał się dokoła, szukając automatycznie słupa z ogłoszeniami.

— Może to jest wszystko blaga?

Aha! Jest słup! — widzi z daleka na afiszu jednoaktówkę, w której występuje Kazia. Zbliża się do słupa, obejrzawszy się przedtem, czy kto na niego nie patrzy, i bada afisz: tak, do roli Kazi powróciła dawna jej przedstawicielka. Na dole afisza wyczytuje: „Na urlopie panna Kazimiera Janowska“.

A więc to prawda! Poprawia monokl, zapala tanie cygaro i sunie ulicą. Dokąd ma iść, sam jeszcze nie wie. Ot, najlepiej wstąpi na kawę do cukierni. Nie lubi wprawdzie tej kuźni plotek na całe miasto, miejsca tylu już awantur pomiędzy aktorami, śpiewakami, dziennikarzami, malarzami. Wie, że go tam nie lubią. W ukłonie niby pełnym uszanowania aktorów, z których każdy czuje żal do niego za jakąś krytykę, dostrzeżga ironię, słyszy jak mu za plecami szepcą:

— Krytykować innych to umie. Ale napisz sam raz coś porządnego! bebechy aż bolą recytować twoje brednie.

I młodzi literaci zazdroszczą mu wolnego biletu do teatrów, szczęścia u obawiających się jego zjadliwej

krytyki pięknych aktorek, zazdroszcza mu haweloków jego, bezczelności, wiecznego cygara w ustach, stosunków, tego wreszcie, że zrobił w życiu karierę i, mszcząc się, okazują jawną pogardę temu wielkiemu człowiekowi do małych interesów.

— Karyera!—mówi na to wszystko Ajaks.—Dlatego, że mam ambicyę, nie płaszczę się, jak inni, i wolałbym stryczek sobie na szyję uwiązać, niż żalić się przed nimi na to, co mi dolega. Niechby miał który z nich choć połowę moich „pajaków“ na karku. Karyera!

Na ulicach ruch w stronę teatru się wzmaga. Dają „Hrabinę“. Teatr zapewne wyprzedany. Na Wierzbowej toczą się dorożki jedna za drugą, zajęte przez ludzi, nie lubiących się spóźniać do teatru.

— Strułem się dziś w knajpie, czy co u licha?—szepce Ajaks, któremu cygaro dziś nie smakuje i w gardle coś przeszkadza. Stał pod filarami i przygląda się świetnym brylantom w wystawie u jubilera.

— Po co ja właściwie idę do tej dziury?

Stał przy oknie składu nut i przypatruje się fotografiom:

— Same stare! Czemu młodych i ładnych aktorek nie wystawiają? A prawda! jest gwiazda sezonu w roli „Hrabiny“. Nie wszystkie aktorki dają się wywozić księżętom. Wypiję tylko filiżankę kawy; to dobrze mi zrobi i zaraz wyjdę.

Poprawił sobie monokl, wyprostował się, jak aktor, wchodzący na scenę i wszedł do Ćukierni, jak zwykle, nie aby patrzeć, lecz aby jego widzieli. Przedewszystkiem, stanąwszy we drzwiach, pokazał się tłumowi, ze-



branemu w sali na prawo. Sala ta obszerna, lecz niska o białych ścianach ze złotem, z ogromnem lustrem w złożonych ramach i meblami pokrytymi czerwonym utrechtem, z figurkami z czekolady na konsolkach, ma w sobie ciepłą atmosferę salonu mieszczańskiego. Tabliczki z napisami: „Zabrania się palić“ dodają nastroju przyzwoitości.

Wszystkie kanapki zajęte. Kółka większe gwarzą, jak na raucie. Kobiety w pięknych jasnych sukniach, wyglądających z pod długich okryć, w kapturkach na utrefionych włosach, w świeżych rękawiczkach, z wachlarzami i lornetkami. Panienci z minami promieniąjącymi w czasie rzadkiej dla nich uroczystości, jaką jest kosztowny teatr i cukiernia, raczą się czekoladą i pochłaniają jedno ciastko za drugim, rzucając od czasu do czasu zaciekawione spojrzenia w stronę sąsiedniego buduaru, skąd dochodzą śmiechy „tych pań“ i młodzieży, od czego rodzice usiłują odwrócić ich uwagę. Ajaks nie rusza się ze swego stanowiska we drzwiach szklanych; jest pewny, że wszyscy go sobie ukradkiem palcami pokazują. Niech i tak będzie, jeżeli to przyjemność sprawia tym filisterskim pannom i mężatkom, zapewne osobistym znajomym jego brata, które go naturalnie znają z widzenia.

— Panie redaktorze! panie redaktorze!—rozlega się głos z boku.

Któż u licha z tych mieszcuchów może go znać osobście? Ach! Dziunia! Zbliża się do niej.

Dziunia jest aktorką, której ról nie dają. Z nudów siedzi od rana do wieczora w cukierni i zapija czarną

kawę. Nie nudzi się tu, ponieważ każda godzina ma tu inny charakter. Rano redakcyje i aktorzy z próby: właściwa kuźnia plotek. Szepty przenoszą się z sali przez bufet do palarni. Dowiedziawszy się o wszystkich nowinkach i łątając fantazyą to, co prawda uczyniła ma-ło zajmującym, Dziunia o godzinie 1-ej przychodzi tu po raz drugi już nie jako aktorka podrzędna, lecz jako kobieta inteligentna, do której zbliżają się przyjeżdżający tu na białą kawę o godzinie 12-ej lekarze, urzędnicy biur, adwokaci. Dziunia prowadzi z nimi rozmowy poważne i opowiada wiadomości sensacyjne, które świeżo wykuły się dziś po próbie. Ubrana zawsze niegustownie, często niedbale, źle upudrowana — szczyci się bardziej swoim rozumem, niż urodą, choć ów rozumek ma pospolity i dowcip niewybredny. Na odchodnym żegna ludzi z tryumfem:

— Nie żałuje pan, że trochę ze mną posiedział? Zawsze się czegoś ode mnie dowiedzieć można, co? Znudziłeś się pan ze mną? Która kobieta tak potrafi rozmawiać, jak ja? Bo o czem wszystkie one gadają? Albo o strojach albo o miłości. I wiecznie pragną tylko, aby im prawić komplementy. Jak dobrej roli pragnę, nudne są, jak flaki z olejem. Nieprawda? A ja jestem tylko dobrym sobie koleżką i tyle.

Wieczorem po raz trzeci przed samym teatrem przychodzi znowu jako zwykła pani z miasta, dla której teatr i cukiernia stanowią wielką uroczystość, jaka się raz na rok zdarza.

A płacąc Ignasiowi za kawę, pyta go codziennie tonem, jak gdyby przyjechała z prowincyi:

— Garson! Ile należy się za kawę?

A Ignaś w kułak się śmieje, nie rozumiejąc na co właściwie i dla kogo ta komedia.

Od pewnego czasu Dziunia przychodzi z młodziutkim studentem, od którego aż bije łuna, tak się na nim wszystko świeci: i oczy, i policzki, i zęby, i guziki, i kołnierz mundurka, nawet czarny meszek na czerwonej wardze jakby polakierowany. Bo Dziunia ze sławnymi ludźmi lubi tylko flirtować. Poza tem wynajduje sobie zawsze „panów z miasta“ o ile może najmłodszych. Imponuje im też ogromnie swoim dowcipem i stosunkami. I teraz przedstawia zawstydzonemu po uszy studentowi:

— Pan Miler! a to nasza sława!

— Bardzo mi przyjemnie—skłonił się Ajaks.—Jak się masz, Hermengildo?—zmieniał ustawicznie jej imię według konceptu z jakiejś operetki.—Cóż, Kunegundo, wiecznie będziemy grywali tylko role po cukierniach, a na scenie nigdy? — silił się na dowcip nie dla niej, którą znał, jak zły szeląg, lecz chciał olśnić młodziutkiego studenta.

— Dla wielkiego talentu niema złej sceny. Gra się, gdzie się da. Zresztą, mój redaktorze, czy to ja jedna gram poza sceną? Wszyscy ludzie są aktorami i jakimi! Zdychać od śmiechu! Niech się Żółkowski schowa! Ale cóż z tego, kiedy ja na komedyi zawsze się poznaję. Naprzykład pan zaczynasz od dowcipów: Hermengildo, Kunegundo! Ale ja wiem, że jeżeli redakter jesteś dziś w dobrym humorze, to niech mnie dyabli wezmą!

Zaczerwienił się i, źle maskując niezadowolenie, dowcipkował zjadliwie:

— No, wykrztuś już, Eufrozyno, plotkę, która cię dławii: Janowska wyjechała! Wiem o tem. I cóż z tego?—mówił głośno, nie zadowolając się już studentem, lecz biorąc za audytoryum całą cukiernię—możesz, luba Hersylio, zrewidować moje kieszenie. Nie znajdzie się tam ani trucizna, ani strychezek, ani rewolwer. Jak ci życzę roli „Adryanny Lecouvreur“! To może pani raczej włoży żalobę z powodu jej wyjazdu?

— Ja? dlaczego? że o jedną idiotkę mniej w teatrze?

— Nie, że pani nie zabrano do Nizzy.

— Ach! Tak!

Rozejrzał się jeszcze raz dokoła, aby sprawdzić, jakie wrażenie jego dowcip sprawił, podał rękę studentowi, ukłonił się trochę teatralnie i odszedł.

Dziunia zrobiła śmieszny grymas za jego plecami:

— Józio Hofman, czyli cudowne dziecko!

Błyszczący student parsknął śmiechem, bo pogardzał, jak cały uniwersytet, literatami w rodzaju Ajaksa.

— Podobno piszę teraz „sztukę“. Próba pióra, kałamarza, atramentu i pisarza—rzekła tak głośno, że się wszyscy rozśmiali, a błyszczący student wyjął chustkę z kieszeni, aby sobie otrzeć oczy, które mu od duszącego śmiechu łzami zasły.

Ajaks mijają teraz salę bufetową, z ornamentowanymi bogato bronzem hebanowymi szafami, w których za szkłem świetnieją ozdobne bonbonierki i barwią się karnafki z sorbetami koloru roztopionych szmaragdów, ru-

binów i złota; z za bufetów wyglądają głowy subjektów z wyrazem twarzy niemniej słodkim od sprzedawanych słodyczy. W bufecie, oparci o marmur kolumny, raczą się kieliszkiem wermutu lub madery z biszkoptami przed teatrem „ci panowie“, z pierwszego rzędu krzesel, ze lśniącymi z pod paltotów gorsami koszul, w smokingach lub frakach. Do uszu Ajaksa dobiegają urywkowe zdania:

— *Mais oui. Ils sont partis à Cannes hier soir. C'est très rigolo-ça. C'est un collage sérieux. Il est emballé ce grand bêta de Siżyś.*

Minąwszy bufet, Ajaks zmierza ku wielkim wrotom o kolorowych szybkach. W dusznej atmosferze palarni pod klasztorne sklepieniami kąpią się w niebieskawym dymie tanich cygar i papierosów zwykli goście codzienni. Niema tu gorączki teatru; wszyscy zasiedli wygodnie z zamiarem zabicia przy czarnej kawie całego wolnego wieczoru. I słychać codziennie w kółko to samo:

— Franiu! Kawa czarna! Kiedyż mi do licha przyniesiesz?

— Co dla niego znaczy taki głupi gość, żądający kawy?—objaśnia swego młodziutkiego kuzynka, przybyłego na kilka dni ze wsi, pan Wawrzyńkiewicz (sprawdził go tu umyślnie, aby mu pokazać z daleka teatr, choć chłopak wołałby, aby mu wuj bilet choćby na galerię zafundował).

— Garsoni mają ważniejsze sprawy na głowie — objaśnia go ze zwykłym sarkazmem — handel biletami teatralnymi, zamawianie przez telefon karet dla „tych

pań“, latem totalizator... Zresztą sam musi depesze świeżych dzienników przeczytać, nim je głupiemu gościowi odda. A może napijesz się herbaty? Nie wstydz się. Franiu! daj-no tu herbaty i sucharków, tylko dobrych! Widzisz tego w paltocie i we fraku? to Barcewicz! pójdzie stąd zaraz do teatru dyrygować orkiestrą. Są tu zmieszane wszystkie światy: tam z boku pod bufetem gestykują i unoszą się Włosi, szwargocąc głośno, jak u siebie w domu. Wiecznym tematem ich rozmów — utyskiwanie na intrygi reżyseryi, na niesprawiedliwość krytyki; pokazują sobie przytem wzajemnie dzienniki włoskie, kontrakty, umowy i kłamią o swoich powodzeniach zagranicznych, choć jeden drugiemu nie wierzy. Tam w sklepieniu umieścili się starzy, oddaleni o sto mil od teatru, choć ich jedna ściana zaledwie od niego oddziela, gotowi przysiądź, że Dowiakowska jeszcze występuje i że w każdym razie, choć gorsza od Rivolki, jest więcej warta od wszystkich młodych, że z chwilą, gdy Dobrski nie śpiewa już Jontka, a podczaszycem w „Hrabinie“ nie jest Żółkowski, nie warto chodzić do teatru. Siedzą tu godzinami całemi i gwarzą spokojnie, z obojętnością umysłów starych na wszystko, co dzisiejsze, i przeżuwają jedynie obserwacje, które poczynili dawniej, kiedy sami gorączkowali się, przejmowali, cieszyli i martwili, a dziś poruszają jedynie wargami, aby mieć przeświadczenie, że jeszcze nie oniemieli. Jakiś dowcipniś nazwał to kółko przelewających się z próżnego w puste, żyjące zlepkami komunałów — „szablonistami!“

— Tak, tak, panie radco! — mówił jeden z „szablo-

nistów“—zdrowie to grunt. Co przyjdzie z pieniędzy, kiedy zdrowie utracisz?

— Dawniej, panie — ciągnie dalej drugi, aby coś powiedzieć—ludzie wierzyli w ideały, w dobro, w szlachetność. A teraz co? Pieniądz tylko gra rolę; nic więcej.

— Naturalnie! masz pieniądze, masz i przyjaciół, stracisz je, to wszyscy się od ciebie odwrócą. Takie to już czasy!

Środek tej nory zajmuje, w braku miejsca, stojąc, najgwarniejsze towarzystwo: to wypełniający przedsionki wszystkich teatrów na świecie i wszystkie knajpy teatralne tak zwani „krowienci“. Jedni, nieodłączni towarzysze muzyków, śpiewają na pamięć cały ich repertuar, krytykują jednych, chwalą innych, mówiąc ciągle o muzyce. Są wtajemniczeni w życie śpiewaków, w koszta urządzenia koncertów, w honorarya, bardzo sprytni, bardzo wymowni. Gdyby tak umieli jeszcze bagatelkę grać lub śpiewać, tak, jak sławni towarzysze—byliby artystami. Dziś są, niestety, wykołejonymi niebieskimi ptakami, krowiantami. Są tu i krowienci aktorów, wiedzący o wszystkich plotkach zakulisowych, w których godzinach odbywają się próby, kto w jakich rolach grywał, jakie *feu* aktorzy pobierają, kogo w dziennikach prześladują i kto jest w łaskach reżyserji, kto się wyrabia i kto jest do niczego. Są ogromnie sprytni. Odrobina talentu — a byliby aktorami. Są tu jeszcze krowienci malarzy, literatów i baletu.

Ajaks zna każdego z nich na wylot. Każdy ma do niego jakiś żal. I Włosi z wiecznemi pretensjami,

i krowienci obraźliwi, jak wszyscy ludzie wykolejeni. Podaje rękę tylko szablonistom, przeświadczony, że ci mu źle nie życzą, bo wycofani z obiegu życiowego, lubią wszystkich.

— Moje uszanowanie panu radcy!

Kłania się grzecznie, aby pokazać tym innym, że kiedy chce, potrafi być dobrze wychowanym.

— Jakże zdrowie pana naczelnika?

— Pan redaktor nie łaskaw na nasz ką, zapomniał już zupełnie o nas! Ładnie!

Dawniej sprawiałoby mu przyjemność kokietować tę wdzięczną nader publiczność swoim dowcipem, opowiedzieć im jakąś anegdotkę lub sensacyjną wiadomość. Tak łatwo było ich zadziwić, tak łatwo przekonać, i choćby się czemś zaimponowało, nie zazdroszczyły, przeciwnie: schylają głowy.

— Pan redaktor lepiej wie od nas — mawiali — pan redaktor młody, ma stosunki, znaczenie i kobietkom... hi, hi, hi!... zapewne niejednej w oczko wpadł i t. d., i t. d.

Dziś nie miał do nich głowy. Był jednak do tego stopnia aktorem i do tego stopnia odczuwał wrażenie tandetnie, raczej stopniem, jakim jego stan działa na innych, niż bezpośrednio, iż nawet teraz bardzo głęboko strapiony, *grał* dla tej garstki ludzi zebranych tu w knajpce, choć zaledwie połowa z nich może trochę nim się zajmowała; inni, zajęci własnymi kłopotami, nie zwracali na pana redaktora uwagi.

Ajaks zaś grał. Skubiąc wąsika, gładził sobie włosy i od czasu do czasu wzdychał. Ta pantomina miała



oznaczać, iż był rzeczywiście kochankiem Kazi, choć jako gentelman się z tem ukrywa, i że ta nędznica Kazia do tego stopnia nic nie jest warta, iż nie wahała się dla marnego księcia zdradzić go i porzucić, choć go kochała, a i on nie był dla niej obojętny. Wprawdzie on usiłuje teraz robić „*bonne mine à mauvais jeu*“, ale człowiek jest tylko człowiekiem i zawsze go trochę boli. Ból, który Ajaks *robił* dla publiczności, był odegrany bardzo dobrze, dla tej prostej przyczyny, że, o dziwo! ból ten poza akcesoryami blagi i tandety był szczerzy. I z właściwą wszystkim piszącym umiejętnością analizowania samego siebie, Ajaks rzuca sam sobie trafną uwagę:

— Czemu *udaje*, że ją kocham, kiedy rzeczywiście ją kocham?

Rozparty na aksamitnej otomanie, z nogami założonymi jedna na drugą, cały w kłębach dymu cygara, wśród zadumy nad czarną kawą, wykrzykuje nagle:

— Franek!

Rzeczywiście to Franek z błyszczącymi oczyma, z jaśniejącymi w przyjemnym uśmiechu białymi zębami, wita się na wszystkie strony z całego serca z duszą w uścisku dłoni, z właściwym sobie ruchem wysoko podniesionego łokcia.

— Ach! to ty?! Dobrze, że cię tu spotykam; szukam cię.

Ajaks wzruszył niedowierzająco ramionami:

— Tu mnie szukałeś? Przecież wiesz, że bywam tu teraz raz na rok.

— Przeczucie jakieś mi mówiło. Słowo daję, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

— No, co się stało? — pytał obojętnie, puszczając kłęb dymu z cygara.

— Wiesz, wynoszę się z Warszawy na stałe już w przyszłym tygodniu.

— Ech! Zawracanie głowy!

— Nie wierzysz? patrz, oto bilety; jadę do Lublina. A oto masz: umowa piśmienna pomiędzy mną a Żarskim, z którym zamieniliśmy się na posady. Tu masz podpis jeneralnego reprezentanta. A oto listy do różnych domów w Lublinie.

— Czy pensya w Lublinie większa?

— Nie, taka sama.

— Więc cóż ci u licha strzeliło do głowy, aby opuszczać Warszawę i przenosić się do tej dziury?

— Widzisz, Lublin jest tańszy i mieszkanie tańsze...

— A czy tu matce płaciłeś za mieszkanie?

— No, nie, ale zawsze... Bo widzisz, ja sobie urządzę tam życie w inny sposób. Tutaj nie mogę żyć inaczej i długi coraz się zwiększają. Tam nie będę miał żadnych stosunków, tam niema teatru...

— A tu czy chodzisz do teatru?

— No, nie chodzę, ale zawsze!... Bo widzisz ja się tam zupełnie inaczej urządzę. Tam nie mam znajomych...

— Nie masz znajomych! W wagonie już będziesz budził wszystkich pasażerów i będziesz z nimi pił na pierwszej większej stacyi *bruderschaft*. Zresztą przecież wystarałeś się o listy?

— Tak, ale je zniszczę. Tam będę miał jedynie: rano biuro, wieczorem przeczytam gazetę i spać! Połowę pensyi wydam, drugą będę przysyłał matce.

— Trzecią połowę — przerwał mu ze śmiechem Ajaks — będziesz spłacał dawne długi, a czwartą będziesz odkładał na starość.

— Naturalnie, że będę okładał; bo trzeba ci wiedzieć, że ponieważ jadę na inną posadę, wydali mi tu z kasy pożyczkowej moje wkłady, którymi spłacę ważniejsze długi i nie będę już miał aresztu na pensyi. Śmieję się; zobaczysz, że ja tam będę zupełnie inny. Bo kiedy sobie raz coś postanowię...

— Żart na stronę. Rób jak chcesz. Ja jednak uważam, że ten twój wyjazd to jeden z twoich bzików; nie ma za grosz sensu.

— Dlaczego?

— Sądzisz, że można być innym w Lublinie, niż przez całe życie w Warszawie? I że zgubisz w podróży, przenosząc się z miejsca na miejsce, swoją naturę, swoje upodobania, przyzwyczajenia, wady i zalety i że w wagonie przemienisz się z bruneta w blondyna?

— Czyż ludzie nie farbują sobie teraz włosów?

— Głupiś! W Sudanie strzelałbyś buzi z dubeltówki i tykałbyś się, znalazłszy jakieś powinowactwo ze wszystkimi Arabami, i urządzałbyś z nimi kosztowne wycieczki na żyrafach lub słoniach, tak jak tu do Marcelina.

Mówił, jak zwykle, zbyt głośno, spragniony wiecznie obcego audytoryum.

— Matka twoja prawdopodobnie bardzo jest nieza-

dowolona z tego nowego bzika, który ci przyszedł do głowy?

— Dobry sobie jesteś! Mama jest właśnie ogromnie zadowolona. Bo nie wiesz: Między nami mówiąc, te panie trochę się przemówiły; nawet bardzo.

— Jakie panie?

— No, matka moja i pani Kuczyńska. Otóż matka wymogła na mnie, abym tam przestał bywać. Przerzekłem.

— I bywałeś dalej.

— Bywałem dalej. Matka otrzymała anonimy. Nowe awantury, płacze, lamenty! Takie sceny powtarzają się, nie wiem od ilu już lat. Gdybym największe głupstwo zrobił—przebaczy, byle nie to jedno. Aż mnie to w końcu rozgniewało. Cóż miałem robić? nadarzyła się sposobność wyjazdu...

— Tam nic o tem nie wiedzą?

— Nie.

-- I nie będziesz z pożegnaniem?

— Może będę, ale nie powiem, że wyjeżdżam.

Przez chwilę milczeli.

— Słuchaj—rzekł wreszcie Ajaks—jeżeli tam zakochasz się znowu w jakiej córce zawiadowcy i dasz się złapać, to będziesz już takim idiotą...

— Naturalnie. Także mądre gadanie! Gdybym się miał żenić bez posagu, to wiesz dobrze, że dla mnie istnieje tylko jedna kobieta. Ale tam nie będę już zwał na nic. Niech będzie ślepa, kulawa. Dałem matce słowo: muszę się ożenić bogato.

— Ale, ale, wiesz o Kazi? Wyjechała za granicę.

— Wiedziałem — potwierdził obojętnie, wstydząc się, że o tem nie słyszał. — Od najmłodszych lat można się było domyślić, że z niej nic nie będzie. Zawsze ci to mówiłem. Czy myślisz, że mnie nie kokietowała? — rzekł z sercem dobrego chłopca, aby pocieszyć przyjaciela po stracie — pewnego wieczora byliśmy sami, słowo ci honoru daję...

— Naturalnie, wzięłaś ją swoją inteligencyą! No, pal ją zresztą kaci. Chodźmy, bo można się udusić w tej norze.

Zapłacili garsonowi za kawę i wyszli.

W sali bufetowej, zawsze jednakowo lśniącej od złota i jarzących świateł gazu i elektryczności, zamarł niedawny ruch i krzątania. Jak w pałacu śpiącej królowny, subjecki z przyrośniętym na ustach uśmiechem dla ostatniego gościa, siedzą teraz za bufetami jak skamieniali, a garsoni w białych fartuchach w najdziwniejszych pozach, jeden z talerzykiem ciastek po ostatnim gościu, drugi z niesprzątniętą tacą w ręku, drze mią po kątach. Z sąsiedniej sali także wieje pustka. Znikły panienki z kapturkami na utrefionych włosach, z wachlarzami i aksamitnymi woreczkami do lornetek w ręku. I Dziunia, przyczepiona do ramienia uśmiechniętego studenta, rzucając dobranoc redaktorowi z za szklanych drzwi od ulicy, śpieszy, zawsze stateczna, jako oszczędna gospoia, po wędliny, masło i bułki na wieczerzę, którą spożyje ze studentem przyzwoicie i oszczędnie, nie rujnując się na restauracye i nudne gabinety.

Ajaks z Frankiem rzucają przez drzwi ostatnie spoj-

rzenie na buduar, kryjący się za salą, pełny szeptów i śmiechów „tych pań“ i, minawszy brudną tylną sionkę za drzwiami bufetu, wdrapują się po ciemnych wązkich schodach do brudnej, ponurej, niskiej, długiej izby, zwanej pompatycznie „salą“ bilardową. Przeważa w niej w szarzyźnie kurzu i niebieskości dymu cygar i papierosów zielona barwa sukna bilardów, ustawionych jeden za drugim, na których błyszczą bile i złożą się kije. Zieloną barwę sukna i połysk bil w niebieskości dymu potęgują jeszcze zawieszane bardzo nisko u pułapu tuż nad bilardami wielkie lampy gazowe, przyémione kwadratowymi abażurami z blachy zielonej. Oświetlają one jedynie sukno i bile, a pozostawiają resztę sali w półmroku, w którym rysują się mglisto znudzone postacie codziennych gości. Gracze bez tużurków to wloką się leniwie z kijami w kąt, to układają się na bilardzie w pozach najwygodniejszych do gry. Druga połowa gości, ziewając, spędza tu wieczory na gapieniu się, ot, aby wieczór przeszedł w atmosferze ciężkiej od gorąca, dymu i nudy.

Ajaks i Franek słyszą we drzwiach głosy liczące:

— Dwanaście.

— Nie mam szczęścia.

— To ci się udało!

— Jedenaście. Osiemnaście.

— Trzeba było grać czerwoną.

— Szesnaście! Trzyznaście.

— Nie mówiłem, co? Miałem rację.

— Brr... Nudno!

I Ajaks z Frankiem zbiegają ze schodów i znajdują się wreszcie na ulicy.

Odetchnęli... Wieczór prześliczny. Na niebie miliardy gwiazd; świecą one nie, jak zwykle, mleczną białością perel, lecz każda z osobna mieni się barwami szlifowanego brylantu. Plac Teatralny z wystrzelającą w chmury wieżą ratusza i rozkładającymi się szeroko greckimi kolumnami teatru, tonie w mroku rozpraszanym przez wielkie latarnie Auera. Tu i owdzie błyszczą, jakby wykradzione bogom, zawieszane nad sztyldami restauracyi w matowych mlecznych baniach, zwycięskie światła elektryczne... Na ulicach słychać rozlegający się po drewnianym bruku stłumiony turkot drożek i pojazdów, błyszczących maleńkimi światełkami latarek. Zdala, na przeciwległych chodnikach widać czarne fale przechodniów, dziwnie małych w porównaniu z obszarem przestrzeni, niby roje muszek, ogromnie zajętych wielkimi w ich mniemaniu sprawami mrowiska...

— Piękny wieczór, co? Pomożemy tak długo wędzili się w tej dziurze?

Minęli Wierzbową i Czystą i skierowali przez Krakowskie-Przedmieście ku Alejom. Na ulicach ostatnie sklepy już zamykają. Przechodniów na chodnikach mniej i ruch pojazdów rzadszy. Tylko od czasu do czasu dzwonki tramwajów ze światełkami zielonemi, niebieskimi, czerwonymi, mącą ciszę wieczora. Na olbrzymim niebie miliardy gwiazd lśnią połyskiem brylantów... I balsamiczna atmosfera natury, układającej się do snu—owija swoją melancholią umysły ludzi... Jakże

marnymi wydają się teraz Ajaksowi jego zabiegi w robieniu karyery.

— Co się nazywa właściwie zrobić karyerę w życiu—filozofuje Włodek—oto wywalczyć sobie pięściami posterunek, zajmowany przez kogoś słabszego, z tem złudzeniem, że zadanie spełniać się będzie lepiej od poprzednika. Malkontenci, niezadowoleni nigdy z niczego i źli ludzie, zazdroszczący wszystkim wszystkiego, pomagają nowemu przybyszowi do obalenia w walce rywala. A na domiar złego w tej walce z rywalami i ze wewnętrznymi przeciwnikami przeszkadzają ci jeszcze i marnują siły, niby wróg domowy, wszystkie twoje słabostki i namiętności. I musisz marnować swoje siły nietylko w boju z przeciwnikami, lecz z tymi szatanami, którzy siedzą w tobie. Wreszcie doszedłeś do upragnionego posterunku, a już ci malkontenci, krytykujący wiecznie wszystko, krytykują i twoją działalność; a ci źli, którzy pomagali ci z chęcią szkodzenia twemu poprzednikowi, już zazdroszczą i tobie; podkopują cię, niby rozczarowani, protegując innego. To są karyery wszystkich pnących się stopniowo coraz wyżej.

Zakładają nowe dzienniki, nowe instytucje, nowe kluby z „zupełnie nowymi“ siłami. W nich dopiero ma być dobrze! Śmiechu warte! Czyż nie postępują, jak Franek, który myśli, że będzie w Lublinie innym. Jak gdyby można usunąć na bok ludzką złość, pychę, zażycie i tym podobne dzieci wszechpotężnego egoizmu, jakie razem z krwią w ludzkich żyłach płyną! Nie instytucje nowe należałoby tworzyć, lecz nowego człowieka, człowieka, któryby potrafił odróżnić prawdziwe



szczeńcie od fałszywego i który przedewszystkiem zdołałby zabić w sobie hydrę, jaką jest próżność i egoizm. Próżność! Oto dlaczego chciał, aby Kazia została jego kochanką: aby mu ludzie zazdrościli! I oto dlaczego nie chciał się z nią żenić, aby ludzie nie mówili, że dał się „złapać“ i aby potem nie litowali się nad jego życiem w dwóch pokoikach, choć coś mu mówi teraz w głębi duszy, że jedynie tam, w tych dwóch pokoikach z nią byłby szczęśliwym, i wnet pociesza się sceptycznie:

— Każda kobieta, której pożądamy, wydaje nam się konieczną do życia.

Czuje, że go coś w sercu szarpie, że go pożera jakiś robak, czy jakieś inne лихо; ma uczucie, jakby nosił w sobie tragedję nad siły. I analizuje swój ból:

— Nie, to nie to; to nie jedynie Kazia; wogóle to uczucie niemocy nas tak truje, to, co jest silniejsze w nas niż my sami, to, za co nie odpowiadamy, to, co kieruje naszymi losami, to, co w nas samych siedzi i wyrządza nam krzywdę, choć przecie sami sobie życzymy jak najlepiej.

I pomyśleć, że każdą z tysiąca mrówek, chodzących tu po Krakowskiem-Przedmieściu, dusi tragedia, nazywająca się życiem. O! te dyabliki, harcujące w pierśsiach, czyniły mu figle szatańskie zawsze. Pamięta od najmłodszych lat, kiedy jeszcze był w sztubie, kalkulował sprytem dzień, w którym profesor go wyrwie. Zrywał się wtedy nad ranem, pewny, że nauczy się lekcyi: chodziło mu o dobry stopień, szczebel do promocyi, cegielkę do przyszłej karyery. Z książką szedł do ogrodu. Szatani w postaci ptaactwa, kwiatów ozłoconych

słońcem poranku, szmeru drzew—zwyciężali. W rozpacz nad swoją słabością rzucał książkę na ławkę, a potem wyrwany dostawał jedynekę. Lenistwo! chciałby widzieć takiego, ktoby je umiał w sobie zwalczać. A później, kiedy z takim mozołem dorobił się stanowiska w jednym z największych dzienników, przestrzegano go: „trzymaj się rękami i nogami“. Utracił je dla marnej miłości czwartorzędnej aktorki, dla której reklamami zalewał całe pismo; skompromitowany musiał wystąpić. Warto było dla tej marnej kariery uchodzić wiecznie za lizusa w szkole, a teraz mieć opinię „kiepskiej figury“. Tak jak gdyby ludzie dzielili się, jak bohaterowie romansów, na cnotliwych i czarne charaktery. Ilekroć chce coś dobrego uczynić, jakieś лихо sceptycznie mu szeptuje:

— Kochany Ajaksie, tylko nie pozuj. Masz na to za mało w sercu dobroci, zanadto widzisz we wszystkim odwrotną stronę medalu i za dobrze wiesz, ile są wariaci, którym chciałeś coś dobrego uczynić.

A czyż tak samo stateczny Pawełek nie popełnia jednego głupstwa za drugim? I on marzył wiecznie o karierze, rzucił Kozłowskich i pannę, którą kochał, zdaje się z wzajemnością. Lecz przestali mu już imponować. Piał się coraz wyżej, aż poślubił bez miłości pannę niby bogatą. Tak był przekonany, że popełnia podłość, iż brakło mu już bezczelności na sprawdzenie hipotezy, i okazało się, że papa jest bankrutem, a panna grosza posagu nie ma. Biedny Pawełek, biedny Ajaks II! Nawet być zdecydowanym nieponiem nie tak łatwo, jakby się zdawało.

Upajająca świeżość wieczora odświeża jego umysł, dyktuje jakieś pragnienia nadziemskie, napęła duszę szczęściem... Nie tak nie uwypatnia nicości małości życia, jak cisza wieczora, odrywająca człowieka od ziemi, odbierająca nazwisko Władysława Jaworowskiego, redaktora działu teatralnego, przypinająca skrzydła i prowadząca już jako atom jedynie wszechświata wyżej, wyżej, otulająca tajemniczą wielkością, zdająca się mówić:

— Patrz, patrz, tam na dół, jakie to wszystko małe, marne i głupie.

I Ajaks, zrzucając z szyi szalik, który go dusi, krzyczy w duszy:

— Ach! gdybym mógł raz powiedzieć wszystkim: Wiem, nie mam talentu. Gdybym mógł przestać kłamać i udawać, i rzucić im wszystkim w twarz: nie sobie nie robię z waszych szykan, bo wiem, że moje dramaty są nic nie warte, a stanowisko, którego mi zazdrościcie, rzucam wam pod nogi! Jest też o czem mówić? Jest czego zazdrościć! Rzeczywiście! Jeżeli myślicie, że przez jedną chwilę było mi z niem dobrze!

W uszach miał uczucie, jak gdyby słyszał brzęk dużej muchy, uwięzionej w pokoju, która bzyka na szybie okna. Szmer ten męczy go i irytuje, nie może muchy ani pochwycić, ani zabić. Na chwilę owad ucicha, a on zapomina o nim. I oto znowu zaczyna fruwać bzykając.

— Zrobić świetną partyę, wzbudzać zazdrość, uchodzić za szczęśliwego, co za drwiny! Łut szczęścia wart

więcej od tej całej tandety. A szczęścia nie zaznam nigdy...

Szczęścia nie zazna nigdy, bo odepchnął od siebie coś, co ludzie mogli nazwać słabością, szaleństwem, i utracił ją na zawsze...

— To nie było pożądanie, to nie miłośćka, bo ja... ją kocham, kocham!...

Wstrząsnął się cały od potęgi tego wyrazu, który brzmiał silnie, pozbawiony sceptycyzmu i zwykłej manieri. Była to sprawka księżycy, gwiazd i ciszy wieczora...

Ale rzeczywistość jest rzeczywistością, więc Ajaks, uwalniając się od prowadzącej na manowce wszechpotęgi natury, podkreślił wąsika i zupełnie już jako Władysław Jaworowski, redaktor działu teatralnego *Latawca*, pogwizdywał arye z ostatniej świeżo wystawionej operetki.

— Cóż, Holofernesie, uczynimy ostatecznie z tym rozpoczętym wieczorem?—zapytał, zadowolony z dźwięku swego głosu, w którym poznał ku swojej uciechu sarkastyczny ton człowieka, nie kwitującego wcale z karyery.

— Czy ja wiem? —burknął Franek.—Patrz!—zwrócił uwagę na jakąś przechodzącą kobietę, która obrzuciła go spojrzeniem, jakim kobiety najcnotliwsze często mimowoli obrzucają na ulicy ładnych chłopców.

Odwrócił się giętkim ruchem wiecznego Donżuana i pytał:

— Widziałeś tę kobietę?

— Nie!

— Wiesz, do kogo podobna?

— Wiem.

— No?

— Do Belci.

— Słowo honoru.

— Ale wiesz, naprawdę mi się dziś powiodło. Nabrałem Żyda na dwieście rubli bez poręczyciela; podpisałem weksel na czterysta rubli.

— Wejdzie ci znowu z aresztem na pensję.

— A niech sobie wchodzi! Przecież w Lublinie nie będą miał na co wydawać.

Ajaks rozśmiał się.

— Przecież powiedziałeś, że matce będziesz przysyłał, że będziesz odkładał.

— Nie będę potrzebował odkładać, bo ja się tam bogato ożenię.

Ajaks machnął pogardliwie ręką, zdając się mówić:

— No, to dobrze. Ale — powrócił do poprzedniego pytania—co zrobimy z tym rozpoczętym wieczorem?

Przed oczami ich wydłuża się Krakowskie-Przedmieście aż ku placowi Trzech Krzyży, ujęte w podwójny sznur płomieni gazowych, które w perspektywie zbliżają się do siebie i błyszczą ognikami jeden przy drugim, jak nanizane na sznurek świetliste paciorki... Minęli szeroko rozkładające się szpalerami drzew Aleje Jerozolimskie. Kawiarnia narożna z oknami wychodzącymi na ogródek świeci się jak wielka latarnia; bije z niej łuna srebrzystego światła, potęgowanego zielonym lakierem ścian. Wre w niej, jak w ulu. Aż czarno przy trzech wydłużających się bez końca rzędach stoli-

ków. Ruch ten, życie i światła dziwnie odbijają od czarnego miasta, układającego się do snu. Widzą, jak trzaskając drzwiami od jaśniejącej kawiarni, staje na progu ulicy, rozglądając się dokoła jakiś blondynek bezwasy, drobny, maleńki, lecz już w cylinderku na głowie, w modnym ubraniu, w krótkim żółtym paltociku, z różą w butonierce, z olbrzymią laską pod pachą i z miną co najmniej księcia Walii.

— Patrz! — woła Franek — Mundzio.

Istotnie to Mundzio typowo ucharakteryzowany na pozłacanego młodzieńca warszawskiego, udającego pana ze wsi. Do tego bractwa zapisują się młode chłopaki, którym śpieszno stracić niewielkie schedy po rodzicach i którzy po kilku miesiącach zadawania szyku stają się rozbitkami, kandydatami na posadę konduktorów tramwajowych. Przewodnikami ich są starsi i wytrawniejsi, którzy już swoje kilkotysięczne schedy zdołali stracić, a do pracy wziąć się nie chcą; wiecznie w obywatelskich czapkach z daszkami, lub kapelusikach tyrolskich do polowania, udają młodzież, która przybyła ze wsi na jarmark lub karnawał, choć wsi od lat wielu już nie widzieli.

— Mundzio!

Nie zmienił się od czasu, kiedy go za zdjęcie buta na lekeyi wsadzili do kozy. Tylko, naturalnie, cylinder i ta mina! O! za mało go sadzali do kozy, i to wtedy, kiedy nie należało. Gdybyż teraz Mundzio chciał dla zabawy rzucać buty na piec! Nie, on ma upodobania, według kolegów, bardzo dobre. Uprawia wszystkie sporty. Tak go to bawi, że jest już mężczyzną! Nie ma

lat dwudziestu, ale zdążył już zrujnować matkę. Nie próżnował; matka zapłaciła za niego około dziesięciu tysięcy rubli. Inaczej siedziałby już teraz nie za zrzucenie buta i nie w szkolnej kozie. Nie stara się nawet kokietować matki, ani łudzić jej nadskakiwaniem nadzwyczajnem. Po co? I tak zaślepiona, wpatrzona w jego rysy, zasłuchana w najzwyklejsze banalne słowa, w dźwięk jego głosu, powtarza, jakby w ekstazie:

— Mania, naturalnie, jest poceziwa... Mania jest anielska, ale Mundzio, Mundzio!..

Prawda, przechodzi z nim ciężkie zmartwienia, lecz młode piwo musi wyszumieć. Jest młody, dobrze wychowany, piękny. Kobiety go psują. Wielki Boże! Gdybyż wiedziała, jakie to kobiety. Wyobrażała sobie te wszystkie panie, jako Manon Lescaut, Marion Delorme, co najmniej jako Małgorzatę Gautier, na której wiecznie zapłakiwała się w teatrze. Niekiedy zdawało jej się, że Mundzio jest Armandem, a ona starym Duvałem. Była jednak pewną, że w końcu Małgorzata umrze, a Mundzio przestanie robić długi, powróci do niej, weźmie się do pracy; piękna bogata panna naturalnie się w nim zakocha (jakżeby można nie zakochać się w Mundziu?) i będzie wszystko dobrze. Córki jej bez posagu nikt naturalnie nie weźmie, ale za to pomści się syn i byle kogo nie zaślubi.

— Podejdźmy do niego—radzi Ajaksowi Franek—może z nim coś zrobimy?

— E! z takim smarkaczem!

Lecz w gruncie Ajaks nie jest od tego. Wszystkie towarzystwa, w których bywa, znają już na pamięć je-

go dykteryjki, jego naśladowanie aktorów, jego koncepty. Na początku swojej karyery, kiedy jako młody chłopiec ukazał się w towarzystwach, spotykał wszędzie na twarzach zachęcające uśmiechy; ludzie lubią nowości; bawił więc wszystkich odrębnością nowego człowieka.

— Ho! ho! to sprytny chłopiec! — zachwycano się.

Teraz już mają dosyć jego anegdotek i kawałów. Uważają, że jest nudny i że się powtarza. Nawet o jego wielkości zaczynają powątpiewać. Wrogowie nie próżnują, tak, że Ajaks czuje nawet zwrot opinii przeciwko sobie. Po prostu wychodzi z mody. Do niektórych domów już go nie proszą. Prawda, że humor coraz bardziej traci. Musi więc Ajaks wychodzić niekiedy ze sfery swoich znajomych, zmieniać gospody. W Warszawie jest tyle różnych Warszaw, że zanim z pierwszej wyjdzie ktoś z mody, ostatnia, nie wiedząca o tej zmianie, stawia go na świeczniku. A czuł potrzebę wiecznych oklasków, w najgorszym razie choćby z paradyzu. I podszedł do Mundzia, którego bardzo często nie poznawał na ulicy.

— Jak się pan ma, panie Edmundzie? — ścisnął go trochę protekcyjonalnie za rękę. — Co pan dziś robi wieczorem?

— Warszawa to taka podła dziura, że rzeczywiście nie wiadomo co robić — odrzekł książę Walii.

Lecz wnet przypomniał sobie o trzech znajomych mu siostrach z baletu cyrkowego, które chętnieby z nimi na kolację pojechały.

— Są dość zabawne — dodał tonem zużytego hula-



ki.—W hotelu Angielskim jest przytem *maitre d'hôtel*, człowiek podobno z towarzystwa, który mówi po francusku i który doskonale przytem gra na fortepianie. Za kilka papierków będzie nam całą noc grał do tańca. Rozłożymy to na trzech!

— O, co to, to nie!—zaprotestował Franek. — Pozwolicie, że to ja was zaproszę na tę pożegnalną dzisiejszą zabawę. Nie darowałbym wam, gdybyście mi odmówili tej przyjemności!

— Zmarnujesz pieniądze, przesnaczone na podróż — szepnął mu Ajaks, kiedy Mundzio wołał dorożkarza.

— Więc cóż z tego? przecież w Lublinie pieniądze mi nie będą potrzebne.

Wsiedli we trzech do dorożki na bujających się resorach z kołami na gumach, rozłożyli się z wyciągniętymi nogami, na głębokiem miękkim siedzeniu, cisnęli kłaniającemu się „jasnym panom“ woźnicy adres i konie ruszyły w stronę placu Zygmunta po kawalersku wyciągniętym kłusem.

Gdy Ajaks z Frankiem powracali tą samą dorożką z rublowemi cygarami w ustach przez Nowy-Świat ku domowi, na dworze już dniało. Byli zmęczeni zabawą, senni, milczący, wyczerpani. Pogaszone już latarnie na ulicach czernią się dwoma rzędami jakby linie nakreślone na modrym papierze sepią... A wydłużająca się przed nimi ulica nurza się w niebieskości poranku, w której tonie dokoła wszystko: i sklepy, pozamykane na czarne antaby, i chodniki martwe, puste, każdy kamień przed bramą. I dziwnie w tej niebieskości barwią

się latarki zapóźnionej, gdzieś przed bramą drzemiącej dorożki, a w oszklonych niezagaszonych szyldach ognisćcie złością się napisy: „Karety do najęcia“, „Pokoje umeblowane“, „Kąpiele“. Cały Nowy-Świat wyciąga im się przed oczyma duży bez końca, obcy taki a nieznanym, każdy dom w tem wyjątkowem oświetleniu wydaje im się po raz pierwszy w życiu widzianym...

Dokoła cisza. Poranny świeży powiew wiatru obmywa i rzeźwi im twarze. Konie dorożki, jakby czując, że ich godziny biurowe mają się już ku schyłkowi, cwałują co tchu starczy... Rublowe cygara subtelną wonią łechcą powonienia Ajaksa i Holofernesa. Uśmiechy wspomnień igrają im na ustach. Miękkie poduszki tulą ich zmęczone członki. Resory falują... I Ajaks i Franek czują jedno: jest im dobrze! Co tam kłopoty, co ból życia! Są chwile, które z lichwą to wszystko opłacają.

— Wiesz, czwartki nam się udają—mówi Ajaks. — Te damy były zupełnie niczego. Ile jednakże ładnych dziewcząt jest na świecie i to takich, o których istnieniu się nie wiedziało i wiedzieć nie będzie: i ta, i ta jeszcze, i bez końca. Niech mówią co chcą, życie jest piękne.

— Albo ta moja—ujął się Franek—zauważyłeś, do kogo była podobną?

— Zauważyłem: do Belci—rozśmiał się Ajaks.

— Słowo honoru! co do tamtej na ulicy, to ci ustępuję, przypatrzysz się jej się lepiej. Ale ta, słowo honoru...

— A jakże! Bo widzisz jest tak: Ty kochasz się w Belci. Ponieważ podług ciebie wszystkie kobiety są

podobne do niej, mają nos, oczy, usta, jak ona. przeto nie potrzebujesz zaślubiać panny bez posagu. Masz ich milion. Takim, jak ty, jest dobrze na świecie. Nazywają ich w dodatku jeszcze dobrymi chłopcami.

Dźwięk własnego głosu orzeźwił go, poznał, że jest znowu sobą, marną jednostką, poczuł potrzebę mówienia rzeczy cynicznych.

— I pomyśleć, że biedna Belcia nie może sobie powetować straty w ten sam sposób, co ty! I schnie biedactwo i wiednie, a nienaruszone zapasy miłości potęgują się wciąż, napełniając całe jej jestestwo! Franek wiecznie i Franek! I ten przystojny, jak setki innych pocziwy Franek staje się jakimś zakrywającym jej cały świat, ogromnie wielkim Franciszkiem, który rośnie jeszcze w jej sercu, jak na drożdżach, coraz większy, coraz lepszy, zapełnia całe jej biedne jestestwo, ustawione na piedestale, który zbudowały mu bezsenne noce, inny zupełnie, niż wszyscy na świecie, inny, niż w rzeczywistości. Biedna Belcia! Tomy zapisano już o nieszczęśliwej miłości, a miłość po prostu jest tylko bólem większym, niż go pierś pomieścić może. Stąd cała męka. Niech dyabli porwą takie życie! A ubóstwiający Franio w tym czasie pije, pali cygara i pociesza się...

— Więc czego właściwie chcesz? Aby przyzwoite panny tak samo, jak my, piły, paliły cygara i jeździły na tańce?

— Nie, niczego nie chcę; czasami sprawia mi przyjemność mówienia ni w pięć ni w dziewięć dla samego procesu otwierania ust i słuchania dźwięku własnego głosu. Nie zdarza ci się to? co?

Franek nie nie odrzekł. Nie chciało mu się odcinać; wiedział z góry, że byłby pokonanym. I tak jechali dalej, puszczając kłęby dymu, owiani cichą atmosferą pogodnego poranku. Ajaks coraz dotkliwiej czuje znużenie po uciechach i przesyty... Obrazy stają mu przed oczyma i te kobiety... Wstrząsa się aż z obrzydzenia cały. Ach! te uciechy, prowadzące do przesyty! Pamięta, jak mu nie smakował pierwszy papieros, po którym chorował, i pierwsza szklanka gorzkiego piwa, po którym się otrząsał ukradkiem, aby koledzy tego nie dostrzegli.

Palić jednak, ani pić nie przestał, aby żyć, jak inni, jak wszyscy. Żyje teraz nareszcie, jak wszyscy i jak nie może żyć Belcia. W duszy od czasu do czasu czuje niesmak i wstręt. Małżeństwo? Nie, nie! Widzieć tę piękną Kazię ze zniszczoną urodą, otyłą matkę dzieci — szkoda!

Przypomniał sobie, że czytał kiedyś o owadach, które przez całe życie w ciągłych metamorfozach dążą coraz wyżej, wyżej, ku najwyższemu ideałowi rozkwitu. I zaledwie w ostatniej chwili życia, już jako doskonałe motyle posiadające skrzydła, zamiast żołądka, kochają raz jeden, potem — umierają.

— Co innego motyle, a co innego woły robocze — oblał go zimną wodą jakiś wewnętrzny głos trzeźwości.

I pomyśleć, że jego wysniona Kazia będzie chodziła na wieczery do gabinetów, jak dzisiejsze jego znajome, ale nie z nim, jeno z ludźmi bogatszymi: z księciem... Książę! wszystko głupstwo! Wszystkie uczucia jego są niczem w porównaniu z tem najsilniejszym, które się w nim teraz burzy. O! jakże nienawidzi tego człowieka,

który splugawił, oplwał, co było w nim najświętszego. O! gdyby mógł go dostać w tej chwili w swoje ręce! Czuje jakąś zwierzęcą nienawiść ku niemu. Aż sam przeraził się ogromem tego uczucia i wnet filozofował:

— A czy ja, uwodząc szwaczkę, myślę w owej chwili, że sprawiam tem śmiertelny ból jakiemuś nieszczęśliwemu, zakochanemu w niej szewcowi? O życie! życie! życie!

Tymczasem Franek pape, jak papuga:

— Wiesz, cobym uczynił, gdybym wygrał wielki los na loteryi? Oto urządziłbym restaurację jak „Maison dorée“, z lokajami, gabinetami, z szykiem. Ale pieniędzy bym od nikogo nie brał. I otworzyłbym teatr, w którymby miejsca były wszystkie darmo. Naturalnie jedynie dla znajomych. I hotel bym urządził, aby wszyscy znajomi u mnie mieszkali. Chociaż, czy wiesz? najlepszym interesem w Warszawie są dorożki. Gdyby mi kto chciał pożyczyć tysiąc rubli, tobym zrobił duży majątek. Naturalnie trzeba doglądać, aby wszystko było w porządku. Nawet wieczorami sam bym siadał na koziół, słowo honoru. A gdybym wygrał na loteryi, to tak dla facecyi przebierałbym się za stangreta i powoziłbym; coby mi to szkodziło? przecież niktby mnie nie poznał? Nieraz po dziesięć rubli napiwków mógłbym sobie w ten sposób uzbierać! Nie wierzysz?

— Mój drogi, ty i bez wygranej na lotoryi jesteś najszcześliwszym z ludzi na świecie -- odrzekł szczerze Ajaks.— A! żyć inaczej, niż wszyscy, w jakimś klasztornym zakątku, zdala od ludzi, od walk, nienawiści, od wszelkich maskowanych ludzkich przywar i słabości

i być niepokalanym, bez żadnej złej myśli, bez żadnej podłości, bez zawiści, bez krytycyzmu, nie pragnąć niczego, i schować się przed wszystkimi w jakimś gaju zaklętym, być atomem wszechświata, żyć wśród woni kwiatów, w blasku słońca, wśród motyli i ptactwa! Niech przepadną ideały ludzkie! Sława, zaszczyty, uznanie, to takie same karyerowiczostwo, jak chęć stania się kamienicznikiem.

Dorożkarz, uderzony w ramię laską Holofernesa, zatrzymał się nagle przed bramą. Widzenie Ajaksa pierzchło. Franek całuje go teraz na pożegnanie. Ajaks przeciągle ziewnął.

— Bądź zdrow, jestem dyabelnie śpiący i zmęczony. Ruszaj dalej! — krzyknął na dorożkarza.

Był już zupełnie przytomny, wiedział, że w Warszawie dłużej nie pozostanie. Zdawało mu się, że widzi wokoło siebie samych wrogów. Posłał na konkurs *Nowin lwowskich* dramat, o którym mu mówiono, że będzie zakwalifikowany do wspólnego czytania.

— A może go nagrodzą? Wtedy przeniosę się na stałe do Lwowa. I tam będę zupełnie innym.

Przypomniawszy mu się Franek i rozśmiał się:

Zupełnie innym! Jak Franek w Lublinie. W *Nowinach* dadzą mi jakąś robotę. Lecz przyjaźń z *Nowinami* to znaczy walka z *Porankiem lwowskim*, z *Ilustracją lwowską*, z *Tygodnikiem*, *Biblioteką* etc., etc. Rzecz znana: dramat nagrodzony w *Nowinach* musi upaść w teatrze. Więc znowu walka! A przytem jeżeli wstąpię do *Nowin*, to na miejsce Śliwowskiego. Co ten chłop zrobi? Ha! niech się przenosi na moje miejsce do Warszawy.

Tylko czy wezmą takiego rozbitka? Więc cóż? Ustąpić mu i żywić się czem? manną? Więc i tu walka?

Wstrząsnął się od zimna i niewyspania. Cygaro zgasło. W ustach czuł niesmak. Po chwili jednak już kręcił zwykłym ruchem wąsik i, wciągając głęboko w płuca powietrze, rzekł do siebie pretekyonalnie:

— Kochany panie Ajaksie, zaczynasz pan, jak widzę, obawiać się walki, zaczynają cię męczyć ludzie, nudzą cię kobiety, zaczynasz pragnąć samotności? Czy pan się przypadkiem nie starzejesz, he? A czy pan wie, kochany panie Ajaksie, co jakiś Francuz powiedział: oto, że człowiek, mówiący o sobie: „zaczynam się starzeć“, już się zestarzał. Bo gdyby panu dawano do wyboru, na której planecie masz pan zamieszkać, to mógłbyś wybierać, co ci się podoba. Ale skoro już raz znalazłeś się tu, w tym tłumie, nie daj się zgnieść! Słyszysz pan, kochany panie Ajaksie: Nie daj się!

Dorożka stanęła przed domem. Władek z podniesionym u paltota kołnierzem, skurczony, zziębnięty, z klejącymi się powiekami, rzuciwszy dorożkarzowi pięć rubli, burczy z miną potężnego despoty:

— Słuchaj, durniu jeden! Na drugi raz, jak będziesz wyjeżdżał na noc, to bierz derkę na nogi dla swoich gości, zrozumiałeś? Bo wściec się z zimna można!

— Słucham jaśnie pana...

Znużony nie wiedział, kiedy dostał się do swego pokoju. Rzucił się na łóżko i jak zabity spał do południa.

## X.

W restauracyi hotelu Angielskiego wrzało, jak w ulu. Uroczystość w mieście dziś nielada! Benefis Battistini'ego. Od tygodnia nie dostałbys biletów na wagę złota. Wybrańcom tylko, stałym bywalcom teatralnym i *tout Varsovie*, danem jest to szczęście. Teraz właśnie po skończonej uroczystości w wielkiej seledynowej sali, skapanej w białych światłach palników Auera, ścisk, dym, gorąco, jak w łaźni. Przy stolikach, lśniących białością obrusów, goście jakby zamagnetyzowani migocącym, czerwonym światelkiem zapalanej w platerowanym lichtarzu świecy, wczytują się machinalnie, w oczekiwaniu garsona, w etykiety na słoi-kach musztardy i, skubiąc bułkę, badają zamglonem okiem złocistość oliwy i pomarańczowy kolor octu.

Wyfrakowani i wygoleni garsoni z minami lordów angielskich z teatru prowincjonalnego mijają te stoliki w pośpiechu, pogardzając hołotą z miasta, która za pięć złotych przychodzi raczyć się potrawami o szumnie brzmiących z francuska nazwach i zapijać je lichem winem lub bawarem krajowym. Trochę przyjaźniej zwracają się jedynie ku stolikowi, przy którym kółko pozła-



canej młodzieży z Mundziem na czele, zapijając kruszon, udaje wielkich panów.

— James!—woła Mundzio z miną bywalca.

— Słucham jaśnie pana — odpowiada mu niezbyt skwapliwie stary, znudzony już garson, chowając swoją uniżoność pierwszej klasy dla prawdziwych wielkich panów.

— Kto tam jest dziś u was w gabinetach?

— Ktoby tam wiedział! Pełno! Dziesięć rubli mi dziś dawano za gabinet—mówił poufale—jak Boga kocham. Skąd go wezmę? Z rękawa nie wytrąsnę.

— Nie wykręcaj się sianem i nie bądź taki dyskretny. Któż tam jest?

— Skądże ja mogę wiedzieć? czy to dopuszczają mnie kiedy do dobrego gościa? Haruj, wysługuj się tym tu do rana i rubla do domu nie przyniesiesz. Jak Boga kocham.

— Słuchaj, księżę jest tu dziś?

— A czemu niema być?

— Z Janowską?

— A z kimże? Zawsze z jedną tylko przychodzi. Dziś ta, za rok inna. Pogniewał się już z panią jak jej tam...

— Lorką Marchewkowską? A ona bywa tu teraz często?

— A jest dziś; zajęli duży gabinet obok sali. Jest ich tam z nią może dziesięciu. Pan baron Wimmersburg, pan hrabia Krasnoborski...

— Słyszeliście!—zwrócił się do towarzyszy z podzi-

wem—w dobrem jest towarzystwie! A tobie podoba się panna Janowska?

— E, proszę pana! — machnął serwetą znudzony—nie takie człowiek widział! Ładna bo ładna, ale żeby tam coś tak nadzwyczajnego! Panom sera czy owoców? Może lepiej sera, bo owoce to, z przeproszeniem, dają tu takie, że do gębybym tego paskudztwa nie wziął.

— Niech już będzie Camembert, a może Rocquefort; może jest Brie lub też Chester?—badał Mundzio, chwając się swoją erudycją.

— Ha! Jeżeli panowie, to przyniosę, ale...

— Co? takżebyś do gęby nie wziął? To przynieś, co chcesz. Tylko ruszaj co tchu.

I młodzi, zadowoleni z siebie, myślą, że wywierają na sali wrażenie, jako prawdziwi panowie. Z żalem jednak spoglądają na drzwi zamkniętego gabinetu. Ach! być tam choć przez godzinę! Nie chodzi już jedynie o Lorke. Tyle ładnych kobiet jest na świecie! Choć swoją drogą bardzo chętnie każdy z nich, dla samego brzmienia tego nazwiska „Lorka Marchewkowska“ — podpisałby lichwiarzowi weksel, rujnujący do szczytu ich samych i ich rodziny. Zresztą co tam Lorka Marchewkowska! ale co najważniejsza, to pokazanie się w Warszawie z baronem Wimmersburgiem, hrabią Krasnoborskim. Boże wielki! Tożby miasto się zadziwiło! I żadna siła na świecie nie przekona ich, że Warszawa wcaleby się nie dziwiła, że nie zauważyłaby tego nawet, i że wogóle jest jej wszystko jedno, z kim ci panowie jadają wieszczę.

Ale—myślą sobie—„sala“ jest pewna, że się oni tu

dobrze bawią, jak przystało na ludzi, mających stosunki. I to jest jedyną pocięchą dzisiejszego nudnego ich wieczoru. Poza tem imponuje im też bardzo Mundzio, nieprzyznający się już obecnie, iż jest synem powszechnie szanowanego ongi inżyniera fabryk na zapadłej prowincyi, lecz udający, iż urodził się na wsi, rodzice zaś majątek sprzedali. Jest jak najlepiej wtajemniczony we wszystko, co się wielkiego świata tyczy. Zna wiele osób z arystokracji osobiście. Nie była to żadna blaga. Naocznie jeden z towarzyszy przekonał się kiedyś, że Mundzio uklonił się na wyszcigach księciu Siżysiewi i że ten grzecznie kapelusza uchylił. A baron Wimmersburg podszedł nawet do niego i pytał o jakiegoś konia. Mundzio, choć szcycący się tem, że dla niego niema nic świętego pod słońcem, zapomniał wtedy oszołomiony języka w gębie i zaczerwienił się, jak pensyonarka. Zaledwie tyle przytomności mu pozostało, aby obejrzeć się dokoła i zobaczyć, co Warszawa mówi na takie stosunki!

Teraz wtajemnicza współbiesiadników w różne szczegóły: Janowskiej musi być nieprzyjemnie znajdować się tuż obok Lorki.

— Czemże ona lepsza od niej? — zapytuje jeden z młodzieży, najwięcej udający wielkiego pana. Choć rozpowiada o wielkich stosunkach, nie przyznałby się jednak za nic, że zna Kazię od dzieciństwa, że bawili się razem, kiedy byli dziećmi i że rodzice ich przyjaźnili się z sobą.

— Przedewszystkiem jest lepszą od niej — ujął się za nią Mundzio — bo pochodzi z lepszej rodziny.

— Et! cóż to za rodzina Janowscy!

— Ależ różni się od niej choćby tem, że Lorka nie umie ani czytać, ani pisać, a ta jest inteligentną, wykształconą, przytem artystką teatru. Jednak nie o tem chcę mówić. Wiadomo, że stosunek jej z księciem popsuł się od roku bardzo. A Janowska jest niesłychanie dumna i ambitna.

— Dumna, ambitna! Dajże spokój! W jej położeniu mówić o ambicyi! Wielka ambicya sprzedawać się pierwszemu, który się nadarzył.

— Mój drogi, przedewszystkiem księżę nie jest pierwszym lepszym, bo księżę to zawsze księżę. A następnie ona kocha go do szaleństwa. To nie jest kobieta, którą można rzucić, jak Marchewkowską. Z tego może wyniknąć dramat; otóż co najciekawsze, jej poprzedniczka znajduje się tuż obok w gabinecie.

— Poprzedniczki może się mniej obawiać, niż każdej innej kobiety.

— Kto to wie? Właśnie mówią, że księżę zaczyna jej żałować; bo ona jest bardzo zabawna — określił ją ulubionem wyrażeniem warszawskich hulaków.

— Przecież obecnie kocha się w Marchewkowskiej Borski? Ma się nawet z nią żenić.

— Mój drogi, dla księcia rzuca się nie jednego Borskiego, lecz dziesięciu. Borski to dla niej gratka na jeden ząb. Stracił na nią w ciągu roku 50,000 rubli. Pozostało mu najwyżej 25,000 rubli. Miłość ta więc musi się niedługo skończyć.

— 50,000 rubli! — westchnęli z zazdrością.

— E!—konkludował jeden z młodzieży.—Niema jak kobiety z towarzystwa!

— Dajcież mi pokój z kobietami z towarzystwa!—oburzył się Mundzio, chmurząc świeżą bez śladu zarostu okrągłą twarzyczkę blondynka panienki.—Wiecie, spędziłem zeszłe lato na wsi na Ukrainie na łonie rodziny. Mam już dosyć kobiet z towarzystwa!

— Wiemy, wiemy; daleka krewna twojej wujenki.

— A! wiecie? No, przecież nie wymieniłem wam nazwiska?

Co prawda, wszyscy koledzy znali nazwisko i widzieli nieraz u niego fotografie.

— Zresztą nie znacie jej; nie bywa nigdy w Warszawie. Jest to kobieta młoda i piękna, inteligentna, wykształcona, z najlepszego towarzystwa; mąż nie zbyt piękny, ale bogaty. Żyją na wielką stopę, po pańsku, w ciągłych podróżach po Włoszech, po Francyi. Wiecznie była otoczona rojem młodzieży, flirtowała, kokietowała. A co awantur o nią było, pojedynków bez liku! Ale wiecie, na wsi człowiek się trochę przeinacza: inne życie się prowadzi. Cały dzień razem: spacer, las, ogród, chodzenie na grzyby, tennis, księżyc, jazda łódką po stawie. Dość, że wszystko poszło, jak z płatka. Ale za to potem—dramat! Jakaś egzaltowana miłość, posunięta do przesady, ciągle łzy, sceny, wyrzuty, zupełnie jak w książkach. A ja nie umiem blagować, umiem mówić tylko o rzeczach potocznych, umiem żądać, czego chcę lub opowiedzieć, co się wydarzyło. Tymczasem ona chciała, abym ja był jakimś bohaterem, choć przecież tych bohaterów wszystkich odrzuciła,

a mnie wybrała. Zabraniała mi naprzykład mówić i uważała za największe szczęście wpatrywać się we mnie godzinami przy blasku księżyca. Słowo honoru. A kiedym się odezwał z czemś w rodzaju: „Patrz pani dokoła. Ten wieczorny pejzaż z księżycem zupełnie podobny do oleodruku nad kanapą w salonie proboszcza, prawda?“—ona na to: „Nie mów pan, przez Boga, nie mów, nie, nie, nie mów, nie mów! Pan nie nie rozumiesz, nie nie rozumiesz“—i znowu w bek! Powiadam wam, że z tej wielkiej inteligencji zrobiła się taka piła, że byłem bardzo kontent, kiedy, ulegając radom wuja, (bo zwierzyła się wszystkim, że chciała opuszczać męża, wyjechać ze mną za granicę—powiadam wam, awantury!) dałem eichaczem nura. Ot i macie kobiety z towarzystwa! Słyszycie?—pytał po chwili, wsłuchany z lubością w śmiech, dochodzący z gabinetu. —Tam—to rozumiem, tam się przynajmniej bawią!

— Co? Janowska ci się podoba?

— E!—machnął ręką. —Niebardzo. Także musi być przesadzona. Także literatura, poezya, inteligencya, także z towarzystwa, piła, jak tamta. Lorka Marchewkowska, to mi kobieta!—mlasnął językiem, oczy mu się zaiskrzyły.

— Masz słusność—potwierdził któryś.

A tam obok, za cienką ścianą, oddzielającą największy gabinet hotelu od sali, bawili się prawdziwi panowie: baron Wimmersburg, hrabia Krasnoborski, mały Borski i cały klub. I nie tylko Mundzio ze swymi towarzyszami, lecz cała sala pała ciekawością poznania tego wielkiego świata, oddzielonego zaledwie cieniutką

ścianą z pruskiego muru. Lecz owa cieniutka ściana to mur trudniejszy do przebycia od muru chińskiego. W każdej sferze tkwią tajemnice cechów, które dlatego zachowują przed niewtajemniczonymi swoją surową powagę, iż pokazują się jedynie od wielkiego święta z pięknymi barwnymi chorągwiami, nieprzystępne i wyniosłe. I jedynie tam gdzieś na podwórzu stróże i służba, znająca wszystkich, mogłaby, gdyby posiadała zmysł obserwacyjny, dojść do wniosku, że natura nie zna hierarchii i że wszyscy ludzie, pomijając różnice temperamentu, kroju tużurka i stopnia kultury, są ludźmi z tej samej gliny ulepionymi i że życie w bramie i życie w salonie, w szynku i w klubie, w biurze, ministerjum czy w warsztacie, jest bardziej do siebie podobne, niż się ludziskom z różnych sfer wydaje.

Po otwarciu drzwi Sezamu, gabinet, skąpany w świetle gazu, przedstawia się wspaniale umeblowany z przepychem, z którym wyobraża sobie zapewne swój przysły salon każdy dorożkarz, marzący o wielkiej wygranej. A więc tandetne meble, kryte utrechttem ohydnej barwy, jaskrawe ściany, upiększone oleodrukami w złoconych ramach i reklamami zagranicznych win i koniaków. Na podłodze wzorzysty, lecz cienki dywan, o barwach jaskrawych, że aż oczy bołą, wreszcie główną ścianę zajmuje fortepian, długi, zbiedzony, z klawiszami podobnymi do późółkłych zębów starzejącej się kobiety; biedaczysko przywędrował tu może ze wsi, gdzie przy akompaniamencie śpiewu słowików, przedostającego się z ogrodów, wygrywano na nim „*Prière d'une vierge*“ Bądarzewskiej. A teraz, o zgrozo! aż

wstyd mu przyznać się do tego: gdy towarzystwo zbyt się rozochoci, wlewają mu ot tak dla figlów, w stare pudło, czy uwierzycie państwo? kieliszki szampana, jak jakiej kokocie! W takim wieku na co mu przyszło. Nie dziwnego, że ma nadwreżone płuca i że struny wydają ochryple dźwięki, jak krtań ludzi nałogowych. Inną przyszłość mu rokowano, kiedy młody, świeży, lśniący, z klawiszami, jak perły — wychodził na świat z fabryki! Był pewny, że będzie dzielił sławę z Tauzigiem lub Lisztem. A teraz, na co obwijać w bawełnę, zeszedł na psy i tyle. Przepych urządzenia gabinetu dopełniają konsole, na nich tanie wazoniki z brudnymi suchymi bukietami Makarta i lustra, na których naturalnie, jak we wszystkich na świecie gabinetach, widnieją uwiecznione brylantami pierścionków imiona bawiących tu kolejno, rozweselonych winem szampańskim prawnuczek pięknych Fryne, Aspazyi, Lais, Kleopatry, wnuczek Mariony Delorme, córek Małgorzaty Gautier i siostr Nany.

W żółtem oświetleniu gazu grupuje się w niedbanych pozach towarzystwo zebranych tu clubmanów w wiecznych smokingach od Poola, w batystowych koszulach z wielkimi perłami spinek u gorsu, z wąsami zafryzowanymi w górę każdy włoszek osobno, *à la Henri II*, z głowami, lśniącymi od fiksaturu i brylantyny, o ile łysiny nie przeszkadzają, przedzielonemi od czoła aż do karku zręczną ręką fryzjera na dwie nierówne połowy.

Jeżeli do odgrodzonych murem chińskim zebranych tu mitr i koron wzdychał Mundzio i jego towarzysze,



jeżeli wyblakłe tytuły działały magnetycznie na niektórych gości restauracyi, to nie imponowały one bynajmniej królującej tu wśród *high-life'u* pannie Lorecie Marchewkowskiej, przybranej w suknię brzoskwiową od Doucet'a *velours miroir*, przybraną w srebrne hafty z inkrustacyami na białym aksamicie stanika, ze sznurem szmaragdów, z brylantami na pięknej szyi.

Życiorys tej damy, której właściwe imię i nazwisko brzmiało niedystygowanie: Tecka Marchewka, a obecnej Lorety Marchewkowskiej jest krótki. Córka jakiegoś szwajcara hotelu i żony jego, praczki, nie mogąc się pogodzić z matką, która biła ją przeważnie za lenistwo, za długie wylegiwanie się na barłogu i za niechęć do prania i szorowania podłogi, uciekła, mając lat piętnaście z jakimś fryzyerem. Protektor ten wyrobił jej następnie miejsce figurantki na jednej ze scen ogródkowych. Od tej chwili, to jest od lat przeszło dziesięciu, Loreta przebywa ustawicznie w towarzystwie hrabiów, baronów i książąt. Scenę porzuciła, ponieważ miała za mało zdolności do muzyki, aby utrzymać się w chórze. Co do zdolności dramatycznych, nie mogła nigdy bez zasypania się wycedzić swojego jedyne go monologu w kreacyi subretki, brzmiącego: „Pan hrabia pyta, czy pani baronowa przyjmuje?” Tak pilno jej było kończyć z tą rolą nad siły, tak myślała jedynie o zakończeniu frazesu zamiast o pierwszej jego części, że hrabia mieszal jej się z baronową, pan z panią, wskutek czego zapytanie brzmiało wiecznie: „Pan baron pyta panią baronową, czy pani hrabina i t. d.“

Lecz co tam talent! Loreta zadaje kłam twierdzeniu, że rasowe anglezy hodują się jedynie w dobrych stajniach, a że z perszeronów otrzymać można tylko perszerony. Bo Loreta jest prześliczna! Średniego wzrostu, doskonale harmonijna w proporcjach, jest, jak twierdził znawca, baron X, „z jednej sztuki“, a według określenia Francuzów „ma linię“. Dlatego właśnie w każdym ruchu, w każdym calu posiada ten sam właściwy jej tylko wdzięk. Główka mała, lecz bardzo kształtna. Włosy koloru lśniącey miedzi (zdaje się, że farbowane) nosi przedzielone na pięknem białem czole *à la* Boticelli. Ma niepokalany grecki rysunek nosa o ruchomych rasowych nozdrzach, prześlicznie wykrojone usta, a oczy koloru stali, tak piękne, że człowiek, widząc ją po raz pierwszy, nie może określić uroku, jakim na niego działają. Setki uczuć tłoczą mu się do głowy. Zdaje mu się, że te uśmiechnięte oczy rozumieją go tak, jak dotychczas nie rozumiał go nikt. Przestaje czuć się samotnym i zaczyna mu zaraz być dobrze na świecie. Nie zraża go wcale głos Lorety bardzo wyniosły, bardzo dystyngowany, wymawiający z wytwornym naciskiem literę *s* i ogromnie śmiesznie łączący z tą wytwornością styl z nad Wisły, właściwy jej tylko, stanowiący jej specjalność, sławny w całym klubie, który od dziesięciu lat pokłada się od śmiechu i określa ją pochwałą, bardzo zaszczytną u ludzi zużytych:

— Loreta jest jeszcze jedyną zabawną kobietą w Warszawie.

— Wiecie—mówi wyniosłe Loreta, wymawiając po

swojemu *s i c* — ten idyota, jak to on się nazywa? no, ten, którego mieli zrobić królem Francyi, zakochał się we mnie. Poznałam go w Monte-Carlo przy rulecie. Ach! to było nadzwyczajne! Zapomniałam portmonetki; proszę go więc, aby mi pożyczył tysiąc funtów...

— Zapewne tysiąc franków — poprawił ją hrabia Krasnohorski.

Loreta ślicznem litośnem kiwaniem głowy nad hrabią Krasnohorskim wzbudziła śmiech całego zebrania.

— Słyszeliście? Nie idyota?—litowała się nad hrabią—słyszeliście? Myśli, że ja nie wiem, iż we Francyi płaci się frankami.

— Ot!—wyrwało mu się! — drwinkowali rozbawieni—nie bierz tego do serca, kochana Loreto, (tykali ją, jak i ona ich wszystkich tykała) i opowiedz, co się stało z tym zakochanym?

Dopomagali jej chórem, wiedząc, że Lorka nie opowiadania wiecznie gubi w labiryncie szczegółów, które jej podczas narracyi przychodzą stopniowo do głowy i odprowadzają następnie od głównego wątku.

— Odesłałam mu nazajutrz, naturalnie z podziękowaniem, pożyczone pieniądze. A on, wyobraźcie sobie, jak matkę kocham, nie chciał ich przyjąć. Czy nie kretyn? Jak matkę kocham, to jest nadzwyczajne! Powiedziałam mu, że nie jestem kobietą, która przyjmuje pieniądze od ludzi obcych. Miałam wtedy na sobie suknię białą koronkową, marzenie! Przysłał mi ją z Paryża Doucet... nie, nie, prawda Worth... Ubierałam się jeszcze wtedy u tego idyoty Wortha. Wyobraźcie sobie,

jak matkę kocham, suknia zrobiona zupełnie podług miłego warszawskiego szyczku: trzy falbanki, jedna nad drugą! zdechnąć można od śmiechu—śmiała się do rozpuku.

— Cóż ten pretendent do korony?

— Powiedziałałam mu, że jest źle wychowany. Wyobraźcie sobie, proponuje mi, abym pojechała do Madrytu. Odpowiedziałam mu, wiecie co mu odpowiedziałam? — pytała, sama jeszcze w tej chwili nie wiedząc, co ma powiedzieć.

— Skądże możemy wiedzieć?

— Odpowiedziałam mu, aby przede wszystkim pojechał leczyć się do Tworek.

— Do Tworek?—skądże on mógł wiedzieć, co to są Tworki?

— Skąd mógł wiedzieć? To jest klasowe! jak matkę kocham. Gdyby był taki mądry, jak wy wszyscy tu jesteście, toby nie rozumiał, ale ponieważ miał trochę więcej oleju w głowie...

— A! jeżeli tak, to racya—śmiali się do rozpuku.

— I to od niego masz te szmaragdy? Rzeczywiście ładna sztuka.

Wskazała na naszyjnik ogromnej wielkości ze szmaragdem i brylantami, przy których zwieszał się szereg gruszek z pereł nieocenionej wartości.

— Głupiś! od kogo mam, to mam, a z pewnością nie będę mówiła, że to moja pamiątka rodzinna. W tej nędznej Warszawie takich kamieni nawet nikt nigdy nie widział.

— To prawda—godzili się wszyscy.

W tej chwili lokaj pytał jaśnie panią, co rozkaże podać na kolację, zachęcając wyliczaniem różnych potraw.

— Czy w takiej gargocie mogą co porządnie przyrządzić? Wczoraj, jak matkę Kocham, dali mi coś tak ohydneho, że całą noc spać nie mogłam. Wiesz co? Gdybyście mogli tak dać mi klusek prosto z wody, ale z gryczanej mąki — uważasz — koniecznie z gryczanej mąki, prosto z wody, do tego trochę świeżej słoninki...

— Ależ Lorciu! — zawstydził się za nią młody Borski.

— Dajże jej pokój — ujął się hrabia Krasnohorski — Lorka ma pomysły. To może być dobre. Gdyby tylko umieli to porządnie zrobić.

— Mamy teraz, proszę jaśnie pana, kucharza, który 200 rubli miesięcznie bierze.

— I nie wart butów czyścić — zawyrokował hrabia Krasnohorski — ten wasz kucharz kuchcikowi, który gotuje w domach przytułkowych w Europie. Cóż to jest zresztą 200 rubli? Dajcie 1,000 franków, sprowadźcie Francuza, to będzie co innego.

Lokaj uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że onby to wnet uczynił, lecz to od niego nie zależy.

— Dlaczego Francuza? — zaprzeczył baron Wimmersburg. — Jabym na ich miejscu sprowadził kucharza z Londynu. Choć co onby na to poradził, kiedy tu nie ma ani mięsa, ani jarzyn, ani mąki; czy zresztą poznałby się tu kto na dobrej kuchni?

Przy szampanie przybywało humoru. Wino lało się

tak, że ktoś nieuważny upuścił kieliszek na suknię od Douceta, sprowadzoną wyłącznie na dzisiejszy wieczór. Winowajca zaczął przeproszać Lorke.

— Ach! idyoto!—śmiała się do rozpuku—wiele sobie robię z tej sukni. Odwróćcie się na chwilę.

Zrzuciła z siebie wierzchnią suknię brzoskwiniową i została w spódniczce jedwabnej różowej, oszytej koronkowymi wolantami, jeszcze piękniejsza, coraz więcej rozbawiona, jednakowa dla wszystkich.

Lecz naraz wpadło jej do głowy kokietować hrabiego Krasnohorskiego; twierdziła, że ma usta najpiękniejsze w całej Warszawie. Mały Borski, zakochany w niej po uszy, nie umiejąc panować nad sobą, siedział zasepiony i coraz bardziej nieszczęśliwy. Wreszcie ukradkiem chwycił za kapelusz i ulotnił się bez pożegnania.

— Małego Borskiego niema—sposrzedono po chwili.—Wiesz Lorka, zanadto go lekceważysz. To dobry chłopiec i wpatruje się w ciebie, jak nienasycony pijak w niewypity jeszcze do dna kieliszek; gdybyś tylko umiała wziąć się na seryo do rzeczy, nie dałbym trzech groszy, że byłby gotów cię zaślubić.

— Jacy wy jesteście komicy, jak matkę kocham, to jest nadzwyczajne! Tylko w Warszawie podobne rzeczy się mówią. Jabym miała pójść za Borskiego? Kto to jest niby pan Borski? Co to jest? Nigdybym do takiej rodziny nie weszła. To są parweniusze, których dziadek był ekonomem.

W sali rozbrzmiewał śmiech tak serdeczny, że mo-

gliby Lorce pozazdrościć sukcesu autorowie wszystkich fars z Rozmaitości i teatru Małego.

— Rzeczywiście, Lorka ma słuszość! To jest za marna rodzina, aby się z nią łączyć — i znowu śmiech spazmatyczny ich porywał.

— Słowo honoru, niema jak Lorka; ma humor, ma dowcip. Szkoda jej nawet na Warszawę. Mogłaby zrobić furorę w Paryżu, w Londynie, wszędzie.

— No, no, nie przesadzajmy — hamował na stronie entuzjizm baron. — Jest dość zabawna, nie przeczę. Gdyby się tylko chciała oduczyć od tego rażącego: jak matkę kocham. Co to jest, jak matkę kocham? Tego żadna kobieta na świecie nie mówi.

— Ale przyznasz, że jest rasowa?

— *Elle est diablement jolie, allez*; lecz rasy tam niema; zobacz jej rękę, nogę.

Wszyscy, jak jeden mąż, powstali na mówiącego, twierdząc, że to jest jego wieczne uprzedzenie do Warszawy. Bo faktem jest, że Lorka ma nogi i ręce śliczne.

— Zgoda — ustąpił im baron. — Ale zobaczycie, co z niej będzie, kiedy dojdzie do lat trzydziestu. Znam te nasze piękności. Straci figurę. Angielki nie noszą jak nasze kobiety korków, ani gorsetów i dlatego, kiedy dojdą do lat czterdziestu...

— Porzuca się je dla młodszych i bardzo dobrze się czyni — rozśmiali się wszyscy. — Dziękujemy za twoje stare Angielki.

— Czego wy idyoci się śmiejecie? to jest nadzwyczajne! — mówiła Loreta, z dykcją aktorki, udającej

wielką damę, która wyrzuca ze swych pięknych ustek słowa żargonu z nad Wisły.

Doskonale pasowała do tego towarzystwa wielkich panów, w których, poza dobrymi manierami, przebijała się brutalność, właściwa mężczyznom, wypełniającym sobie życie jedynie końmi, winem, kartami i miłośkami. Jak pojętna sroczka, łatwo odgadła i przejęła się upodobaniami, wyrażeniami, całym kodeksem niby towarzyskim, równającym ją z nimi, czyniącym ją panią klubową i kobietą, której się składa wizyty, którą całuje się po rękach na przywitanie, asystuje się na wyścigach, w teatrze, choćby nie miało się wcale stawiać swojej kandydatury.

Lecz kochanków mają przecież nietylko kobiety z jej sfery. A że nie kończyła pensyi, jak inna, że nie uczyła się historyi i literatury, to naprzód nie jej wina, a potem może właśnie dlatego jest zabawniejsza. Kiedy uśmiechnięta w swoim powozie, zamienionym w kosz kwiatów, ustrojonym różnobarwnymi wstęgami, przejeżdża aleje, tłum małych urwisów obrywa wieńce z uprząży, a ona rzuca im róże i fijołki, sprzedawane na wagę złota w tym sezonie, lub kiedy na wyścigach, otoczona śmietanką młodzieży, spija szampana, wszystkie prawdziwe panie, które ją znają z widzenia, uważają ją za jakąś w wielkim stylu kurtyzanę, niebezpieczną kobietę, sfinksa, i biada mężom i braciom, wpadającym w paszczę tego Molocha. Muszą zginąć! Nic dziwnego, że mężczyźni z taką kobietą spędzają wieczory i uciekają od żon nudnych i wieczorów monotonnych. Bo to kobieta—wyobrażają sobie przyzwoite kobiety—



niezwykła: jak umie siedzieć w łoży, w powozie, co za giętkość ruchów, jak trzyma lornetkę; a jak się uśmiecha! Kto ma tyle, co ona, smaku w wyborze kolorów sukni, w wybraniu najświeższego fasonu kapelusza, w najmodniejszym uczesaniu głowy, które one wszystkie dopiero z niej kopiują? Wielki Boże, gdybyż ją poznały! Ta umiejętność noszenia ładnej paryskiej sukni, fryzura włosów podług ostatniego modelu, najdroższe jakie istnieją buciki i rękawiczki, perfumy najmodniejsze z Londynu, jedwabna bielizna i umiejętność pielęgnowania swego pięknego ciała, ot i cały sfinks, zagadkowa kobieta. Gdyby czytały jej listy, pisane na arkusikach listowych, sprowadzonych z nad Tamizy, a zapisywanych grubymi wielkimi, wchodzącymi na siebie literami, skreślonymi z mozołem siedmioletnich dzieci lub starych praczek, w których rękach drży pióro, listy mniej więcej brzmiące: „Mój kodku, przyjdź dziś do mnie na filirzanekę cherbaty“, wtedy przyszłyby do przekonania, że takie kobiety to trucizna jedynie na muchy! Ci, co padają, to nie żadni bohaterowie.

A nasza sroczka różni się od wielu ludzi tem, że ci ostatni, rozprawiając, mówią bardzo rozumnie, a w życiu postępują bardzo naiwnie, ona zaś umie wodzić na pasku tych wyrafinowanych bywalców, choć w mowie jest naiwniejszą od przeciętnej dziesięcioletniej pensyonarki.

Oto szczebioce dalej:

— No, wiecie, jaka ta Warszawa jest marna dziura,

jak matkę kocham, to jest coś nadzwyczajnego! Kiedyś była w Madrycie...

— Toś była w Madrycie?

Loreta się obraziła, jak zwykle nie w porę; nie unosząc się jednak, uczyniła minkę pogardliwą i wycedziła, podkreślając literę *s*:

— Mój drogi, jesteś źle wychowany. Jeżeli chce się komuś spać, niech idzie do domu.

— Naturalnie—żartowali wszyscy. — Jesteś bardzo źle wychowany. Przecież była już mowa o Madrycie. Jakżeś tam trafiła, nie znając języka?

— Bardzo łatwo—objaśnił jakiś dowcipniś—trzeba tylko, wsiadłszy do wagonu w Warszawie, spytać konduktora, po której stronie okna leży Madryt: po prawej czy lewej. A kiedy pociąg staje i słyszysz, że konduktor woła: „Madryt“, wychodzi się z wagonu i rzecz skończona.

— Głupis, mój drogi. Mówiłam ci, że jechałam tam z Alfonssem.

— Ach! Na imię mu Alfons! To nie brzmi bardzo dystyngowanie.

— Bardzo cię żałuję: nie wiesz o tem, iż tam królowie nazywają się Alfonsami. Jest tak pod każdym względem korrekt, że w Warszawie zrobiłby furorę.

— No, w Warszawie! — machnął ręką baron—nie sztuka! Wierzę, że musi być dobrze wychowany.

— A jaką ma garsonierę! Jak matkę kocham, tutajby wszyscy na nią gębę otworzyli.

Garson z tajemniczą miną szeptał baronowi Wimmersburgowi i hrabiemu Krasnohorskiemu, iż księżę

Dorohowiecki jest obok w gabinecie z panią i prosi jaśnie panów, ażeby tam zaszli.

— A cóż; trzeba iść — szepnęli — powrócimy za chwilę. A bo ta Janowska! *ça ne sera pas rigolo du tout.*

— Ładnie się ubrał, co? Oby ten *collage* jak najprędzej się skończył. Jest nieznośna! Macie wasze piękności—unosił się baron—wołaliście, że taka ładna! Ja śladu piękności w niej nie widzę.

— Oczy ma bardzo ładne—ujęła się za nią Lorka.— Co prawda, to prawda. Tylko ubiera się, jak matkę kocham, zdychać od śmiechu!

— Trzeba ci było trzymać się księcia.

— Kiedy kto nie ma rozumu, to najlepiej, aby się nie odzywał.

— Słyszycie sentencye *à la de Larochefoucauld*?

— *Sans Adieu.* Wrócimy tu za chwilę — mówili na odchodnem Wimmersburg i Krasnohorski, przechodząc niechętnie do sąsiedniego gabinetu.

— Starajcie się pozostać tu jak najdłużej — zwrócił się jeszcze ode drzwi hrabia Krasnohorski. — Mam pewien plan w głowie. Myśl bardzo śmiała. Kto wie, może się uda.

Spojrzał na Lorke, która odgadłszy, o co chodzi, zaczerwieniła się, lecz żadnego ze swoich zwykłych komplementów odchodzącym nie rzuciła.

— Jakże było ostatecznie z tem zerwaniem Sizy-sia? — badali Lorke po ich wyjściu pozostali, choć słyszeli tę historię nieraz.

— Tylko w Warszawie postępuje się w ten sposób z kobietami. Przysłała mi dziesięć tysięcy rubli na pożegnanie. Co to jest? Za kogo on mnie właściwie bierze? Odesłałam mu je w tej chwili z dodatkiem 5 tysięcy na instytut moralnie zaniedbanych dzieci.

— Brava, brava! I cóż biedny Siżyś z tymi twoimi pięcioma tysiącami mógł zrobić?

— A to jest paradne sobie, rzeczywiście! Cóż to mię może obchodzić? Niech je daruje Janowskiej.

— Wiecie, to jest nadzwyczajne!

A Krasnohorski i Wimmersburg mijają długi korytarz, oświetlony płomieniami syczącego gazu z szeregiem onumerowanych drzwi, na których widnieją sakramentalne napisy: zajęty, skąd dochodzą wrzawa, śpiewy, tubalne głosy mężczyzn, ich grube dowcipy. I śmiechy barytonowe ha, ha, łączą się z flecikami kobiecych falsecików, brzęących, jak strumyki cieniutkie hi, hi. Wylewają się też przez zamknięte drzwi chaotyczne tony rozstrojonych fortepianów, brzęących jednocześnie: jeden na nutę polki, drugi walca, a trzeci pod niewprawną ręką debiutantki zawodzi: „Wlazł kotek na płotek“. A muzyce tej towarzyszą to słowa zachęty: Brava, brava! to znowu krzyki: Przestań, bo zwaryować można. I śmiechy, śmiechy, śmiechy...

— Warszawa bawi się — mówi sentencyonalnie hrabia.

— No, my się za to teraz bawić nie będziemy. Ach! *Ce pauvre Siżyś. Elle est insupportable.*

— To się chyba już niedługo skończy—pocieszał się hrabia.

I nie meldując się, weszli do złotego gabinetu księcia, w którym honory pełniła (jeżeli wogóle w gabinetach honory pełnić można) biedna Kazia.

---

## XI.

Przyjeżdżała tu do gabinetu teraz codziennie. Zgodzić się na to musiała, bo czuła to doskonale, że księżę, niestety! nudził się już z nią sam na sam w domu.

Nudził się z nią człowiek, którego kochała! Wobec tego przeświadczenia, co mogło ją obchodzić, że się na ulicy znajomi od niej odwracali: Kuczalska, Chmielakówna, mężczyźni, nawet Belcia. Teatr od dawna już opuściła. O! dał się jej we znaki. Na samą myśl się wstrząsa. Na nic się jej nie przydała protekcyja księcia. Nie umiała chodzić za swymi interesami, nie umiała go o to prosić. Szkodził jej raczej. Majątkowej niezależności zazdrościli jej wszyscy. Przeciwnikami jej byli i dyrekcyja i prasa i koledzy i nowe debiutantki, starające się o występy. Przykrości piętrzyły się na każdym kroku. Odbierano jej role, dawano umyślnie niewłaściwe. Praca bez zachęty stała się dla niej męką. Nie umiała zwyciężać przeszkód i powiedziała to kiedyś księciu.

— Znowu mówisz o sobie — upominał ją ziewając, wcale nie ciekawy jej kłopotów.— Wiecznie o sobie!

Ostatecznie przeciwnicy jej zadecydowali, że nie ma talentu. Niepotrzebnie silili się na wystawienie tak du-

żej armaty. Uwierzyła łatwo, bo wiecznie wątpiła o sobie, choć maskowała to wyniosłością i przesadzoną pewnością siebie.

Teraz, niestety, nie chodziło już o sławę, o stanowisko, o przyszłość; skwitowała z tego wszystkiego. Teraz chodziło o coś ważniejszego, o miłość; uczucie to w jej sercu stało się podobne do uczucia człowieka tonącego, któremu wśród bezmiaru morza rzucono belkę; uchwycił się jej z uporem i nie puszcza, lecz nieprzytomny nie może skierować się ku statkowi ratunkowemu; nie chce ziemi i nie chce iść na dno morza.

Męka to dla niej straszna, bo kiedy odbiorą jej księcia, to tak, jakby jej odebrali możliwość oddychania lub wyłupili oczy, któremi widzi jasność słońca. Ta trzeźwa dziewczyna, myśląca niegdyś wiecznie o przyszłości, kołysze się w swoich marzeniach pensyonarskich do snu jedynem widzeniem: oto księżę utracił majątek, popełnił jakąś zbrodnię i jest skazany na zesłanie; wszyscy go odstąpili, ona naturalnie jedzie za nim... I gdzieś tam pod płotem, w siermiędze, bosa, całuje jego ręce. Niestety, sen się kończy: na batystach w swoim łożu biało lakierowanem ze złoceniami w stylu Ludwika XV budzi się z myślami tak ciężkimi, jakich nie ma na barłogu w przytułku noclegowym żadna nędzarka. Tak jak uprzedzeni do niej krytycy i zawistni wrogowie, zmusiwszy ją do ostatecznego zwątpienia o talencie aktorki, talent jej zabili, tak samo działa się teraz z jej urokiem kobiety. Wszyscy otaczający księcia byli jej przeciwni, wiedziała o tem doskonale. Gniewało całą świtę, że księżę sam ją sobie w tajemnicy wynalazł.

Byli zazdrośni, że opuścił ich na cały rok, a tem samem pozbawił ich zaszczytu częstego obcowania z sobą, a co najważniejsza zysku wygranej z kart, zarobku na koniach, pożyczek. Księżę naturalnie musiał mieć jakąś kochankę. Godzili się na każdą: na Lorkę, na jakąkolwiek baletnicę lub damę z towarzystwa.

— Lecz ta Janowska? Co to jest? skąd się wzięła?

— Jest z zupełnie innej parafii; nie dla was.

— To wstrętna pretensjonalna burżuazka bez rasy, bez kultury.

— Cóż chcecie? — mówił baron Wimmersburg, najzaciętszy przeciwnik Kazi. — To właśnie jest typ waszej sympatycznej Warszawianki. A mówiłem, ostrzegalem...

I biedna Kazia, czując w powietrzu te zarzuty, zaczęła, jak w teatrze, wąpiić o sobie i zabijać swoje siły myślą:

— Oni znają się lepiej, niż swoje dawne otoczenie, w którym jaśniałam. Może rzeczywiście nie jestem teraz tak ładna, jak obiecywałam? A co się tyczy mego wychowania i salonowego obycia — to rzecz prosta — skąd mi się równać z nimi?

I tę jej słabość dobija do reszty rażąca obojętność księcia; kiedy spojrzy na niego oczyma, z których dusza jej rwie się do niego, a on oczy spuszcza lub odwraca, Kazia czuje, że zbrzydła i że dawny dowcip straciła; słowa zamierają jej na ustach, staje się do przesady grzeczną dla tych panów, a więc nienaturalną. Powstrzymuje się, aby nie wybuchnąć wobec tych pieczeniarzy uherbowanych, od których czuje się o niebo



wyższą, bo oni, wie o tem doskonale, zniknęliby, jak kamfora w dniu, w którymby księżę stracił swoje miliony, a ona kocha go dla niego tylko, dlatego kocha tak, że na samą myśl o nim płacze łzami dziwnymi, łzami bólu i zarazem najwyższej rozkoszy.

Czemże oni są lepsi od niej, ci kaci, którzy chcą gwałtem odebrać jej księcia? Jest z rodziny równie dobrej, jak oni. Pokazuje przecież księciu błędy ortograficzne w listach tych wyfrakowanych, pogardzających wszystkim clubmanów. Wobec opinii świata stoi na równi z nimi, graczami, utrzymującymi się z kart. A oni, jakby przeczuwając jej myśli, odpłacają jej nienawiścią...

Prezyduje dziś, jak Lorka, na honorowem miejscu, na takiej samej kanapie, krytej czerwonym utrechtem, za stołem, jaśniejącym białością obrusa i serwet w blasku grubego szkła i platerów. Dokoła niej wyfrakowani i wysmokingowani clubmani, z Siżysiem na czele, rozmawiają wesoło o zakupionych za granicą koniach, o treningach i startach, dżokejach i nabytej trafem party starego wina niebywalej doskonałości, o jakichś nadzwyczajnych niezwykle ciekawych seryach gry w Monte-Carlo, wreszcie o clubowych plotkach i komeżach. Przed nią wygolony lokaj, z nieodstępną serwetą pod pachą, zapytuje, co jaśnie pani będzie jadła?

— Można wybrać dwie potrawy i jeden dessert, prawda? — zapytuje Kazia, chcąc pokazać, że zwyczajne pierwszorzędnych restauracyi nie są dla niej tajemnicą.

— Nie — poprawia ją jeden z gentlemanów. — Mo-

zna wybrać sobie dziesięć potraw i dwadzieścia deser-  
tów, prawda Siżys?

Siżys się uśmiechnął.

— Prawda—rzekła zaczerwieniona po uszy Kazia; ogromnie przejmuję się każdym swoim złem znalezieniem wobec tych umitrowanych panów, którzy mieli dla niej, prostej szlachciancezki, wielki urok i zawsze jej jeszcze imponowali.

— Czy panowie chcecie coś *à la fourchette*?—zapytała, znowu popisując się tem wyrażeniem.—„Jest tu prawdziwe *embarras des richesses*“.

— Niech pani nie marudzi — zwrócił się do niej książę, nazywający ją przy ludziach panią—i niech pani wybierze coś dla siebie i dla nas wszystkich. Godzimy się na to z góry, prawda „kwiecie brabanckiej młodeższy“, jak śpiewają u nas w jakiejś operze?—zwrócił się ze swoim sympatycznym dzieciennym uśmiechem do towarzyszy.

— Naturalnie. Bo to w Warszawie jest specjalny zwyczaj, że kiedy dziesięciu ludzi przychodzi razem do restauracyi, każdy musi zadysponować sobie coś innego. Cóż dziwnego, że nasi garsoni tracą rozum.

— Obrażasz garsonów warszawskich—zadecydował baron. — Nie można tracić tego, czego się nigdy nie miało.

— Pani wybrała już?—zapytał Siżys Kazię, mozolącą się, aby znowu nie *zblamować się*. Wybrała nakoniec goszczące w jakiejś komórcie jej mózgu *menu* z wesela panny Kropiwnickiej.

— Obstaluj nam pan—zwróciła się wreszcie do lo-

kaja i wnet usłyszała podczas wyliczania mu potraw, jak jeden z panów mówił do drugiego za jej plecami:

— Jeżeli ona lokaja nazywa panem, to byłoby już lepiej, aby nam mówiła po imieniu.

— Proszę przynieść majonez z łososia, polędwicę z jarzynkami i indyka z *kompotami*.

— Tak, tak, z kompotami koniecznie — potwierdził baron, aż się wszyscy rozśmiali.

— A jakże, z kompotami, pamiętaj! koniecznie z kompotami — śmiał się, jak swywolny dzieciak, Siżyś. — A przedtem przynieś dużo ostryg i krewetek, jeśli macie, no i białego... bo z tych polędwic z kompotami nie będziemy prawdopodobnie wiele jedli.

Czemuż sięgała ustawicznie do skarbnicy zwyczajów i tradycyi swego gniazda i popisywała się specjalnym rodzajem każdej sfery? Wiedziała doskonale, że wszystko, co stamtąd wyniosła, będzie tutaj raziło, jako *burżuazyjność*, jako *warszawskość*, jako ohyda. Lecz jacyś źli szatani, od których obronić się nie mogła, podsuwali jej wszystko to, o czym sama nie wątpiła, że podobać się tu nie będzie, a jednak dalej mimo swojej woli — brnęła.

Zaczęła mówić o swojej podróży nad Renem, do Paryża i do Włoch.

— Ren jest prześliczny, ale trochę za słodki w tonie, powiedziałabym oleodrukowy; a zameczki rozrzucone nad jego brzegami, nawet te ruiny takie czyste, takie nie groźne, jakby waliły się umyślnie dla pejzażu, wyglądają jak z *papier maché* lub jak teatralne dekoracje...

— To wszystko bardzo piękne, ale co nas to może obchodzić?—mówiły twarze jej słuchaczy.

— Co się tyczy Paryża, nie można oczywiście powiedzieć o nim: *beaucoup de bruit pour une omellete*; uczynił na mnie wrażenie ogromne, choć Boże drogi! w marzeniach wygląda wszystko inaczej. Ostatecznie Paryż poza kilku ulicami i placami nie jest niczem innym, tylko zbiorem kilku Warszaw, niezbyt czystych, z ulicami wązkiemi, z szarymi domami, o sieniach ciemnych i sklepikach ubogich.

Czuła, że wszystko, co mówi, nie trafia im do przekonania, ciągnęła jednak dalej:

— Grób Napoleona wielki, jak sam Napoleon, Pantheon i Luwr, ukochany mój Luwr, z którym się rozstać nie mogłam—entuzjazmowała się, myśląc, że swojego ognia udzieli choć iskry tym złodowaciałym słuchaczom.

— Co? Siżyś także chodził tam z Bedekierem w ręku! wiesz.

— O! proszę pana, on był tam bardzo ożywiony i nie robił wcale *bonne mine à mauvais jeu* — rzekła, rzucając na ukochanego spojrzenie, zdające się mówić: „Wiem, jestem nudna mieszczałka, wszystko co mówię jest *shocking*, nawet wyglądam teraz nie tak jak dawniej; ale gdybyś wiedział, jak uwielbiam twój każdy gest, każde drgnienie twego głosu i jakie katusze przechodzę, ja, dumna dawniej, ambitna, pewna swojej siły, kiedy widzę dziś, że odwracasz się ode mnie, kiedy czuję, że staję ci się coraz bardziej obcą, ach! miałbyś dla mnie choć litość, książę!“

I mówi dalej:

— Potem zwiedzaliśmy Wersal i Trianon; Sekwaną dojechaliśmy do Sevres, do St. Cloud.

Zaczęła rozwodzić się o okolicach Paryża i w zapale oblała sobie sosem nową suknię koloru *vert-bouteille* przeładowaną kosztownymi kamykami i lśniącymi dżetami, i z przestrachem, jakby za to stara Janowska miała jej robić w domu wymówki, czyściła splamioną suknię serwetą dłużej, niżby było potrzeba.

— Nudna jest z tą swoją suknią — bąknął baron i pociągnął za sobą w kącie gabinetu do okna koło fortepianu kółko towarzyszy.

Opowiadali sobie o koniu po Sajmonie i Alegrze, zakupionym przez księcia de Sagan w Anglii za 100,000 fr. Przyłączył się do nich Siżyś i inni; ożywienie rozmowy wzrastało; o istnieniu Kazi jakby zapomnieli. Pili teraz kawę, koniaki i szampana z wodą st. Galmier; śmiano się coraz głośniej.

A tymczasem Kazia usiłowała „robić salon“ na kanapie wobec małego kółka nieśmiałych, którzy nie mieli odwagi porzucenia jej i przejścia do kółka przy oknie, lecz poziewali dyskretnie, słuchając jej opowiadań o Paryżu, o obrazach, o nowych książkach.

Wreszcie rozmowa się urwała. Przed oczyma Kazi stanął jej pobyt za granicą z *nim* we dwoje, z nim przez kilka miesięcy sam na sam...

Pamięta słowa, które jej rzucił:—Skiń palcem, a odbiorę sobie życie.

A ona odpowiedziała mu w ekstazie:

— Nie, nie, umrzemy razem w chwili, kiedy miłość nasza zgaśnie.

— Chcesz? pobierzemy się tutaj, a do kraju wrócisz już jako moja żona.

— Nie chcę, abys mi płacił zaszczytami za moją miłość. Chcę cię kochać, jako twoja niewolnica, pogardzana przez wszystkich, a szczęśliwsza od królowych. — U stóp ich srebrno-białą falą pieniało się morze ciemno-granatowe, jak u Boecklina; ponad nimi niebo olbrzymie turkusowe; zdala na plaży bieleją egzotyczne wille z harmonijnymi tarasami, pełnymi kwitnących kwiatów i roślin podzwrotnikowych. Wszystko jak z tysiąca i jednej nocy. Byli w ciągłej ekstazie, mówili patosem, chodzili jak na szczydlach. Czasami miewali chwile rozkosznego smutku. Księżę zwierzał się przed nią z bólu, który w nim wiecznie tkwił, a z którym się ukrywał przed światem. Poznała go takim, jakim w sercu jest, a jakim go nikt nie znał.

Dawniej była ambitną, chciała być kochaną przez dumnego króla, księcia — teraz najbardziej kochała w nim właśnie tego zwierającego się przed nią ze swoich trosk słabego dzieciaka, który wstydzi się tego, że czuje, iż jest do niczego. Bo nie zna się na podsuwanych mu papierach, które podpisuje, choć wie, że go wszyscy okradają; próbował już nieraz brać się do tego, lub owego. Rzucił wszystko: nie potrafił nic, nic... I zazdrości wiecznie ludziom, którzy umieją pracować; każdy czyn mu imponuje. I przeświadczenie o swojej nieudolności maskuje prawdziwą dumą.

Poznała wszystkie słabości tego możnego królewic-

cza, ambicyjkę figurowania w najpośledniejszych dziennikach, aby tylko wyczytać swoje nazwisko, choćby jako gospodarza balu na cel dobroczynny, aby tylko móżdż na chwilę mieć przywidzenie, że nie jest do niczego, choć ciągle sam sobie o tem mówił.

— Jestem nędzarzem razem z moimi milionami.

— Nędzarzem? A moja miłość dla ciebie? Czyż jest w świecie potentat, który był więcej nad ciebie kochanym?

— Prawda! Kocham cię. Jestem szczęśliwy.

A więc to wszystko minęło, jak sen, z którego ją zbudzono? Tak, lecz ze snu nic nie pozostaje, a tu pozostało wszystko złe; ból tak straszny, na jaki nazwy nawet niema...

Nieliczne koło panów, którzy otaczają ją z grzeczności, opowiada jej jakieś klubowe anegdotki.

I Kazia pogrążona w dumach zachęca ich tylko aktorskim uśmiechem do dalszych dykteryjek. Woli się uśmiechać, niż im opowiadać. I przypomina sobie w tej chwili moment z pobytu ich na Rivierze. Dnia tego książe znowu miał swój napad smutku. I Kazia uwzięła się, aby go olśnić. Przypomniała sobie zachwyty Ajaksa ongi w Łazienkach, kiedy opowiadała mu swój ulubiony sen, sen królowej róż, właścicielki świątyni Flory.

— Pamiętam jak dziś, chodziłam — powtarzała księciu, mrużąc oczy, jakby w natchnieniu — z wieńcami róż na rozpuszczonych włosach, a małe dziewczeczki w bieli sypały mi kwiaty pod nogi i płynęłam po modrem turkusowem jeziorze w złocistej łodzi, pumajonej różami...

— Mów! i co dalej?— badał ją wtedy Siżys, klęczący u jej kolan, kąpiący się w jej oczach, w jej głosie i aromacie słów, które jej z ust wypływały.

— I przybył królewicz i sen stał się rzeczywistością. Rzeczywistość przeszła marzenie. Bo czyż można być szczęśliwszymi, niż my jesteśmy? Lecz podczas snu nikt nie myśli o przebudzeniu...

— Boisz się? Przecież rzecz postanowiona. Umrzemy razem z chwilą, kiedy miłość nasza zgaśnie...

A młodzi, otaczający kanapę jej w gabinecie, opowiadają dalej nieciekawe rzeczy i Kazia odważa się rzucić spojrzenie w stronę Siżysia. Liczy na wymowę swych oczu; powiedzą mu wszystko, może się ulituje... I oczy ich się spotkały. Niestety! przegrała: w oczach Siżysia nie było śladu słabego dzieciaka, który czuje, że jest do niczego, był tylko ów książę wyniosły i dumny do przesady, zły na nią, że przypomina mu chwile jego demaskowania się, którego się wstydzi i żałuje. Ów patos, szczudła — to wszystko było nonsensem. I Kazia, jak tonący, chwyta się ostatniej deski zbawienia i rozpoczyna swoje młodzieńcze opowiadanie, którem ongi czarowała, a dziś recytuje je drżąca, niepewna siebie, jak nie swoje:

— Pamiętam jak dziś: chodziłam z wieńcami na rozpuszczonych włosach, małe dziewczeczki w bieli sypały mi róże pod nogi...

Opowiadanie to, czuła doskonale, straciło na blasku, na woni i barwie, jak zeschnięte kwiaty. Dostrzegła, że książę z daleka brwi zmarszczył, i bez dźwięku, aby dobieść do końca, bez fantazyi, bez porwywu młodości, bez



wdzięku improwizacyi, bo to była już tylko sztuka, wyblakła biedna nauczona lekeya, ciągnęła:

— I płynęłam po modrem turkusowem jeziorze w złocistej łodzi, umajonej różami...

— Cóż to? — odzywa się z pod okna głos barona — bawicie się w fanty, pani recytuje jakieś bajki z tysiąca i jednej nocy. Henio usnął? Posiadasz pani jakiś niezawodny środek na sen.

W tym samym czasie przy fortepianie bardzo politycznie agitowano.

— Więc ci zwróciła listownie twoje dziesięć tysięcy?

— Ale! daleko gorzej: odesłała mi o pięć tysięcy więcej, niż jej posłałam.

— To jest klasowe! — śmiali się do rozpuku.

— I cóż uczyniłeś?

— Właśnie najgorsze, że nic. Miałem już *sleeping* zamówiony, kufry zapakowane, pani Kazimiera się niecierpliwiła... No, a i teraz nie wiem, co mam robić? Przecież nie mogę jej pięciu tysięcy oddać na ten jakiś tam instytut, o którym ta waryatka mi napisała? Jeżeli jej odeślę te pieniądze, ona znowu mi je zwróci i będziemy tak bez końca sobie przysyłali i odsyłali, a co mnie najwięcej gniewa, że ona w tej sprawie jest więcej korrekt, niż ja.

Wszyscy się rozśmiali.

— To jest nadzwyczajne.

— Wiesz — rzekł baron — jedyna na to rada. Nie można z krotochwili robić dramatu. Rozstałeś się z nią uroczyscie listem z pieniędzmi. To nie był właściwy ton.

— Więc co robić?

— Ot! ona jest tu z nami w sąsiedztwie, odwieź panią Kazimierę i wróc do nas. Zabawisz się, a przy tańcu i kieliszku takie rzeczy załatwiają się łatwiej, niż drogą, którą wybrałeś.

— Zgoda, ale ten mały Borski, który ma się z nią żenić...

— Ależ ona go nie chce! Przed chwilą powiedziała nam, że za nic w świecie nie weszłaby w tak marną rodzinę jak Borscy.

— To jest klasowe! — zachwycił się Sizys.

A Kazia pozostała na kanapie z ostatnim już maruderem, któremu nie wypadało dać nura i pozostawić jej samej; był to człowiek o naturze delikatniejszej, niż inni, i może w gruncie żał mu było tej kurtyzany, koło której zaczyna się robić luźno, ponieważ znać, że spada już z łask młodego monarchy. I Kazia, wdzięczna mu za to, chce gwałtem zabawić go, lecz przez gardło jej ściśnięte ani jedno słowo wyjść nie może. Umilkła. A jakiś zły dyablik podszeptuje jeszcze księciu, aby się nad nią pastwił:

— No, jakże tam w twojem państwie? Opowiadanie już skończone?

Zwróciła się nie do księcia, lecz do owego najdelikatniejszego ze słuchaczy:

— To pana zapewne nudzi? Proszę mi wybaczyć — wywnętrzała się — jestem dziś nie w humorze. Nie cierpię restauracyi. Chodźmy do fortepianu.

Kiedy do nich doszła, śmiechy ustały; panowie usunęli się, a ona zasiadła do fortepianu. Woląla już grać,

niż mówić. I znowu wybrała swoje *cis* ze starego repertuaru: *Rondeau* Kalkbrenera, które grała, jak wszystkie panny, dość biegle, poprawnie, lecz ogromnie po dyletancku.

Baron wzruszył pogardliwie ramionami, zdając się mówić:

— Także się wybrała ze swoim odwiecznym *Rondeau* Kalkbrenera! Co to jest? Czy my tu jesteśmy na jakich imieninach u babuni, czy na balu u aptekarza? Rzeczywiście pomysł specjalnie warszawski!

Panowie ci byli wszysecy bardzo muzykalni. Nie dziwnego, że pensyonarski popis Kazi zająć ich nie mógł; ich, którym przygrywał w gabinetach strausowskie walce we własnym układzie przyjaźniący się z nimi Grünfeld, których odwiedzał d'Albert; wielu z nich znało osobiście z Londynu Paderewskiego.

Oni lubili Wagnera, lecz broń Boże nie Lohengrina i nie Tanhäusera, lecz nieznanych w tej marnej Warszawie Parsivala, Nibelungów, Latającego Holendra i Meistersängerów. Gwizdali i nucili z zachwytem arye z Króla Lahory, Werthera Masseneta i Iris Mascagna. Byli na premierach tych oper w Londynie, w Paryżu i w Rzymie. Gdyby im chociaż zagrała jakąś operetkę, naturalnie broń Boże żadną z granych w Warszawie, lecz z wystawionych tylko w Wiedniu lub w Berlinie. Lecz *rondo capricioso* Kalkbrenera, to jest ohyda! Raziło ich to tak, jak jej dobre maniery, jak jej wykształcenie, jak jej francuszczyzna z książkowemi przysłowiami, którą czuć było jeśli nie Ollendorffem, to przynajmniej lekcyami, branemi na godziny od nau-

czycielki, zgodzonej za *demieplace* za obiady! Ich, którzy mówili żargonem francuskich dorożkarzy, którzy przebywając lata we Francyi, uczyli się języka od swoich metres z *Moulie Rouge*, lub z dawnego *Mabilu*. A Kazia w ciągłej dziś ekscytacyi grając machinalnie swego Kalkbrenera, buntuje się w swoim demokratyzmie, którym przesiąkła ongi w inteligentnem towarzystwie studentów i młodzieży z miasta, i dusi w sobie tradycyjną treść, jaką czuje wobec tych magnatów, którzy jej mimowoli imponują, a od których, mówi sobie w duszy, iż czuje się wyższą, choć nie zna się na koniach i na markach szampana. I naraz wpada jej do głowy zapytać ni stąd ni zowąd, jedynie aby pokazać im, że także nie jest byle kim:

— À propos! panie hrabio!— rozpoczyna z obyciem, niby światowem, jakby od niechcienia, nie przerywając sobie Kalkbrenera—czy pan nie znał przypadkiem rodziny Kropiwnickich? Sąsiedowali z mymi rodzicami o miedzę, żyliśmy w ogromnej przyjaźni. Ludzie bardzo bogaci...

— Jacyż Kropiwniccy? — wzruszył na stronie ramionami baron — cóż to ma znowu znaczyć? No, wiecie... Tylko w Warszawie coś podobnego się znajduje.

— Niech pani kończy już ze swoim Kalkbrenerem i ze swoimi Kropiwnickimi, bo niema czasu; jedziemy już do domu—zadecydował książe.

Podał jej płaszcz gronostajowy i koronkę na głowę.

— Ale, ale, niech pani poprosi tych panów do siebie na jutro na śniadanie. Dostaniecie doskonałego che-

resu, który kupiłem trafem w Londynie, powiadam wam: cacany.

— Nie, panie Zygmuncie — poprawiła go grzecznie Kazia, doskonale się hamując, trochę blada z ustami z lekka zagryzionemi, bo nazbierało się tego wieczora trochę za dużo i sama się dziwiła, że łyzy jej nie płynęły — u *mnie* ci panowie będą pili *moje* wino; niech pan ich poprosi na swój cheres do siebie.

Książę poczerwieniał, jak wiśnia. Nie znosił, aby ktokolwiek mu robił uwagi. Nie był do tego przyzwyczajony. Nie umiał jej jednak na razie nic odpowiedzieć.

Wszyscy dokoła zamilkli, nie chcąc wdawać się nie w swoje rzeczy.

Po ciężkiej sekundzie ogólnego milczenia książę odezwał się ze swym zwykłym uśmiechem ładnego dzieciaka.

— No, jedziemy już do domu; Józef niech wjeżdża do bramy. — Wydał polecenie garsonowi. — Bądźcie zdrowi.

— Biedny Siżyś! — litowali się po jego wyjściu. — Ona mu daje nauki dobrego wychowania. To nadzwyczajne!

I przeszli do gabinetu Lorki.

— Uf! nareszcie! — konkludowali, znalazłszy się znowu w swojej atmosferze. — Pozwólcie, że odechniemy.

— Jest niemożliwa. Mówi o muzeach, o literaturze. Gra Kalkbrenera, co to jest?

— A Siżyś? czy jest *zawsze* *antyszony*?

— Victoria! — zawołał zwycięsko baron — Siżys za chwilę tu powróci.

— Jak matkę kocham, to nie ma żadnego sensu — zadecydowała Lorca. — Więc do której godziny będziemy tu dziś siedzieli? Idyoto jeden — zwróciła się do hrabiego Krasnohorskiego ze swoim tonem królowej urwisów z nad Wisły — toś nie mógł go prosić na jutro? To jest nadzwyczajne, jak matkę najszczerzej kocham, abym ja miała czekać do rana, ponieważ jemu wpadła nagle ochota...

— Bo ostatecznie, kto jest taki książe Dorohowiecki — naśmiewali się wszyscy.

A tymczasem Kazia, zagłębiając się w tył karety, otulona w futro, okapturzona koronkami, kołysana sprężystością resorów i gumą kół, patrzyła błędnie to w ognik cygara siedzącego tuż obok niej księcia, to w ciemności nocy, rozpraszane co chwila poza szybami karety przez migotliwe światła płomieni gazowych. Blaski te, wkradające się aż tu do wnętrza karety, raziły ją i przyprawiały o ból w skroniach. Pragnęła teraz tylko nocy: utraty świadomości i czucia.

I jego męczyła widać ta jazda, bo wysunawszy głowę, wydał rozkaz lokajowi, siedzącemu przy stangrecie:

— Czyście posnęli obaj na koźle, gawrony?

Nareszcie stanęli przed domem. Książe, zegnając się z Kazią, uważał za stosowne zapytać, aby coś powiedzieć:

— Czyś niezdrowa?

— Rzeczywiście, głowa mię bardzo boli. Dlatego też byłam tak bez humoru.

— Nie uważałem, abys była dziś inną, niż zwykle— rzekł — mam nadzieję, że do jutra będzie dobrze. Do widzenia.

— Wracasz do domu?

— Naturalnie! Dokądbym mógł o tej godzinie jechać?

— Tak się tylko pytałam—zauważyła, przekonana, że kłamie, bo choć nie z owych szeptów nie słyszała, przeczuwała intuicyją zakochanej, że wróci tam! do *niej*, do jej poprzedniczki.

— A zatem bądź zdrowa!

Miała na ustach okrzyk: Siżyś! Lecz w najwyższym wysiłku zdusiła go w sobie. Chwyliła się tylko za głowę i rzuciła mu króciutkie: „Do widzenia!“ poczem znikła za zamykającymi się za nią z trzaskiem drzwiami.

Nareszcie była u siebie w swoim łóżku. Zagasiła świecę. Myślała, że znajdzie ukojenie. Jakże się myliła!

Noc, cisza, balsam dla ludzi zdrowych, lekarstwo dla małych zadrśnień, to męczarnia dla wielkich bólów. W nocy choroba się zaognia, rany się otwierają. Sen odbiega, znudzony tą nędzą, aby pochwycić w swoje objęcia uśmiechniętych, szczęśliwych. I zaczyna się królestwo piekła.

Kazia, kwitując już ze snu, siada na posłaniu i, zgarbiając z czoła piękne włosy, gładząc je oburącz z całych sił, aby jej nie ciążyły i aby jej w skroniach krew nie biła, rzuca ciemnej nocy konkluzję najcięższych myśli, które duszą ją, jak węże bezlitośne.

— A więc wszystko się skończyło! Bardzo pięknie.

Postawiłam na tę jedną kartę wszystko, wszystko, wszystko! A teraz co będzie?

Dzisiejsze jej fiasco nie było przyczyną jej nieszczęścia, lecz skutkiem. A przyczyna? Przyczyna w tem, rzecz bardzo prosta, że on jej nie kocha. Nie kocha jej!

Z piersi jej wydiera się mimowolny jęk, aż się go przełękła; aby nie zbudzić śpiącej obok garderobiany, tuli do ust oszytą koronkami poduszkę batystową, która tłumi jęki i płacz spazmatyczny, bolesny, ciężki, piersi szarpiący. Łzy popłynęły jej z oczu obfitemi strugami, przechodząc przez batyst i koronki powłóczek do jedwabiu poszewek, jakby miała cała zatonać w tej ciepłej słonej kąpieli.

Wreszcie otarła oczy. W pokoju ciemno, jak w grobie. Przed oczyma jej w powietrzu w ciemności nocy sypią się jakby zawieszzone w powietrzu na pajęczych niteczkach maleńkie perełki, które znikają, ustępując miejsca nowym; wpatruje się w nie błędnie, jakby nieprzytomna... Na starym zegarze „Ludwik XV-ty“, zawodzącym najspokojniej w świecie swoje „tik-tak“, biją kolejno matowym dźwiękiem godziny: 3, 4, 5-ta... Z ciemności nocy wylania się białość kafli pieca, potem marmur umywalni, potem kant szlifowanego lustrawreszcie dnieje i cały pokój wyrasta w zamglonych konturach, jakby spowity w czarną krepe. A ona, znużona tą nieskończoną nocą, zasypia.

Nie widzi już księcia, lecz dom swojej matki. Wtedy miała kogoś sobie blizkiego, nie była samotna, jak dziś, nie przechodziła takiej nocy, jak dzisiejsza. I teraz biegnie do matki; Widzi każdy kąt mieszkania,



wszystkie znane pocziwe twarze, kufer, na którym jak dawniej będzie gwarzyła z Belcią... Będzie młodą dziewczyną w krótkiej sukience, jak dawniej. Będą w niedzielę chodziły do Łazienek i Botaniki. Co to jest? Matka zamyka jej drzwi przed domem? Wyrzuca ją na bruk? Nie może trzymać u siebie. I jęk rozdziera piersi śpiącej. A to co? Krew? Uderzyła matkę, a teraz kryminał... Tylu ludzi! Wszyscy patrzą na nią, jak na zbrodniczkę. Wołają policyi. Ma krew na rękach... Czuje, że cała tonie w zimnym pocie...

— Proszę pani—budzi ją głos pokojówki.

— Co to?—wyciera sobie ze snu oczy i patrzy błędnie. I wnet oprzytomniała, chwytła się za piersi, czując, że ból jej nie zniknął; jest na swoim miejscu.

— Co się stało? — bada pokojówkę, przekonana, że musiało stać się coś złego, bo nic dobrego w życiu jej już nie spotka.

— Jakaś dziewczyna tu przychodziła mówiła, że od matki pani.

— Od mojej matki? — zerwała się — dziewczyna? i mówiła co? odpowiadaj prędzej! matka chora? Co to jest? Przeprowadź tę dziewczynę.

— Jej już nie ma, proszę pani. Mówiła, że matka pani jest bardzo chora i chce koniecznie z panią się widzieć. Jakaś głupia dziewczyna, nie mogła trafić; szuka pani już od kilku dni.

— Sprowadź dorożkę — woła Kazia, wyskakując z łóżka.

— Czekolady pani dziś nie pije i kąpieli pani nie

weźmie? Fryzyera tylko co patrzeć. MoŜnaby w trakcie czesania po doroŜkę posłać.

— Ubiorę się sama; biegnij po doroŜkę.

Spięła kilku szpilkami włosy, zarzuciła wczorajszą spódnicę *vert bouteille* z dŜetami, pochwyciła pierwszy lepszy batystowy kaftan ranny, płaszcz sobolowy, koronkę na głowę i jednokonną doroŜką pojechała do matki.

Nie pamięta wrażeń, jakie odczuwała w czasie jazdy; zdawało jej się tylko, że doroŜka wlecze się, jak za karawanem, choć woźnica, zachęcony hojnym napiwkiem, pędził, co koń wyskoczy. To dziwna! doskonale znana ulica, na której nie była od czasu swojej ucieczki, dzielącej przepaścią życie jej dawne od dzisiejszego, nie sprawiła na niej takiego wrażenia, jakiego oczekiwała, ani dawny dom, ani znane jej schody, po których biegnie co tchu, nie zatrzymując się na żadnym pięttrze... A oto drzwi z naklejoną kartką, na której wykaligrafowano: „Z powodu choroby obiady na pewien czas zawieszono...” Oto druga kartka: „Nie dzwonić! drzwi otwarte!”

Weszła...

W przedpokoju uwijają się: wyschła, jak tyczka, pani Januszewska w odwiecznej, zrudziałej, czarnej sukni z barbką na siwych włosach; Chmielakówna z chustką na spuchniętej od fluksyi twarzy, narzeczona studenta, ze zniszczoną cerą, zwiędła, z zagasłemi oczyma, wreszcie jest tu kilka obcych Kazi twarzy, zapewne nowych pensyonarek i stołowniczek. Mówią do siebie szeptem, jak zwykle w domu, do którego weszła

choroba, prowadząca za sobą przewidywaną, zagadkową potęgę śmierci... Ale teraz, zdaje się, zapomniawszy na chwilę o chorej, zajęte są zwykłemi pretensjami, komerażami i plotkami. Spostrzegłszy Kazię, nie wiedzą, z jakiej beczki z nią zacząć, choć przygotowywały się do tej wizyty już od kilku dni. W zachowaniu ich miała przebijać chłodna dystynkeya i grzeczność, z odrobiną pogardy. Były bardzo ciekawe, w jakiej przyjeździe sukni, czy będzie z nią jej *dame de compagnie* i czy lokaj w liberyi będzie z płaszczem w przedpokoju na nią oczekiwał.

Kazia trzęsie się, jak liść, prawie nieprzytomna.

— Żyje jeszcze? gdzie jest? Przez Boga, prowadźcie mnie do niej!

Rzuciła na podłogę sobole i jakby teraz dopiero dostrzegła, że jest w białym kaftanie nocnym, przewiązała się na krzyż koronką zdjętą z głowy, jak służąca, z węzłem w tyle, z naturalnie karbowanymi upiętymi niedbale jedną szpilką włosami—wyglądała jak dawna Kazia, która powstała z długiej choroby. Damy ulitowały się nad nią i, odkładając na bok ceremonie, opowiadają jej, jakby powracającej z podróży:

— Lekarze nie robią nadziei. Lewego płuca już prawie nie zostało. Prawe ma takie rany, jak moja dłoń. Teraz już i gardło zajęte; przytem na całym ciele rany od długiego leżenia. Chirurga trzeba było sprowadzić. Lepiej, aby Pan Bóg się nad nią zlitował, bo takie życie to męczarnia. Od dwóch tygodni uparła się i nic, tylko: „Kazia i Kazia!“ Nie wiedziałyśmy pani adresu. Kiedyś dziewczyna mówiła, że służba pani jej

nie chcę puścić. Co prawda, jedyna służka, ma tu dużo roboty. Wreszcie wczoraj znowu zaczęła się upominać i panna Bela posłała swoją służkę.

Kuczyńska, która wysunęła się przygotować chorą do tych odwiedzin, przeszła do przedpokoju z wiadomością, że Kazia może już wejść. Wbiegła do pustej dużej jadalni, w której stało teraz łóżko Janowskiej ze stolikiem, a na nim lekarstwa, pendzelki do gardła i szklanka z wyplutą flegmą. Dostrzegłszy chorą z policzkami zapadłymi, żółtymi jak pergamin, z głową opadłą w głąb poduszek, z oczyma bez wyrazu, ze skamieniałym skurczem twarzy już z tamtego świata, podbiegła do łóżka z okrzykiem:

— Mamo, moja mamó! — i rzuciła się na kolana z ustami u wychudłej ręki chorej. Wpatrywała się w ruinę tych znanych sobie rysów kobiety, tak blizkiej jej, z którą przeżyła całe swoje lata dziecięce, życie, kiedy była jeszcze człowiekiem, a nie zabawką jakiegoś obcego człowieka. Była to jedyna istota na świecie, którą ona interesowała, która na nią pracowała, była jej matką... A ona nieszczęsna, szalona, nie umiała tego dawniej ocenić! Dopiero teraz... dopiero teraz, kiedy śmierć... Bo ta kobieta żyć nie będzie, to rzecz jasna. Wielki Boże! jakież to okropne!

Chwyciła ręce, nad którymi katby zapłakał, takie chude i wynędzniałe, i ogarnia z rozpaczą te nogi, wystające z pod kołdry — poślótkę i piersi, jak u trupa małej dziewczynki. I Kazia całuje ją po rękach, po nogach i przyciąga w swoje objęcia, jak tuli się nie-

sześliwe dzieci niesłusznie skrzywdzone. A z ust jej wezbranym potokiem wypływają słowa:

— Mamo, moja mamó! Gdybyś wiedziała, jakie straszne wyrzuty sumienia... Jak mogłam ciebie opuścić! Gdybyś mogła wiedzieć, czego bym teraz nie dała, aby tylko widzieć cię zdrową! Bo ja nie mam, prócz ciebie, nikogo. Ileż ofiar dla mnie uczyniłaś, ile ciężkiej pracy...

— Dziecko moje — gładziła ją po głowie stara Janowska, a w jej zgasłym oku zajaśniało coś podobnego do słabiutkiego promyka szczęścia—to moja była wina. To zrobiła moja porywczóść, lecz przy pracy człowiek ordynarnieje. Nie umiałam obchodzić się z tobą... a ludzie cię buntowali... Zawsze cię kochałam, bo tylko ciebie miałam, więcej nikogo. Kiedyś odeszła, nie miałam po co żyć. Aż przyszła ta choroba, bardzo ciężka... Nie wiem, czy przejdzie... Biedna Januszevska i Chmielakówna muszą się bez obiadów obywać, a biedny Wawrzynkiewicz zapewne się gniewa na mnie, ale ja nie mogę...

Kazia rozplakała się cichutko.

— Nie płacz. Czuję, że mi jest lepiej, od chwili, kiedy jesteś przy mnie. Niech tylko ta chrypka minie, a to smarowanie ma mi pomódz, może Pan Bóg da, że jakiś czas jeszcze pociągnę. Tylko pamiętaj, odwiedzaj mię często... Widzisz, nie mogę wiele mówić, zaraz dech tracę. Nie wiem, czy to przejdzie... Nie wiedziałam, czy zechcesz przyjść. Przez cały czas choroby myślałam: posłać, czy nie posłać? nawet w nocy podobno ciągle twoje imię wymawiałam. Prawda, Belciu? A! jej

tu niema, zapominam teraz o wszystkim. Dzięki Bogu, że jesteś, zaraz mi lepiej... Tam w kredensie stoi słoik konfitur z róży, które tak lubisz: tylko ostrożnie, żebyś sobie sukni nie poplamiała. Ja nie mogę wstać... Pamiętaj, przychodź często.

— Dobrze, dobrze, matucho; tylko na chwilkę wyjdę i zaraz powrócę.

Wybiega przez kilka pokoiów do kuchni, przewidując, że coś się z nią stanie, że serce jej nie zniesie tych wszystkich fal olbrzymiego żalu, który ją rozsadza. Jak w dusznem powietrzu tuż przed burzą ciężkim ołowiem gromadzą się chmury, tak w jej piersi tłoczył się żal, chwytający za gardło, tamujący oddech. Nie wytrzyma dłużej... Lecz matka tej rozpaczycy domyślać się nie powinna; ma tyle przytomności, że zamyka drzwi za sobą.

— To okropne, okropne! Niema mowy już, aby mogła żyć, umrze, umrze...

Upusty się otworzyły i łzy popłynęły jej po policzkach strugami. Koło niej Chmielakówna, narzeczona studenta, Kuczyńska i Belcia, która przyszła odwiedzić Janowską—cuciły ją octem, nacierały skronie wodą kolońską i pocieszały, popłakując ze współczuciem, na jakie w nieszczęściu potrafią się zdobyć tylko kobiety. Jeszcze kilka krótkich jęków, ciężkie westchnienie i burza ucichła.

— Zostawcie nas panie — zakomenderowała Belcia—już dobrze, prawda?—pytała Kazię, tuląc ją w swoich objęciach i chłodząc zimną ręką jej rozpalone skronie.

<http://rcin.org.pl>

Kobiety, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie, pò-

wróciły do Janowskiej, która choć nie słyszała płaczu, z intuicyją chorych domyślała się wszystkiego i o nie nie pytając, zwierzała się po cichu:

— Ma zupełnie charakter swego ojca: wydaje się opryskliwą, zimną i dumną, a serce ma złote. Zmieniła się, prawda? zeszcupiała, pobladła. I oczy nie takie, jak dawniej. Tylko włosy te same.

Patrzała w dal martwiejącemi źrenicami, jakby w ciężkiej zadumie nad losem pasierbicy, a z sinych jej warg z wielkim trudem wybiegło głośne zwierzenie:

— Biedna, biedna, stracona!

I w najwyższem osłabieniu przymknęła oczy.

Naraz drzwi się otworzyły i Kazia z obmytemi oczyma bardzo blada, choć uśmiechnięta, w sukni *vert-bouteille* z dżetami i z koronką przewieszoną na krzyż na nocnym batystowym kaftanie, z włosami stapirowanymi, które przechyliły się częścią ciężaru na bok, częścią stoczyły się w tył, odmawiając posłuszeństwa jedyniej szpilce, weszła do pokoju matki, uklękła u łóżka i, całując wychudzone ręce, wyklamywała się.

— Pić mi się ogromnie chciało a nie mogłam znaleźć wody. Służącej w kuchni nie było. Dopiero poczciwa Belcia wynalazła mi szklanekę.

— Będiesz mnie często odwiedzała, prawda, moje dziecko?—zbyła ją stara, nie chcąc jej martwić tem, że się domyślała powodu raptownego wyjścia z pokoju, i gładziła ją po głowie, wdzięczna za jej łzy i przywiązanie.

<http://rcin.org.pl>

— Pozostanę tu, matuchno, póki nie wyzdrowiejesz.

— O! to dobrze! — rzekła, nie wypuszczając jej rąk z uścisku, bo ja już i tak...

Nie dokończyła, aby jej nie martwić i bardzo zmęczona zbyt silnem wrażeniem, zdrzemnęła się, szepcząc prawie nieprzytomnie:

— Kazia, Kazia...

A na stygnących ustach tej pół Janowskiej i pół trupa bez indywidualności i bez nazwiska zamajaczył jakiś półuśmiech...

Od tej chwili Kazia nie odeszła od łóżka starej ani na sekundę; w jedwabnej *vert bouteille* z dżetami sukni, w białym batystowym kaftanie, z potarganymi włosami, blada, pomimo wypieków na twarzy, spędzała przy niej dnie i noce; z porzuconym domem nie chciała mieć nic wspólnego. Pieniądze jej były teraz potrzebne na różne wydatki przy chorej, a portmonetka jej była pusta, bo ostatniego rubla dała dorożkarzowi, posłała przeto ukradkiem posłańca z kolczykami brylantowymi, które zdjęła z uszu, do lombardu. Przyniósł jej za nie kilkaset rubli. Wstąpiła w nią jakaś bajeczna siła, pozwalająca jej obywać się bez snu, prawie bez jedzenia. Stara nie wypuszczała jej rąk ze swych dłoni i, wpatrując się w nią pocziwie oczyma sarny ranionej, nagradzała ją szeptem:

— Tak mi dobrze od czasu, kiedy jesteś przy mnie.

I Kazia wychodziła do drugiego pokoju, rzucała się Belci na szyję i mówiła z błyskiem nadziei, podniecona niewywczasem, oswojona już trochę z widokiem chorej.

<http://rcin.org.pl>

— A może lekarze się mylą? Przecież Bóg, jeśli



chce, może sprawić cuda. Niech tylko trochę do sił powróci; wyjedziemy na południe do Cannes albo do Nizy. Wiesz, jakaś otucha we mnie wstępuje. Przecież ostatecznie nie tak złego nikomu nie uczyniłam. Tylko samej sobie—rzekła, odrzucając dumę i przyznając pół otwarcie, że życie sobie zmarnowała. — A gdybym nawet była ostatnią, to cóż ona temu winna, za cóż ona tak strasznie cierpi?

I powracała do starej, otulała jej nogi swoimi sobolami, sprowadzała na konsultację najznakomitszych lekarzy, wlewała jej w gardło po łyżeczce najdroższego wina, jakie w sąsiednim składzie znaleziono, a gdy łóżko prześciełano, obejmowała wyschlą i leciutką już jak piórko i otuloną sobolami, tuliła u piersi, jak dziecko.

Stara rzeczywiście wydawała się rażniejszą, sen jej się poprawił, rany mniej dokuczały, nawet chrypka jakby odrobinę się zmniejszyła. Z właściwym chorym uporem żaliła się:

— Gdyby mię byli wysłuchali i posłali po ciebie dawniej, kiedym tak o to prosiła, byłabym już zdrową. A tak co?—robiła słaby ruch ręką—mówili, że służąca nie może trafić, że adres nie dobry, że ciebie niema w Warszawie; dzień za dniem schodził...

I trzymając ją za rękę, wpatrywała się jak w kochankę, w siedzącą na niskim podnóżku tuż koło łóżka. Wszystko dobre, co w ich sercach było, wszystkie wzajemnie dla siebie uczucia, z którymi przez całe życie ukrywały się nie wiadomo dlaczego; wszystkie poczciwe czule słówka, które na ustach im zamierały, teraz do-

piero wobec fizycznej niemocy zakwitały cudnie, jak spóźnione fijołki na wyjałowionej już jesiennej glebie, mającej nazajutrz spocząć pod białym całunem zimy. Nie wspomniały ani słówkiem ani o kłótniach, ani o teatrze, ani o ucieczce, ani o życiu terażniejszym Kazi; wybierały w wspomnieniach co było dobrego, tkliwego, czego wstydziły się przez tak długi okres czasu, pograżone w trzeźwości i prozie codziennego życia.

Stara wydobywała ze wspomnień coraz dawniejsze obrazy, obrazy dzieciństwa Kazi, obrazy domu na wsi. Coraz częściej wspominała swego męża, ojca Kazi.

— Miał włosy takie, jak ty — mówiła, dysząc ciężko — tylko jaśniejsze i oczy czarne. Brał cię na kolana i śmiał się do rozpuku, kiedyś go za wąsy targała lub binokle mu rączką zdierała. Miał zupełnie twój śmiech, bardzo głośny i bardzo serdeczny. Zdaje się, żeś ten śmiech straciła. Nic dziwnego, przy takim ciągłym siedzeniu przy chorej — rzekła delikatnie, usuwając przeczuwane przyczyny smutków Kazi — da Bóg wyzdrowieję, to i ty do siebie przyjdiesz, teraz, kiedy wszystkie żale pomiędzy nami na wieki usunięte, prawda, moje dziecko? Pamiętam, jak przyjechałam do was z twoim ojcem po ślubie: miałaś dwa lata, piękniejszego dziecka nie było w całej okolicy. Jak żyję nie podobnego nie widziałam. Miałaś na sobie do gorsu białą sukienkę ze szkockimi kokardami. I od razu, nim zdołałam rozpakować ogromną lalkę i blaszane gospodarstwo, które dla ciebie przywiozłam, zarzuciłaś mi rączki z krzykiem: „Mama, mama, mama!“ Widzę tryumfujący uśmiech twojego ojca, z jakim do mnie

przemówił: „No, czy oszukiwałem cię, moje życie, opisując ci jej urodę?” Śnił mi się dziś przez całą noc — mówiła coraz bardziej osłabiona, mieszając sen z chorobliwymi widzeniami na jawie — pytał się, czy zawsze nosisz kaftanik wełniany? Pamiętasz, zapominałaś zawsze zamykać lufcika na noc? W nocy też nieraz wstawałam przekonać się, czyś zamknęła? Gdzie tam! A kołdrę zawsze z nóg zrzucałaś! I wybuchałam gniewem, a ty także w gorącej wodzie kąpana nie ustępowałaś. Stał wszystko złe. Choć wierzaj mi, zawsze tylko twojego dobra pragnęłam.

— Ach! mamó, mamó! bądź tylko zdrową. Niczego więcej nie pragnę. Przysięgam ci, niczego!

— Jesteś dobrem dzieckiem. Bóg ci wynagrodzi. Widzisz, ojciec — majaczyła — cieszy się, że się tak kochamy, wiecznie tego pragnął. Jak się masz, Michale? widzisz, Kazia jest chorą; muszę ją pielęgnować i dniami i nocami. Pobladła. Lekarze mówią, że jeszcze nie jest stracone.

Mówiła coraz ciszej urywanemi słowami; w końcu mowa jej przechodziła w coś podobnego do niezrozumiałego szeptu i zasypiała.

Osiem dni upłynęło od przybycia do domu rodzinnego Kazi, kiedy po jednej takiej rozmowie, siedząc jak zwykle na niskim podnóżku przy łóżku chorej, oparłszy się na rękę w długiej zadumie, spostrzegła, iż głowa matki jeszcze głębiej pograżyła się w poduszkę, że grymas ust chorej stał się jeszcze bardziej skamieniałym, że wreszcie żółtość twarzy ustąpiła miejsca przerażającej bledości. Zerwała się z siedzenia:

— Nie żyje! Patrzcie! nie żyje!

— Lepiej się stało — pocieszali ją wkoło — że się Pan Bóg nad nią ulitował, przecież takie życie było męczarnią. O wyzdrowieniu nie mogło być mowy. Byliśmy przecież wszyscy na to przygotowani. Ale pani, panno Kazimiero, pani musisz się trochę położyć i odpocząć. Pani ma gorączkę.

— Co? Co mówicie? — pytała — czy jestem chora? Nie, nic mi nie jest!

Nie płakała. Miała uczucie, jak gdyby to ona sama umarła. Cały świat dokoła wydał jej się grobem. Błędnem okiem przypatrywała się wszystkiemu, jak obcemu. Rozejrzała się dokoła; pojęła jedno: że z tym domem już nic jej nie wiąże. Pogrzeb matki wydał jej się tak oddalonym, jak gdyby nie miała go dożyć. Zapłaciła wszystkie rachunki: lekarza, aptekę, służbę, pozostałych dwieście rubli wręczyła Belci na kosztą pogrzebu, ucałowała po raz ostatni lodowate zwłoki, zarzuciła sobie na suknię, koronkę na głowę, siadła do dorożki i pojechała do siebie.

— Książę był tu dwa razy — oświadczyła na wstępie pokojówka — mówiłam, że pani jest u chorej matki, ale adresu nie wiedziałam. Książę napisał do pani tę kartkę.

Kazia rzuciła się na fotel i aby lepiej zrozumieć, czytała na głos zwolna słowo po słowie kartkę księcia:

„Żałuję niezmiernie, że przed dłuższym wyjazdem na polowanie do Szkocyi nie mogłem się z tobą pożegnać. Matki twojej adresu nie pamiętałem. Zresztą nie śmiałybym ci się tam narzucać, a dnia podróży odkładać

nie mogłem, ponieważ jadę w towarzystwie. Mam nadzieję, że zdrowie twojej matki jest już na dobrej drodze. Wezwij do niej w moim imieniu prof. Łapińskiego. Widziałem się z szambelanem. Jeżeli chcesz powrócić do teatru, udaj się do niego. Obiecał mi rzecz tę załatwić, abys tylko nie upierała się grywać ról odpowiedzialnych. W razie, gdybyś potrzebowała pieniędzy, udaj się do Pisarskiego, który ma polecenie wydać ci tyle, ile zażadasz. W nadziei zobaczenia się jeszcze kiedyś na tym najpiękniejszym ze światów, łączę wyrazy najszczerzej stałej życzliwości — *Zygmunt Dorohowiecki*“.

List wypadł jej z rąk i białą plamą ułożył się na puszystym szkarłatnym dywanie. Kazia przetarła sobie oczy:

— To dziwne, to dziwne! Przecież nie mam maligny?

List ten nie sprawił na niej żadnego wrażenia. Była przekonana, że go otrzymała od dawna. Była tak pewna tego, że próbowała list ten recytować na pamięć. Wszak gdyby go pierwszy raz czytała, nie pamiętałaby każdego wyrazu... Ten list musiał przyjsć; istniał on zawieszony pomiędzy nimi od paru miesięcy, przedtem, co teraz zaszło od ośmiu dni. A choroba matki przysła umyślnie po to, aby podczas jej nieobecności list mógł tu zostawić i aby, wspominając o chorobie, nie potrzebował kłamać.

— Nie, nie! — chwyciła się za skronie — nie chcę wikać się w tych zagadkach, bo mię tu boli... Jestem nieprzytomna!

Przycisnęła, zbierając resztki sił, dzwonek elektryczny i, trzęsąc się jak liść, wydała rozkaz pokojówce wystraszonej jej bladością:

— Po doktora! Prędko! ściel mi łóżko!

I nieprzytomna padła na fotel.

Kiedy otworzyła oczy ze strasznym bólem głowy, łagodnym zimnymi okładami i lodem, pokojówka objaśniła ją, że leży już w łóżku od dwóch tygodni, że przeszła bardzo silne zapalenie mózgu i przez jakiś czas lekarze nie ręczyli za jej życie, lecz, że teraz jest już rekonwalescentką.

Przez okna zaglądało słońce wiosenne, które napełniało złotem cały pokój. Na stoliku przed łóżkiem w szklance kapały się fijołki. Kazia uśmiechnęła się do nich. Po chwili nadszedł lekarz, siwy jak gołąb staruszek, człowiek bardzo sympatyczny, sypiący jak z rękawa dobrodusznemi dykteryjkami i żarcikami.

— No! nareszcie! Nie damy się przecież wziąć z tego pięknego świata? Widzi pani, co za pogoda na dworze?

— Doktorze — pieściła się, jak kapryśne dziecko — jestem głodna.

— Doskonale! Dostanie pani dziś bulionik z grzanką, a jutro może i pulardkę.

— Ja chcę wina, doktorze, polewki z wina.

— Powoli, powoli! zobaczymy, może dostaniemy i polewki.

— Julka! Popraw mi poduszkę — grymasiła, bo sprawiało jej przyjemność grymasić, czuć się małym dzieckiem i radowała się widokiem Julki, która wyda-

wiała jej się jakoś bardzo pocziwie uśmiechniętą i przywiązaną.—Julka!—rzekła ogromnie wdzięczna za to—weź sobie z szafy tę suknię, wiesz, czarną jedwabną i rotundę.

Nie chciała myśleć o niczem; bawiło ją to, że żyje, że widzi słońce, że oddycha, że leży w łóżku, że pije wyborny bulion i że wacha fijołki.

Rekonwalescencya szła bardzo szybko. Po kilku tygodniach Kazia, powstając z łóżka, podarła list księcia, który wydał jej się ostatnim bolesnym śladem minionej choroby i wszystkich nieszczęść przeżytych. Otrząsała się na samą myśl jego protekcyi do teatru lub proponowanych jej usług przez ręce plenipotentą Piarsarskiego. Po głowie jej chodziła jedna myśl: wyzdrowieć czempredzej i uciekać stąd, uciekać jak najdalej od tych cierpień, odetchnąć powietrzem, grzać się w słońcu i żyć, żyć, żyć byle jak, aby spokojnie...

Spojrzała przez okno na ulicę i coś ją za piersi ścisnęło: To szare ołowiane niebo, mgła, mokre chodniki, nakryte budami dorożki, śnieg tający w powietrzu. Takie to smutne, przygnębiające! Wszystko mówiło jej o przeszłości. W rekonwalescencyi pełnej kaprysów, zachciało jej się naraz eliksiru ożywczego w formie morza granatowego, srebrzystych fal, nieba z turkusów, wybrzeży morskich z tarasami, wili egzotycznych, cyprysów, palm, rododendronów i słońca, słońca, słońca... Sprzedała wszystkie meble i kosztowności, zapłaciła służbę, i, nie myśląc o jutrze, nie rojąc projektów, wyjechała, aby odżyć na południu.

## XII.

Wiele wody upłynęło od chwili, gdy Belcia dowiedziała się, iż Franek na stałe opuścił Warszawę. Dotrzymał obietnicy, danej matce; nie był u Kuczyńskich z pożegnaniem. Lecz nierychło dotrzymał obietnicy danej sobie: przez długi bardzo czas nie napisał listu, usprawiedliwiającego swoje nagłe a tajne zniknięcie z domu, z którym łączyły go przecież pewne obowiązki zażyłości towarzyskiej i przyjaźni. Lecz taki list trzeba było napisać pięknym stylem; robotę tę odkładał z dnia na dzień, czasu nigdy na to nie starczyło.

Łatwo było wraz z Ajaksem przewidzieć, że nie zmieni trybu życia warszawskiego. Już w pierwszych miesiącach pobytu w Lublinie pozawiazywał setki stosunków towarzyskich, grywał teatry amatorskie, urządzał majówki, dyrygował tańcami, należał do birbantek, brał zaliczki na pensję, wykłamywał się gospodarzowi, restauratorowi, szewcom i krawcom. Wszyscy przepadali za tym dobrym w gruncie chłopcem, wszyscy naturalnie, z wyjątkiem krawców i restauratorów. Nie dziwnego, że wobec tych wszystkich zabaw zapomniał o Warszawie, o rodzinie trochę o matce, o herbatkach



na Lesznie i o Belci, która była mu może trochę bliższą od wszystkich innych kobiet. Lecz miał w życiu tyle innych blizkich, że jedna mniej lub więcej różnicy wielkiej nie stanowiła. Jako dobry chłopiec polubił wszystkich swoich nowych przyjaciół i znajomych, tak, że niebawem zastąpili mu druhów warszawskich. Być dobrym chłopcem, to znaczy obdzielać swoją dobrocią wszystkich jednakowo. A wielka miłość, to nagromadzone zapasy uczuć kosztem innych w jedno. Tylko ludzie obojętni dla jednych, nienawidzący innych, tak zwani ludzie z charakterem i kobiety, które zapasami nagromadzonej miłości nie miały jeszcze kogo obdarzyć, zdobywają się na wielkie uczucia.

Wreszcie zdecydował się na list do Kuczyńskiej, list pisany w biurze na kolanie, zupełnie bez stylu, z którego już zrezygnował. List, co prawda, bardzo głupi: usprawiedliwiał się, że nie mógł być z pożegnaniem z powodu nawału zajęć i że teraz dużo pracuje, że Lublin jest marna dziura, że za dwa tygodnie będzie grał w „Kaloszach“ Fredry i „Tatusz pozwolił“ i w tej całej sieczce wpadł mu koncept napisania w *postscriptum*: „Czy to prawda, że Milerowa kupiła sobie białą muślinową suknię? A adwokat Karczmarski zgubił pieska?“

I Belci, czytającej ten list, wyrastają przed oczyma zimowe wieczory w małej jadalni przy lampie wiszącej i syczącym samowarze, i on z czarnymi wąsami, z pod których bieleją w uśmiechu zęby, i te oczy jego takie, jakich nie ma nikt, i ten głos jego ukochany, ręka duża,

muskularna, opalona, przy której dotknięciu wstrząsa nią dreszcz. Zachowała ten list przy sobie, jak relikwię, odczytuje go w święto, kiedy ma więcej czasu i, obejrzawszy się przedtem dokoła jak przed zbrodnią, ukradkiem całuje... W życiu ascetycznem panny przyzwoitej, która się wstydzi swoich marzeń o grzechu miłości, uczucie jej nabrało siły potężnej.

I Belcia wskutek blednicy szczupleje, blednie, wysycha. Kuczyńska wzywała lekarzy, którzy zapisali brom, chininę, żelazo i z uśmiechem doradzali matce, aby wynalazła dla córki inne lekarstwo. Stara Kuczyńska kiwa głową i wzdycha. Belcia pociesza się, że to wszystko przejdzie. Ogarnął ją teraz cichy smutek, zdobywa się na ukrywanie cierpienia, z którego nie chce przed nikim się spowiadać.

— Biedna Belcia!—ubolewają pobłażliwie doświadczniejsze mężatki — nie umiała się postawić! Jest zbyt dumna. Zbytnią sztywność, kiedy się nie jest milionową dziedziczką, także do niczego nie prowadzi.

— Kto inny może się nie nadarzyć; do siwego włosa siedzieć będzie.

— Także!—blagują panny — nie będzie ten, będzie stu innych.

A Belcia, pogrążona w swym wielkim smutku, w dzień daje lekcyę, wieczorami (minęły już dawne herbatki) czyta lub gra na fortepianie. W niedzielę przed obiadem chodzi do kościoła, wieczorem odwiedza znajomych, czasami chodzą do teatru. Od pewnego czasu z kościoła przechodzi zwykle przez ogród Saski. Na bramie ogrodu w szafce z fotografiami widzi jego po-

dobiznę z charakterystycznym jego uśmiechem zdjętą widocznie na odjeźdźnym z Warszawy. Na drugiej, większej gabinecie fotografii siedzi z nogami założonymi we właściwej mu pozycje, jak żywy. Belcia, obejrzawszy się dokoła, czy nikt na nią nie patrzy, napawa się na cały tydzień widokiem jego postaci, jak nałogowy pijak narkotykiem. Ale panięsko wstydliva i dziewiczko nieśmiała, tak, jak nie wymówiłaby pierwsza słowa „kocham“, chociażby z miłości usychała, nie wejdzie teraz do fotografa i nie zażąda fotografii pana Latoszkiewicza. Chodził jej nieraz po głowie skomplikowany pomysł wysłania z pieniędzmi posłańca wziętego z ulicy, któryby kupił te obie fotografie. Czekałaby na niego w ogrodzie, aby nie wyjawic mu nazwiska i adresu. Lecz i na tę awanturę się nie zdobyła i nigdy się nie zdobędzie.

Oczekuje tylko każdej niedzieli i święta z upragnieniem; inne zabawy, choć ich nie unika, pozostawiają jej zawsze po sobie pewien niesmak, jakby gorycz na dnie kieliszka, jakby uczucie przykrości po zbyt cienko ocukrzonych pigułce. To głos uspionego w niej chwilowo stałego jej smutku, który ocierając sobie ze snu oczy, zdaje się mówić w głębi jej serca:

— Oto jestem! Zapomniałaś o mnie, niewolnico?

Dziś niedziela, dzień rozrywek, wybierają się więc obie z matką do Doliny Szwajcarskiej. Pogoda prześliczna. Belcia ustrojona w zdjętą z igły popielatą wełnianą sukienkę ze stylowymi rękawami podług ostatniej mody, upiętą bez zarzutu na jej kształtnej figurce, w świeżutkim słomianym kapeluszu z chabrami i w no-

wych długich rękawiczkach, choć inna niż dawniej, wygląda młodo i ładnie. Zeszczupiała, figurę ma lepszą, niż dawniej, stała się strojnisią, nabrała smaku w ubraniu i naśladowuje ślepo stroje i uczesanie swoich koleżanek. Kryguje się, jak one, robi minki, jak wszystkie Warszawianki. Tylko cera straciła nieoceniony puszek młodości, a dusza, którą nosiła na pokaz w oczach, w głąb się schowała. Znikła już jej oryginalność typu. Aby się przypodobać, Belcia udaje trochę nieudolnie kokietkę, używa nawet zasłyszanych kiedyś u Kazi operetkowych wyrażen Władka: „Nie można wiedzieć“, „czwartki nam się udają“ i t. d., które co prawda wyszły już teraz z mody. Znajomi, którzy mogą nie doceniać zalet człowieka, lecz wady jego najlepiej ukrywane znają na pamięć, wyszydza to udawanie obcego sobie typu. Belcia z panięską wrażliwością, zdaje się, odczuwała to, lecz już maniery kokietki nie zmieniła.

Teraz przegląda się na wychodnem w lustrze i uśmiecha się, zachęcona nie tyle lustrem, jak dostrzeżonemi w niem za swemi plecami oczyma starej, która nie mogła ukryć swego podziwu i zachwyty wiecznie rozkochanej matki. I w najlepszych humorach poświęcają obie ciężko uciulane dwuzłotówki, aby mile spędzić niedzielę.

Lecz zaledwie zeszły po skrzypiących prowizorycznych schodach, humor im się psuje: tłum kilkotysięczny zalewa falą Dolinę, w której nie pozostało ani śladu z dawnych cieniistych szpalerów i majestatycznego kamiennego tarasu. W nowej sukience Dolina jest podo-

bną do wielkiego podwórza, niezabudowanego domu lub do wielkiej pustyni, w której dziwacznie toną szeregi małych nowomodnych krzesełek i kilka klombów z nędznymi roślinami, upiękuszonych z niemiecka brzydkimi dziecinnymi figurkami z fajansu czy z majoliki. Jedyne zawieszane jakby w przestworzu, wielkie lampy elektryczne, klócające się z białością dnia zachodzącego, rozkoszują oczy nieprzyzwyczajone do blasku tych pięknych łagodnych promieni. Przy dźwiękach nielicznej orkiestry niemieckiej, suną bez końca, depcząc sobie po nogach, szeregi kobiet w jasnych niedzielnych sukniach. W środku lata, kiedy bogatsi bawią za granicą, zbiera się tu „cała Warszawa“, Warszawa ciężkiej pracy, ukrywająca swoją nędzę pod sprawioną z ogromnym wysiłkiem tanią efektowną sukienką i maskująca pod uśmiechem swoje kłopoty, składająca swoje ciężko uciulane złotówki za chwilę zapomnienia.

Pomimo nadchodzącego wieczoru, upał nie do zniesienia. Stara Kuczyńska, z coraz większym trudem wlokąc zmęczone, zbiedzone nogi obok prowadzonej w modnej sukience córki na wydaniu, spogląda na zajęte stoliki i krzesła, nawet krawędzie i stopnie schodów, uginające się pod niewybrednymi gośćmi. Miejsca niema nigdzie, więc chodzą wciąż w koło po Dolinie i chodzą... I Belcia spogląda z ukosa na matkę, która wydaje jej się nagle bardzo zmienioną, bardzo zestarzałą, w modnym niedzielnym z piórami kapeluszu na rzadkich siwych włosach, nie mogących zakryć wąskiego, żółtego jak cytryna czoła, i w kaftanie także podług gustu Belci z taniej wemy o bufiastych rękawach

z kołnierzem *à la Medicis*. I taka wydaje się biedna w tym stojącym kołnierzu *à la Medicis*, zaledwie wlokąca za sobą nogi spuchnięte, z przygasłemi oczyma, w których żyje jeszcze jedna wielka troska:

— A co ona zrobi po mojej śmierci?

— Widzi mamcia, to Babińskie — wskazuje jej Belcia jakieś panny, chichoczące wśród roju młodzieży.

— Babińskie? A! Patrzenie! Znałam matkę ich doskonale. Byłyśmy razem na pensyi u pani Conradi.

— Nie, mamciu. To była nie matka ich, lecz babka — prostowała Belcia omyłkę Kuczyńskiej, która o ile nie przekreślała teraz nazwisk, to w najlepszym razie myliła się wiecznie o jedną generację. W rzeczywistości to nie ona, lecz Belcia przyjaźniła się i na balach tańczyła z niewiele od niej starszą panią Babińską, której córki teraz od razu, jak grzyby po deszczu, wyrosły. Kuczyńska, choć ciekawa, nie zapytuje córki co się z nią stało.

Jest pewna, że jej koleżanka z pensyi już nie żyje i że Belci przykrość sprawi odpowiedź ze względu na matkę i na nią samą, bo wiedziała, że córka drży na samą myśl o śmierci matki, choć myśl ta — czuły to doskonale — wisi pomiędzy niemi i zapełnia sobą każdą chwilę ciężkiego milczenia.

Zresztą Kuczyńska ukrywa przed córką wszystkie swoje stare pasye, jedyne, jakie ją zajmują, naprzykład odczytywanie na rogach ulic klepsydr i nekrologów w *Kuryerach* z bacznem zwracaniem uwagi na liczbę lat każdego nieboszczyka. Stara czuła, że z każdym umierającym z jej pokolenia kończy się i jej życie. Bel-

cia czuła, że z każdym umierającym starym znajomym, który ją nosił na rękach i pamiętał dzieckiem, kończy się jej młodość.

Belcia spotkała dziś jeszcze kilka swoich byłych uczenic, którym niedawno mówiła „ty“ i które całowały ją po rękach, a dziś w modnych sukniach i fryzurach, jak ona — są dorosłymi pannami. I ów uśmiech, który miała w chwili wyjścia z domu, powoli znika. Dochodzi do przekonania, że domowe lustro kłamie, że uśmiech dumy i zadowolenia matki nie ma żadnego znaczenia i że ona tylko dla matki będzie niezmienioną, małą, piękną Belcią. Jednocześnie z temi myślami ogarnęło ją niewypowiedziane przykre uczucie samotności, jakie nam dokucza niekiedy wśród obojętności tłumów, i naraz zaczyna tęsknić za domem i za poczuciem, wyrozumiałem lustrem własnym, w którym jesteśmy zawsze młodzi i piękni, za jedynem dla niej na świecie sam na sam z matką, istotą, która ją kocha, która nią żyje.

— Mamciu, tu nudy straszne! Na co się niepotrzebnie męczyć i włóczyć bez celu? Chodźmy do domu. Tam nam będzie najlepiej.

— Jak chcesz, moje dziecko. Dla mnie starej dom zapewne najprzyjemniejszy, ale Belcia młoda, powinna się ludziom pokazywać — mówiła, czepiając się ostatniej nadziei, że może ktoś jej córkę na spacerze spotka, zakocha się i zaślubi — na dom zawsze znajdziesz czas w moim wieku. Wydałyśmy już cztery złote. Cóż zrobimy z resztą niedzieli?

— Nie, nie!—upiera się Belcia—dla mnie najlepiej w domu z tobą...

— Dobrze, moje dziecko, ale...

I urwała myśl, która prześladowuje ją ustawicznie: „Ja wiecznie żyć nie będę...”

— Teraz łatwiej będzie dostać miejsce w tramwaju — przerywa Belcia. — Zresztą nie wydałyśmy nic na kawę; jeżeli nie znajdziemy miejsc, możemy zafundować sobie przy święcie dorożkę.

— Ach! Belcia stała się teraz taką zbytnią—strofowała ją matka.

Belcia ze swywołą rozpieszczonego dziecka zawiadamia matkę, że kupi jeszcze do herbaty ciastek i owoców.

— Marysi w domu nie będzie. Pozwoliłyśmy jej przecież wyjść w przekonaniu, że powrócimy późnym wieczorem.

— Nic nie szkodzi—upierała się Belcia—wyprawimy sobie dziś bal. Sama nastawię samowar, zapalę lampę.

— Ach! bardzo zgrabna jest Belcia do tego!—prekomarzała się z nią poczciwie stara.

Gdy wreszcie wyszły ze wstrętnej dla nich Doliny, uczuły, że kamień spadł im z piersi, tak były uradowane samą myślą rozgoszczenia się u siebie w domu.

Lecz tramwaje sunęły przepelnione jeden za drugim, brzęcząc uporczywie dzwonkami wśród szeregów powozów i dorożek, a choćby gdzie miejsce się znalazło, któryby tam zatrzymał się na skinienie parasolek dwóch samotnych wśród tego mrowiska kobiet! A dorożek na zawołanie w Alejach nie było. Coraz więcej



znużone, znudzone samotnością w tych tłumach obojętnych, wśród obcych twarzy, z przygniatającym smutkiem, jaki ogarnia zawiedzionych ludzi pracy w dzień niewesoło spędzonego święta, oczekiwanego przez cały tydzień z upragnieniem, szły z trudem w kurzu i spiekocie letniego wieczoru, przeciskając się przez tłumy, zalewające chodniki Alei, przy przeraźliwym, rozpaczliwym klekotaniu dzwonek tramwajów, które co chwila stawały w długim szeregu, nie mogąc się ruszyć w natłoku, pomimo nawoływań stangretów i złorzezeń dorożkarzy.

A dokoła całe Aleje wrą życiem tysięcy ludzi, chcących gwałtem zabić w sobie przy niedzieli troski na cały tydzień. Należy im się przecież to choć raz w święto, jak nałogowym pijakom, którzy nie żałują przecież pieniędzy za chwilę zapomnienia. Lecz chodnikiem suną pieszą jedynie ci, którzy nie mając pieniędzy ani na teatr, ani na dorożki, ani dwóch złotych na Dolinę, ani po dziesiątce choćby dla każdego z członków rodziny na cukiernię; mają jedynie ubranie odświętne, niezbyt wytarte: mężczyźni jakie takie żakiety i cylindry, kobiety świeżo przerobione kapelusze, jakie takie woalki i rękawiczki i świeżo uszyte dla dzieci sukienki, na których znać jeszcze ostatnie nitki wczorajszej późnej roboty. To im wystarcza, aby zmanifestować światu: I my żyjemy i my tu jesteśmy. Spacerujemy dla świeżego powietrza w Alejach, jak wielu bogaczy, którym się nie chce iść do Doliny lub do teatru. Mamy piękne ubranie i nie widzimy potrzeby chodzić na spacer, jak hołota, do parku praskiego albo za rogatki! Nie chodzimy w Aleje często. Nie zawsze mamy

humor do zabawy. Ale wczoraj krawiec przyszył mężowi do tużurka nowy aksamitny kołnierz zamiast wytartego. Ja przeniecowałam sobie suknię, która wygląda teraz jak z igły, Jasiowi sprawiłam lakierowane buciki i kapelusz marynarski, a Jadzia ma przerobiony z mojego paltocik. Dzieciakom tak ładnie w tem, że wszyscy się za nami oglądają.

— Pani Kuczyńska! Belcia!—usłyszały za sobą głosy.—Niech panie z nami siadają. Są tu akurat dwa wolne miejsca na ławce!

To Mania, siostra Mundzia, że swoim mężem Wackiem Kamińskim, który urzeczywistnił nareszcie swoje wieczne marzenia ożenienia się i, dostawszy kosza od bardzo wielu panien (między innymi od Belci), uszczęśliwił wreszcie przed kilku laty Manię. Przyszli dziś w Aleje już z dwojgiem dzieci, których pilnuje czternaścieletni straszny koczokodan za dwa ruble na kwartał, umyty dziś i przystrojony przez panią domu w jej stare suknie, aby sprawiał wrażenie służącej z przyzwoitego domu...

Wacek Kamiński jest teraz łysy i nosi żółtą brodę, bardzo nieporządnie utrzymana; zresztą mało się zmienił: ma, jak dawniej, piegi, brzydkie zęby, brudne ręce z czarnymi paznociami, pomiętą koszulę, niedbale włożone wytarte ubranie, szczególnie krawat, źle przypięty, jedzie mu pod brodę. Kamiński jest dependentem u adwokata, zarabia miesięcznie 40 rubli. Mieszkają u pani Orłowskiej wraz z dziećmi i starą Kamińską, która z powodu podeszłego wieku, nie może już wycierać kątów, jako gospodyni po obcych domach, Kamiń-

ski, jako dobry zawsze syn, wziął ją do siebie. Biednej Mani bardzo ciężko u matki, zrujnowanej do szczytu przez Mundzia, utrzymującej się z pensyi 1,200 rubli, którą fabryka obowiązała się przez wdzięczność dla nieboszczyka płacić rocznie wdowie aż do jej śmierci; matka oddaje córce część pensyi, zostawiając sobie kilkanaście rubli miesięcznie na perfumy, czekoladki i tanie koronki. Ale pani Orłowska jest bardzo grymasna, wymagająca i wymawia córce, znudzona całodziennem leżeniem na kanapie i czytaniem romansów, jej zamążpójście, na które ostatecznie sama przystała, i narzeka na mieszkanie, na wnuków źle ubranych i niegrzecznych, na całą nędzę ich życia.

Mania musi sama gotować, i sprzątać, i dzieci niańczyć, i ubierać, i grymasów matki i teściowej słuchać, i łamać sobie głowę nad każdym groszem, za który trzeba i obiad ugotować, i nieraz po doktora posłać, i trzewiki dla dzieci kupić, i komorne zapłacić. Zajęta jedynie dniem dzisiejszym, nie myśli, naturalnie, co będzie, jak matka umrze a fabryka 100 rubli miesięcznie przestanie wypłacać. Zbiedzona kłopotami i chorobami, zestarzała się, niemodnie ubrana, nie zwraca się z rozmową do Belci, choć starszej od niej, lecz zawsze strojnej i pięknej panienki, która nie zna, co to jest życie, lecz do starej Kuczyńskiej, której opowiada o drożyźnie na targu za Żelazną Bramą, o kłopotach ze służącą i o chorobach dzieci. Wie doskonale, że to wszystko nie obeszłoby Belci, żyjącej, jak wszystkie panny, o sto mil od tego wszystkiego, ponad ziemią.

Kamiński, jako człowiek więcej należący teraz do

towarzystwa niż jego zmarnowana żona, uważa za swój obowiązek bawić Belcię. Każę Jasiowi mówić wierszyki, które ten recytuje jednym tchem, szepleniąc tak że nie można zrozumieć ani słowa. A siostra jego Zosia z palcem w buzi, opierając się bez ceremonii o kolana Belci, wpatruje jej się bezmyślnie w oczy.

Dzieci są nieładne; mają krzywe nogi i wierzchnie wargi zaczerwienione od forsownego wycierania nosa przez matkę i niańkę; i niezgrabnie wyglądają w tanich niegustownych i niemodnych sukienkach. I Belcia odczuwa wstręt na samo zetknięcie się z temi brzydkimi dziećmi; obawia się przytem, że Zosia zawala jej suknię, nie odsuwa jej jednak z obawy, że mała przewróci się i głowę sobie rozbije, więc zmusza się gwałtem do uśmiechu, słuchając wierszyków Jasia. Zresztą nie ciekawa ich wcale, myśli o czemś zupełnie innem. Dochodzi do jej uszu rozmowa Mani z matką. Panie mówią teraz ze względu na Belcię trochę ciszej; i Belcia wie doskonale, że mówią o Latoszkiewiczach. Ot, jak zwykle kobiety starsze: na deser po kłopotach kierują rozmowę na plotki. Nie będą przecież mówiły jak panienki o teatrze i literaturze. Mania żyła z Latoszkiewiczami w wielkiej przyjaźni, lecz w chwili, gdy zamieniła z narzeczonym pierścioneł, Latoszkiewiczowa i jej córki zapalały ku niej nagłą nieukrywaną nienawiścią; zaczęły się tysiączne plotki, komeraże, wojna i ostateczne zerwanie stosunków. Zdaje się, że Latoszkiewiczówna była jedyną panną, której nie chciał nawet Kamiński. Bywał tam przez pewien czas; i nagle ni stąd, ni zowąd przysłała mu do głowy myśl ożenienia się z Manią.

Może liczył, że Mundzio nie wszystkie jeszcze pieniądze puścił, a w każdym razie emerytura Orłowskiej była pewniejszą od corocznie zmniejszającej się klienteli pańien Latoszkiewiczówien, pomijając już, że Mania, choć brzydka, była co najmniej o lat dziesięć młodsza od tamtych. Mógł być dumny, tak strasznie biednej Mani zazdrościły tego szczęścia jej rywalki.

— Moja pani—terkocze Mania tonem starej kumoszki—stara Latoszkiewiczowa jaka jest, taka jest, ale czyż córki powinny wymawiać matce, że za mało pamiętała o ich przyszłości i że to ona powinna była myśleć o ich zamażpójściu?

— Moja pani—dorzuca Kuczyńska — wszak twierdzą, że nikogo nie chciały i tego niby odrzucały i owego...

— Aha! Odrzucały tych wszystkich, którym się ani śniło starać się...

Belcię oczywiście nie to nie obchodzi, ale ubodło ją, dlaczego Mania uważa za właściwe wymawiać nazwisko Latoszkiewiczów tak cicho, aby nie doszło do uszu Belci. Ci ludzie nigdy nie pojmą, że młody jakiś urzędniczek Latoszkiewicz, syn starej Latoszkiewiczowej, z małą pensyjką, kwalifikujący się tylko na męża od biedy, nie ma nic wspólnego z tym jej wyśnionym, a tembardziej teraz, kiedy przestał być rzeczywistością, a stał się niemającym się nigdy spełnić marzeniem! Było jej zawsze przykro, gdy Ajaks lub Kazia odzywali się o Franku z uśmiechem, jak o zwykłym śmiertelniku. Więc i teraz gniewa ją Mania ze swojemi tajemnicami i z tą głupią delikatnością, która każe mówić cicho, aby

jej nie urazić. Wogóle chybiona ze swemi niespełnionemi marzeniami — uczuwa zawsze coś nakształt wstydu wobec Mani, oddzielonej od niej wielkimi tajemnicami życia. Wiecznie zdawało jej się, że Mania chce jej imponować swoim macierzyństwem, powagą mężatki i dlatego unika z nią rozmowy na seryo; a jeżeli się do niej zwraca — to jedynie w zdawkowych kwestiach o literaturze, lub o modach. A w rzeczywistości biedna Mania, jeśli nie śmie zwrócić się do tej strojnej zawsze i pięknej, choć starszej od niej panny na wydaniu — to nie przez dumę. (Gdzież jej tamduma w głowie). Lecz poniżona, sterana dziećmi, chorobami, których nie zna Belcia, zahukana biedą — to ona wstydzi się tych wszystkich łatanych skarpetek brzydkiego męża, pranych pieluszek, rąk czerwonych, piersi wyschniętych, wobec tej nieskalanej królowny, która wegetuje nie-  
tknięta nędzą życia.

Kobiety odetchnęły dopiero, gdy znalazły się w czterech ścianach swojego mieszkanka i kiedy schowały do szafy piękne suknie odświętne. Ach! ten gorset i ten specjalny grymas ust, bez którego żadna Warszawianka nie pokaże się światu, jak to męczy! Teraz Belcia w domu jest zupełnie inna. Nie spotka już tu owych mężatek, które jej imponują tem, że żyją życiem normalnem. Jest nawet przekonana, że wygląda teraz dobrze, i to także przyczynia się trochę do jej dobrego humoru. W Dolinie zdawało jej się, że na obojętnych twarzach panien na wydaniu, późniejszej edycyi, wyczytuje wyrok:

— Patrzcie! Belcia Kuczyńska! zaczyna już starzeć.

— Cóż chcecie? już czas!

I stara, zdjąwszy ze zmęczonych nóg trzewiki i schowawszy do szafy stylowy kaftan z kołnierzem *à la Medicis*, w który ją córka stroi, aby w Dolinie dystygowanie wyglądała, ma teraz zupełnie inną minę, drepcząc po pokoju w pantoflach i w starym szlafroku.

— Ach!—woła Belcia — czuję, że będzie nam dziś doskonale w domu.

— Moje dziecko — gładzi ją po włosach z uśmiechem stara—tyś młoda, musisz się czasami światu pokazać. Ale zresztą rzecz znana, że w domu najlepiej.

— Nie chcę świata, nie chcę nikogo. Mam na świecie tylko ciebie — całuje ją z całych sił — tylko w tym pokoju, tylko z tobą jest mi dobrze.

Stara odchodzi na chwilę, aby ukryć westchnienie, i powraca z komedią pocziwego gderania:

— A gdzie samowar? a gdzie resztki obiadu? Obiecywała Belcia sama to wszystko przyrzadzić, a teraz stara matka ma o wszystkim myśleć?

— Stara matka—udaje trzpiota Belcia — niech zasiądzie z założonemi rękoma na kanapie. Zaraz będzie wszystko.

— Aha! czekaj tatka latka!

— Stara matka jest niecierpliwska — śmieje się Belcia.

— Tylko niech Belcia nie będzie roztrzepana i nie stłucze czego w kredensie.

Belcia uczuwa pewną przyjemność na myśl, że może jeszcze uchodzić za roztrzepaną i że jest na świecie istota, dla której ona zawsze będzie małą Belcią. Stara,

wiedząc o tem, gderze, przypisując jej ustawicznie różne wady, których Belcia nie ma. I powtarza wciąż: „O! jak już Belcia się do czego weźmie!“... „Belciu, proszę nie figlować; niech się Belcia raz ustatkuje“. Ślepy i głuchy poznałby się na tonie tych przestróg i na minie, z jaką są wypowiedane. Odczulby, ile bezgranicznej miłości macierzyńskiej się w tem mieści.

I w pustce swego życia Belcia rozkoszuje się tem jedynem dla niej źródłem miłości. Żyje tymi żarcikami, którychby ktoś trzeci nie zrozumiał, a nawet uważał za śmieszna i nienaturalną tę komedję naiwną, której nauczyła starą matkę miłość. Stara nie zawsze przybiera na siebie postać gderliwej staruszki. Odgaduje intuicyjnie różne stany duszy, w których bywa Belcia. Niekiedy czuje, że należy ją pieścić, tulić, tak, jak tuli matki małe dzieci. Wtedy Belcia, gładząc starą po włosach, mówi niby do swej małej córeczki:

— Ach ty, ty! nie wzięłaś dziś na miasto kaloszy; będę musiała w nocy wstawać i podawać wodę z cukrem od kaszlu. A szalik jaki brudny, aż wstyd! ładnie mamcia dziś na mieście wyglądała. A nic mi mamcia nie mówiła. O wszystkim muszę sama pamiętać. Byłabym dziś nowy kupiła.

Stara milczy, jak strofowane dziecko, i uśmiecha się, zwyczajnie, jak matka, która poza córką nie ma już żadnych osobistych upodobań, pragnień, ani ambicyi. Przestała już szczyścić się swoją świetną przeszłością: nie wspomina już ani o kucharzu Rochu, ani o czwórce, którą do kościoła jeździła, ani o zaszczytnych odwie-



dzinach hrabiego. Wie, że ta oddalona przeszłość Belci nie zajmuje.

Niekiedy przybierała postać matki surowej i gromi Belcię, jakby w roli zazdrosnego męża tyrana.

— Bardzo proszę Belcię, aby nie strzelała tak oczyma na ulicy, bo to nieprzyzwoicie; ja nie pozwolę nigdy na to.

— Jak mamcię kocham, to jest doskonale sobie! Kiedyż to ja na ulicy strzelam oczyma?—mówi Belcia, niby wzburzona, a w gruncie rzeczy ogromnie kontenta, ponieważ domyśla się, że w wiecznej swojej poczciwości i prawości charakteru była zawsze słabą kokietką, a i dziś nie ma pojęcia o flircie, bo gdy rozmawia, choćby z najobojętniejszym jej starym mężczyzną — miesza się; mówi w towarzystwie rzeczy ogromnie banalne, których sama później się wstydzi; a niewinny rumieniec, który doskonale czuje, kiedy z pod pudru na twarz jej wypływa, do reszty ją onieśmiela.

Za to gdy jest sam na sam z matką w domu, staje się wymowną, pogodną, nawet czasami po swojemu naiwnie wesołą. Belcia w poczeiwej swojej bierności pogodziła się z myślą, że ma życie złamane, ale trudno! Wszak na świecie żyją nawet ociemniali, którzy wiedzą o tem, że nigdy już słońca nie zobaczą. Rozpacz jest przeciwną naturze ludzkiej, łaknącej wiecznie szczęścia i pogody. Belcia zagłuszała w sobie zwój wieczny ból to śpiewką, którą nući, to pieszczotą, w której starą matkę tuli, to nową sukienką, to książką, którą się zachwyca, to pięknym dniem wiosennym. Tylko ludzi

nie lubi, a właściwie nie ich samych, ale ich towarzystwa.

— Ach! mamciu, mamciu—mawia—dobrze mi tylko z tobą, nie chcę więcej nikogo.

Stara ukradkiem wzdycha. Lecz teraz wyczytawszy córce z oczu, iż znów jest w dobrym humorze, drepce koło niej uszczęśliwiona. I w maleńkiej ich jadalni znów tak wesoło, tak jasno, przy wiszącej lampie, samowarze, który syczy na stole i tykotaniu starego zegara na komodzie. Zdają się w tej chwili nie pragnąć niczego, cały swój światek mają w tych czterech swoich kątach. Z wielkiego świata, przerażającego miękkie dusze tych dwóch samotnych kobiet swoim ogromem i okrutną obojętnością, mają dość skrawka ciemnego nieba i gwiazd srebrzystych, które przez szyby okien do nich zaglądnęły. Dopiero w ciemnej nocy, kiedy się rozstały, już w łóżku, do mózgu starej puka codzienna zmora:

— A co ona zrobi samiuteńka na świecie, kiedy mnie nie będzie?

Następnej niedzieli Belcia spotkała, powracając przez ogród Saski z kościoła, żonę młodszego Ajaksa Pawełka, której letnie wyjazdy do wód się sprzykrzyły. Pani Pawełkowa spędza teraz wiosnę jedynie w Nizy, a do morza wyjeżdża późną jesienią. Zaprosiła Belcię na herbatę. Stara ogromnie się tą wiadomością ucieszyła, bo stosunki zawsze mogą się przydać. Niestety jest nie mieć tak, jak one, nikogo, na kim możnaby się oprzeć, rady zasięgnąć. Zaczęła już roić wielkie swoje nadzieje, a może Bóg zesłał tych ludzi, którzy pokocha-

ją Belcię jak córkę i zaopiekują się nią, jak jej za-  
braknie:

— Idź, moje dziecko—rzekła zadowolona, że i ona bez córki raz w święto odetchnie swobodniej, bez spacerów, bez modnych sukien i dreptania w ścisku i kurzu. W szlafroku, w okularach na nosie dobrze sobie wypocznie w starym wygodnym fotelu, spragniona samotności i milczenia, owego półżycia, w jakie pogrążają się starzy, których kusi w swoje objęcia śmierć obiecankami wiecznej ciszy, zapomnienia i wypoczynku.

Belcia siedziała w pięknym buduarze pani Ajaksowej. Zdala na bujającym krześle, przypatrując się jej pocziwie, siedział, połączony z nią dziecięcemi wspomnieniami, Pawełek, zahukany ciężką pracą i troską zarobienia około 20,000 rubli na rok, które na utrzymanie domu żonie zaledwie wystarczają. Bo Pawełek jest panem nielada, prowadzi dom, zrobił karierę! Okazał wielki spryt do przedsiębiorstw: założył skład nasion, potem jakąś fabrykę narzędzi rolniczych. Ten mały Pawełek, który wyrwany do lekcyi, nie umiał nigdy powtórzyć tego, co mu brat podpowiadał, za co stale bury od starszego brata otrzymywał, teraz wydaje 20,000 rb. i prosi państwa, jest członkiem resursy, bywa na posiedzeniach! On, któremu ongi tak wiecznie imponował sprytem w szkołach Ajaks starszy, chodzący teraz—jak to mówię—prawie bez butów.

Pawełek w gruncie rzeczy i teraz szczyci się swoim bratem, który pisze w dziennikach i żyje za pan brat ze wszystkimi warszawskimi sławami. Chętnie opowiada o nim, przytacza jego zdania i dykteryjki. Lecz

woli o nim opowiadać, niż widzieć w towarzystwie swoich towarzyszków z resursy. Bo wiecznie uczuwa wtedy obawę, aby brat czasem nie wyrwał się z czemś, coby mu mogło zaszkodzić w opinii ludzi statecznych. Na przykład owo chwalenie się niepłaceniem komornego, owo oszukiwanie lichwiarzy, nie jest w dobrym guście. Ajaks starszy kocha zawsze jednakowo swego Pawełka i lubi opowiadać w knajpce o tym bracie, który swemu dyrektorowi fabryki płaci 4,000 rubli pensyi, za lokal 2,000 rubli, lokajowi miesięcznie 40 rubli. Lecz pokazywać Pawełka kolegom nie lubił także, z obawy, aby nie mówiono, iż brat chce imponować z opowiadaniem o pokorze, o sprowadzaniu z zagranicy wina, cygar, koniaku, i aby według mody obowiązującej resursy, nie pogardzał zbyt jawnie w ich obecności wszystkim, co warszawskie.

— Tak, tak, panno Belciu — mówił Pawełek, wpatrzony w jedwabny abażur lampy w buduarze żony — czas szybko leci. Pamięta pani, jakieście mnie zawsze prześladowali pannami Kozłowskiemi? a te nasze spacerki do Łazienek? dobre to były czasy, co? Później przestałem się z wami widywać, bo zacząłem konkurować o rączkę tej dobrodziejki.

I oto Pawełek, któremu nie pozwalają na bawienie się we wspomnienia zajęcia i kłopoty z fabryką, a w wolnych chwilach — posiedzenia i komitety, wskrzesza taraz na widok starej swojej znajomej dawne czasy.

Szmat czasu staje mu przed oczyma. Porzucił pannę Kozłowską, w której się durzył, ponieważ zaczął mu jeszcze bardziej imponować dom państwa Szymań-

skich, prowadzony na wielką skalę, z dwiema jednakowymi panienkami, w jednakowych jasnych, modnych sukienkach od Hersego, z powabem młodości i silniejszym jeszcze urokiem dystynkeyi wybrylantowanej mamy z obfitym gorsem, podniesionym gorsetem, ze sładami pudru na otyłej twarzy. Mama strzegła córeczki z wielką pompą w łoży, na balach i w powozie.

Ach! te wielkie miny tej bogatej mamy stawiającej przeszkody, traktującej młodzież wyniosłe, bez podania ręki, zdającej się mówić każdemu: „Jakże mogła panu nawet przyjść do głowy myśl podobnie śmiała? Moje córki już innych, niż wy, odrzucały“. Pamięta jak dziś i ten dom z salonem, z bawialnią i buduaem, i dwóch lokajów podających do stołu i Angielkę z wielkimi żółtymi zębami, w binoklach, i *jour fix*'y z pysznie udekorowanymi stołami, i swobodę, z którą przyjmowano gości, i obycie światowe córeczek i mnóstwo innych szczegółów.

Nie mówiąc już o majątku, co za szczęście nazywać ich rodzicami, być tu jak u siebie, przychodzić w niedzielę na obiad i mieć u boku swego przez całe życie taką wytworną królową. Pokochał młodszą. Po wielkich ceregielach rodzice zgodzili się oddać mu córkę, lecz starszą, choć i to naturalnie będzie zależało od panny, o którą trzech konkuruje bogaczów pięknych i młodych. Panów tych rzeczywiście spotykał bardzo często i znienawidził tych swoich rywali, choć oni nie domyślali się tego z prostej przyczyny, że ani śniło im się konkurować o pannę, a bywali zaś jedynie dla zabawy. Wreszcie zwyciężył rywali, zwalczył wszystkie prze-

szkody, był szczęśliwy, kochał narzeczoną. Była tak podobną do młodszej siostry!... W posagu żona mu wniosła bardzo piękną wyprawę i 10,000 rubli, z których większą połowę wydał na prezenty ślubne i na urządzenie. Wkrótce potem państwo Szymańscy wydali za mąż drugą córkę za obywatela ziemskiego z Kujawskiego. Majątek jeden z piękniejszych w powiecie: pałac, park, konie, a co za koligacye! Jakie towarzystwo zjechało się na wesele. Lecz po ślubie okazało się, że na majątku ciężą wielkie długi i 30,000 rubli danych w posagu (nie śmiano mu dać 10,000 rubli tak jak Pawełkowi) ugrzeźły jak w błocie. Gdybyż jeszcze był pospłacał najpilniejsze długi! Lecz pan z Kujaw na interesach się nie znał i posag żony poszedł na marne. Teraz nie było rady. Aby nie dopuścić do skandalu, do licytacyi i ostatecznej ruiny, trzeba było 50 tysięcy jeszcze poświęcić. Starzy, którzy i tak prowadzili dom nad stan, byli już teraz zrujnowani. A i córce wciąż dalej musieli pomagać, bo bieda na wsi aż piszczała, dystyngowany zięć wydawał wiele na cygara, polowania, wina, sprowadzane beczkami. Starzy sprzedali konie, przenieśli się do mniejszego mieszkania. O gościach nie było już mowy. Stara bez modnych sukien, bez lokaja, przyjeżdżająca jednokonną dorożką lub tramwajem, straciła na dystynkcyi; niczem nie różniła się teraz od starej Janowskiej i Kuczyńskiej. A pani Pawełkowa wiecznie czyniła jej wyrzuty, że kocha więcej młodszą córkę, niż ją, a z siostrą zupełnie zerwała, bo jej się przywidziało, że siostra ma „fummy“.

Wogóle pani Ajaksowa II miała, nie wiadomo dlacze-

go, żal do całego świata, choć w życiu szła po różach. Jako panna w zamożnym domu chowana pod kloszem, nie znając co troska, co myśl o jutrze, jeździła na bale, do teatru, otoczona rojem kłaniającej się nisko i mile uśmiechającej się młodzieży, oczekując tej zmiany jedynie, że kiedyś, zamiast z rodzicami, jeździć będzie z mężem, który naturalnie znajdzie się, boć starych panien z posagami na świecie prawie niema. I zjawił się rzeczywiście mąż, który ożenił się z nią wprawdzie dla posagu, lecz nie dostawszy go siedział pod pantoflem, wydając z 20 tysięcy ciężko zapracowanych, za ledwo pięćset na swoje ubranie i cygara, a resztę na toalety, mieszkanie, służbę i wyjazd do wód. Żonę miał brzydka, zwiędła, żółta, chuda. W domu nazywało się, że jest nerwową, w istocie zaś była po prostu złą jak osa. Złościła się i kipiała gniewem na wszystkich: na rodziców, na siostrę, na dzieci, na służbę, nie mówiąc już o mężu, który po prostu bał się jej jak ognia i, mówiąc z nią, liczył słówka, aby jej tylko nie urazić, aby nie wybuchła i aby w domu piekła nie robiła, którego wstydził się przed służbą, przed guwernantką i dziećmi. Pomimo jednak wystrzegania się, bardzo często po jego przyjściu podczas obiadu, do którego biegł z biura znudzony ciężką walką o grosz, wybuchały sceny. Z łada jakiej przyczyny pani zrywała się od stołu i biegła do swego buduaru, gdzie zamykała się na cztery spusty. Reszta obiadujących pozostawała z głupimi minami przy stole. Dzieciom mówiono wówczas: „Mama jest chora. Mamcia ma zmartwienia, o których dzieci wiedzieć nie mogą“ <http://www.cej.org.pl> Dopiero po wielkich ceregielach

i przeprosinach pani na jakiś czas „po ataku“ uspoka-  
jała się, ale sceny powtarzały się niebawem. A kiedy  
na zimę do Nizy, a na jesień do Biarritz zabierała mu-  
dzieci z guwernantką, zawieszala cały dom pokrowca-  
mi, droższe zaś sprzęty chowała w pustych pokojach,  
Pawełek tęsknił za żoną znudzony pustką w domu,  
przyzwyczajony już do tej taczki, w którą się zaprzął,  
do piekła z żoną, której nigdy nie kochał, a bez której  
teraz obejść się nie mógł.

Belcia stanowczo nie miała szczęścia. Humor pani  
domu jeszcze gorszy był tej niedzieli, niż zwykle. Pa-  
wełek uprzejmie starał się złagodzić oschłość gospody-  
ni domu; jego uprzejmość jednak nietylko nie ratowała  
sytuacji, lecz potęgowała grymasy pani.

— Ślicznie pani wygląda, panno Belo — mówił  
pocziwym tonem starego znajomego, bez chęci prawie-  
nia komplementów.—Taka pani teraz ładna, jak nigdy.  
Słowo daję.

— Nie sztuka ładnie wyglądać, gdy się jest panną  
i nie było się tak, jak ja, trzy razy jedną nogą na tam-  
tym świecie — wycodziła pani Pawełkowa, nie mogąc  
nigdy zapomnieć cierpień macierzyństwa, których nie  
pamiętają matki, kochające prawdziwie dzieci. — Czyś  
nie zauważył, jak Belcia się teraz stroi? — rzekła ze  
złym błyskiem w oczach, przypatrując się z zawiścią  
używanej od wielkiego święta wełnianej popielatej su-  
kience, choć posiadała całą szafę ze sprawionymi  
w pierwszych magazynach za granicą modelami osta-  
tnich mód, kupowanymi z pasją kobiety brzydkiej, któ-  
ra marnuje pieniądze jedynie na złość innym kobie-



tom. — Wierz mi, moja droga — mówiła dalej — takie zbytki mogą tylko odstręczać konkurentów od panny, nie mającej posagu. Twoja matka, pamiętam to jeszcze z pensyi, zawsze cię psuła; robiłaś z nią wszystko, coś chciała, tem bardziej zapewne teraz, kiedy jest chora, stara. Otóż ona ci nie może powiedzieć tego, co ja, bo ostatecznie za kogo ty bez posagu możesz wyjść za mąż? Za małego urzędniczka, jakich mój mąż ma wielu w swoim biurze, żyjącego z małej pensyjki. To też te twoje wszystkie lakierowane pantofelki, wiecznie świeże rękawiczki, modne woalki, mogą tylko odstraszyć od ciebie; boć nie mogą oni wiedzieć, że pozwalasz sobie na te fatalaszki kosztem wieszki albo obiadu. Czyż ten człowiek, ciężko pracujący na kawałek chleba, będzie umiał pozbawić się wszystkiego dla twoich zbytków?

Wezbrana żółć płynęła potokiem, słowa złe rozdziły się w jej głowie bez żadnego wysiłku.

Belcia dziesięć lat temu rozplakałaby się z pewnością; teraz przyzwyczajona już do cierpień, pokryła rumieniec uśmiechem i odcięła się żartem:

— Moja droga, nie masz powodu litować się nad moim przysłym mężem, bo go nigdy nie będzie. Nie stanie się więc żadna krzywda ani twojemu małemu urzędnikowi, ani wogóle żadnemu.

Pani Pawłowa zacięła usta, gotowa wybuchnąć za lada powodem. Belcia, aby zmienić rozmowę — pytała Pawelka, czy ma wiele zajęcia w fabryce. A on, przejęty wiecznie jedyną myślą o grosze na potrzeby domowe, przemieniony w wołu roboczego, zaczął szeroko

rozprawiać o twoich zamiarach rozszerzenia fabryki, o konkurencyi, o obstalunkach, o oficyalistach, o robotnikach, o swoich 12-tu godzinach dziennej pracy i o nocach, w których nie sypia.

— Dwanaście godzin pracy! — dziwiła się Belcia — to bardzo wiele! Ja marna nauczycielka nie zdobyłabym się na to. Jak pan może codziennie tyle pracować?

— Moja droga, przecież nie mój mąż jeden ma fabrykę? Ma tyle zajęcia, co i inni. Każdy mężczyzna jest od tego, aby pracował. Kiedy się chciało mieć żonę i dzieci, to trzeba myśleć o nich. Najlepiej się było nie żenić; to też ja, jeśli dożyję tego czasu, będę stawiała jak największe przeszkody małżeństwu mego syna.

— A z córkami co zrobisz? — pytała Belcia.

— A cóż? — odpowiedział Pawełek z uśmiechem, który mu na samą myśl o dzieciach twarz opromieniał — dla córek trzeba będzie zbierać duże posagi.

— Dzieci nie warte są tego, aby sobie dla nich od ust odejmowano — rzekła, buntując się w swoim egoizmie na samą myśl robienia kosztem własnych wygod oszczędności. — Zresztą dużo wody do tego czasu upływie; nie myślę nigdy o tem, czego i tak nie doczekam.

Straszyła męża, jak zwykle, swojemi urojonemi chorobami i grozą śmierci, mającej ją spotkać z przyczyny owych trzech chorób, które przeszła, i wskutek złamanego życia z powodów, których nie wspomina, niby przez delikatność a w istocie sama nie wie, jakie są te „powody“.

Belcia znowu usiłuje zmienić temat rozmowy zapytaniem o starszego Ajaksa, gdzie się teraz obraca, jak

ma się powodzi, czy często u nich bywa, czy się nie żeni?

Pani pośpiesza z odpowiedzią na wszystkie pytania. Brata męża, jednego z owych nierozdzielnych kiedyś Ajaksów, pani bratowa całem sercem nianawidzi, dlatego też sądzi go bardzo trzeźwo:

— To wykolejony, zmarnowany cygan: literatami są Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa. Tych się *à bras ouverts* przyjmuje, tymi rodzina może się szczycić. Ale wystawiać dramaty w ogródkach, pisać powieści od wiersza dla jakichś pisemek, których nikt nie czyta, powieści, które nawet w książkach nie wychodzą, bo nakładca się nie znajdzie, to wstyd dla człowieka z przyzwoitej rodziny! Kompromituje w ten sposób brata i cały nasz dom. Ta cała jego literatura, to jedynie wstręt do porządnej pracy. Bo pojmujesz, że mąż mój ma obowiązki i nie może utrzymywać człowieka zdrowego, który mógłby pracować porządnie, jak inni w biurze lub w fabryce, a którego lenistwo skazuje na wegetację na czwartem piętrze i na obcowanie w knajpkach jedynie z prowincjonalnymi aktorami i innymi hołyszami. Gdybyś słyszała jego zapatrywania na świat, na kobiety, na życie! Wszystko to obala i na swoją cygańską modłę zmienia. To jest człowiek niebezpieczny. Uważam jego towarzystwo dla ludzi normalnych za bardzo szkodliwe. Ja jedna ośmielam się mu mówić prawdę, za co, wiem, bardzo mnie nie lubi. Zaszczyca dom nasz rzadkiemi odwiedzinami. Co prawda, wolałabym, aby te odwiedziny były jeszcze rzadsze.

Przez cały czas tego prokuratorskiego oskarżenia,

Pawełek, przekonany już o słuszności wywodów żony, miał jednak uczucie, jak gdyby ktoś odwiązywał mu jątrzącą się ranę, a on bardzo blady wstrzymywał się z całych sił, aby ręki opatrującego nie odepchnąć; przy ostatnich jednak słowach żony uczuł jakby ostry lancet w ranie i syknął:

— Przepraszam. To jest mój brat! i mój dom będzie dla niego zawsze otwarty.

Wyraz „mój“ uraził jej złą dumę, a poniżona tem, że nie może mu zarzucić kłamstwa w definicyi, „to jest mój dom“—mówiła gniewnie:

— I ja ciebie przepraszam! tu nie chodzi o mnie, bo za moją krzywdę nikt się nie ujmie nigdy. Ale póki jeszcze żyję, nie pozwolę, aby nasze dzieci miały przed oczyma za wzór tego człowieka, którego jako stryja kazałabym im szanować, a który w nie nie wierzy, nie ma żadnych ideałów i wygłasza sentencye zabójcze dla młodzieńczych charakterów. Ja nie chcę mieć dzieci cyganami. Jeżeli mogłam poświęcić dla ciebie siostrę, z którą, jak wiesz, stosunki są na zawsze zerwane, to zdaje się, że ty możesz dla przyszłego szczęścia twoich dzieci poświęcić brata.

— Któż ci kazał zrywać z siostrą? Przecież nie ja? Jeżeli przestała w naszym domu bywać, to nie przeze mnie, bo kocham ją, jak własną siostrę, a ona mnie, jak brata. Tyś się z nią pokłóciła!

— Pokłóciła! dobrze! dobrze! Wiem, że ja jedynie jestem kłótniwa, a ty aniołem dobroci i szlachetności. Ale pozwolisz, że przez te lat kilka ja będę prowadziła dzieci w sposób właściwy, a po mojej śmierci wraz ze

swoim bratem będziecie kierowali niemi podług jego zapatrywań. Nie mówiłam ci przez delikatność, dlaczego zerwałam z moją rodziną—rozpoczęła znowu, chcąc go ukłuć wyznaniem, że siostra przez swoje zamążpójście uważa się za wyższą towarzysko od niej.

Tu Belcia, znów usiłując zmienić rozmowę, zapyta uje o dzieci. Bładość znika z czoła Pawełka, który wyraża gotowość sprowadzenia dzieciaków. Ale pani żona dziś tnie jak osa:

— Co za sens wybijać ze snu dzieci i zawracać im głowy wtedy, kiedy powinny kłaść się spać? Czy to Belcia mało ma dzieciaków na lekcjach?

— Nie, nie—upiera się Pawełek — wiem, że panna Belcia lubiła zawsze dzieci; pójdę po nie i jeżeli nie śpią, przyprowadzę je tu na chwilę z panną Stanisławą. Pani zna pannę Stanisławę Rieglównę?

— Rieglównę? Gra ślicznie na fortepianie. Nazywaliśmy ją zawsze konserwatystką, była zaręczona z doktorem Schmidtem.

— Ta sama.

— Mieszkała u pani Janowskiej; znamy się doskonale, nie wiedziałam, że jest teraz u państwa! dotychczas zajmowała się specjalnie fortepianem.

— Przekonała się, że nic z tej muzyki nie będzie — syknęła pani Pawłowa — i jest teraz u mnie za bonę. A ten biedny doktor Schmidt, którego poznałam na wsi u siostry, ma przez nią życie złamane. Marnuje się w romansie z jakąś meżatką, bo jest człowiekiem tak zacnym, że nie chce żenić się z przyzwoitą panną, ponieważ jest z tą, jak ty nazywasz, konserwatystką sło-

wem związany. Podobno pisuje do niej od czasu do czasu listy, ale trudno żądać od mężczyzny młodego jeszcze, przystojnego, ze stanowiskiem, aby dla roman-sów młodzieńczych żenił się ze starzejącą się boną do dzieci!

— Dajże pokój! — fuknął Pawełek — wchodzi już, może usłyszeć.

Do pokoju weszła z dziećmi eks-konserwatystka w ciemnej sukience, błada z wielkim, nieodstępnym, zrosniętym z nią smutkiem, wykradającym się z pod grzecznego i bardzo przyjemnego uśmiechu, którym się maskowała, z pozostałym jej jedynym wdziękiem wielkiej dobroci i wyrozumiałości dla wszystkich. Znać, że dzieciaki za nią przepadały.

Po chwili konserwatystka, Pawełek, Belcia i dzieci, rozbawione i ośmielone szczęściem, jakie dziś je spotkało, zapęłniły gwarem nudny dotychczas pusty ciemny salon, źle oświetlony jedyną lampą, zapaloną bez ceremonii dla nieznacznego gościa, jakim była Belcia.

Zrobiło się wesoło. Dzieciaki były rozkoszne, Pawełek ojcostwem swem uszczęśliwiony, a Belcia, jakby związana niemi sympatyi i wspólnych zawodów z rówieśnicą jeszcze biedniejszą od niej, bo niemającą matki panną Stanisławą. A oschła pani Pawłowa, ze swemi zaciśniętymi ustami, uczuła się naraz jakby odepchniętą od reszty towarzystwa, wyrzuconą poza wesołe kółko; stała jakby za murem, za sterczącą przeszkodą, na której wyczytywała dla siebie słowa: „Do zaba-

wy nie należysz, ciebie to zająć nie może, ponieważ nie masz serca“.

Nie masz serca!—odczytywała ten wyrok na siebie w oczach wszystkich, przeświadczona najgłębiej, że wyrok ten dyktowany przez złych ludzi (wszyscy ludzie są źli na świecie) jest najniesprawiedliwszy. I uczuwała łzy złości pod powieką. Przestraszona temi łzami, wpadała, uważając się za pokrzywdzoną, w gniew straszliwy, tem silniejszy, że tajony. Jakże nie rozpaczać, kiedy nikt nie może się na niej poznać, nikt; ani ten mąż egoista (o! szczególnież mąż!) ani te dzieci niewdzięczne w takich bólach rodzone, podobne do ojca, w którego się wdały, ani te panny zazdrosne o nią, pomimo dobroci, jaką je otacza, intrygujące, jak wszystkie guwernantki, kokietujące teraz męża komedią przywiązania do dzieci.

— A więc dobrze!—pomyślała w paroksyzmie złości, jedynej siły, jaką w swojej anemii rozporządzała.— Mówicie, że nie mam serca? Zrobię wam tę przyjemność i pokażę, że się mylicie.

— Panno Stanisławo! — rzekła głośno — dość tej zabawy! Bardzo być może, że nie mam serca, ale to nie zgadza się z moim systemem wychowania, aby z moich dzieci robiono sobie widowisko, jak z małych ucieśnionych.

W salonie po wybuchach radości zapanowała nagle cisza, którą przerwała panna Stanisława.

— No, dzieci, proszę się pięknie pożegnać i marsz do pokoju! spać!

Dzieci zaczęły się grzecznie żegnać, a pani Pawło-

wa uczuła się znowu nieszczęśliwą, że bomba nie sprawiła wrażenia. Popełniła omyłkę: za mało włożyła prochu, stąd porażka.

— Panno Stanisławo—zaczęła znowu — tak pani kochasz dzieci, a nie wiesz, że nim się sprowadzi do gości, należy je przedtem umyć. Brud na dzieciach jest widoczniejszy, niż na starszych, bo się nie pudrują.

— Przepraszam panią; dzieci są umyte—odpowiedziała nauczycielka, zaczerwieniona po białka oczu.

— Pani mówi, że tak, a ja mówię, że nie. Więc jedno z nas kłamie. Niech pani w swoim pokoju zastanowi się dobrze nad tem, czy ta odpowiedź była grzeczną.

Pawełek uważał za najwłaściwsze dać cichaczem nura z salonu. Panna Stanisława z dziećmi, nie żegnając się już nawet z Belcią, wymknęła się z pokoju, który znowu stał się ciemnym, ponurym, jak pobojo-wisko.

A pani Pawłowa jeszcze nie zadowolona z tryumfu, jeszcze jakby urażona tem, że jej wszyscy ustępują, nagle wybuchnęła płaczem:

— Gdybyś ty wiedziała—zwierzała się niby szczerze, choć w całym tem zwierzeniu nie było ani jednego słowa prawdy — jak mi tu wszystko zbrzydło! Gdyby nie dzieci, jednej chwili bym się nie wahała. Jadłabym suchy chleb, aby nie być u boku tego człowieka. Cóż mi z tego, że on mnie kocha, że obsypuje mnie zbytkami, kiedy ja wstręt do niego czuję; nie zapomnę nigdy moim rodzicom, że mnie zmusili do tego małżeństwa, choć ich na kolanach błagałam. Miałam trzech konkurentów — powtarzała swoją zwykłą



piosenkę, choć wiedziała, że ani jeden z nich jej nie chciał. — Mąż mój wie o nich najlepiej, bo był zagrożony pojedynkiem; mogłam być w życiu szczęśliwą, gdybym go na mojej drodze nie spotkała. Gdybyś ty wiedziała, co to za człowiek! przy ludziach gra wieczną komedię zahukanego baranka, a jest brutalem wybuchającym o lada głupstwo, katuje mi dzieci.

Znów rozplakała się na dźwięk tego wyrazu, choć była nieczułą na jego istotę.

— Ma kochanki! Niema jednej służącej, któraby nie była moją rywalką—mówiła, robiąc z męża jakiegoś Sinobrodego—teraz ta znowu! To było już silniejsze nad moje słabe zdrowie!

Rzuciła teraz oszczerstwa na biedną nauczycielkę. W istocie nie była bynajmniej zazdrosna o męża, którego nie kochała, bo nie kochała prócz siebie nikogo na świecie. Lecz zazdrościła pannie Stanisławie, w chorobliwej zawiści złej kobiety, każdej wełnianej sukni, każdej zręcznie zawiązanej wstążeczki u szyi, zazdrościła każdego uśmiechu, pogody, z jaką umiała zająć się dziećmi, lgnącemi do niej więcej, niż do rodzonej matki, zazdrościła jej każdej rozmowy z mężem. Dlatego wszystkiego nie cierpiała jej, dlatego pastwiła się nad nią dziś przy gościu, czego się teraz wstydziała.

— O kim mówisz?—pytała, marszcząc brwi Belcia, która pomimo naiwności odczuła zgrzyt fałszu w zwierzeniach pani Pawłowej, oburzona za posądzenie, rzu-

cone na kobietę, której życie różami się nie słało, na biedną guwernantkę.

— O nikim — odrzekła pani Pawłowa z goryczą, czując, że jej komedia zrobiła *fiasco* — przepraszam cię za mój wybuch. To nerwy! jestem najszczęśliwszą z kobiet, a mój mąż jest najlepszym mężem na świecie...

---

### XIII.

Belcia odetchnęła swobodnie dopiero u siebie w domu. Rzuciła się matce na szyję:

— Jest dwoje ludzi dobrych na świecie—żartowała.—Wiesz, mamciu, kto? Oto ty i ja. Jest jedno miejsce na świecie, gdzie jest przyjemnie: to nasze mieszkanie. I jedna na świecie pocziwa służąca—to nasza Kasia. Jest jeszcze poza tem nasz kanarek i ten kawałek nieba, który widać nad dachami z naszego okna; jest jeszcze to słońce, które tu świeci w naszym pokoju, no, i nasza lampa! Zresztą niema na świecie nic. A! jak tam niedobrze! Uf!—jak niedobrze!

— Tak, tak—strofowała ją stara — najlepiej niech się Belcia zamarynuje razem ze starą matką i każe drzwi mieszkania zamurować.

W kilka dni później Belcia gorączkowo rozrywała kopertę, na której poznała charakter pisma Kazi. List brzmiał krótko: „Leżę w szpitalu. Kompromitować Ciebie już nie będę, ponieważ godziny życia mego policzone. Chciałabym Cię jeszcze zobaczyć. Kazimiera“.

Tegoż dnia Belcia siedziała w pokoju szpitalnym o wysokich nagich ścianach, przy posłaniu Kazi, nad

którem czernił się Chrystus na wielkim krzyżu, w atmosferze przepełnionej zapachami lekarstw i karbolu. Tuż przy wazkiem żelaznem łóżku Kazi — tuliły się pod ciemnymi derkami do biednych z grubego płótna poduszek jeszcze dwie jakieś inne jęczące chore.

I Belci ścisnęło się serce na widok tej pięknej ongi jak królewna dziewczyny, wijącej się teraz w bólach żołądka, z wykrzywioną twarzą, ze zniszczoną przedwcześnie cerą, z wystającymi policzkami, ze spuchniętym językiem, z martwemi oczyma na wierzchu. I to otoczenie szpitalne i te dwie sąsiadki, których twarzy nie dostrzegła, nędzarki jęczące, i te stoliki czarne z lekarstwami!

— Moja biedna Kaziu! — szeptała, tuląc w uścisku jej ręce.

— Ładnie wyglądam, co? Zażyłam esencji octowej; dopiero dziś przełknęłam kilka kropel mleka i wody wapiennej. Język jeszcze, jak widzisz, spuchnięty i tu wszystko spalone i ból we wnętrzościach straszny... straszny i taki niepokój, taki jakiś przestach, jakbym zmysły miała postradać. A przecież nic już mi się stać więcej nie może. Przyjdzie śmierć. Przecież tego jedynie pragnęłam, bo nic mi więcej nie pozostało. Teraz bóle trochę ustały; zażyłam trochę palonej magnezyi. Wstrzyknięto mi też morfiny.

— Biedna Kaziu, do tego więc przyszło? — rzekła Belcia, ocierając chusteczką łzy, które jej z oczu płynęły.

— Nic mi więcej nie pozostało...

Siadła na łóżku, oplotła kolana rękami i mówiła,

jakby w stanie półświadomości, z oczyma utkwionemi błędnie w dal.

— Natura dała mi wszystkie zalety, lecz zdaje się, każdej z tych zalet było za mało, abym mogła niemi zapłacić za kął na ziemi. Byłam miła, ujmująca, lecz za mało, aby ktoś zdecydował się pojąć mię bez posagu za żonę. Miałam wykształcenie i talenty dyletanckie, które nie mogły mi dać najskromniejszego utrzymania, miałam piękność zbyt pospolitą widocznie, aby przywiązać do siebie kochanka. A może jakieś fatum na mnie ciążyło, jakaś kara za grzechy? Nigdzie dla mnie miejsca nie było. Człowiek, którego ubóstwiałam, rzucił mnie tak, jak wolno rzucać kwiat zerwany. W Nizzy za drugim powrotem poznałam jakiegoś młodego dorobkiewicza, fabrykanta, któremu pochlebiało, że odziedziczy mnie po księciu. Wahałam się, lecz był młody, przystojny, okazywał mi współczucie. Przysięgał, że mnie kocha. Ja samotna, wykolejona, zgodziłam się połączyć z nim moje życie, i do niego przywiązałam się jak do deski, rzuconej tonącemu wśród morza; a zawsze jeszcze w swojej bezmyślności przypuszczając, że mężczyzna, niezwiązany okowami małżeńskimi, może nie uciec od najwierniejszej kochanki, znosiłam jego grubiaństwa parweniusza i marność ordynarnej natury. Porzucił mnie. Poznałam potem małego urzędniczka, na którego dawniej nawet jako na pretendenta do mojej ręki nie byłabym spojrzała. Sprzedałam resztki kosztowności, zamieszkałam w jednym pokoju, gotowałam mu obiady, dawałam lekye francuskiego i muzyki jednej z takich pań, jaką ja byłam, nastawiałam sama sa-

mowar, Kochałam go. Po upływie pół roku rzucił mnie. Miałam już tych brudów zanadto, postanowiłam umrzeć. Prawda, zapomniałam! Ten biedny Ajaks jeszcze raz stawiał swoją kandydaturę i klęczał u moich kolan i płakał. Zdaje się, że febra i miłość czasami powracają. Powiedziałam mu: „Bardzo być może, że pan spotka mnie kiedyś wieczorem na jakim rogu ulicy, ale nawet wtedy pójdę z każdym, z panem nigdy“. Powiedziałam mu nie obwijając słów w bawełnę:

— Za późno! Nienawidzę cię. Czemuś się nie ożenił ze mną, kiedyś mnie kochał? Byłabym wyszła za ciebie, choć bez miłości, byłabym dobrą żoną. Czemuś się ze mną nie żenił? Nie chciałeś sobie zwichnąć kariery małżeństwem z miłości? Ha, ha! Ładnie wygląda ta karyera, którąś w życiu zrobił! Warto było poświęcać dla niej osobiste szczęście! Rzeczywiście!

— O! biedna Kaziu, biedna, biedna!

— O! ci mężczyźni, ci mężczyźni!—mówiła, dysząc nienawiścią kobiety, która czuje, że zbrzydła i że się już nie liczy.—O! ci mężczyźni, królowie świata! Poznałam ich wszystkich. Wiem, co są warci, te gruboskóre filistry, karły, tchórze, brrr! Cóż za nędza! od pierwszej chwili naszego istnienia, kiedy na świat przychodzi córka—rodzice utyskują: „czemu nie syn?“ Ten syn, który odbiera im ostatni grosz na naukę, a potem na hulanki, a jeśli jest stateczny i żeni się, to wchodzi pod pantofel brzydkiej żony i otacza się wyłącznie jej rodziną. A starym rodzicom pomaga kto? Oto ta niechętnie widziana przy narodzeniu córka, która sprowadza do domu rodziców męża, zastępującego im utra-

conego rodzzonego syna. Jeżeli zaś została starą panną, to oddaje całomiesięczne ciężko zapracowane lekcyami grosze matce, zostawiając sobie dwa ruble na woalkę i karmelki, kiedy synowie, tak jak Franek, korzystają z obiadu i mieszkania zapracowanego przez siostry, wydają 50 rubli swojej pensyi na gabinety, karty, cygara, wyciągi i pijaństwo. Czy myślisz, że oni potrafią być ojcami? Dziecko ich własnej krwi, nie zrodzone w małżeństwie, jest dla nich obojętniejsze od wyżła, z którym chodzą na polowanie; kochają dzieci, bo tę miłość nakazują im żony, nieraz brzydkie i złe, z którymi pożenili się dla karyery, dając się łapać wiecznie na pieniądze, jak dzicy na błyszczące guziki. O! te żony ich złe i brzydkie, połączone z nimi nazwiskiem i opinią! One to są pomstą za wszystkie krzywdy, jakie wyrządzają nam, matkom ich dzieci, potulnym i wpatrującym się w nich jak w bóstwo kochankom! Patrz! ten typ porządnego człowieka, Pawełek, którego brzydka żona oszukawszy przed ślubem przynętą nieistniejącego posagu, tyranizuje dziś, to kara za wszystkich Władców i Franków, którzy żenić się z nami nie chcieli i za wszystkich kochanków, którzy ofiary swoje porzucają! Patrz, wiesz kto jest ta chora tu obok? Jesteśmy *en pays de connaissances*, spotkałyśmy się tu przypadkowo, jak na raucie—mówiła z dawnym swoim sarkazmem. — To pani Januszevska, chora podobno nie z przejedzenia się, prędzej z głodu i nędzy, a ta, to konserwatystka, chora na zapalenie mózgu. Służyła w domu Pawełka za bonę do dzieci i z litości nad jego nędzą moralną rozmawiała z nim czasem, pozwalała, aby przychodził ba-

wie się z dziećmi, czego w obecności żony czynić nie śmiał. Żona w napadzie furji wyrzuciła ją na bruk, rzuciwszy jej wobec wszystkich, że jest ladaczną, kochanką jej męża. Dostała zapalenia mózgu. Lekarze wiedzą, że słowa tej nędzniczki były kłamstwem. Sam mąż wiedział o tem najlepiej, nie ujął się jednak za jej krzywdą, tchórz z wieczną obawą skandalu, godzący się dla opinii na wszystkie katusze, jakie będzie znosił ze spuszczoną głową do końca życia! I oni, królowie stworzenia, nazywają nas pogardliwie babami! Oni z tyłu zakątkami mózgu, leżącymi odłogiem, nieumiejący ani jednego słowa przeczytać pomiędzy wierszami, nieumiejący kochać ani nienawidzić, ani się bawić, ani wydawać pieniędzy, za którymi uganiają się wiecznie. Bo to my jesteśmy wszystkim, my potrafimy kochać kochanka, męża, dzieci, potrafimy nienawidzić wrogów, rywalki. My mamy nerwy, subtelność uczuć i kulturę! Oni nas nazywają babami. Gdybyś wiedziała, jacy oni są w swojej walce o byt zawistni, jak się nienawidzą i jacy próżni o każdy szczebel hierarchiczny w karyerze! I jacy obłudni i jacy egoiści! Ja ostatnia, czuję się wyższą od nich. Pamiętasz, jak nasza cała klasa się uczyła i jak nam wiecznie profesorowie mówili o lenistwie uczniów. Tak wszędzie. W biurach najpilniejsze są kobiety, utrzymujące matki, kiedy oni w godzinach biurowych wykradają się na bilardy i knajpy. Pamiętam, kiedy byłam w teatrze: najgorsza z nas znalazła czas do nauczenia się roli; oni wiecznie jak w pierwszej klasie błagali okiem suflera, bo im się uczyć nigdy nie chciało. O! mieszcuchy zdolni jedynie do zarabia-



nia marnego grosza, rzućanego nam pod nogi. Bo te wszystkie salony wytworne, przepych życia, teatry, koncerty, galerye obrazów—to my je zapełniamy, chodzą tam jedynie dla nas, a nie z potrzeby duszy, bo im knajpa z koniakiem, cyrk z baletnicami, biuro lub jakaś sucha specjalność wystarcza. To my protegujemy sztukę, my interesujemy się malarzami, literatami, to nas ci wyjątkowi z lepszej gliny otaczają, z nami jedynie w salonie rozmawiają, nawet ze starymi i brzydkimi. O! gdybyś ty ich tak jak ja poznała! Tych wielkich panów o milionowych fortunach, mieszkających w pałacach na wsi stojących pustkami, kiedy oni gnieźdzą się w zakopconych pokojach w oficynie, z setkami papierosów, walających się na podłodze, i strzelają z floweru do celu w salonie o bacciarelowskich freskach, w których po kątach na słomie wylegują się psy. My marnujemy pieniądze na przepych, na salony, brylanty, obrazy. Gdybyś wiedziała, jak oni wydają pieniądze: Pijani zapalają storubłówkami cygara, przegrywają majątki, zapalając się do zakładu; parzysta cyfra na banknocie czy nie parzysta? A gdybyś widziała te kobiety, na które idą miliony, kobiety, nieumiejące położyć swego podpisu, a mówiące językiem, którego by się wstydziła każda kucharka! Trwa to dopóty, póki rodzina nie wyszuka im żony, choćby najbrzydszej, która dopiero w karby bierze wszystko: wie trzy salony pałaców, odświeża zniszczone freski murów, wyrzuca z garsoniery meble angielskie od Mappl'a, zakupione bez rozmysłu, bez sensu i bez gustu, wyrzuca psy, kochanki i służbę z kawalerskich czasów, a zo-

stawiając mężowi kieszonkowe na cygara, urządza sale, prowadzi go do teatrów, zapoznaje z artystami, kupuje książki, zmienia go w człowieka. Tak! lecz ta brzydka żona miała tych kilka złotych guzików, na które ich wzięła, jak misyonarze nawracający dzikich, choćby posagi tych pańien „z domu“ były niczem w porównaniu z ich nieuporządkowanemi olbrzymiemi fortunami lub rocznymi dochodami. A bez tych kilku złotych guzików, trzeba zostać albo tułającą się marzycielką, jak ta ekskonserwatystka, lub nędznicą, jak ja. Ty nie znasz jeszcze życia, masz matkę, która za ciebie myśli i przykrości odsuwa, jesteś jeszcze zawsze tylko wyczekującą panną na wydaniu. O! gdybyż za te wszystkie pieniądze, które matka moja zmarnowała na pensję i fortepian, kupiła mi raczej jakiego roboczego wołu, męża, jakiegoś uczciwego szewca lub ślusarza, którego bym wyrwała z kawalerskiej szynkowni i pokazała mu, że świat jest piękny, że poza pracą jest miłość, jest przyjaźń, piękno, jest natura, sztuka. Wychowałabym mu dzieci.

Odetchnęła ciężko i mówiła dalej w gorączce:

— Jesteś niewinna i święta i nie wiesz, co to nienawidzieć kogoś i nie móc żyć bez niego, kochać a jednocześnie pogardzać ukochanym i samym sobą. Nie wiesz, co to znaczy być porzuconą przez kochanka, którego się kocha. Bo ja nie byłam tylko metresą księcia: ja go kochałam. Rzucił mnie i chodzi sobie teraz tam z kimś po mieście... Rzucił, a ja żyję, żyję, żyję... — biadała teraz, jak małe dziecko.— Wyleczyli mię, a teraz co będzie? Co będzie, jeżeli nie starczy mi odwagi

po raz drugi! To okropne nie mieć sił do życia i nie mieć siły do pozbawienia się go, kiedy trzeba. Tyś do mnie przyszła, a ja teraz może wyzdrowieję? Pomyślisz, że oszukałam cię, że skłamałam. Ale doprawdy nie wiedziałam, że żyć będę. To okropne być wyleczoną, kiedy się o to nie prosi. Chciałam cię widzieć koniecznie, wypowiadać się przed tobą z całego życia. Ostatni raz... Nie wiem, co z sobą uczynię, kiedy stąd wyjdę. Jeszcze czuję się zbyt chorą, aby o tem myśleć. Nie obawiam się już jak dawniej przyszłości. Przekonałam się, że Bóg, zsyłając na ludzi najstraszniejsze cierpienia, lituje się o tyle nad nimi, że im odbiera wrażliwość odczuwania. Stracić matkę, stracić kochankę, stracić honor — wszystko zdawałoby się, że to są gromy nie do zniesienia. Włosy na głowie powstają na myśl, cobyśmy uczynili w podobnym wypadku? Tymczasem wypadki te mijają, a ty żyjesz... Najśrodsze gromy nie są tak straszne, jak ich oczekiwanie. Patrz, te dwie kobiety przez całe życie trwały się myślą, że skończą w szpitalu. I kończą rzeczywiście w szpitalu, ale leżą jak kłody i nie zdają sobie z tego sprawy. Czy myślisz, że chory na puchu mniej cierpi, niż na słomie? Wiele mu z tego przyjdzie, że koło niego kręcą się najślawniejsi lekarze, a on widzi, że ich rozum funta kłaków nie wart i że musi umrzeć? I co mu z tego przyjdzie, że koło niego żona i dzieci albo płaczą, albo znużeni jego chorobą źle maskują obłudne pragnienie, oby się to już raz skończyło! Wszystko to takie głupie!

Opadła na poduszki i mówiła coraz ciszej:

— W każdym razie wyjadę z Warszawy. Wiesz,

ludziom wiecznie się zdaje, że porzucając miejsce swego dotychczasowego pobytu, pozostawiają w niem całą swą przeszłość. Zdaje mi się, że tam, het, przyjadę świeża, jak dawniej, i że z tabliczki życia, jak z szyfru, wszystko gąbką zetnę. Jestem straszliwie zmęczona, ucałuj mnie na pożegnanie! O! Tak. Dziękuję. Jakaś ty jeszcze ładna! szczęśliwa, przeszłaś obok życia i nie zbrudziłaś się! Idź! Nikt nie pozna, żeś była u mnie. Będą sądzili, żeś odwiedzała pannę Stanisławę, to uczciwa dziewczyna. Idź!

Myśl o Kazi niedługo miała gościć w głowie Belci, bo gdy powróciła do domu, matka żaliła się na dreszcze. Belcia zmusiła ją do położenia się do łóżka, posłała po doktora, który stwierdził temperaturę silnie podwyższoną i, nie pewnego jeszcze nie decydując, zwrócił jednak uwagę, że wobec wieku chorej, najslabsza nawet choroba może stać się groźną.

Belcia zadrżała. A więc nadchodzi to, co ją po nocach od tylu lat straszylło? Czyżby się skończyć miało to życie we dwoje w dwóch małych pokoikach, czyżby miał już być stracony ten dom z gospodarstwem i ta jedyna na świecie istota, która ją kocha, z którą ją łączy tyle wspomnień, te wieczory z żarcikami, i te spacery z matką, zapominającą dla niej o gniotącym ją wieku, wysilającą się na dowcip, ubierającą się w modne suknie, udającą młodą jej rówieśnicę. Przypomniała jej się uwaga Kazi: „Nie znasz jeszcze życia, masz matkę, która za ciebie myśli i przykrości usuwa. Jeszcze jesteś zawsze tylko wyczekującą panną na wydaniu“. A więc i to się skończy? To dawne życie, do

którego się przyzwyczaiła... Rozpocznie się nowe, którego boi się, jak każdej zmiany, wprowadzającej w dziedzinę nieznanego...

Influenza matki z przebiegiem ostrym przeszła w zapalenie płuc i oskrzeli. Do tego przyłączyło się najstraszniejsze cierpienie ludzi starych, astma, która każe im żyć a odychać nie pozwala. I Belcia spędza dni i noce przy łożu chorej, walczącej z potężnym wrogiem, chorobą, która zdaje się pastwić nad nieszczęsną za to, iż ta z całych sił broni się od śmierci.

Z biednej dawnej pani Kuczyńskiej w tej walce została jedynie cienka, pożółkła, dysząca staruszka, podobna już do wszystkich staruszek bez indywidualności, żyjąca jedynem pragnieniem: dalszego istnienia. Syta już ofiar i poświęceń dla córki, zazdrości teraz w swojej męce, że Belcia się nie dusi, że odдыcha swobodnie. Buntuje się ustawicznie, nie chce córki słuchać nie wierzy już w lekarstwa, które nie skutkują, i grymasi z ciągłym marsem niedobrego dziecka.

— Mamciu, jeżeli mię kochasz, jeszcze tę jedną łyżeczkę. Zobaczysz, musi ci pomódz. Uczyn to przez miłość dla mnie.

Stara nie odpowiada nic na to, odwraca się do ściany, znudzona słuchaniem próśb córki, dla której niema już żadnego współczucia. Dość się dla niej w życiu nacierpiała. Niech się córka nią teraz trochę pomartwi. I tak Belci lepiej: nie ma tej strasznej astmy, co ona, i będzie sobie żyła w zdrowiu Bóg wie ile lat.

Wieczorem lekarz stwierdził obniżenie się temperatury, w płucach nadspodziewanie się poprawiło, więc

oświadczył Belci, która z podsiniałemi oczyma, ze zniszczoną cerą i ciężarem przygnębienia w całej istocie, nie wiele lepiej od chorej matki się czuła i litość w nim budziła:

— No, teraz głowa do góry: niech się pani ubiera, wyjdzie na ulicę do ogrodu. Trzeba sił nabrać. Niebezpieczeństwo już minęło i jeżeli nic nowego nie zajdzie, pacjentka nasza jest uratowana.

Uśluchoła lekarza. Zarzuciła płaszcz, włożyła kapelusze i, powierzając matkę chwilowej opiece Marysi, wybiegła na miasto. Od dwóch tygodni nie wychodziła z domu.

Teraz biegła do kościoła dziękować Bogu, który się nad nią ulitował. Zmęczona kilkunastu nocami przebytymi na krześle przy łóżku chorej, a jeszcze bardziej znękana niepokojem i trwogą, przebiegała teraz ulicę automatycznie, upijając się aromatycznym powietrzem, od którego odwykła.

Nareszcie jest w kościele! Jak tu dobrze w półmroku oświetlonym żółtymi płomykami świec woskowych u głównego ołtarza, w ciszy, w której odbija się echem o sklepienie jedynie drżący głos staruszka księdza, brzęk monety ofiarnej, rzucanej od czasu do czasu na talerz, i szepty cichaczem wchodzących na palcach... I jaki luby chłód bije od tych zimnych kamieni posadzeki... I ten dźwięk organów... Tak, tak... Tu przebywa Bóg... Belcia czuje to doskonale...

Tam jest miasto, ulica, ze słupami telegraficznymi, z drutami telefonów, z tramwajami, z zapalonemi wieczorem latarniami gazowemi i elektrycznemi, z tłumami

mi mrówek, śpieszącemi naprzód, naprzód, naprzód, a tu stara świątynia o gotyckich sklepieniach, taż sama co i przed wiekami, nie ciekawa, co się tam za jej murami dzieje. Lecz w tej ciszy mieszka Bóg; krzepi i goi balsamem rany każdego nędzarza, który go odwiedza z wiarą, że go zastanie w domu. W duszę wstępuje ukojenie z tych mroków kadzideł, chłodu, organów huczących głębokimi tonami i ciszy klasztoru. Belcia czuje, że staje się tu inną. Nie boi się już przyszłości; jest wyższą, ponad marną obawę spadnięcia z małego hierarchicznego piedestału. Miłość jej dla biednej starej matki, żyjącej jedynie myślą o niej, ciągła obawa, spowodowana chorobą staruszki, nie były niczem innym, tylko egoistyczną obawą utraty życiowego stanowiska i obawą przyszłości...

Wiecznie to życiowe stanowisko, stanowisko panny na wydaniu z kłamanym uśmiechem młodzieńczym, pod którym ukrywa się rozpacz, z jaką wlekła matkę po nudnych dolinach szwajcarskich. O! jest z tego wyleczona zupełnie. Niechby matka tylko żyła, ona teraz będzie się opiekowała staruszką, jak grymaśnem chorem dzieckiem, nie żądając w zamian niczego. W salonie postawi łóżko matki. Nie chce już prowadzić domu na taką a nie inną skalę. Nie chce już matki dla siebie. Ona teraz żyć będzie dla staruszki. Wszystkie dotychczasowe nieszczęścia to była kara, zesłana jej przez Boga za wieczne pragnienie osobistego szczęścia, szczęścia, jakie na świecie nie istnieje. Zdawało jej się, że w ciągu tych kilku chwil w kościele, przeżyła wiek i że

wszystkie jej lata niczem nie były w porównaniu z kilku temi chwilami.

Rzuciła ostatnie dziękczynne spojrzenie ciemnym murom świątyni i wyszła ocalona. Na dworze pogoda, powietrze balsamiczne. Słońce złoci litery szyldów, przed nią wydłuża się Krakowskie-Przedmieście, jaśniejące czystością wielkomiejskich szerokich chodników ze sznurem młodziutkich drzewek z cienkimi, zielonymi listkami ustawionych w ogrodzeniach, podobnych do doniczek.

I Belcia spotyka wszystkich swoich znajomych.

Oto w pięknym najętym powozie sunie ku Alejom Pawełek ze swoją brzydką żoną, ustrojoną w nowiutką suknię od Hersego. Oboje milczący bez humoru. Ją irytuje jakaś błahostka; on pogrążony w zadumie, skąd brać pieniędzy na zbytki tej kobiety, z którą połączony jest okowami do śmierci, której nigdy nie kochał, a która go rujnuje. Lecz znosić będzie to jarzmo do końca życia i nie ucieknie od niej jedynie dla obawy skandalu.

O kilka kroków od niej sunie ku ogrodowi Saskiemu z dwojgiem dzieci Mania. Dzieci są zmęczone. Jazdia tuli się do jej sukni, a drugie Mania ciągnie za sobą. I Belcia przypatruje się z miłością ich biednym sukienkom i kapturkom, które Mania najwidoczniej wczorajszej nocy odświeżyła na dzisiejszy spacer. Na kapturku znać jeszcze niewyprute ściegi nitek. Dzieciaki brzydkie, z krzywemi wskutek angielskiej choroby nóżkami, z piegami, podobne do ojca. Na zwiedłej twarzy Mani znać troskę: kto tę małą brzydką dziewczynę kie-



dys weźmie za żonę i jaka przyszłość czeka tego chłopca, kiedy w razie śmierci babki nie będą mieli za co posłać go do szkoły.

Lecz tu jakiś pyszny pojazd, jak z igły, zaprzężony w złociste kasztany, ubrane fijołkami, mknie ku Alejom, a w nim rozłożona w jasnej sukni jaśnieje w całej swojej urodzie Lorka Marchewkowska. Tuż obok niej w ciemnem okryciu, w zeszlórocznym kapeluszu, zwiędła, wyschła, siedzi jej dama do towarzystwa, w której Belcia poznaje Kazię, tę piękną dumną królowną, spragnioną szczęścia, sławy, zaszczytów, majątku i miłości, dziś zdeptaną na miazgę z przegranemi wszystkimi stawkami życia, bankruta, trupa, żyjącego jedynie żalami i hańbą.

I jeszcze jedno spotkanie: Od Loursa z bilardu wychodzi trzech młodzieńców; zatrzymali się na rogu przed hotelem Europejskim w oczekiwaniu na „dryndę“ o gumowych kołach, która zajeżdża z szykiem, a dorożkarz zdejmuje czapkę przed jaśnie panami. Dwóch z pomiędzy nich Belcia poznaje odrazu. Ten mały w żółtym modnym paltocie z kwiatkiem, to Mundzio, który musiał coś wygrać na wyścigach, kiedy znowu szyk zadaje; a ten drugi w pelerynie z wiecznym monoklem— to naturalnie—Ajaks, który opuścił już wskutek intryg Lwów; teraz podobno stara się w Warszawie o dyrekcję jakiegoś teatru prywatnego.

A ten trzeci... Tak, to on... Belcia nie omyliła się: To Franek! Roztył się trochę, z pod paltota zarysowuje się pewne zaokrąglenie kształtów; młodzieńczy mały

wąsik przemienił się w duży szczotkowaty; twarz cała wygolona od gęstego zarostu i zlekką upudrowana nabrała jakiegoś niebieskiego tonu i ował twarzy się zmienił; ma teraz dwa podbródki, oczy straciły trochę blasku. Uśmiech pozostał ten sam. I Belcia pewna siebie, aby przekonać się do reszty o własnej sile, o tem, jak jest zupełnie wyleczoną z przeszłości, zatrzymuje się umyślnie i, jakby nie nie zaszło, podaje mu rękę na powitanie. Ręka jej nie zadrżała w jego dłoni. Ucieszyła się tem i bardzo swobodna zapytuje go jak obcego:

— Pan na długo do Warszawy?

Zaczął jej blagować:

Porzucił Lublin, ma przyobiecana posadę w Towarzystwie asekuracyi, a teraz mieszka u matki. Belcia zresztą już słyszała o tem, iż on opowiada po Warszawie o jakiejś brzydkiej wdowie, właścicielce hotelu w Lublinie, z którą ma się żenić. Może być, że kłamie.

— A mama jak się miewa? Podobno była chora?

— Dziękuję, już dobrze. Panowie z cukierni?

— Tak, zagraliśmy kilka partyjek bilardu.

— Dobrze sobie żyjemy, prawda? — wtrącił Ajaks swoim zwykłym tonem — kochana Warszawka będzie miała znowu pole do plotek — rzekł z goryczą, przekonany wiecznie, że wszyscy nim się zajmują. — A wie pani, ile koniaków dziś wypilem? Ni mniej, ni więcej, tylko piętnaście. Ta kastalska woda, którą na Olimpie zapijali, to musiała być po prostu wódka! — Oskarżał się sam, że pije i że nie ma talentu, z obawy, aby ktoś inny, uprzedziwszy go, nie powiedział tego o nim za plecami, i sam psuł sobie opinie i szkodził sobie. Był to ostate-

czny tryumf przesadzonej próżności i ambicyi, która zwalczyła w nim potęgę karyerowiczostwa.

— A teraz panowie dokąd?

— Jedziemy na spacer. Właśnie to nasza dorożka— objaśnił Mundzio.

— Nie przeszkadzam. Do widzenia.

— Pani będzie łaskawa pokłonić się mamie.

— Dziękuję.

Za jej plecami Franek musiał się skrzywić, bo usłyszała głos Mundzia, który w swojej roli *viveur*'a nie robi sobie z ludźmi ceremonii.

— Cóż chcesz? wszystko ma swój czas.

Belcia uśmiechnęła się. Zbrzydła. Naturalnie. Na świecie wszystko ma swój czas.

Ach! jak to dobrze nie robić sobie nic z tego, co ludzie o nas mówią.

Pozbyła się próżności, która okrywała ją pajęczą tkaniną najbardziej skomplikowanych setek różnorodnych niteczek. Nie była już piękną panną Kuczyńską, która zaczyna brzydnać, nie należała już do pańien, udających, że są jeszcze na wydaniu, a przeświadczonych o tem, że ich nikt nie zechce; nie była już panną z pewnej sfery, która powinna być modnie ubraną, chociaż na mody środków nie ma. I odetchnęła, jak mysz, której udało się przegryźć męczącą ją sieć obowiązków, kłamstwa, udawań, tandety, w jakie przybiera się męka życia burżuazyjnego, życia nie dla siebie, lecz na pokaz z najidyotyczniejszą dewizą:

— Żyj tak, aby twój bliźni pękał z zazdrości, sądząc mylnie, że żyjesz szczęśliwy.

A bliźni nie pęka z zazdrości, bo nie jest tak naiwny, aby wierzyć w twoją kiepską komedję. Ma kłopoty inne: także owo wieczne udawanie, aby okłamać tego trzeciego, który okłamać się także nie da. I Belcia przypomniła sobie ostatnią wieczną zmore obawy przyszłości, starości pod płótem i śmierci w szpitalu. I na myśl jej przyszły trafne uwagi Kazi:

— Największe gromy nie są tak straszne, jak ich wyczekiwanie.

— Więc nawet starość pod płótem i śmierć w szpitalu...

Przypomniła sobie refleksye Kazi:

— Czy sądzisz, że chory na puchu mniej cierpi, niż na słomie, i wiele mu przychodzi z tego, że koło niego najślawniejsi lekarze konsultują, a on widzi, że ich rozum funta kłaków nie wart i że musi umrzeć. I co mu z tego przychodzi, że żona i dzieci koło niego płaczą, lub znudzeni jego chorobą—źle maskują swoje obłudne pragnienia, aby się to wszystko już raz wreszcie skończyło. I Belcia oddycha, jakby jeszcze jeden kamień z serca jej spadł. Co za rozkosz nie pragnąć dla siebie niczego! Jest pewną, że gdyby wygrała teraz wielki los na loteryi, nie kupi sobie za ten posag ani Franka, ani innego ładnego chłopca.

O! nie! jest tego pewną. Nie pragnie już miłości. Rozejrzała się dokoła. Nie zazdrości ani Mani męża, ani Pawełkowej bogactw, ani Kazi pięknych kochanków, jakich w życiu miała.

Tak! pozbyła się pragnień osobistego szczęścia, obawy o swój los, chęci wzburzenia zawiści u innych,

uczucia zazdrości—wszystkich egoistycznych celów życia. Poczula się swobodną, jak ptak, wydobyty z klatki, jak lew odważną i silną, silną, silną...

Odkryła nareszcie tę wielką tajemnicę wrażliwości istnienia: Być dobrym, nie mieć na sobie plamy, nie myśleć o sobie, litować się nad wszystkimi i pracować co sił starczy.

Z poza greckich kolumn kusi ją pyszna w perspektywie główna aleja ogrodu Saskiego z wodotryskiem o kształtach wazonu gigantów, wielkim w swojej bezczynności, paradującym swemi srebrnymi wodami chyba od wielkiego święta.

Jesień! Wiatr wieje. Zeschłe liście z drzew jeden za drugim opadają na ramiona posągów; na klombach wśród szeleszczących spadłych pożółkłych liści—kwitną martwemi matowemi barwami astry i georginie. A przechodnie śpieszą do domów — spragnieni pierwszej lampy, przy której zasiądą dziś do herbaty i kuryerka.

I Belcia, nie wiadomo dlaczego, widzi na tle tego ogrodu siebie, jako małą dziewczynkę, śpieszącą z torni-strem z pensyi do domu na obiad. I naraz powstają jej przed oczyma różne Belcie: w sukniach podług najrozmaitszych mód, z rękawami bufiastymi i zupełnie wązkimi, w sukniach tak skrojonych—to owak—najrozmaitsze Belcie od lat dwudziestu, z najrozmaitszemi pragnieniami, marzeniami, troskami.

— Dobrze, że to już wszystko przeżyłam.—Nie kryguje się już dziś, nie ciekawa, jakie sprawia na przechodzących wrażenie w swoim płaszczu i kapeluszu, włożonym na głowę bez lusterka, i uśmiecha się do sie-

bie, choć to na ulicy nie wýpada. Nie wstydzi się swego staropanieństwa. Przeciwnie jakieś wielkie współczucie ogarnia ją dla tych tłumów, dla tych żon, dla tych piękności, które się zestarzeją, dla tych kochanków, których miłość już przeszła, lub przejdzie, dla tych, którzy pragną w życiu karyery i depcą sobie po piętach i gryzą się i martwią tych wszystkich marności, które się zwą życiem ludzkim. Ona jest poza tem wszystkim. I naraz pokochała z całych sił swoje życie, czyste, jak niezapisana kartka welinu, i szczyci się niem i czuje zadowolenie, jak ktoś, komu udało się przeskoczyć kałużę bez zabłocenia się. Będzie do końca życia tą niepokalaną, czystą Belcią, do której rodzona matka przez szacunek zwraca się w trzeciej osobie, bo Belcia nie brudziła nigdy sukienek i przylepiała bibułki do kajetów pięknymi pieczętkami—stawiana wiecznie za wzór innym. Samotność, której się dawniej bała, wydała jej się teraz rozkoszą i siłą: chce należeć tylko do siebie, być bez żadnych więzów, bez żadnych szablonów, bez żadnej filisterskiej obłudny, nie pragnąc dla siebie niczego i nie zazdrościć nikomu! Chce kochać wszystkich: i te krzywe dzieci Mani, które Bóg wie — jaka przyszłość czeka, i samą Manię taką marną i taką maleńką w swoim karlem szczęściu rodzinnem. Będzie kochała wszystkie dzieci, którym dotychczas dawała lekeye płatne, jedynie z obowiązku i będzie współczuła ich biednym matkom, i starcom, i chorym, i zdrowym, i wszystkim nieszczęśliwym.

I Belcia poczuła się silną. Miała uczucie, jakby pochwyciła i zabiła w sobie robaka, który zatruwa i niszczy życie. Teraz była ocaloną.

Otworzyła drzwi mieszkania i pobiegła do pokoju chorej. Matka, zdaje się, spokojnie spała. Marysi w pokoju nie było. I Belcia pobiegła do kuchenki.

— Marysiu, dlaczego nie siedzisz, jak prosiłam, przy pani? Czy bulion pani już podałaś?

— Pani nie pozwoliła mi siedzieć przy sobie i bulionu pić nie chciała. Pani—zdaje się—gniewa się, że panna z domu wyszła.

Belcia pobiegła z filiżanką bulionu do matki, która odwróciła się od Belci do ściany i zacięła się z uporem rozkapryszonego, biednego schorowanego dziecka, aby jej nie odpowiadać.

— Mamciu, musiałam wyjść na chwilkę, głowa mię tak bolała. Ale już nie wyjdę do przyszłego tygodnia pod warunkiem, że tę filiżankę bulionu mamcia wypije. Zgoda? Będę dawała po łyżeczce: prawda, jaki dobry?

Stara ciągle jeszcze dąsa się w swoim egoizmie chorej bardzo nieszczęśliwej, którą zdrowa córka opuściła dla spaceru, choć ma całe lata życia przed sobą, a ona skazana bez apelacyi na opuszczenie już tego pięknego świata i na wędrówkę hen! w jakąś drogę, drogę, której nie zna i której się boi...

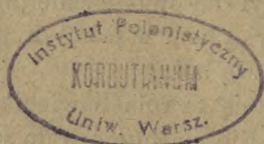
Sprzykrzyła jej się ta rola bawienia Belci i schlebienia jej gustom. Nie ma humoru do strofowania, jak ongi nieistniejących wad córki, którą to tak bawiło. A o przyszłości Belci już nie myśli. Młoda! zawsze da sobie w życiu radę. Zawsze jej lepiej będzie; niż jej starszej, której dni są policzone i kat ze śmiercią pod drzwiami czeka. I stara nic nie odpowiada Belci. Gniew jej jeszcze nie przeszedł! chciwie łyka teraz wzmacniający napój, który wydaje jej się eliksirem życia.

A Belcia wpatruje się z miłością w tę poźółkłą wyschłą twarzyczkę w białym czepku, obejmuje zlekka jej wątlą biedną figurką w perkalowym kaftanie, przyciska delikatnie do swoich piersi tę filgranową postać ukochanej staruszki, podobną do biednego, ranionego z połamanemi skrzydłami starego ptaka, i czuje się szczęśliwą, że matka jest zdrowsza i że pod jej opiekuńczem ramieniem staruszce jednakże lepiej, niż gdyby Belci nie było.

— Dobry bulion, co?

I uśmiechnęła się do niej tym uśmiechem zadowolenia i dumy z siebie, jaką posiadają ludzie, tryumfujący sami przed sobą, że uczynili komuś coś dobrego. Jeżeli na świecie istnieje coś, co nie jest próżnością, to już chyba od biedy jedynie tylko to uczucie.

KONIEC.

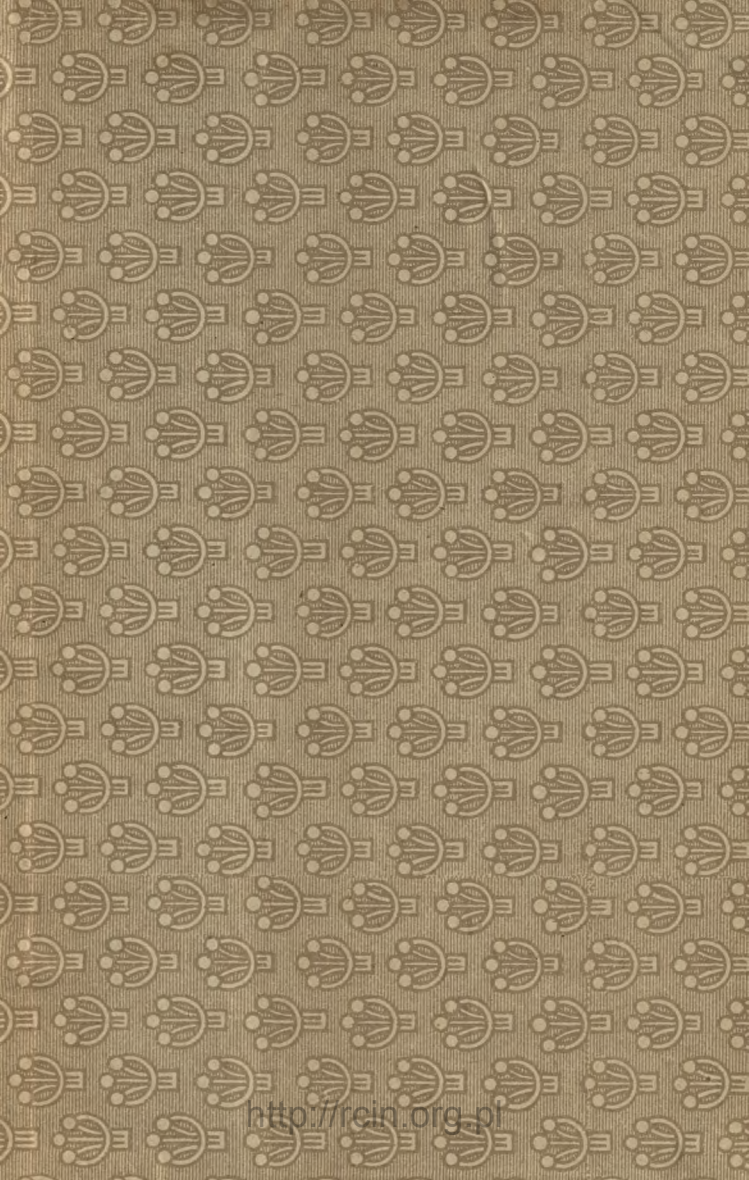


INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63









<http://rcin.org.pl>

K  
536